



**WOJCIECH  
CHMIELARZ**  
**DŁUGA NOC**

---

Komisarz Jakub Mortka

MARGINESY



**WOJCIECH  
CHMIELARZ  
DŁUGA NOC**

MARGINESY



# Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Podziękowania

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja KAROLINA MACIOS  
Korekta IDA ŚWIERKOCKA, ALEKSANDRA PTASZNIK  
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI  
Zdjęcie na okładce © Ryoji Iwata / Unsplash  
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Wojciech Chmielarz  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Warszawa 2022  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67262-18-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75  
[redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)  
[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

## PROLOG

Chłopcy po skończonej robocie usiedli przy ognisku. Chociaż kupa suchych liści i patyków, które paliły się tak, że dawały więcej dymu niż ognia, ledwo zasługiwała na tę nazwę. Michał naciągnął kaptur na głowę i wbijał wzrok w ekran migającej jak stroboskopowa lampa komórki. Andrzej założył bezprzewodowe słuchawki i słuchał muzyki, wpatrzony w przestrzeń przed sobą. Mortka natomiast stał kilkanaście metrów za nimi i myślał o tym, że ten dom jest po prostu za duży. Rodzice mogli wędrować po nim całymi dniami i prawie się nie spotykać. Ojciec siedział w swoim gabinecie, czytał i układał pasjansa, matka większość czasu spędzała w kuchni i ogrodzie. Zresztą też tak ogromnym, że do sprzątnięcia przed zimą potrzebowali pomocy. Szczęśliwie, akurat był w Polsce, chociaż zdziwiła go ich prośba. Na porządku jego zdaniem było zdecydowanie zbyt wcześnie. Jeszcze bardziej się zdumiał, kiedy niemal zaraz po rodzicach zadzwoniła do niego Ola.

– Weźmiesz ze sobą chłopaków – oznajmiła.

Nie skojarzył jej telefonu z przeprowadzoną przed godziną rozmową.

– Gdzie?

Gorączkowo próbował sobie przypomnieć, czy coś im wcześniej obiecał. Ale nic mu nie przychodziło do głowy. Zapomniał? Wydawało się to mało prawdopodobne. Kiedy już przyjeżdżał do kraju, każdy dzień miał zaplanowany prawie co do godziny. Wszystko wpisane w kalendarz. I ten papierowy, który nosił w torbie, i ten w komórce.

– Do dziadków. Sprzątać w ogrodzie. Jedziesz do swojego ojca jutro, nie?

– No tak.

– No to ich weźmiesz.



– A skąd w ogóle ten pomysł?

– Od nich.

– Od moich rodziców? Przecież sam to ogarnę.

– Od Andrzeja i Michała.

– Naprawdę? – zdziwił się.

Westchnęła do słuchawki.

– Kuba – powiedziała – z tobą to może i prawie nie mają kontaktu, ale wierz mi, dbam o to, żeby regularnie rozmawiali z dziadkami. Z jednymi i z drugimi. Uważam, że to ważne. Zadzwonili do dziadka, dziadek powiedział im o ogrodzie, zaoferowali pomoc. Jutro jadą z tobą.

– Ale w obecnej sytuacji? Myślisz, że to mądre?

– Twój tata się zgodził, a jest cholernym lekarzem, nie? Poza tym będziecie przecież cały czas na dworze, prawda?

– Tak, ale...

– Kuba! – przerwała mu ostro, wyraźnie zirytowana. – Oprócz tego, że chcą się spotkać z dziadkami, dobrze by było, żeby spędzili trochę czasu z własnym ojcem. Nie uważasz?

Co miał jej odpowiedzieć? Nie chciał przyznać, że w ich towarzystwie czuł się nieswojo. Mieli mało wspólnych tematów, jeszcze mniej wspomnień. Odwiedzili go dwa razy w Hadze. Pokazał im miasto, zabrał nad morze i na wycieczkę do Amsterdamu. Kiedyś w wakacje jeździli wspólnie na tydzień w góry lub nad jezioro, ale kilka lat temu zaczął się ten czas, kiedy zamiast spędzać lato z rodzicami, woleli jeździć na obozy ze znajomymi albo szlajać się od jednego pola namiotowego do drugiego. Nie byli dla niego obcymi ludźmi, do takiego stwierdzenia by się nie posunął, ale w gruncie rzeczy niewiele ich łączyło.

Ojciec trącił go lekko w ramię i podał mu kubek z gorącą herbatą.

– Na pewno nie chcesz piwa? – zapytał, sam trzymając w dłoni puszkę Tyskiego.

– Przecież wiesz, że będę prowadzić.

- Po jednym podobno można.
- Podobno – mruknął Mortka.

Wziął herbatę i upił łyk. Ojciec stanął obok niego. Niewiarygodne, ale był od niego wyższy. Mortka nie rozumiał, jak to możliwe. Dzieci przecież powinny przerosnąć rodziców. Andrzej już od dawna patrzył na niego z góry. Teraz był wielkim napakowanym facetem, który sprawiał wrażenie, jakby wciąż się do tego nie przyzwyczyił. Michał był drobniejszy, szczuplejszy, delikatniejszy. Ola mówiła, że ich syn ma palce pianisty. Ojciec powtarzał, że to ręce chirurga, i uśmiechał się przy tym zadowolony. Miał pewnie nadzieję, że wnuk pójdzie w jego ślady. Przy całej swojej chudości Michał przerastał Kubę już o pięć centymetrów. I tak, z całej czwórki to Mortka był tym najniższym.

- Myślisz o tym, jak spieprzyłeś?
- Słucham?

Ojciec wyciągnął rękę z piwem i palcem wskazał najpierw na Andrzeja, a potem Michała.

- To. Jak to spieprzyłeś. Ojcostwo.
- Nie – odpowiedział Mortka.

Nie wiedział, co napadło ojca, że wyskoczył z takim tekstem, ale wiedział, do czego to doprowadzi – do kolejnej kłótni, a on ani jej nie chciał, ani jej nie potrzebował. W sumie ten dzień potoczył się lepiej, niż się spodziewał. W samochodzie niewiele mówili, ale słuchał kawałków, które na przemian puszczali ze Spotify Andrzej z Michałem. To było prawie jak rozmowa. Na miejscu rodzice miło ich przywitali. Zjedli obiad na dworze, popracowali, a teraz był przyjemnie zmęczony. Chciał zachować to wspomnienie dobrego jesiennego dnia.

Ojciec pociągnął z puszki i skrzywił się, jakby piwo mu nie smakowało.

– Kłamiesz – powiedział. – Ale nie przejmuj się. Każdy to spierdolił, mniej lub bardziej. To jeden z uroków ojcostwa, nie? Nikt cię tego nigdy nie uczył, nie wiesz, co masz zrobić, starasz się być trochę lepszy od swojego ojca, ale nikt ci nie mówi, czy to dobra droga, czy zła. Najgorsze

jest to, że tych wszystkich błędów, które popełniłeś, nie da się naprawić. Zostają na zawsze. Niby moja praca powinna mnie nauczyć, jak sobie z tym radzić, bo wiesz, w medycynie jest tak samo. Spierdolisz, szczególnie na stole operacyjnym, to musisz z tym żyć i tyle. Tworzysz różne strategie obronne, zakładasz maskę cynika, traktujesz pacjentów jak worek mięsa, a wszystko po to, żeby nie myśleć o tym, co mogłeś zrobić lepiej. Ale z dziećmi... Z dziećmi tak się nie da. Nie da się zbudować tego muru, udawać, że nic się nie stało. Spierdoliłeś, to spierdoliłeś. Nieustannie widzisz konsekwencje swoich błędów, ale wiesz, co jest naprawdę piękne?

– Co?

– Koniec końców okazuje się, że nie spierdoliłeś aż tak bardzo. A te błędy, które popełniłeś... albo wydawało ci się, że popełniłeś... no, w każdym razie wyszły wszystkim na dobre.

Mortka powoli skinął głową. Przez chwilę zastanawiał się, czym była cała ta przemowa. Radami rodzicielskimi? Przeprosinami? Przecież ojciec przez długie lata dawał do zrozumienia, jak bardzo jest zawiedziony wyborami zawodowymi swojego syna. Wreszcie Kuba uznał, że najbliższym temu było do stwierdzenia „jestem z ciebie dumny”.

Stuknęli się, ojciec puszką, on kubkiem z herbatą. Michał poruszył się na pieńku. Wstał, otrzepał spodnie, znowu usiadł. Przez cały ten czas nawet nie zerknął w ich stronę, nieustannie wpatrzony w ekran komórki.

– Faktycznie w tej Holandii tak strasznie? – zapytał ojciec.

Mortka skinął głową.

– Kolega zmarł na ten syf – powiedział po chwili. – Louis. Belg. Młody facet. Sprawny. Biegał maratony, takie hobby. W domu miał szafę z medalami z całego świata. Zachorował i zajęło to ledwo dwa tygodnie. Był człowiek, nie ma człowieka.

– Ale uważasz tam na siebie?

– Pracujemy zdalnie na tyle, na ile się da.

Ojciec zaśmiał się krótko.

– Policjanci pracujący zdalnie. Łapiesz złodziei zza ekranu komputera?

– Złodziei i morderców – potwierdził z uśmiechem Mortka.

Przez chwilę stali obok siebie w milczeniu. Herbata przyjemnie grzała policjanta w ręce. Zastanawiał się, czy jego synom nie jest zimno, bo chociaż przez cały dzień świeciło słońce, jakby jeszcze było lato, teraz, pod wieczór, temperatura gwałtownie spadła. Ale miał tyle zdrowego rozsądku, że nie zwrócił im uwagi, by ciepłej się ubrali.

– U nas był spokój w sumie – odezwał się ojciec. – Mało osób chorowało. Jasne, strach był, ale miałem nadzieję, że przejdzie bokiem.

– Wiem. Śledziłem te liczby.

– Jak wszyscy, Jakub, jak wszyscy. Ale teraz... Robi się kiepsko. Będziemy mieć tu Bergamo. I to razy dwa.

– W powiecie? W województwie?

– W Polsce – sprecyzował ojciec. – Cały kraj zamieni się w jedną wielką umieralnię.

– Może nie będzie tak źle – odezwał się ostrożnie.

– A co? Też uwierzyłeś w to pierdolenie, że wirus jest w odwrocie? – Ojciec roześmiał się krótko. – Nie. Pozmatane jest, Kuba. Nawet jakbyśmy cały kraj teraz zamknęli, jak w marcu, to nic nie da. Poszły konie po betonie.

– To na siebie uważajcie – powiedział i natychmiast zrozumiał, jak idiotycznie zabrzmiała ta rada. Jakby po prostu machnął ręką na to wszystko, co powiedział ojciec. – Ja muszę wracać do Holandii, ale może mogę coś zrobić...

Ojciec pokręcił głową.

– Damy sobie radę z matką. Tylko że... – Zawiesił głos.

– Że co? – zapytał zaniepokojony Mortka, bo po minie ojca widział, że nie ma co liczyć na dobre wiadomości.

– Dzwonił Mirek Kluska. Kojarzysz go?

– Twój kolega z pracy?

– No. Jest teraz dyrektorem szpitala. I pytał, czybym nie wrócił do roboty. Na tydzień, dwa. Może miesiąc, góra. Bo wiesz... jeszcze się na dobre nie zaczęło, a już im brakuje ludzi.

– Muszą być naprawdę zdesperowani, skoro wydzwanają do emerytów.

– No właśnie...

– Ale ty nie pójdziesz, prawda?

Ojciec nie odpowiedział. Wolał się schować za puszką Tyskiego.

– Chryste! Ojciec! – krzyknął Mortka. – Nie chcę ci wypominać wieku, ale jesteś stary. Jesteś w cholernej grupie ryzyka! I chcesz iść w sam środek tego pierdolnika? Odbiło ci?! Ty masz w ogóle jeszcze prawo do wykonywania zawodu?

– Daj mi spokój, Jakub. Myślisz, że matka już mi nie wierciła dziury w brzuchu? Ludzie zaraz będą umierać, rozumiesz? Setkami, może nawet tysiącami. Dzień w dzień. Jeśli mamy uratować choć paru, to potrzebujemy lekarzy. A ja, tak się składa, jestem lekarzem.

– Emerytowanym.

– Ale lekarzem, Kuba.

– Tato...

– Powiedz mi, Kuba – przerwał mu ojciec. – Gdybyś wiedział, tak jak ja, co się wydarzy. Gdybyś wiedział, co trzeba zrobić. Jak byś się zachował?

Tym razem to policjant się nie odezwał. Chociaż znał odpowiedź na to pytanie. Nawet nie musiał się nad nią zastanawiać. Po prostu od razu, automatycznie, pojawiła się w jego głowie. Tacy przecież byli. Ojciec i syn. Zawsze robili to, co było trzeba. Bez względu na koszty.

A potem dotarła do niego jeszcze jedna rzecz. Że ojciec zaprosił ich tutaj nie po to, żeby posprzątać ogród, ale żeby się pożegnać. Chciał po raz ostatni zobaczyć syna i wnuków. Był przekonany, że jeśli wróci do pracy w szpitalu, to nie wyjdzie stamtąd żywy. Ale i tak wracał.

– Wiesz co... jednak napiłbym się tego piwa – powiedział Mortka.

Ojciec uśmiechnął się pod nosem.

– Już ci przynoszę. – Zrobił krok w kierunku domu, ale zaraz się zatrzymał, odwrócił i nieśmiało wskazał na Andrzeja i Michała.

– Tak. Dla nich też – potwierdził Mortka. Pomyślał, że na to zasługują. Na to wspomnienie jesiennego wieczoru, kiedy siedzą w czwórkę dookoła ogniska i piją piwo.

Być może po raz ostatni.

Przebudziła się z płytkiej drzemki. Z zewnątrz dochodził ją monotony szum warszawskiej ulicy i po raz kolejny zaniepokoiło ją to, że tutaj nikt nie strzela. Nie wiedziała, czy dlatego, że aż tak bardzo przyzwyczała się do wybuchów i odgłosów wojny, czy raczej bała się podświadomie, że i tu ludzie rzucą się sobie do gardeł, powietrze zrobi się ciężkie od dymu płonących budynków, a ulice spłyną krwią.

Długo tam wytrzymała. Aż pewnego dnia, po kolejnym bombardowaniu, w drzwiach od tego prowizorycznego schronu, gdzie ukrywała się z rodziną i sąsiadami, przynajmniej tymi, którzy przeżyli, stanął mężczyzna z kałasznikowem w ręku. Nawet nie wiedziała, z jakiej grupy był. Od pewnego momentu zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Ani jedno słowo, ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego gardła, kiedy skierował lufę w ich stronę, a jego palec dotknął spustu. Skrywał się za chustą, tak że nie widziała jego twarzy. Tylko białka oczu. I po tych oczach widziała, że w tym momencie ten mężczyzna nie jest już człowiekiem. Zmienił się w bezrozumnego upiora, sługę w królestwie śmierci.

Nie nacisnął spustu. Jego klatka piersiowa eksplodowała czerwienią, kiedy trafił go pocisk snajpera schowanego gdzieś wśród ruin setki metrów dalej.

Bali się wyjść ze schronu, przekonani, że jeśli tylko się wychylą, oni również staną się celem strzelca. Który przed chwilą ich uratował, ale nie z troski o ich życie, tylko dlatego, że przede wszystkim pragnął zabijać. Tkwili więc tak bez ruchu przez kilka długich godzin, z martwym żołnierzem leżącym w otwartych drzwiach. Dopiero kiedy zapadł zmrok, jej brat z kolegą odciągnęli gdzieś ciało. A ona tamtej nocy podjęła decyzję, że czas dołączyć do wartkiego strumienia ludzi i uciec z tego przeklętego kraju i zniszczonego miasta.

Jej droga była kręta, dziwna, części jej nie pamiętała, ale w końcu trafiła do Polski, do Warszawy. Miasta, w którym jeszcze nikt nie strzelał na ulicach, a ludzie może i patrzyli na nią wrogo, jednak żaden z nich nie był upiorem.

Usłyszała pukanie do drzwi i od razu wiedziała, kto to. Tylko on stukał tak delikatnie, tak nieśmiało. Jakby miał wyrzuty sumienia, że ją odwiedza. Podniosła się z łóżka. Podeszła do lustra i przejrzała się. Byli tacy, którzy chcieli, żeby witała ich w seksownej bieliźnie. Byli też tacy, którzy żądali, żeby otwierała im naga. Ten był inny. Dla niego ubierała się skromnie, przynajmniej jak na standardy tej pracy. Czarne spodnie, obcisłe, ale bez przesady, bluzka w kwiaty z długimi rękawami. Rozpinała górne guziki, żeby pokazać rowek piersi i koronkę stanika. Czasami mu to odpowiadało, czasami prosił, żeby zapięła. Makijaż delikatny. Ledwo kilka pociągnięć. Podobało mu się jej „naturalne piękno”, jak mówił. Ważne dla niego było, żeby ładnie pachniała.

Poprawiła włosy i otworzyła drzwi. Popatrzył na nią przez chwilę, a potem bez słowa wszedł do mieszkania. Obszedł je, rozglądając się, jakby widział je po raz pierwszy, aż wreszcie usiadł z westchnieniem na stojącym w kącie fotelu. Zaczął się wiercić, jakby coś wbijało mu się w pośladki.

– Dzień dobry – powiedziała. – Chciałbyś coś do picia?

Pokręcił przecząco głową.

– Jak ci minął dzień? Dobrze? Jesteś zadowolony?

Milczenie.

– Zmęczony, prawda? Pozwól, że się tobą zajmę.

Zbliżyła się do niego, ostrożnie stawiając kroki. Klęknęła tuż przed nim. Ale nie po to, żeby zrobić to, czego zazwyczaj na początku żądali wszyscy mężczyźni. Ten nie lubił pośpiechu. Do tej pory zresztą z nim nie spała. Najczęściej chodziło mu tylko o to, żeby spędziła z nim czas. Rozmawiała z nim. Usługiwała mu. Dotykała. I teraz to właśnie robiła. Delikatnie gładziła dłońmi jego uda w czulej i niewinnej pieśczoście.



Chwycił ją za przegub i zacisnął palce tak mocno, że zaboląo. Zbliżył do niej twarz. Poczula jego kwaśny oddech na swoim policzku. Pomyślała, że to dziwne. Zawsze pachniał miętą, jakby mył zęby tuż przed przyjściem.

– Nie chcę tutaj – powiedział po prostu. – Jedźmy do mnie.

Skinęła głową na znak, że się zgadza. To nie byłby przecież pierwszy raz. Odwiedzała go wcześniej. Za każdym razem jechali do niego jego samochodem. Po wszystkim odwoził ją do mieszkania. Jej opiekun nie miał nic przeciwko. Facet płacił za godzinę. Jeśli chciał wydawać pieniądze na to, żeby ją wozić po mieście, to jego sprawa.

Mieszkał w starym, ale ładnym domu pod Warszawą. Wiedziała, że jest żonaty, ma dzieci, chociaż zawsze chował zdjęcia swojej rodziny. Zabawki pozostawione na korytarzu, ślady po kredkach na ścianach i damskie kosmetyki w łazience były jednak wystarczającą wskazówką.

– Dobrze – odparła.

Puścił ją. Powoli podniosła się z podłogi.

– Włóż kurtkę. Na zewnątrz jest zimno – poradził.

Ubrała się i zeszli na dół. Założył czapkę z daszkiem, która zakrywała mu twarz. Przeszli na parking dwa bloki dalej. Wsiedli do jego samochodu, starego terenowego wozu z odrapanymi drzwiami.

Pojechali, ale teraz zachowywał się inaczej niż zazwyczaj. W ogóle się nie odzywał, a przecież zawsze rozmawiali. To były spokojne opowieści o niczym. On zaczynał, ale zwykle to ona mówiła. Opowiadała o swoim dniu, pogodzie, samopoczuciu, o tym, co jadła na śniadanie, co na obiad albo nawet o tym, jak sprzątała w mieszkaniu przed jego przyjściem. On słuchał, lekko się przy tym uśmiechając. Kiedy przerywała, zachęcał, żeby mówiła dalej. Teraz jednak milczał spięty, z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy tak mocno, jakby chciał ją złamać. Emanowało z niego coś dziwnego, nieprzyjemnego, wrogiego. Jakiś mrok. Coś, czego nigdy wcześniej od niego nie czuła.

Zatrzymał się na skrzyżowaniu. Pochylił się do przodu, żeby zobaczyć, czy coś nie jedzie z boku, i w tym momencie jego kurtka się podwinęła,

a ona dojrzała schowany za paskiem na plecach ciemny kształt pistoletu. Przypomniała sobie, jak wiercił się na fotelu w jej mieszkaniu. Już wtedy broń wbijała mu się w ciało.

Serce dziewczyny zaczęło mocniej bić, a w gardle zrobiło się sucho. Po co mu była broń? Dlaczego przyniósł do niej pistolet?

– Możesz się zatrzymać? – zapytała.

– Po co?

– Chciałabym... chciałabym coś kupić. Bo zapomniałam.

– Czego?

– Picia. Chciałabym kupić coś do picia.

– Napijesz się u mnie w domu.

– Coli. Proszę, zatrzymaj się, bo chciałabym się napić coli. Proszę...

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy, a jej głos zaczyna się łamać. Mężczyzna skrzywił się, na jego twarzy jak w kalejdoskopie odmalowywały się kolejne emocje. Gniew, zniecierpliwienie, strach, wahanie.

Zwolnił i wrzucił kierunkowskaz. Terenowy wóz powoli wtoczył się na stację benzynową. Mężczyzna zaparkował go z dala od samego budynku i dystrybutorów z paliwem. Potem, z ociąganiem, wyłączył silnik.

Zrobił to, o co poprosiła, zatrzymał się. Pozwoli jej wysiąść z samochodu i pójść do sklepu. A skoro tak, to nie miał wobec niej złych zamiarów. Inaczej przecieżby jej nie wypuścił. Poczuła wstyd, że źle o nim pomyślała. Zawsze był dla niej taki dobry, najlepszy ze wszystkich tych, którzy ją odwiedzali. Ale przyniósł broń. Działo się coś złego. Dlatego był taki spięty. Obcesowy. Nieprzyjemny.

Odpięła pasy, sięgnęła po klamkę, jednak zawahała się w ostatniej chwili. Skoro nie chciał jej zrobić krzywdy, nie było po co wychodzić z samochodu. Zresztą i tak nie miała pieniędzy.

Mężczyzna siedział bez ruchu z lekko pochyloną głową i wzrokiem wbitym w deskę rozdzielczą.

– Coś się stało? – zapytała, bo poczuła, że chce mu pomóc. – Coś złego? Dlatego nosisz ze sobą broń?

Kiedy wymówiła ostatnie słowo, obrócił się gwałtownie. Wystarczyło tylko, że spojrzała w jego oczy. Były takie same, jak oczy tamtego mężczyzny, daleko od Warszawy, który stanął z kałasznikowem na progu ich schronu. To były oczy upiora. Oczy sługi śmierci.

Były różne rodzaje ciszy, ale Barbara nienawidziła ich wszystkich. Nie od zawsze, od niedawna, bo wcześniej czuła się w niej tylko nieswojo. Kiedy o tym opowiadała mężowi, on tylko uśmiechał się pod ciemnym wąsem i mówił, że to z powodu jej wychowania. I faktycznie, wychowała się w niewielkim mieszkaniu z trójką braci i siostrą. Zawsze był u nich harmider, zawsze coś się działo, zawsze ktoś się kłócił. Jej mama śmiała się, że jeśli jest cicho, to znaczy, że ktoś umarł.

– A teraz żyjesz jak człowiek – ciągnął z dumą jej mąż. – Spokój masz. Ciesz się nim.

Ale nie potrafiła. Dlatego tak bardzo uradowała się, kiedy pojawił się Łukasz. Jego krzyk, bieganie po całym mieszkaniu, zabawy, nawet płacz – to wszystko sprawiało, że była szczęśliwa. Karol na odwrót. Zamykał się w swoim gabinecie, a kiedy z niego wychodził, to z zatyczkami wciśniętymi głęboko w uszy. Pewnego dnia uznał, że Łukasz jest już w tym wieku, kiedy można od niego wymagać. No to wymagał. Ciszy i spokoju, bo tatuś pracuje. Jej syn miał wtedy cztery lata. A potem, dwa mgnienia oka później, był już nastolatkiem i sam się chował w swoim pokoju, sam tworzył wokół siebie kokon ciszy, zakładał słuchawki, słuchał tej swojej muzyki, pisał, rysował, milczał i łamał jej serce.

Barbara pragnęła kolejnego dziecka, ale Karol nie chciał się zgodzić. A jak on się na coś nie zgadzał, to tego nie było.

A potem Łukasz umarł, a ona znenawidziła ciszę.

Najgorsza była ta w jego pokoju. W dawnym pokoju, bo ledwo go pochowali, to Karol przyprowadził do domu jakichś ludzi, których nigdy nie widziała, i kazał im zabrać wszystkie meble. Większość rzeczy popakował w worki i wyrzucił na śmieci, ubrania oddał Caritasowi. Jej pozwolił zostawić sobie tylko kilka pamiątek.

– Tak będzie lepiej – tłumaczył.

– Jak to lepiej? Co lepiej?

– Lepiej dla ciebie – powiedział, przybierając ten nieznośny, dydaktyczny i pełen wyższości ton, a jej od razu łzy napłynęły do oczu, bo przypomniała sobie, jak Łukasz go parodiował, kiedy byli pewni, że Karol ich nie słyszy. Groziła mu wtedy palcem, ale szeroki uśmiech sam pojawiał się na jej twarzy, a zaraz po nim dziewczęcy chichot. – Żebyś nauczyła się żyć dalej. Bo przed tobą przecież jeszcze tyle szczęśliwych dni. Wiem, że jeszcze tego nie widzisz, ale wierz mi, tak będzie. Każda rana się kiedyś zasklepi.

Chciała go wtedy uderzyć. Jak śmiał mówić takie rzeczy, jak takie słowa były w stanie w ogóle przejść mu przez gardło? Ale oczywiście go nie uderzyła. Jej cały bunt sprowadził się do tego, że tym razem nie pokiwała potulnie głową. On zaś, zupełnie nie zauważając gniewu, który w niej buzował, pogłaskał jej dłoń, wziął kubek z gorącą herbatą i wrócił do swojego gabinetu.

Potem powiedział, że mogą coś w tym pokoju zrobić. Może warsztat dla niej. A może powinni komuś wynająć. Na samą myśl o tym chciało jej się wymiotować. Nie wyobrażała sobie, żeby w pokoju jej syna mógł zamieszkać ktoś inny. Zresztą to było niemożliwe. Karol nie zniósłby kogoś obcego w swoim domu. Z trudem przecież znosił Łukasza. Tak więc pokój był pusty i niepodzielnie panowała w nim cisza. Cisza, której nienawdziła, ale w której tkwiła godzinami. Zamykała się bowiem w pomieszczeniu, gdzie kiedyś żył jej syn, siadała na podłodze, wpatrywała się w puste ściany i szukała wzrokiem ostatnich śladów jego istnienia.

Pukanie do drzwi. Skrzywiła się. Nienawdziła ciszy, ale nie lubiła, kiedy ktoś ją naruszał. Nie ruszyła się. Nic nie powiedziała.

Znowu pukanie. Tym razem bardziej natarczywe. Zamknęła powieki. Miała nadzieję, że ktokolwiek stoi po drugiej stronie drzwi, zniecierpliwi się i po prostu sobie pójdzie.

Nie poszedł.

– Czy ktoś może otworzyć?! – krzyknął Karol ze swojego gabinetu.

Zauważyła, że od pewnego czasu przestał używać zatyczek. Zabolało ją to. Mocno. Nie było już Łukasza, powiedział jej tym gestem, nie było już nikogo, kto mógłby mu przeszkadzać, więc zatyczki powędrowały do kosza.

– Otworzy ktoś?! – krzyknął powtórnie.

Ktoś. Niby kto? Byli przecież tylko oni dwoje.

Pukanie, które zmieniło się w walenie.

– Baśka!

Nie wstała. Otoczyła głowę ramionami.

Walenie.

– Cholera jasna! Idę! Idę!

Usłyszała jego kroki na korytarzu. Podeszedł do drzwi. Walczył przez chwilę z zamkami, aż wreszcie udało mu się je otworzyć.

– Tak? Słucham? – powiedział, a w jego głosie usłyszała zaskoczenie.

– Pan Karol Gunther? – Młody głos. Męski. Przytłumiony lekko przez noszoną na twarzy maseczkę.

– Przecież sami wiecie.

– Słucham?

– Przychodźcie mi do domu, znacie mój adres. Kogo innego spodziewaliście się tutaj zastać? Conchitę Wurst?

– Różne rzeczy się zdarzają, proszę pana. Różni panowie już nam drzwi otwierali.

– Co to niby ma znaczyć?

– Nic. Pan Karol Gunther?

Jej mąż westchnął z irytacją.

– Tak, to ja.

– Poprosimy z nami na komendę.

– Po co?

– W sprawie zabójstwa pana Tymoteusza Kota.

– Powiedziałem wam już wszystko, co wiedziałem. Nie mam nic do dodania.

– Rozumiemy, ale prowadzący sprawę chciałby o coś jeszcze dopytać.

– Niby o co?! Przecież wszystko wam już powiedziałem, kurwa!

Chwila milczenia.

– Proszę pana, ale to nie nasza wina. My tylko robimy, co nam kazano. Jest prośba, żeby przyszedł pan na komendę i odpowiedział na kilka pytań. I tyle.

– Ale jakich pytań?

– A o tym to może pan już porozmawiać z prowadzącym, kiedy się spotkacie.

– Nie mam czasu.

– Proszę pana, my rozumiemy, że pan już wiele razy o tym wszystkim opowiadał. Ale naprawdę prowadzący coś tam musi uściślić. I dlatego bardzo pana prosi, żeby pojawił się pan na komendzie – kontynuował młody głos.

– Jeszcze prosi – dorzucił trochę starszy.

– A to niby co znaczy?

– No to, że staramy się po grzeczności. Ale jak trzeba będzie, to i karę możemy nałożyć, a nawet przymusowo doprowadzić. Ale po co robić awanturę?

– Nie mogę iść.

– Dlaczego, proszę pana?

– Żonę mam zawieźć do lekarza.

– Właśnie dzisiaj?

– Dzisiaj. Pan wie, jak teraz się trudno umówić na wizytę w tej pieprzonej pandemii? Nie może nam ten termin przepaść.

– Poradzę sobie – odezwała się, wyłaniając się z pokoju syna.

Przed nią w otwartych drzwiach stało dwóch policjantów. Jeden młodszy, drugi trochę starszy. Na twarzach mieli czarne maseczki, tak że widziała

tylko ich oczy.

– Kochanie?

– Już dzwoniłam do Kasi – powiedziała. – Obiecała, że mnie zawiezie. Możesz iść z panami policjantami.

To było oczywiste kłamstwo. Nie dzwoniła do Kasi, swojej przyjaciółki, nie miała przecież kiedy, ale nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia. Zresztą ta wizyta u lekarza też była wymyślona. Karol rzucił pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy, żeby tylko nie iść z policjantami. A teraz, kiedy na nią patrzył, dostrzegła złość za brudnymi szklami jego okularów i poczuła coś na kształt gorzkiej satysfakcji.

– Panie Karolu...

– Wezmę tylko kurtkę – mruknął niezadowolony i zaczął grzebać w szafie.

– To nie zajmie długo – rzucił jeden z policjantów. Nie wiadomo czy do niego, czy do niej.

– Pojedziemy pańskim samochodem – dodał drugi, ten starszy.

– Co takiego? – zdziwił się Karol, wkładając buty.

– Kolega musi jechać wspomóc inny patrol, zabiera radiowóz. Pojedziemy pana wozem, dobrze?

– Mogę sam pojechać.

– No, ale ja muszę z panem. Jeszcze papiery podpisać na komendzie.

– I przypilnować mnie, czy na pewno dotrę na miejsce, co?

Policjant nie odpowiedział. Karol skończył się ubierać i pokręcił z dezaprobatą głową.

– Kurwa – mruknął. – Co za kraj.

Wyszedł, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Trzasnął tylko z całych sił drzwiami. A potem w mieszkaniu znowu zapanowała cisza.



Justine patrzyła na niego z rozbawieniem, kiedy odbierał przesyłkę od kuriera. Pokwitował odbiór, zamknął drzwi i zaniósł ją do dużego pokoju. Położył paczkę na stole, a potem nachylił się nad nią, żeby przeczytać znajdujący się na boku opakowania tekst.

– *Boys will be boys*, prawda, Jacques?

Podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

– Co takiego?

– Chłopcy muszą mieć swoje zabawki – sprecyzowała i wskazała na pudło.

Poczerwieniał lekko, jakby właśnie złapała go na podjadaniu słodczy przed obiadem. Pomyślała, że to bardzo urocze.

– To nie dla mnie – powiedział.

– Nie dla ciebie? – zdziwiła się. – Wyglądasz tak, jakbyś właśnie zamierzał to rozpakować.

– To dla moich synów.

– Chcesz im dać rozpakowane?

Zmarszczył brwi, szukając w głowie odpowiednich słów. Justine była pod wrażeniem, jak szybko przyswoił sobie język. Kiedy pojawił się w Hadze, ledwo potrafił mówić po angielsku. Szczerze mówiąc, wiele osób zastanawiało się, w jaki sposób w ogóle trafił do Europolu, ale szybko nadgonił, a potem nauczył się jeszcze francuskiego. Oczywiście ciągle mówił z paskudnym akcentem, od którego bolały zęby, wciąż popełniał błędy i momentami potrzebował czasu, żeby ułożyć to, co chciał powiedzieć, w poprawne zdanie, jednak mogła się z nim porozumieć w swoim języku i doceniała ten trud. Nawet jeśli nie zrobił tego tylko ze względu na nią.

– Kupiłem to, żeby móc z nimi grać.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Och! Ojciec roku z ciebie!

Spojrzał na nią z ukosa. Klepnęła go lekko w ramię.

– No już, przestań się boczyć, Jacques, i wytłumacz mi, o co chodzi.

Przewrócił oczami.

– Spotkałem się ze swoimi chłopakami – powiedział. – Jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy rozmawiać. Co nie zdarza się aż tak często. Opowiadali o jakiejś grze, więc powiedziałem im, że w sumie też w to parę razy grałem. Żeby, wiesz, podtrzymać temat. A oni zaproponowali, żebyśmy pograli kiedyś razem, przez sieć. I w sumie...

– Musiałeś sobie kupić konsolę?

– Tak.

– Och, mój dzielny mężczyzno – powiedziała i zarzuciła mu ramiona na szyję. – Będziesz się teraz musiał poświęcić dla dzieci i grać na konsoli. Czy znajdziesz jeszcze czas dla swojej Justine?

Pochylił się nad nią. Powąchał jej włosy, a potem jego usta powędrowały niżej i pocałował ją w szyję. Westchnęła i przycisnęła się do niego mocniej.

– Co to za gra? – zapytała.

– Jakieś tam *Call of Duty* – zamruczał w odpowiedzi.

Odsunęła się od niego.

– *Warzone*? – zapytała.

– *Warzone* – potwierdził zaskoczony.

Puściła go i zdjęła jego dłonie ze swoich bioder.

– W takim razie musisz jak najszybciej podłączyć konsolę i ściągnąć tę grę – oznajmiła.

– Dlaczego?

– Bo powiedziałeś swoim synom, że już w nią grałeś, prawda?

– No tak.

– No to jeśli nie chcesz wyjść na wielkiego kłamczucha, to zanim zaczniesz z nimi biegać po planszy i udawać żołnierza, musisz nabić parę leveli i nauczyć się kilku rzeczy. Ale nie martw się, pomogę ci.

– Ty?

– Uhm... – potwierdziła i położyła dłoń na jego policzku. Pogładziła go lekko i poczuła na skórze igielki twardego zarostu. – Jest kilka rzeczy, których o mnie nie wiesz, Jacques.

– Na przykład?

– Na przykład tego, że Werdańsk to mój drugi dom, kochanie.

Zmarszczył brwi.

– Co to jest Werdańsk?

– Miejsce, które pokochasz, Jacques. I które znienawidzisz – dodała i poklepała pudełko z konsolą. – Bierzmy się do roboty. Przed nami długa noc, kochanie.

## 4

– Kiedy wrócisz?

– Nie wiem.

– Czemu nie wiesz?

– Bo nie wiem. To nie jest normalna robota od dziewiątej do siedemnastej. Takie sytuacje mogą się zdarzyć. Wiedziałaś o tym, kiedy braliśmy ślub, bo ci mówiłem.

– Mówiłeś mi też, że będziesz przy mnie zawsze wtedy, kiedy będę cię potrzebować.

– To prawda.

– Teraz cię potrzebuję. Marysia cię potrzebuje.

– Bo?

– Co bo?

– Dlaczego mnie potrzebujesz. Dlaczego akurat teraz?

– Bo źle się czuję.

– Ty czy Marysia?

– Ja.

– Co się dzieje?

– Mojego męża, nie ma, kurwa, w domu! To się dzieje! A ja jestem sama, z małym dzieckiem i...

Przerwała i w słuchawce słyszał tylko, jak łapie oddech za oddechem.

– Mam tu jeszcze obowiązki – odezwał się cicho. – Wrócę tak szybko...

– Wal się.

Rozłączyła się, zanim zdążył dokończyć. Odsunął komórkę od ucha i przez długi czas wpatrywał się w ekran, na którym, pod ikonkami aplikacji, kryło się zdjęcie żony z córką.

– Skończyłeś się już modlić do tego telefonu? – odezwał się ostry głos z boku.

Odwrócił się na krześle w stronę drzwi. W progu stała jego szefowa. Chuda jak zawsze. W białej koszuli, lekko rozpiętej, tak że mógł dostrzec srebrny krzyżyk zwisający z szyi, i w gustownym, brązowym wełnianym kostiumie, którego krój tak bardzo, jak to tylko możliwe, naśladował męski garnitur. Podinspektor Anna Suchocka. Sucha, jak nazywali ją podwładni. Ale tylko wtedy, kiedy byli pewni, że ich nie słyszy. Naczelnik Wydziału do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw.

– Ja tylko...

– Skończyłeś?

– Tak.

– W takim razie idziemy.

Wsadził komórkę do kieszeni. Wziął z blatu biurka przygotowaną wcześniej teczkę z materiałami i poszedł za przełożoną. Opuścili skrzydło, w którym znajdował się ich wydział, i szybko przeszli do części z pokojami przesłuchań. Podinspektor Suchecka wskazała mu na drzwi do jednego z nich.

– Klient jest tam.

– Okej.

– Nie spierdol tego, Maciek.

– Nie spierdolę.

– Dobry chłopak.

Weszła do pomieszczenia obok, tego z lustrem weneckim. Zdołał jeszcze zajrzeć do środka. Dostrzegł stojącego niemal pod ścianą mężczyznę, którego nigdy wcześniej tu nie widział. Jego twarz kryła się w cieniu i Maciek nie miał szans dobrze mu się przyjrzeć.

– Kurwa... – mruknął do siebie. Wziął głęboki oddech, chwycił za klamkę, a potem stanowczym krokiem wszedł do pokoju przesłuchań.

Było to niewielkie pomieszczenie, całe pomalowane na nieprzyjemny szary kolor. Mieściły się tu tylko ustawiona w rogu kamera, stół i dwa

krzesła. Na jednym z nich siedział przesłuchiwany. Ponadpięćdziesięcioletni mężczyzna z lekką nadwagą, czarnym wąsem, okularami na nosie i z rzadkimi włosami. Spod grubego bordowego swetra wystawał kołnierz koszuli w kratę.

Położył teczkę na stole. Odsunął krzesło, tak by jego nóżki głośno zaszurały po podłodze, i zajął miejsce naprzeciwko mężczyzny. Otworzył teczkę, wyjął z niej jeden, następnie drugi dokument, po czym wbił w nie wzrok, jakby odnalazł w nich coś ciekawego, coś, co wcześniej przegapił. Zmarszczył brwi i zaczął czytać tekst, który tak naprawdę znał już niemal na pamięć.

Po chwili mężczyzna poruszył się na krześle. Potem chrząknął. Policjant podniósł palec, dając przesłuchiwanemu do zrozumienia, żeby jeszcze poczekał. Odliczył w myślach do trzydziestu i dopiero wtedy odłożył kartkę z powrotem do teczki z dokumentami. Spojrzał na siedzącego naprzeciwko niego mężczyznę i uśmiechnął się lekko.

– Po co mnie tutaj wezwaliście? – zapytał tamten tonem, który wyrażał równocześnie podenerwowanie i rezygnację.

– Pan Karol Gunther?

Mężczyzna zacisnął szczęki, poczerwieniał na twarzy i mruknął coś cicho pod nosem.

– Mógłby pan powtórzyć? – poprosił policjant. – Do protokołu.

– Wydaje mi się, że powinniście już wiedzieć, kim jestem, nie?

– Och! – Funkcjonariusz uśmiechnął się szerzej, a potem rozłożył ręce, jakby chciał wyjaśnić nieporozumienie. – Doskonale wiem, jak się pan nazywa. Po prostu wydało mi się to śmieszne.

– Co takiego wydało się panu śmieszne?

– Że ktoś z pana poglądami tak się właśnie nazywa. Gunther... To nie jest polskie nazwisko, prawda?

Mężczyzna zadrżał lekko.

– Moi przodkowie sprowadzili się do Polski ponad dwieście lat temu. Położyli wielkie zasługi dla polskiej, polskiej powtarzam, edukacji

w Kaliszu. I to w trakcie rozbiorów. Zakładali i pomagali prowadzić kółka samokształceniowe, działali na wsi i w miastach. Walczyli podczas pierwszej wojny światowej, tłukli się z bolszewikami i ginęli podczas drugiej wojny. Naszą ciężką pracą i krwią zapracowaliśmy na to, żeby nazywać się Polakami. I nazwisko nie ma nic do tego. A pańscy przodkowie? Co takiego robili?

– Nic. Pewnie przerzucali gówno – odpowiedział policjant. – No to ustaliliśmy, że nazywa się pan Karol Gunther, jest pan zatrudniony na wyższej uczelni, ale z tego, co widzę, nie na żadnej dobrej, prawda?

– To prywatna uczelnia, ale...

– Żadna dobra. Tyle mi wystarczy. Filozof?

– I historyk.

Maciek się skrzywił.

– Miałem kiedyś takiego kumpla. Opowiadał wszystkim, że świetnie zna się na piłce nożnej i na siatkówce. Na każdy z tych tematów gówno wiedział. No ale może w świecie akademickim jest trochę inaczej.

– Sprowadził mnie pan tu, żeby mnie obrazić?

Funkcjonariusz zrobił minę tak zdziwioną, że kiedy zobaczył swoje odbicie w lustrze weneckim, aż sam sobie uwierzył.

– Nie! Oczywiście, że nie! Zaprosiliśmy pana tutaj, żeby porozmawiać o śmierci Tymoteusza Kota.

– Po raz kolejny powtórzę, bo tłumaczyłem to już pańskim kolegom, nie mam w tej sprawie nic więcej do dodania. Powiedziałem wam wszystko, co wiedziałem.

– Zgadza się, ale musi pan zrozumieć, że pewne rzeczy chcieliśmy uściślić. Wyszły przecież na jaw nowe dowody.

Karol Gunther pochylił się lekko do przodu.

– Nowe dowody? Jakie?

W tym momencie w kieszeni policjanta zadzwonił telefon. Wyjął komórkę i nie patrząc nawet, kto dzwoni, odebrał.

– Tak, słucham. O co chodzi?

Nikt nie odpowiedział. Po drugiej stronie usłyszał tylko odgłos przerywanego połączenia, a później ciszę.

– Tak – kontynuował. – Rozumiem, ale jestem w środku przesłuchania i... Rozumiem... Rozumiem... To naprawdę nie może poczekać? Tak. Tak, jasne.

Skończył udawaną rozmowę i schował telefon do kieszeni. Pokręcił głową z symulowanym niezadowoleniem, a później pospiesznie spakował dokumenty do teczki. Zamknął ją, włożył pod pachę i wstał.

– Przepraszam, ale mam pilną sprawę – rzucił tylko przez ramię, kierując się w stronę wyjścia.

– Czyli mogę iść do domu?

– Nie. Proszę na mnie poczekać. To zajmie tylko chwilę.

Opuścił pokój przesłuchań i przeszedł do pomieszczenia obok. Sucha właśnie chowała telefon do kieszeni. Towarzyszący jej mężczyzna przypatrywał się przez lustro przesłuchiwanemu. Miał ponad czterdzieści lat. Policjant próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek go spotkał, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

– Co teraz? – zapytał.

– Teraz poczekajcie. Dajcie mu dwadzieścia minut, może nawet pół godziny. Niech sobie pomyśli o tych nowych dowodach – odezwał się mężczyzna.

– Kim jest ten facet? – spytał policjant.

Podinspektor Suchecka uniosła wysoko brwi.

– Facet? Jaki facet? – Teatralnie rozejrzała się dookoła. – Przecież tutaj nikogo nie ma, Maciek.

– Ale...

– Nikogo tutaj nie ma. Rozumiesz?

Pokiwał głową i zerknął na zegarek.



– Pół godziny? W takim razie pójdę do siebie – stwierdził. – Jest jeszcze trochę papierkowej roboty w związku z tym gwałtem.

– Zgwałceniem – odezwał się mężczyzna.

– Co takiego?

– Nie ma takiego przestępstwa, jak gwałt. Jest zgwałcenie. Artykuł bodajże – zawiesił na moment głos i zmarszczył brwi, przypominając sobie odpowiedni numer – sto dziewięćdziesiąt sześć Kodeksu karnego – dokończył zadowolony.

Policjant posłał Suchej kolejne pytające spojrzenie.

– Idź – rzuciła.

– To co z tym zgwałceniem? – dopytywał mężczyzna.

Policjantka zgrzytnęła zębami. Przez chwilę się wahała, a potem znacząco spojrzała na Macieja.

– Co jest? – zdziwił się. Coraz mniej rozumiał z tej sytuacji, która już od początku mu śmierdziała.

– Co z tym zgwałceniem? – powtórzyła pytanie mężczyzny, chociaż doskonale знаła tę sprawę.

– Dzisiaj w godzinach porannych doszło do gwałtu w Lesie Bielańskim. Kobieta wyszła na spacer z dzieckiem. W pewnym momencie minął ją biegacz. Nie zdążyła się przyjrzeć jego twarzy, a kiedy zawrócił, miał już założoną maseczkę. Uderzył ją kilka razy, zaciągnął w krzaki i tam zgwałcił. Potem uciekł. Kobieta jest poważnie poturbowana. Wylądowała w szpitalu.

– Dziecko? – zapytał mężczyzna.

Maciej zerknął na przełożoną, a ona dała mu znak, żeby mówił dalej. Kontynuował więc.

– Spało przez cały czas w wózku. Dzieciak ma niecały rok, więc i tak nic by nam nie powiedział.

– Kobieta nie widziała jego twarzy, ale strój owszem. Zapamiętała go?

– Tak – odpowiedział niechętnie policjant. – Czarno-czerwona kurtka, czarne spodenki, chusta na szyi i długie białe skarpety do biegania. Te skarpety szczególnie rzucały się jej w oczy. Niestety o tej porze w lesie było niewiele osób. Nikt kogoś takiego nie widział. Monitoring też go nie zarejestrował. Facet pewnie wybiegł jakoś bokiem, z dala od kamer. Ale szukamy.

– Sprawdziliście Instagram? – zapytał mężczyzna.

– Co takiego?

– Instagram. Hasztag bieganie, hasztag bieganiewarszawa, hasztag lasbielanski, hasztag runningwarsaw. Coś takiego. Jeśli ma zamknięty profil albo wrzucił to w relacje, nic nie znajdziecie, ale jeśli ma otwarty, ta kobieta powinna go rozpoznać po stroju.

Policjant prychnął pod nosem.

– Ten gościu nie może być aż takim idiotą.

– Nie dowiesz się, dopóki nie sprawdzisz.

Maciej zerknął znacząco na przełożoną. Nie wiedział, kim jest ten facet, ale irytował go, pakując mu się z butami w robotę. O Suchej krążyły różne historie. Jako naczelniczka bywała wredna i cholernie wymagająca, ale jedno należało jej przyznać. Dbała o swoich ludzi i zawsze stawiała za nimi. Pomyślał, że teraz mogłaby pokazać temu nieznajomemu, gdzie jest jego miejsce. Czekало go jednak zaskoczenie.

– Zajmij się tym – powiedziała.

– Co takiego?

– Nie udawaj głuchego, Maciek. Zajmij się tym! Wyciągnij komórkę, wpisz te jebane hasztagi i zobacz, czy wyskoczy ci nasz klient.

– Ale to pewnie będą dziesiątki, jeśli nie setki zdjęć! Z których i tak nic nie wyniknie. A ja mam jeszcze prowadzić to przesłuchanie!

– To zleć komuś. I to już, bo nasz klient – wskazała na siedzącego po drugiej stronie Gunthera – nie będzie na ciebie czekać całą noc.

Chciał zaprotestować, ale zanim zdążył zebrać słowa, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Czarek Wodecki, młody policjant, świeżo przyjęty

do wydziału. Tak bardzo przejęty swoją nową rolą, że brał wszystkie możliwe nadgodziny i wszędzie chodził z bronią w kaburze. Trochę się z niego nabijali z tego powodu. Dyszał lekko.

– Tutaj pani jest! Mamy problem.

– Jaki problem?

– Doszło do incydentu na jednej ze stacji benzynowych w okolicy Radości, nie? Chyba padły strzały.

– Chyba?

– To przy ulicy było. Głośno było. Nasi nie są pewni. W każdym razie byli na stacji, jedli hot dogi i wtedy podbiegła do nich przerażona dziewczyna. Prawie naga i z rozbitym czołem. Opatrzyli ją i chcieli dowiedzieć się, co się stało, ale ona ani be, ani me po polsku. No to przywieźli ją tutaj, bo myśleli, że może u nas z nią ktoś pogada.

– I pogadał?

– No nie, bo ona nie umie też po angielsku. To jakaś Francuzka jest i tylko po ichszemu gada. No a u nas nikt po francusku nie potrafi.

– I co? Myślałeś, że ja niby po żabojadzku nawijam?

Czarek cały poczerwieniał.

– No nie, ale może pani inspektor zadzwoni po kogoś, żeby sprowadzić tłumacza...

– Ja znam francuski – odezwał się stojący z tyłu mężczyzna.

– Naprawdę? – zdziwiła się naczelniczka.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Porozmawiam z nią, jeśli chcesz. Dowiem się szybko, co się tam stało.

– Mógłbyś?

Mężczyzna po raz ostatni zerknął na Gunthera i skinął głową.

– Ciągle mamy przecież dwadzieścia minut, prawda?

– Pierdoleni, kurwa, jebani ich w dupę Polacy! – ryczał po francusku Maurice, machając przy tym rękami na wszystkie strony. Był wysoki, bardzo szczupły i zupełnie łysy. Wyglądał jak marionetka, którą bawi się jakiś szalony lalkarz.

Mortka właśnie szedł do swojego biura. Francuz go zauważył. Zamilkł gwałtownie, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Znali się od kilku lat. Początkowo pracowali w jednym zespole, potem jednak okazało się, że Polak bardziej przyda się gdzie indziej, ale nawet wtedy mieli okazję parę razy współpracować. Maurice zajmował się przestępczością narkotykową, a on specjalizował się w MOCG.

Maurice znieruchomiał. Mortka dostrzegł na jego twarzy wszystkie procesy myślowe, które właśnie zachodziły w jego głowie. Francuz najpierw zastanawiał się, czy tamten go zrozumiał. Potem przypomniał sobie, że Polak całkiem przyzwoicie mówi po francusku. Dlatego poblądł i zagryzł wargę, zrobiło mu się głupio. Najwyraźniej jednak po chwili znów pomyślał o tym, co spowodowało jego wybuch, bo poczerwieniał.

– Pierdoleni Polacy – powtórzył. Nie machał już rękami, mówił ciszej, choć na tyle głośno, by Mortka go usłyszał.

Komisarz minął Maurice'a i poszedł do siebie. Zajął miejsce przy biurku. Upił łyk zimnej już gorzkiej kawy, po czym wrócił do czytania raportów na temat grupy przestępczej, która dawała się we znaki Szwedom. Jej członkowie jeździli po całym kraju, najczęściej odwiedzali niewielkie miejscowości. Wynajmowali dom lub włamywali się do takiego opuszczonego, gdzieś na uboczu. Mieszkali tam trochę, żeby zbadać teren, zebrać informacje, a potem brali się do roboty. Napady na sklepy i stacje benzynowe, kradzież pieniędzy z bankomatów, włamania, czasami inna działalność przestępcza. A później opuszczali teren, zanim miejscowa

policja zdążyła się zorientować, co się właściwie dzieje. Przenosili się do innego miasteczka, kilkaset kilometrów dalej, i zabawa rozpoczynała się od nowa. W skład grupy wchodziłi głównie ludzie z Europy Środkowej i Wschodniej, w tym Polacy. Dlatego do zespołu, który monitorował takie organizacje, chętnie wzięto Mortkę, także ze względu na znajomość języka. Obecnie tego rodzaju grupy miały utrudnione działanie – z powodu pandemii ludzie spędzali więcej czasu w domach. Mortka jednak obawiał się, że na długo to ich nie powstrzyma. Przestaną zwracać uwagę na to, czy ktoś jest w budynku, czy nie, zaczną postępować bardziej brutalnie. I nieuchronnie pojawią się trupy. Ale może jeszcze nie w tym roku.

Sięgnął po telefon. Znalazł numer Pera, swojego partnera po szwedzkiej stronie, którego nigdy osobiście nie spotkał, ale wymienili setki mejli i przegadali dziesiątki godzin na wideokonferencjach. W Europolu korzystali z nich już wtedy, kiedy nikt nawet nie słyszał o covidzie.

– Szezdź, Kuba – odezwał się Per, próbując mówić po polsku.

– Hej, Per.

– Dzwonisz z dobrymi czy złymi wiadomościami? – zapytał Szwed, przechodząc na angielski.

– Raczej z dobrymi. Sprawdziłem sobie aktywność naszej grupy z ostatnich miesięcy.

– I?

– Od pewnego czasu wyraźnie zmierzają na południe. Wydaje mi się, że wracają do domu.

– Teraz? Dlaczego?

– Pierwszy listopada. Święto zmarłych, Per. Najbardziej rodzinne ze wszystkich świąt w Polsce.

– Czyli, że niby chcą znicze zapalić?

– A potem jest jedenasty listopada, nasze narodowe święto. A ponad miesiąc później to już Boże Narodzenie. Podejrzewam, że zamierzają zostać w Polsce co najmniej do przyszłego roku.

– Kuba, chyba jesteś o nich zbyt dobrego zdania. To są przecież przestępcy!

– Tak, Per, to przestępcy, ale przede wszystkim emigranci zarobkowi. Wyjechali pracować do Szwecji, w Polsce zostawili swoich bliskich i rodziny. Robili u was przez całe wakacje. Planują pewnie kolejne skoki w okresie zimowym, kiedy pojedziecie na narty do Austrii, Francji czy gdzie wy tam jeździecie. A w Polsce siedzą ich żony, partnerki i suszą im głowy, kiedy wreszcie wrócą i spędzą trochę czasu z rodziną. Listopad i grudzień to będą ich wakacje, Per. Jeśli mam rację, do stycznia macie ich z głowy.

Per przez prawie minutę milczał. Mortka jednak zdążył go już poznać i wiedział, że Szwed przetrawia teraz hipoteczę polskiego kolegi. I nie odezwie się, dopóki nie przemyśli dokładnie wszystkiego, co właśnie usłyszał.

– No dobra – powiedział w końcu. – Co w takim razie powinniśmy według ciebie zrobić?

– Ja bym wziął promy pod lupę. Pewnie będą wracać do Polski z fantami. Wtedy ich złapiemy.

– To będzie wymagać współpracy z Polakami.

– Mogę zorganizować spotkanie.

Per znowu milczał. Myślał.

– Dobra. Tak zrób. Sześć, Kuba.

– *Hörs snart, Per.*

Rozłączył się. Przez chwilę rozważał, czy napisać teraz mejla do oddziału straży granicznej w Świnoujściu i Gdańsku, ale uznał, że może zrobić to po lunchu. Szczególnie że umówił się z Justine.

Zastał ją już na stołówce. Siedziała przy jednym stoliku z Maurice'em. Mortka wziął kotleta mielonego, który smakował prawie jak ten w Polsce, ziemniaczane purée z dodatkiem jakichś ziół oraz gotowane warzywa i poszedł do Justine. Miał wrażenie, że gdy Maurice go zauważył, zaczął szybciej jeść. Jego talerz był jednak do połowy pełen, więc nie miał szans,

żeby dokończyć posiłek, zanim Polak do nich dojdzie. Zrezygnowany, odłożył widelec.

– *Ça va, Justine.*

– *Ça va, Jacques!*

Wstała i pocałowała go w oba policzki. W pracy nie afiszowali się z tym, że ze sobą sypiają, ale wszyscy wiedzieli albo przynajmniej się domyślali. Usiadł naprzeciwko niej, upił łyk napoju. Potem odkroił kawałek kotleta i powoli przeżuł, wędrując wzrokiem po sali. W końcu zawiesił go na Francuzie.

– Powiesz mi wreszcie, o co chodziło? – zapytał. – Czy będziemy tak siedzieć i udawać, że nic się nie stało?

Maurice wyduł wargi.

– O co chodzi? – zainteresowała się Justine.

– Spotkałem go, jak chodził po korytarzu, krzycząc różne rzeczy o Polakach.

Pokiwała ze zrozumieniem głową. Najwyraźniej ona wiedziała, co spowodowało zachowanie kolegi.

– I tak się pewnie dowie – rzuciła Maurice'owi.

Ten sięgnął po kieliszek z wodą, wypił trochę, po czym wytarł usta leżącą nieopodal serwetką.

– Dostaliśmy cynk – powiedział. – Duży transport narkotyków. Sama chemia, warta pewnie miliony euro. Idzie z Ukrainy.

– Dokąd?

– I to było właśnie ciekawe – przyznał Francuz. – Ktoś, jakiś duży gracz, zamówił, opłacił i zorganizował potężny przemyt narkotyków, a my nie mieliśmy pojęcia, kto to jest. Zostało mało czasu, organizujemy spotkania, uruchamiamy wszystkie nasze kontakty na Węgrzech, Słowacji, w Polsce, potem Niemczech, Austrii i tak dalej, bo przecież nie wiemy, gdzie ten transport pójdzie.

– Rozumiem.

– Wszystko jest obgadane. Bierzemy go na celownik. Każdy po swojej stronie zakłada niejawną obserwację. Kiedy tylko ciężarówka przekracza granicę, transport przejmuje kolejna służba. Spora międzynarodowa operacja i mnóstwo, mnóstwo wysiłku po naszej stronie, żeby to ustawić i skoordynować. Wszystko po to, żeby dowiedzieć się, gdzie te narkotyki mają trafić i jak dokładnie wygląda kanał przerzutowy. Gruba sprawa. I co robią Polacy?

– Zgubili ten transport – domyślił się Mortka.

– Gorzej. Zatrzymali ich. – Maurice aż zatrząsł się ze złości. – *Merde...* Skąd się u was bierze ta niekompetencja?

Komisarz przez kilka sekund grzebał widelcem w purée, jak przedszkolak próbujący ukryć mięsko pod kartoflami.

– To nie niekompetencja – powiedział wreszcie.

– Proszę cię... – Zirytowany Francuz machnął ręką.

– Komendanci wojewódzcy są rozliczani z ilości przejętych narkotyków – zaczął tłumaczyć Mortka. – Jeśli przejęli ich za mało, dostają żółtą kartkę. A jeśli dostaną drugą żółtą kartkę, to wylatują. Ten, który wydał rozkaz, żeby przejąć transport, pewnie miał już jedną na swoim koncie.

Maurice zamrużył kilka razy z niedowierzaniem.

– To niemożliwe – stwierdził. – Chcesz powiedzieć, że zawaliliście ważną międzynarodową operację dla wyników wykrywalności?

Mortka pokiwał głową.

– To idiotyzm!

– Ale tak to u nas działa. Facet miał nóż na gardle, a wy daliście mu jak na tacy ciężarówkę wypełnioną narkotykami. Zobaczysz, pewnie dostanie jeszcze jakieś odznaczenie za wyróżniającą się służbę. A że przy okazji zawalił waszą operację? Haga jest daleko, Warszawa blisko.

Francuz poderwał się i zaraz opadł bezwładnie na krzesło, jak balon, z którego nagle uleciało powietrze.

– Polska policja to jakaś dysfunkcyjna organizacja, zarządzana przez same barany! – wykrzyknął. – Tak się przecież nie da pracować!



Mortka nabrał trochę ziemniaków na widelec.

– Właśnie dlatego, Maurice, już od lat siedzę w Europolu. I wierz mi, będę tu tak długo, jak to tylko możliwe.

## 6

– Naprawdę umiesz mówić po francusku? – zapytała Sucha, kiedy szli ramię w ramię, prowadzeni przez młodego policjanta do pokoju, gdzie czekała na nich napadnięta turystka.

– Tak – potwierdził.

– Kazali ci się tam nauczyć?

Pokręcił przecząco głową.

– Większość spotkań mamy po angielsku. Jak trzeba, to załatwiamy tłumacza. Ale na początku trafiłem do zespołu, gdzie oprócz mnie było dwóch Francuzów, jeden Belg, oczywiście francuskojęzyczny, i do tego Hiszpan, ale z jakichś nadgranicznych rejonów. Dlatego też płynnie posługiwał się francuskim. Jeśli chciałem tam jakoś funkcjonować, musiałem się nauczyć chociaż podstawowych zwrotów. A potem to już poszło.

– Nauczyłeś się jeszcze jakiegoś języka?

– Trochę hiszpańskiego. Parę słów po szwedzku.

– A holenderski?

Uśmiechnął się.

– Nie było potrzeby. W Hadze wszyscy mówią po angielsku.

Doszli na miejsce. Mortka zerknął przez uchylone drzwi. W środku, na krześle siedziała dziewczyna o potarganych kruczoczarnych włosach i oliwkowej cerze. Jej fryzura była w nieładzie, czoło straszło nieudolnie założonym opatrunkiem, a na policzkach rozmyty makijaż mieszał się ze śladami krwi.

– Dajcie mi z nią pogadać samemu.

– To wbrew procedurom – zauważył Wodecki.

– A zrozumiesz coś z tego, o czym będziemy rozmawiać? – zapytał go Mortka. – Znasz coś poza *merci* i *bon voyage*?

– No nie.

– To po co masz tam wchodzić? Sucha... – Młody policjant zrobił wielkie oczy, kiedy tajemniczy mężczyzna zwrócił się do naczelniczki nielubianym przez nią przezwiskiem. – Twoja decyzja. Mogę tam wejść, ustalić szybko, co się stało, i wrócić do ciebie z informacjami. Tak, łamiemy procedury i nie możemy zostawić śladu w papierach, ale przynajmniej będziesz wiedziała, czy to jakieś nieporozumienie laski z Erasmusa czy coś poważnego.

– Po prostu to załatw, okej?

Mortka skinął głową i wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Czarek Wodecki przestąpił z nogi na nogę. Nigdy nie był jeszcze w takiej sytuacji, sam na sam z naczelniczką wydziału. Nie wiedział, jak powinien się zachować. Zacząć luźną pogawędkę? Zdawać raport ze spraw, którymi się zajmuje? Do tego widział, że dzieje się coś dziwnego. Pojawia się jakiś obcy facet, nikt go nie zna i nikt tu go nigdy nie widział, a ten zachowuje się tak, jakby komenda stołeczna była jego drugim domem, a naczelniczka dawno niewidzianą ciotką. Nie, ciotką nie. Do ciotki ma się przecież jakiś szacunek. On się do niej zwracał raczej jak do kuzynki. Już dorosłej, ale takiej, którą się nie raz i nie dwa widziało, jak mała sikała pod krzakami.

Wodecki poczuł ulgę, kiedy obok nich pojawił się Maciej Zych. Maciek pracował w wydziale dłużej od niego. Lepiej znał szefową i wiedział, jak się zachować w tej sytuacji. Wodecki mógł więc zrobić dwa kroki w tył i udawać, że go tu nie ma. Przynajmniej tak długo, aż ten mężczyzna nie skończy rozmowy z tajemniczą Francuzką.

– Co ty tu robisz? – zapytała podinspektor. – Miałeś się zająć Instagramem.

– Zająłem się – potwierdził. – Znalazłem frajera, który to ogarnie, ale jak wspominałem, to setki zdjęć. Sam tego nie będę robił. A teraz chcę się dowiedzieć, o co chodzi z tą dziewczyną. Czy faktycznie strzelano do naszych czy nie?

– Nie strzelano do naszych – sprostował Wodecki, zanim zdążył ugryźć się w język. Jeśli faktycznie chciał być niewidoczny, nie powinien się przecież odzywać. – Po prostu chyba słyszeli strzał. Na stacji. Potem przybiegła do nich ta dziewczyna. A samochód, którym chyba przyjechała, odjechał.

– Strasznie dużo „chyba” w tej relacji – powiedziała surowo naczelniczka.

– To się szybko wydarzyło. Nasi nie do końca się zorientowali, co się właściwie stało.

– Bo byli zbyt zajęci wpięprzaniem hot dogów z sosem tysiąca wysp, co? – zadrwiła.

Wodecki tylko wzruszył ramionami, by podkreślić, że nawet jeśli, to przecież nie jest jego wina.

Stali tak potem w milczeniu przez kilka minut. Zniecierpliwiony Wodecki podszedł do drzwi i przyłożył ucho. Zerknął na naczelniczkę, żeby sprawdzić, jak ona na to zareaguje. Nawet się nie poruszyła, więc przymknął powieki i skupił się na słuchaniu. Wychwytywał dwa głosy, męski i żeński, ale żadnego znajomego słowa. Ani *merci*, ani *bon jour*. Potem usłyszał odgłos odsuwanego krzesła, a następnie kroki. Oskoczył od drzwi, które zaraz się otworzyły, i mężczyzna wyszedł na korytarz. Twarz miał skupioną, wyglądał na zdziwionego i niezadowolonego zarazem.

– Nie potrzebujesz tłumacza z francuskiego, tylko z arabskiego – powiedział od razu. – Ta dziewczyna to Syryjka. Po francusku mówi fatalnie. Udało mi się mniej więcej wyciągnąć, co tam się wydarzyło, ale to pewnie połowa z tego, co ma do powiedzenia.

– Skąd Syryjka w Warszawie? – zdziwiła się szefowa.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, uciekła z kraju. Najpierw była w Turcji, gdzie znalazła jakiegoś przemytnika, który obiecał jej transport do Francji. Tam chyba ma jakąś daleką rodzinę. Sama się trochę poduczyła języka, zapłaciła przemytnikowi, ale to oczywiście ładna, samotna dziewczyna, więc zamiast nad Sekwanę trafiła do nas. Do Paryża cholernej Północy.

– Jako prostytutka? – domyśliła się Sucha.

Mortka przytaknął.

– Jakiś facet miał ją zabrać do siebie do domu. Jeździła już z nim, więc się zgodziła. Ale wydawało jej się, że coś jest nie tak. Poprosiła, żeby zatrzymał się na stacji benzynowej. Wtedy zobaczyła broń. Zaczęli się szamotać. On ją uderzył kolbą w głowę, ona uciekła, on za nią strzelił, ale nie trafił. Zobaczyła radiowóz policyjny i pobiegła do naszych. I to cała historia. Facet uciekł.

Policjantka odwróciła się tak, żeby nie widzieli jej twarzy. Przeszła się korytarzem, a świeżo wymyte podłogi piszczą pod podszewkami jej butów. Zatrzymała się. Nawet z tej odległości, w półmroku, pod wełnianą marynarką, dało się dostrzec, jak napinają się mięśnie jej pleców. Wróciła do nich.

– Masz opis tego faceta? – zapytała Mortkę.

– Bardzo niejasny.

– Świetnie – mruknęła Sucha. – I tak przekażesz go Czarkowi, a Czarek puści go dalej. Czarek, wiemy, jakim samochodem poruszał się facet?

– Nasi to sprawdzają na monitoringu na stacji.

– To niech przestaną sprawdzać i nam powiedzą, co to było! Adres tego faceta?

– Dziewczyna go nie zna – odpowiedział Mortka.

– Oczywiście, że nie. Byłoby za pięknie. Maciek...

– Tak?

– Jak tylko dziewczyna da nam opis tego faceta, weźmiesz ją, weźmiesz naszego tłumacza – wskazała na Mortkę – i pojedziecie na tę stację benzynową. Skoro była u niego w domu, to znaczy, że zna drogę. Ustalcie adres i przekażecie nam.

– Czekać, Sucha, czekać! – krzyknął Mortka. – Miałem z nią tylko pogadać. Nie będę nigdzie jeździł.

– A ja miałem tylko przesłuchać tego faceta. Nic więcej – zaprotestował Maciek Zych.

Naczelniczka zmarszczyła brwi. Wyciągnęła palec i skierowała go najpierw na Zycha.

– Ty – powiedziała – idź do domu.

– Słucham? – jęknął zaskoczony.

– Idź do domu. Przecież słyszałam, że ci żona głowę suszy. Możesz iść. Tylko ten papier, który dzisiaj mi przyniosłeś i położyłeś na biurku... Wiesz, co z nim zrobię? Podetrę sobie nim dupę. Bez entuzjazmu, bo nie jest wcale mięciutki ani przyjemny, ale tyle właśnie załatwisz. Zamiast mojego podpisu będziesz mieć na nim moje gówno.

Odwróciła się potem do Mortki.

– A ty – powiedziała spokojniejszym i łagodniejszym tonem – pomyśl przez chwilę. Co się teraz stanie?

Komisarz mierzył ją wzrokiem przez kilka sekund, jakby próbował odnaleźć wypisaną na jej twarzy odpowiedź na zadane pytanie. A potem jęknął przeciągle i zaklął cicho.

– O co chodzi? – odważył się zapytać Wodecki.

– Facet strzelał do dziewczyny i widział, jak pobiegła do radiowozu – zaczął tłumaczyć Mortka. – Wie, że go szukamy. I wie, że prędzej czy później znajdziemy. W tej chwili ma trzy wyjścia. Najlepsze dla nas: sam się zgłosi na komisariat i grzecznie da się zaprowadzić do aresztu. Drugie, też dobre, strzeli sobie w łeb. I jest jeszcze trzecie wyjście...

Przerwał i ze złością uderzył zaciśniętą pięścią w ścianę.

– To ci zajmie góra godzinę – powiedziała Sucha.

– Gunther na nas czeka.

– Wiem. I ja go przejmę.

– Ty? Będiesz wiedziała, co zrobić?

Zaśmiała się krótko, nieprzyjemnie. Uśmiechnęła się przy tym, a raczej wyszczerzyła zęby jak pies, który szykuje się do ugryzienia wyciągniętej w jego stronę ręki.

– Nauczyłam się kilku sztuczek – powiedziała. – Poza tym znam plan.

– Wolałbym przy tym być.

– Tylko ty znasz francuski i tylko ty się dogadasz z tą dziewczyną. A sam wiesz, że nie mam teraz czasu szukać dla niej tłumacza. To może być kwestia minut. Musimy się dowiedzieć, kim jest ten facet!

– Dlaczego? – włączył się do rozmowy Wodecki. – Jakie jest to trzecie wyjście? Co jeszcze ten facet może zrobić?

Mortka spojrział ciężko na młodego policjanta.

– Domyśl się – odpowiedział.

Wysiadł z samochodu, przeszedł przez podjazd i otworzył bramę od garażu. Siłował się chwilę z blaszanymi skrzydłami. Rozchylił je najmocniej, jak tylko się dało, co nie było łatwe. Garaż, podobnie jak cały dom, wybudowano w latach osiemdziesiątych, kiedy trudno było o materiały budowlane, a poza tym ludzie spodziewali się, że największym samochodem, jaki będą musieli tam zmieścić, będzie duży fiat. On zaś miał potężnego terenowego range rovera. Wjechanie nim do garażu zawsze wymagało dużej ostrożności i maksymalnej uwagi. Wrócił do wozu, uruchomił silnik, delikatnie nacisnął pedał gazu i auto powoli potoczyło się do przodu. Trzymał się jak najbliższej prawej strony, żeby móc potem swobodnie wysiąść.

– Kurwa... – zaklął pod nosem, kiedy usłyszał, jak bok wozu zaczyna trzeć o ścianę. Odbił natychmiast w lewo, a potem zahamował. Przez chwilę tylko siedział, kurczowo zaciskając dłonie na kierownicy i zgrzytając zębami. Wreszcie wrzucił bieg, puścił sprzęgło i wjechał do końca. Przedni zderzak niemal stykał się ze ścianą.

Wyskoczył z auta, żeby sprawdzić rozmiar szkody. Od przednich drzwi przez tylne biegł szeroki na kilkanaście centymetrów pas licznych rys. Przejechał po nich palcami i skrzywił się. Zdarł lakier do gołej blachy. Metal też się uszkodził. Już wcześniej wóz nie wyglądał dobrze, ale teraz to była tragedia.

Wyprostował się i dwa razy uderzył pięścią o dach samochodu.

– Co?! Zarysował pan?! – usłyszał za sobą głos.

Odwrócił się błyskawicznie. Jego prawa ręka sama powędrowała do schowanego za paskiem na plecach pistoletu. Nie żeby go wyjąć. Raczej po to, by upewnić się, że ciągle tam jest, ukryty za połami kurtki.



Na drodze, na wysokości ogrodzenia, stał jego sąsiad. Sześćdziesięcioletni okrągły facet w kaszkiecie na głowie. Obok niego z nosem przy ziemi dreptał pies, brzydki, nieforemny kundelek.

– Zarysowałem – potwierdził niechętnie.

– Bardzo?

– Zaspachluje się, panie Witoldzie.

Sąsiad wychylał się to w jedną, to w drugą stronę, niemal stawał na palcach, żeby samemu ocenić rozmiar szkody. Z tej odległości jednak było to praktycznie niemożliwe. Sprawiał więc wrażenie lekko rozczarowanego.

– Taki duży samochód, a garaż malutki. Niepotrzebnie pan tam wjeżdżał – odezwał się. – Ja to bym trzymał taki wóz na dworze. Może jakąś wiatę wybudował, żeby go przed deszczem chronić. Placu na podwórku pan przecież ma dość. – Koniecznie chciał się podzielić dobrą radę.

– Może tak zrobię.

– No, ale nieszczęście już się zdarzyło, nie? Mądry Polak po szkodzie, nie?

– Tak mówią.

Sąsiad podjął jeszcze jedną próbę sprawdzenia, jak bardzo uszkodzony jest samochód. Znowu nieudaną. Pożegnał się więc krótko i poszedł dalej. Mężczyzna poczekał, aż tamten zniknie, i dopiero wtedy puścił rękojęść pistoletu. Potem pospieszenie zamknął bramę garażu i udał się do domu.

W środku nikogo nie było. Nie kłopotząc się zdejmowaniem butów, przeszedł przez przedsionek do salonu. Wyjął z barku butelkę wódki i nalał alkoholu do szklanki. Wypił jednym łykiem i znowu nalał. Najpierw gorzały, potem soku jabłkowego. Z takim drinkiem usiadł na skórzanej kanapie. Skrzywił się, kiedy lufa pistoletu wbiła mu się w lędźwie. Wyciągnął broń i położył na stoliku o szklanym blacie, przez który widział ułożone starannie na półeczce pod spodem kolorowe czasopisma. Sięgnął po pilota. Natychmiast przeszedł na kanał TVN24. Przez chwilę oglądał obrazki z kolejnej demonstracji kobiet, które ze świeczkami w rękach wędrowały w stronę budynku Trybunału Konstytucyjnego. Drażniły go ich

pełne wulgaryzmów transparenty, nawet jeśli skrywały się za ośmioma gwiazdkami, i pełen egzaltacji głos komentatorów w studiu. Dlatego wyłączył dźwięk. Oglądał przez blisko kwadrans, czekając na inne wiadomości, ale nic się nie zmieniło. Poskakał przez chwilę po kanałach informacyjnych, jednak wszędzie leciało to samo. Zdenerwowany wyłączył telewizor. Jego wzrok przez chwilę błądził po pokoju, aż zatrzymał się na leżącym przed nim pistolecie.

Popełnił błąd. Powinien pozwolić tej dziewczynie uciec. Tak po prostu. Niechby sobie poleciała gdzie chce. Co najgorszego mogło go wtedy spotkać? Nie mówiła przecież po polsku. Nawet jakby ktoś go zatrzymał, to wytłumaczyłby, że doszło do nieporozumienia. Tak, chciał skorzystać z jej usług, tak, to wstyd, ale facet czasami musi, nie, nie wie, co ją zdenerwowało. Po prostu wyskoczyła z jego samochodu. Nic z tego nie rozumie. Zresztą wątpliwe, żeby ktokolwiek się tym zainteresował. Ot, zwykła przestraszona dziwka, która nie potrafi wyjaśnić, o co jej właściwie chodzi. Zamiast tego stracił nad sobą panowanie. Próbował ją zatrzymać. Szarpali się. Uderzył ją kilka razy. Udało się jej wyskoczyć z samochodu. Sięgnął więc po pistolet i strzelił. Dopiero wtedy zobaczył stojący nieopodal radiowóz. To go otrzeźwiło. Zamknął drzwi od strony pasażera i natychmiast uciekł ze stacji benzynowej.

Próbował teraz przeanalizować to, co się stało. Dziewczyna pobiegła do policjantów. Strzelał do niej. Niemożliwe, żeby nie usłyszeli tego huk. Po prostu musieli zwrócić na niego uwagę. Do tego na jej twarzy widać było ślady pobicia. Teraz nie miało już znaczenia to, że po polsku znała może ze dwa słowa. Na pewno zajmą się tą sprawą i będą próbowali dowiedzieć się, co się dokładnie wydarzyło. A ta dziewczyna była u niego w domu. Prędzej czy później po prostu ich do niego przyprowadzi. Przyjadą tutaj i to będzie koniec.

Nie potrafił sobie tego wyobrazić. Policja przed jego domem. Migające światła radiowozów. I ci wszyscy sąsiedzi, na czele z Witoldem, którzy będą obserwować, jak wychodzi w kajdankach. Pewnie będą mówić mądrale, że można się było tego spodziewać, że coś podejrzewali, że on

zawsze taki dziwny był. Durnie. Niemniej, to byłby wstyd. Dla niego. Dla całej jego rodziny. Nie, nie mógł na to pozwolić. Nigdy!

Drżącą ręką wziął szklankę z drinkiem i upił łyk. A potem jego dłoń, tak jakby była niezależnie myślącą od niego istotą, jakimś obrzydliwym pajakiem, powędrowała w stronę broni. Palce same wskoczyły na rękojeść. Poczł, jak prąd przechodzi wzdłuż jego ramienia aż do głowy. Takie przyjemne, kuszące mrowienie.

Nie zabił jednak tej dziewczyny, uświadomił sobie. Nie trafił ani w nią, ani w nikogo postronnego, ani w żadnego z policjantów. Bo inaczej, pomimo całej tej awantury na warszawskich ulicach, krzyczeliby o tym w telewizji.

Co oznaczało, że jeszcze nie było tak źle.

Jego dłoń puściła pistolet i wróciła do szklanki z drinkiem. Nie wypił jednak kolejnego łyka. Wstał z kanapy i przeszedł wzdłuż ściany, na której dało się dostrzec jaśniejsze kwadratowe plamy. Miejsca, gdzie jeszcze kilka godzin temu wisiały zdjęcia jego rodziny. Zdjął fotografie przed wyjściem z domu. Nie chciał, żeby ta dziwka nawet przez chwilę patrzyła na jego żonę, córkę lub syna.

Dziwka.

Dlaczego tak o niej pomyślał? Wcześniej to była dziewczyna. Nawet ją lubił. Dobrze mu się z nią rozmawiało. Chętnie opowiadała o swoim kraju, o tym, co się w nim dzieje. Domyślał się, że przekazywała mu góra ćwierć tego, co tam widziała. prostytutce przecież nie płaci się po to, żeby dzieliła się wojenną traumą. Współczuł jej nawet trochę. A teraz stała się dziwką. To dlatego, że był wściekły. Na nią, bo zaczęła uciekać. Niby dlaczego? Tylko dlatego, że zauważyła pistolet. Spotykali się przecież tyle razy. Nigdy nic jej nie zrobił. Nie tknął nawet palcem. Po tym wszystkim powinna mu ufać. Zdradliwa mała kurewka. Myślał, że coś ich połączyło. Że nawiązała się między nimi nić porozumienia. Więcej niż nic! To było coś głębokiego, coś prawdziwego. Zawiózł ją przecież do własnego domu! Traktował jak damę, do cholery! To powinno coś znaczyć! Ale nie znaczyło. Dla niej był tylko kolejnym automatem z pieniędzmi – wystarczyło jedynie rozłożyć

nogi i skasować zapłatę. Naiwniakiem, któremu wciskała kit, żeby dostać kilka złotych więcej. Ciekawe, ile z tych jej opowieści było prawdziwych, pomyślał, nie zauważając, że sam zaczyna sobie zaprzeczać. Może wcale nie przyjechała z Syrii. Miała orientalną urodę, ale równie dobrze mogła być Romką gdzieś z Bułgarii.

Dziwka.

Przeszedł do kuchni. Wylał resztę drinka do zlewu.

Żałował teraz, że jednak jej nie trafił. Potrafił sobie wyobrazić tę scenę. Miał ją tuż przed oczami. Ona chce uciec z samochodu, zaczyna się szarpać, on ją bije, w jakiś sposób udaje się jej wyswobodzić, otwiera drzwi, wyskakuje z auta. On chwyta za pistolet, ale w przeciwieństwie do tego, jak było naprawdę, nie spieszy się. Spokojnie celuje. Bierze głębszy wdech. Naciska miękko spust. Pocisk wylatuje z lufy z prędkością początkową ponad trzystu metrów na sekundę i trafia prosto w plecy. Przebija się przez ubrania, skórę, kruszy kości, żeby wreszcie wbić się w serce. Siła uderzenia podrywa ją lekko w górę. Dziewczyna rozkłada szeroko ręce, jakby szykowała się do lotu, ale zaraz spada. Twarzą prosto na twardy asfalt. Siła uderzenia łamie jej nos. Z ust wypływa strużka krwi.

Zadrzał. Do pustej szklanki nalał zimnej wody i wypił ją duszkiem.

To się nie wydarzyło i już się nie wydarzy. Dziewczyna była stracona, a policja jest na jego tropie. Prędzej czy później do niego dotrą, ale to im zajmie trochę czasu. Najpierw muszą ją przesłuchać, a żeby to zrobić, potrzebują tłumacza. Miał kilka godzin dla siebie. Może nawet pozostanie wolny do świtu. Ile można zrobić przez całą noc?

Uśmiechnął się mimowolnie. Powtórnie napełnił szklankę wodą i znowu ją wypił. Tym razem na spokojnie. Nie denerwował się już. Przyszłość była dla niego jasna. Wiedział, co się wydarzy i co powinien zrobić. Po pierwsze, spakować najpotrzebniejsze rzeczy, trochę pieniędzy i jak najszybciej opuścić dom. Po drugie, znaleźć kolejną dziewczynę. I tym razem nie spudłować, kiedy będzie do niej strzelać.

## 8

– Widzisz go?

– Tak.

– Gdzie?

– Parówki.

Parówki, pomyślał Mortka, co za idiotyczna nazwa.

– Pierwsza czy druga?

– Druga.

Nieustannie celował w faceta, który znajdował się około stu metrów od niego, kilkanaście metrów wyżej. Facet poruszał się to w lewo, to w prawo.

– Jeden czy z kimś?

– Widzę jednego – powiedział. – Ale wątpię, żeby był sam.

– Gdzie reszta teamu?

– Mogę ich nie widzieć. Nie z tego kąta – tłumaczył, równocześnie zastanawiając się, co powinien zrobić. Strzał z tej odległości oceniał jako ryzykowny. Facet był w nieustannym ruchu. W chwili, kiedy Mortka naciśnie spust, ujawni się. Jeśli nie trafi, będzie w poważnych kłopotach. Tamten miał lepszą pozycję, był wyżej, a on nie mógł przecież tak tutaj tkwić przyklejony do drzewa. Przeciwnik patrzył teraz w stronę fabryki, ale prędzej czy później zacznie sprawdzać las. Czyli co? Strzelać czy biec? Jeśli teraz popędzi, ma dużą szansę, że dotrze do budynków. Tylko co dalej? Jeśli tam jest reszta kumpli tego faceta, to wejdą prosto w zasadzkę. I do tego będą mieli snajpera na dachu.

– Panowie, strefa! Zaraz nam ktoś wejdzie na dupę!

– Chuj. Skracamy, panowie.

Odkleił oko od celownika karabinu snajperskiego. Zobaczył, jak koledzy z drużyny ruszają do przodu i pędzą w stronę wielopiętrowych bloków, które z racji długości nazywali parówkami.

Newralgiczny moment. Jeśli teraz facet na dachu ich zauważy, to mają przerąbane.

Wstrzymał oddech. Facet ciągle się ruszał, więc Mortka przesunął celownik w miejsce, gdzie, jak miał nadzieję, koleś znajdzie się za sekundę.

Nacisnął spust.

– Powalony! – krzyknął do mikrofonu, sam nie wierząc w to, co przed chwilą przeczytał na ekranie telewizora.

Nacisnął na padzie przycisk zmieniania broni i już jego postać trzymała w dłoniach karabinek MP5. Popędził przed siebie, akurat, żeby zobaczyć, jak Andrzej, a właściwie jego awatar, chwyta się liny i wjeżdża na górę. Po chwili usłyszał dochodzące stamtąd strzały.

– Dobity! Dobra robota, ojciec!

– Był sam? – zapytał Jacek, ich znajomy z gry.

– Tak.

– Fantastycznie! – krzyknął Jacek. – Bebok jedzie na górę! Michał?

Jacek miał tę irytująca manierę, że w chwili podekscytowania mówił o sobie w trzeciej osobie. Do tego nadał sobie przydomek „Bebok”. Którego zresztą tylko on używał. Reszta zwracała się do niego po imieniu.

– Lootuję dół i idę klatką – odpowiedział Michał.

Lootuje, czyli szuka skrzynek z pieniędzmi, płytami pancerza, amunicją i tak dalej. Mortka zdążył się już tego nauczyć od Justine.

– Dobra. A ty, Kuba, zapierdalaj! Zapierdalaj!

Mortka prychnął pod nosem, ale nic nie odpowiedział.

– Daj spokój – usłyszał w słuchawce Andrzeja. – To jednak mój stary, nie?

– No właśnie. Twój stary, twój stary. Przez cały czas byłeś dla niego miły, nie przejmuj się, tatusiu, dasz radę, tatusiu, następnym razem na pewno się

uda, tatusiu, w tym wieku mężczyźni mają takie problemy, tatusiu, to zupełnie normalne, że ci nie staje, tatusiu, i popatrz, zacząłem go opierdalać i jak zaczął dobrze grać! Będziemy mieć jeszcze z niego pożytek! – mówił Jacek.

Mortka otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamknął, bo uświadomił sobie, że ten przemądrzały gówniarz ma rację. Zresztą gówniarz to złe słowo. Facet był starszy mniej więcej o dekadę od jego synów. Michał i Andrzej grali z nim od czasu do czasu i Mortka do nich dołączył.

Dobiegł do liny. Podczepił się i wkrótce znalazł się na dachu.

– Amunicja do RKM-u? – zapytał Andrzej.

Postać Jacka wyrzuciła przed siebie kilka porcji amunicji, które Andrzej natychmiast pozbierał. Dwie sekundy potem na dachu pojawił się też Michał.

– Pancerze?

– Full.

– Full.

– Full – powtórzył za resztą Mortka.

– Panowie! – krzyknął Michał, obserwując przez lunetę las, z którego przed chwilą sami wyszli. – Idą na nas. Cały team!

– Idealnie. Gate keepujemy! Goni ich strefa! Michaś, oznaczaj!

Wszyscy wyciągnęli snajperki, za wyjątkiem Andrzeja, który miał RKM. Mortka dostrzegł kilka sylwetek przemykających pomiędzy drzewami. Za nimi sunęła zielona chmura trującego gazu.

Wycelował. Strzelił.

– Powalony! – rzucił.

– No mówię! – krzyknął radośnie Jacek. – Trzeba starego od czasu do czasu opierdolić! Powiedzcie to mamie! Ale też dodajcie, żeby dla równowagi od czasu do czasu mu gałę zrobiła. Gul, gul, gul...

– Są rozwiedzeni – odezwał się Andrzej pomiędzy strzałami. – Od lat.

– A to sorry. To taką przyjacielską, rozwiedzioną gałeczkę...

– Zamknij się i strzelaj – warknął Mortka.

O dziwo, Jacek posłuchał. Przez chwilę w milczeniu strzelali do przeciwnego teamu. Jednego ściągnął Mortka, drugiego Jacek. Andrzej z Michałem poranili pozostałych, ale tamci kryli się pomiędzy drzewami.

– Będą rotować – rzucił Jacek. – Skracam.

– Za tobą – oznajmił Michał. – Oślaniajcie nas.

Obaj zeskoczyli z dachu, otworzyli spadochrony i poszybowali w stronę lasu, gdzie schowali się przeciwnicy. Mortka znowu zaczął celować przez lunetę i szukać wrogich żołnierzy. Wtedy usłyszał strzały. Tuż nad uchem. Odwrócił się i zobaczył, że Andrzej pruje z RKM-u do kogoś, kto ukrywa się po przeciwnej stronie dachu. Tamten odpowiada ogniem. Dostał, padł na ziemię, ale Andrzej tak samo. Mortka rzucił się, żeby mu pomóc. Klęknął obok jego ciała i zaczął naciskać przycisk, dzięki któremu przywracał mu zdrowie.

– Nie! – usłyszał krzyk syna w słuchawkach. – Tato, nie!

Zanim zdążył zapytać, o co chodzi i co robi nie tak, usłyszał strzały tuż obok siebie. Ekran rozbłysł czerwienią i jego postać upadła.

– Nigdy się, tato, nie podnoś, jak nie masz stuprocentowej pewności, że jesteśmy bezpieczni! – powiedział z lekką pretensją w głosie Andrzej. – Facet był sam, ale miał zestaw do samoreanimacji. Trzeba go było najpierw dobić, a potem się mną zająć!

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – usłyszeli, jak Michał przeklina w słuchawkach.

– Spoko! *Bebok to the rescue!!!* Tututu! I kurwa! No ja pierdołę!

– Co się stało? – zapytał Andrzej po chwili.

– Załatwiliśmy pierwszy team, ale drugi był w gazie. Spocenci mieli maski. Jednego położyliśmy, jednego połamaliśmy i tyle tego było – wyjaśnił Michał. – A u was?

– Zaszedł nas od tyłu.



Przez chwilę obserwowali ekran końcowy, gdzie wyświetlała się informacja o ich osiągnięciach.

– Czwarte miejsce – odezwał się Jacek. – Nieźle.

– Mogło być lepiej. Mieliśmy dobrą pozycję. Niepotrzebnie schodziliśmy z tego dachu.

– To prawda – mruknął Michał.

– Jeszcze jedna? – zapytał Andrzej.

Mortka zerknął na zegarek. Dochodziła pierwsza. Grali już od ponad trzech godzin. Niewiarygodne, jak ten czas szybko leciał. A potem zrobiło mu się głupio, bo dotarło do niego, że rzadko spędzał z nimi tyle czasu. Kiedy byli dziećmi, nawet po rozwodzie, to tak, starał się mieć dla nich wolne popołudnie raz na jakiś czas. Ale kiedy stali się nastolatkami, a on wyjechał do Holandii, wszystko się popsuło. Trochę wstyd, że potrzebowali globalnej pandemii i gry komputerowej, żeby to naprawić.

– Sorry, chłopaki – rzucił do słuchawek. – Ja się kładę. Starsi panowie muszą się wysypiać.

– To ja też spadam – odezwał się Jacek. – Na razie.

– Na razie, tato. Na razie!

Mortka wyłączył grę, a potem konsolę i telewizor. Odłożył ciepłego od rąk pada i poszedł do łazienki. Wyszczotkował dokładnie zęby, wyczyścił je nitką, po czym wskoczył do łóżka i skulił się pod kołdrą. Zanim zamknął oczy, spojrział jeszcze na wiadomości. Justine. Pytała, jak poszło. Odpisał szybko: „23, 15, 10, 7 i 4”. Chwilę później dostał od niej kolejną wiadomość: „Trzeba było grać dalej. Bylibyście 1”. Uśmiechnął się. Wysłał jej na Messengerze buźkę dającą całusa i zamknął oczy.

Zych siedział z przodu i prowadził swoje bmw serii 3. Auto miało kilka lat, ale było bardzo zadbane. Widzieli je już z daleka, idąc po policyjnym parkingu. Wypolerowana karoseria lśniła w świetle ulicznych latarni, w środku natomiast było tak czysto, jakby młody policjant zamierzał sprzedać wóz i wyczyścił go przed wizytą potencjalnego klienta. Jedyne osobiste akcent stanowił zawiązany wokół wstecznego lusterka różaniec.

Mortka razem z Syryjką zajęli miejsca z tyłu. Dziewczyna przedstawiła się jako Fatima, jednak komisarz nie był przekonany co do tego, że to jej prawdziwe imię. Z każdą minutą mijał szok, jaki przeżyła, a strach związany z niedawnymi wydarzeniami stawał się tylko nieprzyjemnym wspomnieniem. Powoli zaczynała zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich działań. Najwyraźniej coraz bardziej żałowała, że zamiast uciekać, pobięła prosto do radiowozu. Przebywała przecież w kraju nielegalnie. Teraz zapewne zastanawiała się, co się z nią dalej stanie. Mortka nie był pewien, jakie obecnie w Polsce są procedury. Zostanie umieszczona w ośrodku dla cudzoziemców, to na pewno. A potem co? Azyl albo deportacja. Tylko że o ten pierwszy będzie jej bardzo trudno.

– Kim ty w ogóle jesteś? – odezwał się Zych po kilku minutach jazdy.

– To chyba w tej chwili mało istotne, nie? – odpowiedział wymijająco Mortka.

– Nie dla mnie. Bo przez cały wieczór zastanawiam się, po co wezwaliśmy w ogóle Gunthera. Przecież sprawa jest zamknięta. Wiemy, kto zabił Tymoteusza Kota.

Komisarz nie odpowiedział. Zerknął na Fatimę. Marszczyła brwi, przysłuchując się ich rozmowie. Próbowła wyłowić znajome słowa, ale widać było, że niewiele rozumie. Zastanawiał się, jak długo przebywa w Polsce.

– Jesteś jakimś psychologiem? Ekspertem od przesłuchań? Profilerem? – ciągnął młody funkcjonariusz.

– Policjantem – odpowiedział Mortka, zdając sobie sprawę, że powinien coś dać Zychowi.

– Policjantem? Chyba nie z Warszawy. Nie znam cię. Z którego garnizonu jesteś?

– Obecnie na delegacji. Zagranicznej.

Zych gwizdnął z uznaniem.

– W jakim kraju?

– Nieistotne.

Młodszy funkcjonariusz prychnął równocześnie rozbawiony i zirytowany.

– To też tajemnica? Jakieś tajne sprawy? Spoko, ja też byłem na misji.

– Gdzie? – zapytał z grzeczności Mortka.

– Kosowo.

Misja policyjna organizowana przez Unię Europejską. Brało w niej udział około stu polskich funkcjonariuszy, którzy wyjeżdżali na pół roku z możliwością przedłużenia pobytu do dwunastu miesięcy. Wcale nie było łatwo się tam dostać. Mortka zastanawiał się, jak Zych tam trafił i jakie w związku z tym miał plecy.

– Robiłeś rzeźbę czy masę? – zapytał.

– Co takiego?

– Nie udawaj. Wiem, po co się jeździ do Kosowa. Albo żeby zarobić na remont domu, albo żeby zrobić formę, bo macie tam świetną siłownię i trenerów, a z robotą się nie przemęczacie. Stąd moje pytanie. Co tam robiłeś? Rzeźbę czy masę?

– Nie byłeś tam. Gdyby nie my, toby się sobie rzucili do gardeł. Tylko czekają na okazję, żeby...

– Rzeźba czy masa? – przerwał mu Mortka.

Zych zerknął w tylne lusterko, upewnił się, że komisarz na niego patrzy, i pokazał mu środkowy palec. A potem zamilkł, koncentrując się na prowadzeniu samochodu.

Mortce właśnie o to chodziło, o chwilę ciszy i spokoju. Chciał zrobić to, o co go poproszono, i jak najszybciej wracać do komendy. Bez zbędnych pogawędek i niby przyjacielskich rozmów.

Stolica wydawała się spokojniejsza i bardziej pusta niż wtedy, kiedy ją opuszczał. O tej porze była zazwyczaj pełna samochodów, teraz jednak po ulicach poruszało się niewiele aut i raczej wyjeżdżały z miasta, niż do niego wjeżdżały. Bez problemu pokonali Wisłostradę, po czym wjechali na Trasę Siekierkowską. Mimo to skrzywił się, kiedy zerknął na zegarek. Cenne minuty mijały.

– Rozpoznajesz tę trasę? – zapytał po francusku dziewczynę.

Fatima pokiwała głową. Wskazała palcem na płynącą pod nimi rzekę.

– Wisła – powiedziała.

– Wisła, Wisła – potwierdził. – Ale czy jechaliście tędy? Czy ty i ten facet właśnie tędy jechaliście?

Zaprzeczyła. Mortka doszedł do wniosku, że w takim razie pewnie mieszkała po prawej stronie rzeki. Począł kilka minut. Minęli zjazd na Wał Miedzeszyński i skręcili dopiero za węzłem Marsa w Patriotów.

– Często się spotykałaś z tym mężczyzną? – zapytał.

– Często? – zdziwiła się.

– Często. Dużo. Raz, dwa, trzy, cztery i tak dalej – zaczął niezgrabnie tłumaczyć, pokazując jej kolejne palce, jakby uczył dziecko liczyć. Wciąż był pod wrażeniem, że ktokolwiek mógł ją wziąć za Francuzkę z tak kiepską znajomością języka.

– Tak.

Postanowił nie wnikać, co to „tak” dokładnie znaczyło.

– Co wtedy robiliście? – zapytał. – Oprócz seksu.

Niewiarygodne, ale był pewien, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

- Rozmawialiśmy.
- O czym?
- O rzeczach. Lubił rozmowę.
- Powiedział ci coś o sobie? Jak się nazywa, co robi, kim jest z zawodu?
- Nie.
- Ale rozmawialiście?
- Tak. Dużo rozmowa.

Zaśmiał się z niedowierzaniem. Zauważył pytające spojrzenie policjanta we wstecznym lusterku.

– Podobno dużo rozmawiali – wyjaśnił.

– Tak. Tym właśnie zajmują się dziwki. Warszawskie to już w ogóle artystki konwersacji – odpowiedział Zych.

Mortka mimowolnie się uśmiechnął i dał mu znak, żeby jechał dalej. Sam wyciągnął się na tylnym siedzeniu, wyjął komórkę z kieszeni i zerknął na ekran. Żadnych wiadomości od Suchej. Pewnie dopiero rozmawia z Guntherem. Miał nadzieję, że niczego nie zawali. Żałował, że siedzi teraz w tym samochodzie razem z Zychem i tą Syryjką. Ale nie miał przecież wyjścia. To on przyszedł do Suchej. To on namówił ją na powrót do zamkniętej sprawy i ponowne przesłuchanie tego mężczyzny. To ona robiła mu przysługę i ryzykowała, a nie on. I kiedy to ona poprosiła o pomoc, nie mógł odmówić. Niepotrzebnie przyznawał się, że zna francuski. Ale to był odruch. Mógł pchnąć sprawę do przodu, więc zgłosił się, niewiele myśląc o konsekwencjach. Tacy byli w tej rodzinie. Bez zastanowienia robili to, co trzeba zrobić. Jak idioci.

Dostrzegł po prawej stronie świecącą wieloma neonami bryłę stacji benzynowej, która współgrała z migającymi światłami stojących tuż przy niej radiowozów. Zych wrzucił kierunkowskaz. Zaparkował z boku, z dala od dystrybutorów, niedaleko urządzenia do pompowania opon. Mortka zerknął przez okno. Dwóch policjantów rozmawiało właśnie z technikiem kryminalistycznym.

– Zostańcie tutaj – powiedział Zych.

Wysiadł z samochodu i ruszył w stronę funkcjonariuszy. Zauważyli go i lekko się spięli. Starszy z nich zrobił dwa kroki w jego stronę i rzucił jakieś pytanie. Zych rozpiął powoli kurtkę i pokazał zawieszoną na szyi blachę. Policjanci natychmiast się rozluźnili. Technik coś powiedział i cała czwórka się roześmiała. Zaraz jednak wrócili do poważnego tonu i zaczęli rozmawiać. Technik mówił najwięcej. Gestykulował energicznie, pokazując coś z jednej i drugiej strony.

Mortka przestał ich obserwować i spojrzał na Fatimę. Kiedy zajechali na stację, dziewczyna najpierw zeszywniała, a potem rozejrzała się nerwowo dookoła, jakby obawiała się, że mężczyzna, który do niej strzelał, ciągle gdzieś tu jest. A gdy Zych trzasnął drzwiami, niemal podskoczyła na siedzeniu.

Po około minucie zaczęła się uspokajać. Oddychała wolniej i przymknęła powieki. Wyglądało na to, że zasypia, co było normalną reakcją, biorąc pod uwagę wszystkie jej dzisiejsze przeżycia. W pewnym momencie organizm pod wpływem stresu chce się po prostu wyłączyć. Nawet na krótko. Mortka pomyślał, że Fatima ma do tego prawo. I dlatego prawie przegapił moment, kiedy sięgnęła jedną ręką do klamki, a drugą chciała odpiąć pasy. Chwycił ją za przegub dłoni. Ścisnął. Trochę za mocno, bo aż pisnęła z bólu.

– Nie – powiedział stanowczo.

Szarpnęła ramieniem, próbując się wyswobodzić.

– I co dalej? – zapytał. – Gdzie próbowałaś uciec?

– Co?

Zaklął po polsku. Znowu go nie zrozumiała. Próba dogadania się z nią była koszmarem. Jakby rozmawiał z trzyletnim dzieckiem.

– Ty! Biec! Gdzie?

Szarpnęła się po raz kolejny. Tym razem pozwolił jej się wyswobodzić. Założyła jedną rękę na drugą. Sprawiała teraz wrażenie równocześnie przestraszonej i obrażonej. Nie próbowała jednak już więcej uciekać. W milczeniu czekali na powrót Zycha.

Sucha weszła do pokoju przesłuchań. Siedzący po drugiej stronie stołu mężczyzna powoli podniósł głowę, a na jego twarzy pojawił się grymas agresywnej irytacji. Policjantka uświadomiła sobie, że po raz pierwszy znajdowali się w tym samym pomieszczeniu. Po raz pierwszy mogła na niego spojrzeć bez bariery z lustra weneckiego. Pomyślała, że nie lubi tego człowieka. I to bez wyraźnego powodu, całkowicie bezinteresownie. Chodziło o wrażenie, jakie na niej sprawiał. Czasami tak miała. Patrzyła na faceta i myślała sobie: jest dupkiem. Prawie nigdy się nie myliła. Choćby się do tego przyznała jakiemuś psychologowi, to nasłuchałaby się o samospełniających się przepowiedniach, efekcie potwierdzenia i o tym, że zapewne sama mimowolnie wysyłałaby przepełnione agresją sygnały, więc takie też dostaje w odpowiedzi. Ale nie przejmowała się tym za bardzo. Już dawno dała sobie przyzwolenie na to, żeby nie lubić tych, których lubić nie chciała. A że czasami była w swoich osądach zbyt szybka i niesprawiedliwa? Ludzie mieli gorsze rzeczy na sumieniu. O czym zresztą doskonale wiedziała z wieloletniej policyjnej praktyki.

Mimo to była profesjonalistką. Dlatego uśmiechnęła się przyjaźnie i zajęła miejsce naprzeciwko Gunthera.

– Karol Gunther – odezwał się tamten, jak tylko usiadła.

– Słucham? – zapytała, podnosząc jedną brew w wyrazie udawanego zdziwienia.

– Karol Gunther – powtórzył. – Tak się nazywam.

– Przecież wiem.

– Tak? – prychnął. – To jest pani pierwsza. Bo do tej pory to każdemu się musiałem przedstawiać. Każdemu!

– Przepraszam za tę niedogodność. Pan sam rozumie, procedury.

Oparł się na krzesło, westchnął głośno i wydawało się, że trochę się rozluźnił. Zdjął okulary i pomasaował czoło.

– Po prostu chcę już iść do domu.

– Zrobimy wszystko, żeby jak najszybciej pana wypuścić.

– To pani będzie teraz ze mną rozmawiać?

Potwierdziła skinieniem.

– A ten policjant, co był przed chwilą?

– Niestety, wezwały go ważniejsze obowiązki.

– Typowe – mruknął Gunther, zakładając z powrotem okulary.

– Co jest typowe?

– Brak szacunku dla obywatela – powiedział. – Wyciągacie mnie tutaj z domu, nie zważając na to, czy mam jakieś zobowiązania, czy nie. Zamiast załatwić sprawę raz-dwa, najpierw gadacie o jakichś nowych dowodach, a potem zostawiacie mnie tu samego nie wiadomo, na jak długo. Zero szacunku. Tak było za PRL-u, tak było za PO, tak jest i teraz. Jestem ciekaw, co to za ważne obowiązki miał pani kolega, że musiał mnie zostawić.

– Zamordowano kobietę – skłamała Sucha bez mrugnięcia okiem. – Bardzo pana przepraszamy, ale niestety, zabójca nie wiedział, że pan tu czeka. Gdyby wiedział, toby się pewnie powstrzymał. Nasza wina, że go nie powiadomiliśmy.

Przez chwilę bała się, że przesadziła z sarkazmem, ale nie. Facetowi naprawdę zrobiło się głupio. Spuścił wzrok. Jego lewa noga zaczęła lekko drgać.

– To o jakie nowe dowody chodzi? – zapytał, kiedy cisza zaczęła się przedłużać.

– O tym za chwilę – powiedziała. – Zacznijmy od początku, dobrze? Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, jak znalazł pan ciało Tymoteusza Kota.

– Po raz kolejny?

– Tak. Po raz kolejny.



Poprawił się na krześle i położył dłonie na blacie stołu. Zwróciła uwagę na jego paznokcie. Obcięte i zadbane. Zaskoczyło ją to. Niewielu mężczyzn, szczególnie w tym wieku, tego pilnowało. Większość zdawała się przekonana, że brud za paznokciami dodaje im męskości.

– Wstałem tamtego dnia rano – zaczął opowiadać. – Ubrałem się i poszedłem kupić pieczywo na śniadanie dla mnie i dla żony. Schodząc na dół, zauważyłem, że drzwi od mieszkania, które wynajmował Tymoteusz Kot, są uchylone. Zdziwiło mnie to. Najpierw zapukałem. Nikt nie odpowiadał, więc wszedłem do środka.

– Po co?

– Po co wszedłem do środka?

– Tak.

– To chyba oczywiste.

– Nie dla mnie.

– Chciałem zobaczyć, czy wszystko jest w porządku.

– A dlaczego miałyby nie być w porządku?

– Bo drzwi były uchylone. Myślałem, że może, nie wiem, ktoś się tam włamał?

– A zauważył pan coś, co by na to wskazywało? Ślady użycia łomu na futrynie, wyrwane zamki czy coś podobnego?

– Nie. Drzwi były po prostu uchylone.

– I sam ten fakt pana zaniepokoił?

– I to, że nikt nie zareagował, kiedy zapukałem.

Udała, że się nad tym zastanawia, po czym gestem dała mu znak, żeby mówił dalej.

– Wszedłem do mieszkania. Zapytałem głośno, czy ktoś jest w środku.

– Nie bał się pan?

– Czego?

– Jak pan przed chwilą powiedział, przypuszczał, że ktoś mógł się włamać do tego mieszkania. Nie myślał pan, że może złapać złodzieja na

gorącym uczynku? A co, jeśli byłoby ich więcej niż jeden?

– Do czego pani zmierza?

– Do tego, że musi być pan strasznie odważny.

Zmrużył powieki, niepewny, czy sobie z niego kpi, czy mówi poważnie. W żaden sposób nie ułatwiła mu rozwikłania tej zagadki. Nie rezygnowała z pozy chłodnej profesjonalistki, a ton jej głosu był neutralny.

– Nie myślałem o tym chyba wtedy – odpowiedział po chwili. – Po prostu zaniepokoiłem się, że coś mogło się stać, i wszedłem.

– Często pan tak wchodzi do cudzych mieszkań?

– Co takiego?

– Przecież mnie pan słyszał! – ryknęła niespodziewanie. – Tak pan narzeka, że trzymamy tutaj pana za długo, a jak przychodzi co do czego, zamiast odpowiadać na pytania, udaje pan idiotę! Ja się na to nie nabiorę, Gunther!

Jej wybuch początkowo go zszokował, a potem zezłościł. Poczzerwieniał na twarzy. Zacisnął dłoń w pięść.

– Nie pozwolę tak do siebie mówić – wycedził.

– Pozwolisz, pozwolisz! – odpowiedziała, tym razem już nie ukrywając kpiarskiego tonu. – To co? Często włączysz ludziom do domu bez zaproszenia? Lubisz sobie pomyszkować, Gunther?

Poderwał się i wycelował w nią palcem wskazującym.

– Słuchaj, ty lesbo jedna! – krzyknął. – Nie pozwolę tak się traktować! Nie pozwolę! Nie pozwolę! Słyszysz?!

Każde „nie pozwolę” podkreślał, uderzając pięścią w stół. Poczekała, aż mężczyzna się uspokoi. Złożyła dłonie w piramidkę.

– To ciekawe – stwierdziła, znowu przybierając obojętny ton.

– Co takiego? – warknął.

– To, że nazwał mnie pan lesbą – wyjaśniła. – Nie zna mnie pan. Nigdy mnie pan nie spotkał, ale mimo to uznał mnie za lesbijkę. Z jakiegoś powodu wydaje się panu, że coś wie na temat mojego życia seksualnego.

Czy to dlatego, że służę w policji? A może coś w moim ubiorze albo zachowaniu zasugerowało panu, że lubię kobiety?

Skrzywił się i zrobił krok do tyłu. Popchnął stojące za nim krzesło, a to przewróciło się i z hukiem upadło na podłogę. Podniósł je szybko, ustawił, po czym z lekkim wahaniem usiadł na nim.

– Jeszcze ciekawsze jest to – kontynuowała spokojnie Sucha – że użył pan tego słowa jako obelgi. Nie lubi pan homoseksualistów, panie Gunther?

– Wyprowadziła mnie pani z równowagi – odpowiedział po kilku sekundach, a jego głos drżał od emocji, które z trudem był w stanie opanować. – Dlatego nazwałem panią lesbą.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Nie lubi pan homoseksualistów, panie Gunther?

– Tak się mówi. Czy pani chce, czy nie, słowo „lesba” funkcjonuje w języku polskim jako obelga.

– Nie lubi pan homoseksualistów, panie Gunther? Tak czy nie?

Westchnął i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Uważam, że homoseksualizm nie jest normalnym zachowaniem seksualnym. Uważam, że to zboczenie i jak wiele innych zboczeń nie powinno się pojawiać w przestrzeni publicznej.

– Znowu pan nie odpowiedział na moje pytanie.

– Odpowiedziałem. Homoseksualizm występuje, ale nie jest normalny. W związku z tym homoseksualiści nie powinni obnosić się ze swoją orientacją seksualną.

– A Tymoteusz Kot? Obnosił się ze swoją nienormalną orientacją seksualną? – zapytała Sucha.

Gunther odgiął głowę do tyłu i z jego gardła wydobył się chrapliwy, nieprzyjemny śmiech.

– W takim razie o to chodzi? – zapytał. – To są te wasze nowe dowody? Odkryliście, że facet był pedałem? Był. Mogliście wcześniej zapytać, to sam bym wam o tym powiedział. I tak, obnosił się z tym.

– Nie. To nie są nowe dowody – powiedziała Sucha. – Proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego poranka.

– Przed chwilą przecież to zrobiłem.

– Jeszcze raz, proszę.

Zerknął na zegarek. Skrzywił się.

– Marnuje pani czas. Mój i swój.

– Jeszcze raz, proszę – powtórzyła.

Prychnął zirytowany.

– Wstałem rano – powiedział. – Ubrałem się. Poszedłem po pieczywo na śniadanie dla mnie i dla mojej żony. Kiedy schodziłem, zauważyłem, że drzwi od mieszkania Kota są uchylone. Zapukałem. Nikt nie odpowiadał. Zajrzałem do środka, żeby upewnić się, że wszystko jest w porządku.

– Tak się pan zmartwił, że coś mogło mu się zdarzyć? Homoseksualiście, który obnosił się ze swoją orientacją?

– Za kogo mnie pani uważa? Czy wydaje się pani, że gdybym przechodził ulicą i zobaczył nieprzytomnego Kota, tobym go po prostu minął? Nie, pomógłbym mu, niezależnie od jego orientacji. Mogłem się nie zgadzać z jego życiowymi wyborami, ale nigdy nie zapomniałem, że przede wszystkim był to człowiek!

– I dlatego wszedł pan do jego mieszkania?

Podrapał się po karku. Sucha miała wrażenie, że siedzący przed nią mężczyzna aż wibruje od emocji, które nim targały. Wkładał bardzo dużo wysiłku w to, żeby nad sobą zapanować. Gdyby nie rozmawiali w komendzie, a ona nie była policjantką, nie hamowałby się.

– Nie myślałem o tym wtedy – odezwał się. – Zobaczyłem otwarte drzwi. Zapukałem. Wszedłem do środka, żeby sprawdzić, czy wszystko jest okej.

– A więc to był odruch? – zapytała.

– Można tak powiedzieć – przyznał.

– A to naprawdę ciekawe.

– Niby dlaczego?

– Bo widzi pan, rozmawialiśmy też z panem Sebastianem Lubczykiem.  
Zna go pan?

– Oczywiście. To mój sąsiad.

– Uhm. Pamięta pan, gdzie on mieszka?

– Na drugim piętrze.

– Dokładnie. Kto jeszcze mieszkał na drugim piętrze?

– Tymoteusz Kot. Do czego pani zmierza?

– Do tego, że Sebastian Lubczyk pracuje w soboty. I chciałabym, żeby pan to sobie dobrze wyobraził. Pan Sebastian, podobnie jak pan, wstał rano. On akurat, żeby pójść do pracy, a nie po bułki, ale to szczegół. Ubrał się, zjadł szybkie śniadanie, wypił kawę, po czym wyszedł z mieszkania. Zamknął drzwi, odwrócił się i popatrzył prosto na... Jak pan myśli, na co?

– Nie wiem.

– Na drzwi mieszkania Tymoteusza Kota. Bo mieszkają, przepraszam, mieszkali naprzeciwko siebie.

– I co w związku z tym?

– A to, że pan Sebastian jest pewien jednej rzeczy. Te drzwi, panie Gunther, były wtedy zamknięte.

Zych po kilkunastu minutach wrócił do samochodu. Zajął miejsce za kierownicą i odwrócił się do swoich pasażerów. Połowa jego twarzy ginęła w cieniu, tak że dało się dostrzec tylko białka oczu.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał Mortka.

– Nie jestem pewien, czy powinienem zdradzać ci informacje ze śledztwa.

– Jak chcesz – powiedział komisarz.

Zych uśmiechnął się krzywo. Zerknął przez okno na przebywających na stacji policjantów, a potem z powrotem na Mortkę i Fatimę.

– Faktycznie ktoś strzelał – odezwał się. – Technicy znaleźli już kulę. Wbiła się w ścianę budynku. Nikomu nic się nie stało, chociaż jeden z naszych prawie się zesrał, kiedy dotarło do niego, co to było.

– Strzelano do niej? Do Fatimy?

– Tak, ale tylko raz. Kiedy napastnik zauważył, że dziewczyna biegnie w stronę radiowozu, natychmiast odjechał.

– To co mamy?

– Tylko zeznania świadków.

– A monitoring?

Zych pokręcił przecząco głową.

– Facet miał albo farta, albo to wszystko sobie przemyślał. Stanął tak, że nie wyłapały go kamery na stacji. Jedyne, co mamy, to nagranie, jak nasza koleżanka pędzi w stronę policjantów, a ci robią komicznie zdziwione miny.

Mortka odwrócił się przez ramię i wskazał na kwadratową bryłę centrum handlowego ozdobionego jasno świecącymi neonami.

– A tam? Na pewno mają kamery.

– Aha – potwierdził Zych. – Ale skierowane na parking, wejścia i tak dalej. Nie na stację benzynową po drugiej stronie dość szerokiej zresztą ulicy.

Komisarz musiał się z nim zgodzić. Dwie jezdnie przedzielał szeroki pas zieleni z torami kolejowymi. Pociągi jeździły nimi do podwarszawskich miejscowości z jednej strony i do centrum miasta z drugiej. Warto jednak było zapytać. Czasami dowody, które pomogły rozwiązać sprawę, znajdowały się w najbardziej nieoczekiwanych miejscach.

– To co mówią świadkowie? – rzucił, zmieniając temat.

– Że facet poruszał się białym samochodem terenowym.

– Marka?

– Nie wiedzą. Nie zwrócili na niego uwagi, dopóki nie padł strzał, a potem był za daleko.

– Tablic też nikt nie spisał?

– Oczywiście, że nie – potwierdził Zych.

– A inne kamery? – zapytał Mortka. – Wzdłuż ulicy, torów, na skrzyżowaniach? Może coś jest na stacjach kolejowych?

– Tutaj nie ma ich za wiele, ale zaczynamy sprawdzać nagrania. Może na coś trafimy. Problem polega na tym, że dzisiaj jest za mało ludzi, by to ogarnąć.

– Protesty? – domyślił się komisarz.

– Ktoś musi pilnować domu naczelnika – potwierdził Zych. – Chociaż w tym roku podobno tylko chodzą ze świeczkami. No i granica. Trochę chłopaków od nas tam pojechało. Myślisz, że ona też przyjechała do nas z Białorusi?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– A dowiedziałeś się w ogóle od niej czegoś więcej?

Fatima domyśliła się, że o niej rozmawiają. Wzrokiem przeskakiwała od jednego mężczyzny do drugiego. Marszczyła czoło, próbując cokolwiek zrozumieć.

– Niczego – odpowiedział. – Jedźmy stąd i spróbujmy znaleźć ten dom. Daj mi tylko chwilę, żebym jej to wytłumaczył.

– Czekam na twój sygnał.

Mortka odwrócił się do Fatimy i bardzo powoli mówił, czego od niej oczekują. Przerywał po kilka razy, żeby upewnić się, że wszystko rozumiała. Dopiero wtedy ruszyli. Zych zamrugał światłami do pracujących na stacji funkcjonariuszy. Ci odpowiedzieli mu machnięciem ręki. Potem bmw spokojnie wyjechało na ulicę Patriotów i ruszyło w stronę Józefowa i Otwocka.

– Gdzie teraz? – zapytał policjant.

Mortka powtórzył to pytanie dziewczynie. Ta w skupieniu obserwowała mijaną okolicę. Od głównej drogi co chwila odchodziły wąskie uliczki, a wzdłuż nich znajdowały się domy jednorodzinne. Niektóre starsze, niektóre nowsze, jedne zaniedbane, inne wręcz przeciwnie – widać było, że ich utrzymanie w takim stanie kosztowało mnóstwo pieniędzy. Co pewien czas nad ziemią, mniej więcej na wysokości dorosłego człowieka, unosiła się lekka, błyszcząca mgiełka – dym z okolicznych kominów, który wymieszał się z wilgotnym nocnym powietrzem i teraz powoli opadał. Nieprzyjemny, gryzący zapach palonych śmieci wdzierał się nawet do samochodu Zycha. Po chwili na szczęście zelżał, bo wjechali w las. Kiedy wyłonili się z niego przy salonie samochodowym Toyoty, nie był już tak intensywny. Może po tej stronie mieszkańcy używali do ogrzewania swoich domów paliwa lepszej jakości. A może to oni już się przyzwyczaili.

– Ciągle nic? – zapytał Zych.

Jakby na jego wezwanie Fatima pokazała jedną z bocznych uliczek. Policjant wrzucił kierunkowskaz i skręcił.

– Pamiętaj – mówił po francusku Mortka, licząc na to, że dziewczyna go zrozumie. – Masz nam tylko pokazać dom. Nie będziemy tam wchodzić, nie będziemy się nawet zatrzymywać. Jedyne przejedziemy obok, a ty nam go pokażesz. Jasne?

Pokiwała głową, ale nie był pewien, czy nie zrobiła tego wyłącznie po to, żeby dał jej spokój.



Po obu stronach wąskiej ulicy brakowało chodnika. Miejskie latarnie, rozstawione zbyt daleko od siebie, dawały mało światła, tak że przez większość czasu mogli liczyć tylko na lampy samochodu. Zych jechał powoli. I dlatego, żeby Fatima mogła się przyjrzeć mijanym domom, i z powodu ustawionych co kilkadziesiąt metrów progów zwalniających. W ten sposób dotarli do Traktu Lubelskiego.

– Nie tutaj – powiedziała wtedy Syryjka. Jej głos lekko drżał i odwracała wzrok, żeby na niego nie patrzeć.

Komisarz zaklął.

– I co? – zapytał Zych.

– Pomyliła się – mruknął Mortka. – Wróć do Patriotów. Spróbujemy dalej.

– Tą samą trasą?

– Inną. Sprawdzimy w ten sposób większy teren.

Zych skręcił w lewo na Trakt Lubelski, a potem w najbliższą przecznicę w prawo, żeby wrócić do Patriotów.

– Rozglądaj się – powiedział Mortka Fatimie. – Może to jeden z tych domów.

– Tak, tak – zapewniła i przylepiła się do okna.

Dojechali z powrotem do ulicy Patriotów, ale żaden z mijanych domów nie wydał się dziewczynie znajomy. Odbyli więc podobną trasę, z tym samym skutkiem. Z jednej strony Mortka rozumiał – te wszystkie uliczki naprawdę były do siebie podobne. Z drugiej – ogarniała go jednak wściekłość. Czuł, że traci czas, a w komendzie czekał na niego Gunther. O ile Sucha go nie puściła.

– Zatrzymaj się – polecił Zychowi, kiedy kończyli kolejne okrążenie.

Policjant posłusznie zjechał najbardziej w bok, jak to było możliwe. Lusterkiem niemal zahaczał o znajdujący się tam płot. Wyłączył silnik.

Przestraszona dziewczyna patrzyła to na Mortkę, to na Zycha.

– Fatima – powiedział komisarz, siląc się na spokój. – Skup się teraz. Gdzie jest ten dom?

– Nie wiem – odpowiedziała, kręcąc głową. – Tutaj. – Uderzyła palcem w okno.

– To ten dom?

– Nie. Nie ten. Ale tutaj!

– Wiem, że tutaj! Ale gdzie konkretnie?! Musisz się skupić, Fatima! Gdzie jest ten dom?!

– Tutaj!

– Fatima! Przypomnij sobie! Jak długo tam jechałaś?! Co mijaliście po drodze?! Jakież punkty charakterystyczne?! Sklepy?! Restauracje?! Daj mi cokolwiek, Fatima! Cokolwiek! Cokolwiek!

Kiedy mówił, dziewczyna stopniowo się od niego odsuwała, aż w końcu przykleiła się do drzwi i uniosła przedramiona, zasłaniając nimi twarz, jakby spodziewała się, że Mortka zaraz ją uderzy. Komisarzowi zrobiło się wstyd. Także dlatego, że miał na to ochotę. Nie zrobiłby tego, tak mu się przynajmniej zdawało, ale w jego głowie pojawiła się myśl, że dziewczynie nie zaszkodziłby jeden i drugi policzek dla odświeżenia pamięci.

– Nie wiem, co jej powiedziałaś, ale wyglądało to na konkretny opierdół – odezwał się z przodu Zych.

Mortka opadł na kanapę. Przymknął powieki na kilka sekund i odetchnął.

– Wracajmy na komendę – oznajmił.

– Inspektor powiedziała przecież...

– Ta dziewczyna nie ma pojęcia, gdzie jest ten dom – wyjaśnił. – Możemy tutaj krążyć pół nocy, a nic z niej nie wyciągniemy. Do tego jej francuski jest słabiutki. Już na komendzie z trudem się z nią dogadywałem, a teraz chyba zapomniała połowy słów. To po prostu nie ma sensu.

Zych przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Mortki, a potem niemal niedostrzegalnie skinął głową. Uruchomił silnik i ruszył. Tym razem nie przejmował się ograniczeniami prędkości i co rusz wyprzedzał jadące przed nimi samochody. Dwóch kierowców nawet na nich zatrąbiło, a kiedy wjechał na Trasę Siekierkowską, wskazówka prędkościomierza powędrowała w okolice liczby dwieście. Mortka nie

skomentował zachowania policjanta. Upewnił się tylko, że i on, i Fatima mają zapięte pasy. Dzięki tej brawurowej jeździe powrót zajął im o połowę mniej czasu niż podróż do Radości, niemniej Mortka z ulgą wysiadł z samochodu.

Poszli do komendy. Zych wprowadził tam ich oboje, tak że nie musieli się legitymować przy wejściu. Wkrótce znaleźli się na piętrze wydziału kierowanego przez Suchą. Policjant złapał tam młodego mundurowego – jednego z nielicznych, którzy tego dnia i o tej porze byli w komendzie – i poprosił, żeby zaprowadził Fatimę do pokoju przesłuchań. Miała tam poczekać na dalsze czynności.

– To jakaś ze strajku? – zapytał młody mężczyzna.

– Nie.

– Bo myślałem, że może ze strajku. I że znowu się zaczęło...

– To nie myśl, tylko się nią zajmij – warknął Zych.

Mortka patrzył, jak dziewczyna odchodzi, trzymana delikatnie za ramię przez funkcjonariusza. Współczuł jej tego, co ją spotkało, i tego, co jeszcze ją czeka, ale cieszył się, że jego udział w tej historii już się skończył. Co prawda zmarnował czas, miał jednak czyste sumienie. Zrobił to, co do niego należało. Naprawdę starał się pomóc.

– Musiała być dobra – odezwał się Zych.

Mortka obrócił się do policjanta.

– W czym? – zapytał.

– W rozmowach – odpowiedział, a potem podniósł do ust na wpół zamkniętą dłoń, równocześnie wypychając językiem policzek. Imitował w ten sposób seks oralny.

– Nie rozumiem.

– No wspominałeś, że podobno dużo rozmawiali – wyjaśnił Zych. – Skoro nie zna polskiego i jednak niemal nie mówi po francusku, to musiała być dobra w innych rozmowach, nie? Pewnie jest biegła, że tak powiem, językowo.

Mortka zamrugał dwa razy. Nagle do niego dotarło. Odwrócił się i dojrzał ją jeszcze, jak znikwała za rogiem. Zawahał się. Gunther przecież na niego czekał. Nie mógł sobie pozwolić na zmarnowanie jeszcze choćby chwili.

Ale ktoś do tej dziewczyny strzelał. Ktoś próbował ją zabić.

– Kurwa – rzucił prosto w twarz zdumionego Zycha i popędził za dziewczyną. Dogonił ją na schodach. Złapał Fatimę za ramiona, wrywając ją zaskoczonemu funkcjonariuszowi. Przytrzymał Syryjkę, tak że ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów.

– Jak rozmawialiście?! – powiedział głośno i wyraźnie.

Pokręciła głową.

– Nie rozumiem.

– Jak rozmawialiście?! – powtórzył. – W jakim języku?

Teraz do niej dotarło. Przymknęła powieki, skupiając się na tym, żeby odnaleźć odpowiednie słowo.

– W moim – powiedziała wreszcie. – Po arabsku.

– Jak u rodziców?

– Dobrze – usłyszał jej głos wydobywający się z głośników samochodowych. – Dzieciaki się ucieszyły z tej wizyty. Dostały jakieś zabawki i teraz nie chcą iść spać, tylko się bawią.

– To miłe.

– Szkoda, że nie przyjechałeś z nami – powiedziała nieszczercze.

Zirytowało go to. Nie pojechał, bo nie chciał. Bo jej ojciec od dawna go nie lubił. Zawsze patrzył na niego z ukosa, zachowywał się tak, jakby nie wierzył w żadne jego słowo. I zdecydowanie zbyt często pytał córki, czy na pewno u nich wszystko w porządku. Pewnie podejrzewał, że mąż ją bije, chociaż on nigdy nie podniósł na nią ręki. Ani na nią, ani na dzieci. Był z tego dumny. Ze swojego opanowania i umiejętności zachowania spokoju nawet w najtrudniejszych sytuacjach. Uważał, że sprawdził się i jako mąż, i jako ojciec. Denerwował się, że teść tego nie docenia. Podobnie zresztą jak żona. To dlatego tak często ostatnio wyjeżdżała do rodziców. Szukała każdej możliwej okazji, żeby zostawić go samego. Opowiadała o tym, że się stęskniła, że pandemia, że jak był lockdown, to prawie ich nie widziała, że ojciec jest po wylewie, że się o nich martwi, chce pomóc – wymówki, wymówki, wymówki. A on potrafił wyłapać jej spojrzenia, kiedy była pewna, że ich nie widzi. Spojrzenia pełne obawy, niewypowiedzianych podejrzeń, zagubienia, a nawet niechęci. I jeszcze to wyzwanie, które mu rzucała – chociaż zapewniała, że tego nie robi – za każdym razem, kiedy przytulała się do niego w nocy.

– Nie mogłem – odpowiedział, pilnując, żeby utrzymać na wodzy wszystkie buzujące w nim emocje. Chciał z nią tylko porozmawiać.

– Jedziesz teraz samochodem? Bo coś buczy tak dziwnie.

Nie było sensu kłamać.

- Tak.
- Dokąd?
- Dostałem szybkie zlecenie.
- I musisz jechać samochodem?
- Chodzi o to, żeby pomóc koledze.
- Nie możesz tego załatwić przez internet?
- Dlaczego się czepiasz?! – krzyknął.

W głośnikach zapadła cisza. Przez moment przestraszył się, że się rozłączyła. Zacisnął dłoń w pięść i uderzył się nią dwa razy po czole. Zabolalo. Przestał, kiedy znowu usłyszał jej głos.

– Nie, po prostu... mówiłeś, że masz dużo zleceń i dlatego nie możesz z nami jechać. A teraz bierzesz kolejne. No i pracujesz głównie z domu.

– To kolega z dawnych lat – skłamał szybko. – Ma coś do zrobienia na teraz. Potrzebuje pomocy na miejscu. Przez internet dłużej nam zajmie. Poza tym... – zawahał się. – Poza tym po pracy może powspominamy. Wiesz, przy kieliszku lub dwóch.

– Aha... – mruknęła. Nie był pewien, czy mu uwierzyła. – W takim razie baw się dobrze.

- Dziękuję. A ty odpoczywaj. Pozdrów ode mnie rodziców.
- Dobrze.

Wiedział, że tego nie robi. Był pewien, że kiedy jedzie tam sama, zupełnie o nim nie wspomina. Udaje pewnie, że dalej jest niezamężna, a on po prostu nie istnieje.

- Skoro dzieci jeszcze nie śpią, dasz mi je do telefonu? – poprosił.

Zawahała się. Jedna sekunda, druga, trzecia. Lekkie westchnienie, które przypominało trochę jęk.

- Już po nich idę.

Odsunęła komórkę od ucha. Słyszał jej kroki, kiedy szła przez cały dom, wspinała się po schodach na piętro. Telefon trzymała blisko ciała. Z głośników dochodził do niego szelest jej spódnicy.

– Tato chce wam powiedzieć dobranoc.

Przełączyła na głośnomówiący.

– Cześć, tato!

– Cześć, tatusiu!

Krzyczeli tak głośno, że mimowolnie się skulił. Ściszył natychmiast. Kiedy zerknął w lusterko, zauważył, że uśmiecha się szeroko. Sam nie wiedział, kiedy to się stało.

– Cześć, dzieciaki! Wy jeszcze nie śpicie!

– Nie! – wrzasnęli oboje.

– Dzisiaj nie kładziemy się spać! – dodał jego synek.

– Ale tak w ogóle?

– W ogóle! Nigdy! Nigdy! Nigdy! Nie!

Zaśmiał się.

– A co robicie?

– Bawimy się!

– Dziadek z babcią kupili nam klocki Lego! Wielki zestaw z Harrym Potterem! Budujemy teraz! Tylko że to jest trudne!

– Naprawdę?

– Strasznie trudne. Właśnie, mamó, pomożesz nam? Pomożesz!

– Tak, mamó! Pomóż!

Przez chwilę zrobił się harmider. Jedno przekrzykiwało drugie, na to nakładał się jeszcze głos jego żony. Rozumiał co trzecie słowo, ale nie miało to dla niego wielkiego znaczenia. Słuchał tego jak najpiękniejszej muzyki.

– Chyba muszę im pomóc – powiedziała.

– Jasne.

– To do usłyszenia. Miłej pracy i miłego wspomnienia.

W pierwszej chwili nie wiedział, o czym mówi. Dopiero po chwili przypomniał sobie własne kłamstwa.

– Dzięki.

– Dzieci, pożegnajcie tatusia!

– Dobranoc, tatusiu!

– Dobranoc!

– Dobranoc – odpowiedział, a wtedy jego żona się rozłączyła. Nie był pewien, czy go usłyszeli.

Dojechał już. Zauważył wolne miejsce parkingowe, rzadkość w tej okolicy, szczególnie kiedy jeździ się tak dużym samochodem. Natychmiast się tam zatrzymał i wyłączył silnik. Puścił kierownicę i ze zdziwieniem zauważył, że drżą mu ręce. Ale nie chodziło tylko o to. Całe ciało piekło, jakby ktoś zalewał go od wnętrza kwasem. Poczował, jak do oczu napływają mu łzy.

Niepotrzebnie dzwonił do żony, niepotrzebnie rozmawiał z dziećmi. Wydawało mu się, że to dobry pomysł, że powinien usłyszeć ich głos, być może po raz ostatni. Pożegnać się jak mężczyzna w krótkich żołnierskich słowach. A teraz miał wrażenie, że się rozlatuje. Opuszczały go wszystkie siły i mógł myśleć jedynie o swoich dzieciach.

Niepotrzebnie też tutaj przyjechał. Powinien wrócić do domu i po prostu czekać na to, co przyniesie los. Modlić się, żeby policjanci trafili do niego dopiero za kilka dni. Żeby miał jeszcze szansę zobaczyć i przytulić swoje dzieci. Powiedzieć im, twarzą w twarz, jak bardzo je kocha.

Sięgnął do schowka. Pogrzebał w nim chwilę, aż wreszcie znalazł przedmiot, którego szukał. Pęk trzech kluczy. Pamiątka z pierwszego razu. Wiedział, że nie powinien jej zachowywać, ale trochę wtedy spanikował. Po prostu zabrał je ze sobą, wrzucił do schowka i z nerwów o nich zapomniał. Odnalazł je przypadkiem po trzech tygodniach, kiedy emocje już opadły. Pomyślał, że jeśli przez ten czas nic się nie stało, nikt ich nie znalazł, to może je zatrzymać. Nie uważał się za osobę przesadną, uznał jednak, że klucze przynoszą mu szczęście. Stały się jego talizmanem. I teraz zacisnął na nich dłoń tak mocno, że ząbki wbiły mu się w skórę. Liczył, że wrócą mu siłę.



Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego pojawił się gniew.

Dlaczego wszystko musiało pójść tak źle? Dlaczego musiało się rozsypać? Dlaczego strzelił do tej dziewczyny? Był taki głupi! Nic dziwnego, że żona chciała od niego odejść! Sam by zostawił takiego imbecyla!

Znowu zaczął się bić po głowie. Raz, drugi, trzeci i kolejny, tak mocno, że nie wiedział, co go bardziej boli – zaciśnięte w pięść dłonie czy czoło.

Ktoś zapukał w okno od strony kierowcy. Spłoszony wyprostował się gwałtownie. Spojrzał w bok, pewien, że ujrzy policyjny patrol i funkcjonariuszy zamierzających go aresztować. Ale tam stała kobieta. Około trzydziestoletnia blondynka o kręconych włosach i mocnym makijażu, którym próbowała ukryć blizny po ospie wietrznej. Przeszła ją zbyt późno, jako nastolatka. Ciężko to przechorowała, trafiła nawet do szpitala. Z powodu tych śladów miała kompleksy, ale niepotrzebnie. Tak naprawdę ledwo je było widać. O tym wszystkim opowiedziała mu, kiedy po raz ostatni była u niego w domu.

Polina. Prosiła, żeby nazywał ją Pola.

Nacisnął przycisk i opuścił szybę. Nachyliła się. Pomimo listopadowych chłodów miała na sobie lekką skórzaną kurteczkę i białą bluzkę z falbankami, które ozdabiały potężny dekolt. Pomiędzy jej piersiami zwisał srebrny krzyżyk.

– Tak właśnie myślałam, że to ty – powiedziała po rosyjsku.

– No i trafiłaś. To ja.

– Wszystko w porządku?

W jej spojrzeniu dostrzegł autentyczną troskę. Nagle zabrakło mu siły, żeby odpowiedzieć. Ledwo był w stanie oddychać.

– Chcesz porozmawiać? – zapytała.

Mocniej zacisnął w dłoni pęk kluczy i to go natychmiast otrzeźwiło. Jakby uderzył w niego piorun. Stało się to, co się stało. Nie mógł zrobić niczego, żeby to zmienić, ale podjął pewne decyzje i powinien się ich

trzymać. Jak prawdziwy mężczyzna. Bo o to chodziło dzisiejszej nocy. Żeby pokazać wszystkim, na co go stać i kim naprawdę jest.

Nagle stał się bardzo świadomy. Poczuł na swojej skórze powiew świeżego powietrza od strony otwartego okna, woń ciężkich, słodkich jak lukier perfum Poli i chłód ukrytego za paskiem spodni pistoletu. Uczucie tęsknoty i bólu ustąpiło podnieceniu. Zrozumiał, że klucze naprawdę są jego talizmanem. Pomogły mu po raz kolejny.

Był mężczyzną, a prawdziwy mężczyzna zawsze kończy to, co rozpoczął.

Uśmiechnął się i nachylił w stronę drzwi od strony pasażera. Otworzył je szeroko mocnym pchnięciem.

– Jasne – powiedział. – Wsiadaj, Pola. Pogadajmy.

– Co właściwie nam to daje? – zapytała podinspektor.

Siedzieli w czwórkę w gabinecie Suchej: Mortka, Zych, Wodecki i szefowa wydziału. Komisarz rozglądał się po pomieszczeniu, w którym kilka lat wcześniej urzędował Andrzejewski. Zmieniło się tutaj. Sucha urządziła pokój po swojemu. Ściany zostały pomalowane na biało. Oprócz godła nie było na nich żadnej ozdoby, obrazu, dyplomu ukończenia szkoleń i kursów, listów z gratulacjami od przełożonych. Niczego. Biurko też było nowe, zaskakująco niewielkie. Za to stało tu sporo szafek wypełnionych po brzegi różnymi segregatorami. Jedyny bardziej osobisty element stanowiła potężna monstera, która zagarnęła dla siebie cały kąt gabinetu, choć bardziej jednak zwracała uwagę doniczka, wielka, wykonana z grubej ceramiki i do tego pomalowana na jaskrawe kolory we wzór przypominający dziecięce rysunki.

– Facet zna arabski – powtórzył Mortka. – Zna go na tyle biegle, że swobodnie rozmawiał z tą dziewczyną. To nie jest język, którego uczysz się w szkole albo dla przyjemności, nie w Polsce. Skoro potrafi się nim posługiwać w takim stopniu, to pewnie używa go w celach zawodowych. Czyli co o nim wiemy? Zna arabski, porusza się białym samochodem terenowym i mieszka gdzieś w okolicach Radości albo Wawra. No to odpalacie komputer i szukacie w Warszawie ludzi, którzy znają arabski.

– Niby jak? – zdziwił się Wodecki. – Jest jakaś specjalna wyszukiwarka językowa? Jakiś rejestr, o którym nie wiem?

– Kto w Warszawie mówi po arabsku? – zapytał Mortka, a potem sam sobie odpowiedział: – Przede wszystkim tłumacze przysięgli. Wrzucasz to w Google, wpisujesz nazwiska i potem sprawdzasz je w Cepiku.

Miał na myśli Centralną Ewidencję Pojazdów i Kierowców, gdzie znajdują się informacje o wszystkich zarejestrowanych samochodach

w kraju.

– Żeby zobaczyć, jakim samochodem jeżdżą – dodał Zych. – Jeśli to biały samochód terenowy...

– To go mamy – przytaknął Mortka. – Zresztą patroli na ulicach powinny rozglądać się za takim wozem.

– Już to robią, ale prawda jest taka, że na ulicy mamy zawstydzająco mało ludzi – wyjaśniła Sucha. – Część z naszych obstawia protesty, część wyjechała na granicę pilnować tam porządku. Ale informacja poszła. Jak tylko zauważą coś podejrzanego, natychmiast dadzą nam znać.

Mortka miał ochotę ją pochwalić, zdał sobie jednak sprawę, że zabrzmiałoby to niestosownie. Minęły czasy, kiedy był jej przełożonym. Teraz była od niego nawet wyższa stopniem. Dlatego postanowił wrócić do przerwanoego wątku.

– Jeśli nie trafimy z tłumaczami, trzeba szukać dalej. Sprawdziłbym uniwersytety, jakieś wydziały arabistyki, orientalistyki, nie wiem, jak to się może nazywać. Większość z nich pewnie podaje na stronie skład kadry. A potem zaczynają się schody. Przychodzą mi do głowy pracownicy ambasad krajów arabskich.

– I sprzedawcy kebabów, nie? On w ogóle może być Arabem? Wtedy mamy przewalone.

– Nie, to nie jest Arab – zaprzeczył Mortka. – Powiedziałyby nam, gdyby tak było. On musi być Polakiem.

– A wiemy w ogóle, jak wygląda? – zapytał Wodecki.

– Mężczyzna, około czterdziestu albo pięćdziesięciu lat. Normalna budowa ciała, normalny wzrost. Brązowe włosy. Żadnych znaków szczególnych.

– Chryste – jęknął Zych. – Ten opis pasuje do połowy mężczyzn w Warszawie. Nie wyciągnęłaś z niej niczego więcej?

– Nie z jej znajomością francuskiego. Musicie znaleźć dla niej tłumacza z arabskiego. Może wtedy uda się stworzyć jakiś portret pamięciowy.

– To chyba najgorszy świadek, jakiego kiedykolwiek mieliśmy. Może ona tylko udaje? Może trzeba ją trochę przycisnąć? – rzucił Zych.

– Nie – powiedziała twardo Sucha. – Nie będziemy marnować czasu. Pracujemy z tym, co mamy. Wodecki, ty siadasz do komputera i sprawdzasz tłumaczy. Jak tylko zaliczysz jakieś trafienie, natychmiast przychodzisz z tym do mnie. Zrozumiałeś?

– Tak.

– To co tu jeszcze robisz?

Wodecki poczerwieniał, skinął energicznie głową, nie wiadomo, czy na pożegnanie, czy w ramach salutu, i pospiesznie opuścił gabinet. Wtedy Sucha wskazała palcem najpierw na Zycha, a potem na Mortkę.

– Wy jedziecie na Grochów. Już wszystko załatwiłam.

– Nie, nie, nie! – zaprotestował komisarz. – Sucha! Wiesz, że nie po to tu przyjechałem! Na dole czeka na nas Gunther. To jest moje dzisiejsze zadanie. To przesłuchanie trzeba przeprowadzić do końca!

– Sytuacja się zmieniła – oznajmiła oschle.

– Niby jak? Bo jakiś facet strzelał do prostytutki na stacji benzynowej?

– A to ci nie wystarczy?

– Sucha, kurwa! Przecież wiedziałaś doskonale, że coś się dzisiaj wydarzy. To jest Warszawa, dwa miliony mieszkańców! A w tym przypadku? – Rozłożył szeroko ręce. – Nawet nikt nie zginął!

Podinspektor wstała zza biurka. Zabębniła palcami o blat. Mortka zauważył, że jej paznokcie są pomalowane na pastelowy beżowy kolor. Nigdy tego nie robiła, kiedy lata temu pracowali razem.

– Powiedz mi, Zych.

– O Kinolu?

– A niby o kim innym?

– To jest dobry pomysł? Wiem, że facet jest policjantem, ale przecież nawet nie pracuje u nas, a tam dopiero...

– Czy ty jesteś naczelnikiem tego wydziału? – przerwała mu ostro Sucha.

– Nie, ale...

– To dlaczego podważasz moje polecenia? – zapytała ostro. – Dlaczego nagle ci się wydaje, że wiesz lepiej ode mnie, co trzeba zrobić?!

Zych zaczął intensywnie drapać się po czole. Chciał ukryć w ten sposób grymas gniewu i fakt, że właśnie zagryzał wargi, żeby nie wyrzucić z siebie przekleństwa. Sucha pochyliła się w jego kierunku. Wbijała w niego natarczywie wzrok, jakby rzucała mu wyzwanie.

– Powiedz mu o Kinolu – rozkazała powtórnie.

Zych przewrócił oczami.

– Kinol, Aleksander Kinolski, lat trzydzieści sześć – zaczął mówić niechętnie. – Zatrzymaliśmy go cztery miesiące temu pod zarzutem zabójstwa. Kinol generalnie jest alfonsem. Członkiem większej grupy, ale dość luźnej i też nie był tam nikim ważnym. Po prostu płacił komu trzeba, żeby móc w spokoju działać.

– Kogo zabił? – zapytał Mortka.

– Jedną ze swoich dziewczyn, obywatelkę Ukrainy. Zastrzelił ją, ciało spakował do bagażnika, a potem pojechał na wysypisko śmieci. Dał w łapę pracującemu tam cieciewi i porzucił ciało, ale nawet niespecjalnie próbował je ukryć. Przykrył tylko jakimś workami. Oczywiście, kiedy znaleziono zwłoki, okazało się, że łapówka nie wystarczyła. Cieciew myślał, że ktoś chce wyrzucić na lewo jakieś syfy, i na to był skłonny przymknąć oko, jednak ciało dwudziestodwuletniej dziewczyny to już zupełnie inna historia. Od razu wszystko wygadał. Do tego doszedł materiał z kamer przemysłowych, które nagrały Kinola, kiedy wjeżdżał i wyjeżdżał z wysypiska, a potem to już trochę roboty operacyjnej i pracy techników z jego samochodem. W bagażniku znaleźliśmy ślady biologiczne ofiary, a na ciele dziewczyny z kolei nitki sztucznej tkaniny, pasującej do wyściółki bagażnika. Trafiony, zatopiony.

– Gdzie jest w takim razie problem? – zapytał Mortka.

– Moim zdaniem, nie ma żadnego problemu – odpowiedział Zych.

Prowokował w ten sposób Suchą. Bo przecież kazała mu opowiedzieć tę historię w jakimś celu i on musiał się już domyślać, w jakim. Facet był zadziorny. Wodecki ewidentnie darzył szefową respektem, nawet się jej bał. Gdyby Sucha kazała mu skakać przez ogień, skoczyłby, zanim zdążyłaby pstryknąć palcami. Z Zychem było inaczej, stawiał się, a Sucha – Mortka znał ją na tyle, żeby być tego pewnym – nie zamierzała na to pozwolić. Już się szykowała, żeby siłą zgiąć mu kark. Nawet jeśli miałyby go przy okazji złamać.

– Jesteś pewien, Zych? – zapytała. – Nic cię w tej sprawie nie niepokoi?

– Nic – mruknął.

– No to kiepsko, kolego. Bo widzisz, tam, gdzie chcesz się przenieść, potrzebują bystrych koleś, uważnych. Takich, którzy potrafią łączyć fakty, dodać dwa do dwóch. A nie takich leniuszków jak ty.

Zych udawał, że drwiący ton Suchoj nie robi na nim wrażenia, ale kiepsko mu to szło. Zdradzały go drgające płatki nosa i błyszczące wściekłością oczy. Niektórzy ludzie nie potrafią maskować swoich emocji, pomyślał Mortka. Policjant najwyraźniej do nich należał.

– No to jak, Zychu? – ciągnęła Sucha. – Na pewno nie ma nic w sprawie Kinola, co po dzisiejszych wydarzeniach nie budziłoby twojego niepokoju? Czegoś, co zwróciłoby twoją uwagę i kazało jeszcze raz przemyśleć wyniki naszego śledztwa?

Policjant uśmiechnął się krzywo. Obrócił się do Mortki.

– Kinol twierdzi, że jest niewinny, że nie zabił tej dziewczyny. Mieszkanie, w którym pracowała, należało do niego. Od kilku dni nie było z nią żadnego kontaktu, poszedł więc tam i znalazł ją martwą na podłodze. Nie wiedział, co powinien zrobić. Nie chciał zawiadomiać policji, poza tym dziewczyna przebywała w kraju nielegalnie. To zapakował ją do bagażnika samochodu i wywiózł na wysypisko.

– Nie uwierzyliście mu?

– Oczywiście, że nie. Ty byś uwierzył?

Mortka pokręcił przecząco głową. Dowody w tej sprawie były oczywiste, a historyjka przedstawiona przez Kinola mało wiarygodna. Ale Sucha do niej wracała, czyli o czymś jeszcze nie wiedział.

– Z jakiej broni strzelano?

– Pistolet, kaliber dziewięć milimetrów. Prawdopodobnie porządna, uczciwa spluwa. Żadne przerabiane w jakimś pokątnym warsztacie gówno – wyjaśnił Zych.

Mortka szybko przeanalizował jego słowa.

– Skoro „prawdopodobnie”, to jej nie znaleźliście – domyślił się. – Kinol jej nie miał?

– Znaleźliśmy u niego w domu nóż, taser, gaz, kastet, a nawet maczetę – włączyła się Sucha. – Ale nie było pistoletu.

– Pozbył się narzędzia zbrodni – rzucił Zych.

– Albo nigdy go nie miał – odpowiedziała. – Podobnie zresztą jak motywu. Dziewczyna nie sprawiała żadnych kłopotów, nie próbowała uciekać, grzecznie mu płaciła. Dlaczego miałby ją zabijać?

– Kiedy go zatrzymywaliśmy, nie miałaś takich wątpliwości.

– Bo wtedy ich nie miałam. Wtedy.

Mortka już rozumiał. Dwie dziewczyny. Obie były prostytutkami. Pierwsza zabita z broni palnej, do drugiej strzelano. Przeżyła, bo uciekła z samochodu. Podobny sposób działania w obu przypadkach.

– Jeden sprawca? – powiedział cicho. – Nie jestem pewien, Sucha. Te dwa przypadki jednak się różnią. Ta pierwsza dziewczyna zginęła u siebie w mieszkaniu. Fatima jechała z tym facetem do jego domu.

Zych najpierw wskazał na Mortkę, a potem zaczął bezgłośnie bić oklaski. Sucha zignorowała tę demonstrację.

– Trzeba porozmawiać z Kinolem – stwierdziła. – Jestem pewna, że nie mówi nam wszystkiego. Ale jeśli tę Ukrainkę zabił ten sam facet, który strzelał do Fatimy, to ma już śmiertelne ofiary na swoim koncie, a teraz jest po prostu wkurzony. Dlatego pojedziecie do Grochowa.

– Gunther – przypomniał Mortka.



– Sytuacja się zmieniła. Zwolnię go i najwyżej wezwiemy go ponownie w innym terminie.

– Nie! – zaprotestował komisarz. – Nie możesz go wypuścić. Trzeba kontynuować to przesłuchanie. Dzisiaj w nocy. Teraz!

– Co ty właściwie chcesz w ten sposób osiągnąć?

– Wiesz, że w jego zeznaniu są luki.

– Aha. Drzwi, które raz są zamknięte, a raz otwarte. Pytałam go o to. Trzyma się swojej wersji. I może faktycznie tak było. Może pomiędzy wyjściem z domu sąsiada Kota a pojawieniem się Gunthera na klatkę wszedł ktoś jeszcze. Ktoś, kto otworzył te drzwi.

– Kto?

– Nie mam pojęcia, ale to nieważne – powiedziała Sucha. – Ważne jest to, że teraz po ulicach Warszawy jeździ jakiś szaleniec z naładowaną bronią, który próbował już zabić jedną dziewczynę i pewnie spróbuje zabić kolejną. Chyba że dowiemy się, kto to jest, i go powstrzymamy.

– Już ci w tej sprawie pomogłem.

– Super. Jestem wdzięczna. Ale nie złapaliśmy jeszcze tego faceta, prawda? Dlatego pojedziecie do Grochowa.

Mortka pokręcił z niedowierzaniem głową. Czuł się tak, jakby właśnie na barki spadło mu coś ciężkiego. Coś, co przygniatało go do ziemi. Wiedział, że nie może na to pozwolić, że musi ustać. Bo jeśli upadnie, to nigdy już nie znajdzie w sobie dość siły, żeby się podnieść.

– Nie pojedę do żadnego Grochowa – oznajmił przez zaciśnięte zęby. – Nie pracuję u ciebie w wydziale. Nie jesteś moją szefową. Nie możesz mi wydawać żadnych poleceń.

– To nie wezwiemy już na przesłuchanie Gunthera.

– I co z tego?! – wykrzyknął. – Przecież kiedy przyjdzie tutaj następnym razem, za dzień, dwa, trzy, będzie już przygotowany! Wszystko sobie ułoży! To jest ten moment, Sucha, kiedy możemy go przycisnąć i wydusić prawdę na temat tamtego poranka! Właśnie teraz! Jeśli go wypuścisz, jeśli pozwolisz mu odejść, to przegramy!

– Znalazłam się w krytycznej sytuacji. Mam mało ludzi. Potrzebuję twojej pomocy.

Długo mierzyli się spojrzeniami. Mortka zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu. Kiedy właściwie ostatni raz widział się z Suchą? Pięć lat temu? Może sześć? To było krótkie, przypadkowe spotkanie na jakiejś konferencji w komendzie głównej, a potem szybka kawa pomiędzy referatami. Przecież tak naprawdę zupełnie jej nie znał. Nie wiedział, jaką teraz była osobą i co było dla niej ważne. Najpierw zdecydowała się mu pomóc, ale teraz go porzucała, chociaż wiedziała, dlaczego on tu jest i o co naprawdę walczy.

– Jeszcze jedna rozmowa – oznajmiła nieoczekiwanie. – Przeprowadzimy z Guntherem jeszcze jedną rozmowę, a potem będę musiała go puścić. Przepraszam, ale i tak mocno naciągam dla ciebie wszystkie możliwe zasady. W zamian odwiedzisz z Zychem zakład na Grochowie. Porozmawiasz z Kinolem.

– Nie potrzebuję pomocy – odezwał się Zych.

– Kurwa, Zych! – wrzasnęła. – Wszystko, co wiemy na temat potencjalnego sprawcy, wiemy dzięki temu facetowi! – Wskazała na Mortkę. – Każdy trop, który mamy, mamy dzięki niemu! Dlatego jak mówię, że jedzie z tobą na Grochów, to jedzie! Jasne?

Policjant przełknął ślinę. Nagle dotarło do niego, że nie ma sensu spierać się z szefową. Nie skończyłoby się to dla niego dobrze.

– Mamy umowę? – zapytała Sucha, kiedy się uspokoiła.

– Mamy umowę – potwierdził Mortka. – Jedna rozmowa z Guntherem i pojedę do tego Kinola. Ale zanim pójdziemy do pokoju przesłuchań, muszę wykonać jeden telefon.

– Tylko się pospiesz. Nasz facet właśnie jeździ po Warszawie i szuka kolejnej dziewczyny. I kto wie, może już ją znalazł.

– Tak musi wyglądać na wojnie.

Mortka przyciskał telefon do ucha tak mocno, że aż go bolało. Po raz pierwszy słyszał w głosie swojego ojca strach. Był jednym z tych lekarzy, którzy pomiędzy sobą a świadomością tego, co się dzieje w pracy, zbudowali gruby mur. Nieczuły, gburowaty, nie angażował się emocjonalnie w leczenie pacjentów, traktował ich jak przedmioty do naprawienia. A jeśli się nie da, to trudno. Nie ma przecież ludzi niezastąpionych. Znał też te wszystkie lekarskie dowcipy i opowiadał je na rodzinnych spotkaniach, z lubością obserwując obrzydzenie pojawiające się na twarzy reszty gości. Co to jest: niebieskie i pełne cycków? Worek na odpady na onkologii.

A teraz się bał.

– Przywieźli nam kobietę. Przez kilka godzin wozili ją w karetkce po całym województwie, zanim znaleźli miejsce. Młoda, czterdzieści lat. Dwójka dzieci, w tym podobno sześciolatka. Od razu zapakowaliśmy ją pod respirator.

– Czyli przeżyła.

W słuchawce zapadła cisza, a potem ojciec chrząknął, jakby walczył o to, żeby w ogóle wydobyć z siebie głos.

– Spod respiratora się nie wychodzi, Kuba.

Mortka skinął głową i dopiero po chwili dotarło do niego, że on nie mógł tego wiedzieć. Pomyślał, że ojciec brzmi dziwnie, jakby był słaby, wyczerpany. Z chęcią powiedziałby mu, żeby poszedł się położyć i odpoczął, ale nie miało to sensu. Ojciec był uparty, nikogo nie słuchał. Nawet swojej żony. Dopóki sam nie zdecyduje, że trzeba skończyć, będzie trwał przy pacjentach.

– Cały czas szukamy miejsca dla ludzi – kontynuował. – Teraz zrobiliśmy oddział w garażu. Wyprowadziliśmy wszystkie karetki. Posprzątaaliśmy, wywietrzyliśmy, wsadziliśmy łóżka, cały sprzęt, butle z tlenem. Naprawdę dobrze się wszyscy spisali. Stałem tam, patrzyłem i byłem naprawdę z nas dumny. A wtedy taka młoda lekarka... młoda, co ja mówię, też po czterdziestce, tyle że teraz lekarze po czterdziestce są młodzi, no więc ona w pewnym momencie zgięła się wpół, jakby ktoś ją uderzył, i zaczęła płakać. Cała była czerwona na twarzy, łzy leciały jej po policzkach, z trudem łapała oddech.

– Co się stało?

– No właśnie. Kiedy się trochę uspokoiła, zapytałem ją o to samo, a ona pokazała mi te wszystkie szpitalne łóżka przed nami i powiedziała: „Patrz, będziemy trzymać pacjentów w garażu”. I, kurwa, miała rację, Kuba. Tak właśnie teraz jest. Trzymamy ludzi w cholernym garażu.

Ojciec pociągnął nosem.

– A jak jest u was? – zapytał, zmieniając temat.

Mortka przez chwilę zastanawiał się, co powinien powiedzieć. W Holandię też uderzyła druga fala. Wiosną notowali około tysiąca przypadków dziennie, teraz było ich dziesięć, a nawet jedenaście tysięcy. W kraju zamieszkanym przez siedemnaście i pół miliona ludzi. Ale przecież nie chodziło o to, żeby się licytować, u kogo jest gorzej. Mortka nie chciał, żeby ojciec się o niego martwił.

– Spokojnie. Pracujemy zdalnie, na ile to tylko możliwe.

– Czyli mógłbyś to robić z Warszawy?

– Nie do końca. Wiesz, jak jest. Pracujemy z wrażliwymi danymi, tajnymi dokumentami. Nie wszystko da się puścić otwartym internetem. Lepiej być jednak na miejscu.

– Może to i dobrze – odparł głucho ojciec. – Przynajmniej trafisz do szpitala w rozsądnym terminie. W sumie chłopaki mogliby do ciebie przyjechać i tam to przeczekać.

– Młodych to przecież nie tyka.

– Bywa różnie – mruknął ojciec do słuchawki i Mortka wyczuł, że nie chce kontynuować tematu. Zresztą on sam też nie chciał wiedzieć. Nic by mu to nie dało.

– Holendrzy generalnie poważnie podchodzą do przestrzegania zasad – zaczął. – Wiesz, oni są trochę jak Niemcy. Ale nie mów nikomu, że tak powiedziałem, bo mnie zabiją.

– A co? Też nie lubią szkopów?

– Nienawidzą, tato. Może jeszcze bardziej niż my.

Ojciec zaśmiał się krótko do słuchawki. To był przyjemny dźwięk. Mortka poczuł się tak, jakby właśnie wykonał dobry uczynek.

– Rzecz w tym, że robią tylko to, co im się każe, ale nic więcej. Rozumiesz? – ciągnął.

– Chyba.

– Jest zakaz organizowania zgromadzeń dla osób dorosłych.

– W Polsce tak samo.

– Właśnie. Ale dzieci to nie dorośli, dlatego nikt nie ma problemów, żeby zrobić dzieciakom urodziny. I zjeżdżają się na nie z połowy kraju. Rodzice oczywiście nie wchodzą, bo zakaz. Czekają w samochodach, każdy w swoim, aż to się skończy. A na takim kinder party wymiana wirusów aż huczy.

Celowo przesadzał w tym opisie, ale zależało mu na tym, żeby jeszcze raz rozbawić ojca. Udało mu się, bo usłyszał chichot po drugiej stronie.

– Albo całe miasto pokryli graffiti. Wiesz, wszędzie, gdzie tylko można, namalowali znaki, żeby trzymać dystans. A najlepsze jest to, że na ziemi, na peronach dali takie duże naklejki, żeby nosić maseczki. Jest tam prosty rysunek faceta ze szmatą na twarzy. I jak się na niego popatrzy pod odpowiednim kątem, wygląda tak, jakby ze spodni wystawał mu sterczący penis.

– Poważnie? – prychnął ojciec.

– No.

– I co z tym zrobili?

- Nic. Do teraz są na peronach.
- U nas już dawno by je usunęli. Żeby dzieci nie gorszyć.
- Tutaj się tym najwyraźniej nie przejmują.
- Wiadomo. Holandia.

Odsunął trochę telefon i od razu poczuł, jak ucho mu pulsuje. Pomyślał, że mógłby przejść na głośnomówiący, ale nie lubił prowadzić rozmów w ten sposób. Mimo że był sam w mieszkaniu, czułby się tak, jakby ktoś ich podsłuchiwał.

- Testujesz się? – zapytał ojciec.

Tym razem to Mortka się roześmiał.

– To twoje „testujesz się” zabrzmiało trochę tak, jakbyś się bał, że złapię jakąś chorobę weneryczną. Spokojnie, tato, dobrze się prowadzę.

- No ja mam nadzieję. Ale wiesz, o co mi chodzi. Testujesz się?

Przypomniał mu się od razu ten wielki biały namiot, który postawiono na parkingu niedaleko jego pracy. Wjeżdżało się tam samochodem albo, jak to Holendrzy, rowerem. W środku czekał już personel w białym ochronnym stroju i maskach na twarzy, żeby pobrać wymaz. Wyglądało to wszystko jak jakaś upiorna fabryka i kojarzyło się jednoznacznie z filmami katastroficznymi.

- Tak – odpowiedział. – Dość regularnie.
- Jakby coś się działo, to dasz znać?
- Oczywiście.

Sam nie był pewien, czy w tym momencie kłamał, czy mówił prawdę. Znajdował się ponad tysiąc kilometrów od domu. Gdyby zachorował, i tak nie mógłby liczyć na to, że ktoś do niego przyjedzie. Zresztą po co? Żeby samemu się zarazić? Mógł tylko liczyć na holenderską służbę zdrowia i znajomych z pracy, że podrzucą mu najpotrzebniejsze zakupy pod drzwi. Ale czy nie chciałby, żeby bliscy w Polsce wiedzieli? Na wszelki wypadek, gdyby wydarzyło się najgorsze, chociaż odrzucał tę myśl, mówiąc sobie, że jest ciągle młody i względnie zdrowy. Młody, względnie zdrowy. Często to powtarzał, żeby się uspokoić, a potem przypominał sobie, że Louis był od

niego młodszy o kilka lat i potrafił pokonać czterdzieści dwa kilometry w czasie poniżej czterech godzin. Najwyraźniej na covidą to za mało.

– Jak mama? – zapytał, czując, że głowa zaczyna go ćmić.

– Tak sobie. Denerwuje się. Tłumaczę jej, że nie ma czym, ale znasz matkę. Zawsze robi z igły widły.

Mortka już chciał mu przypomnieć, co przed chwilą sam opowiadał: że w szpitalu jest jak na wojnie, trzymają pacjentów w garażach, a spod respiratora się nie wychodzi. Ale ugryzł się w język.

– Zresztą rzadko się widzujemy – kontynuował ojciec. – Mam dużo roboty, a poza tym staram się jak najrzadziej bywać w domu. Żeby jej tego syfa nie przynieść. Są niby stroje ochronne, maski i zabezpieczenia, ale jest, jak jest. Zadzwońbyś do niej.

– Zadzwonię – obiecał.

– To trzymaj się, Kuba – rzucił i rozłączył się, zanim ten zdążył mu odpowiedzieć.

Gadali przez kilkanaście minut. Mortka miał wrażenie, że ojciec otworzył się przed nim, jak jeszcze nigdy. Musiał z kimś porozmawiać, wyrzucić z siebie swoje obawy, wszystko to, co widział i co spodziewał się jeszcze zobaczyć. Podzielić się swoim strachem. Nie mógł tego zrobić z żoną, bo nie chciał jej tym obarczać, wybrał więc syna. A rozmowę zakończył tak, jakby zadzwonił tylko po to, żeby przypomnieć mu o rachunku za prąd. Cały ojciec.

Stał, wpatrzony w swoje odbicie w oknie. Ucho go piekło, więc delikatnie pomasaował je palcami. W drugiej dłoni trzymał telefon. Wydawało mu się, że komórka jest dużo cięższa niż zazwyczaj. W sumie, nie był pewien, ile jeszcze będzie w stanie ją utrzymać.

– Chcę adwokata – powiedział Gunther, kiedy Sucha po raz kolejny weszła do pokoju przesłuchań.

Mężczyzna z trudem potrafił usiedzieć na krześle. Podskakiwał na nim raz po raz, jakby go parzyło, i zaciskał palce na jego krawędziach tak mocno, że można było dostrzec pobielające kłykcie.

– Nie ma problemu – odpowiedziała flegmatycznie.

Zajęła miejsce po drugiej stronie stołu i położyła przed sobą papierową teczkę. Jej ruchy były powolne i ospałe. Na koniec demonstracyjnie zerknęła na zawieszony na ścianie zegar i westchnęła ciężko, jakby nagle spotkało ją w życiu straszne rozczarowanie.

– Tylko wie pan, która godzina? – rzuciła. – Ma pan już kogoś? Nawet jeśli tak, to zanim pan do niego zadzwoni, zanim z nim porozmawia, zanim on tutaj przyjedzie... Przecież miną wieki, a ja bardzo, bardzo chciałabym już iść do domu.

– Ja też! – warknął mężczyzna.

– W takim razie pomóżmy sobie nawzajem! Poza tym jest pan pewien, że potrzebuje pan adwokata?

– Czepiła się pani tych otwartych drzwi.

Sucha machnęła lekceważąco ręką.

– Szczegół – stwierdziła. – W naszej pracy nigdy nie ma tak, żeby się wszystko zgadzało, a pytać o te pierdoły trzeba. Sama nie wiem po co, ale sam pan rozumie: prokuratura.

Wzruszyła ramionami, dając wyraźnie do zrozumienia, że wszystko, co się do tej pory wydarzyło, działo się nie z jej winy. Że ktoś inny o tym zdecydował, a oni oboje są ofiarami prawniczej biurokracji i jadą na



jednym wózku. Siedzący naprzeciwko mężczyzna zmrużył podejrzliwie powieki, ale widząc lekki uśmiech na twarzy policjantki, odprężył się.

– Czyli to wszystko? – zapytał. – Mogę już iść?

Spojrzała na niego przepaszająco.

– Tego niestety nie powiedziałam. Została nam jeszcze tylko jedna sprawa... Proszę chwilkę jeszcze...

Zaczęła siłować się z wiązaniem papierowej teczki. Poradzenie sobie z prostym węzłem zajęło jej zdecydowanie zbyt dużo czasu. Gunther śledził jej zmagania z rosnącym niedowierzaniem. W pewnym momencie zrobił gest, jakby chciał jej wyrwać teczkę i samemu ją otworzyć, ale powstrzymał się. Ramiona bezwładnie opadły mu wzdłuż ciała, a on nagle wydał się zrezygnowany i pogodzony z tym, że spędzi tu jeszcze dużo czasu. I właśnie wtedy policjantka rozwiązała węzeł. Otworzyła teczkę i wyjęła z niej kilka gęsto zadrukowanych kartek.

– Ruch LGBT to neomarksistowska zaraza, która ze Wschodu przeniosła się na Zachód, tam rozkwitła, a teraz wraca do nas ze zdwojoną siłą – zaczęła czytać. – To esencjonalne zagrożenie dla spójności, tożsamości i przyszłości narodu polskiego... – Sucha spojrzała na niego. – Pan wie, kto to napisał?

Gunther zeszywniał, jakby jego ciało powoli, od stóp aż do ramion, zmieniało się w kamień.

– Nie wiem – odpowiedział po chwili. – Nie rozpoznaję autora tych słów. Na pewno nie jest to tekst akademicki. Brzmi jak jakiś felieton lub nawet komentarz w internecie. Pod jakimś artykułem lub dyskusją na Facebooku. Natomiast, bo chyba wiem, do czego pani zmierza, tak: są to słowa, pod którymi mógłbym się podpisać.

– A to bardzo dobrze – ucieszyła się Sucha. – Bo to właśnie pan je napisał. Na Facebooku. A przynajmniej zostały opublikowane z pańskiego konta. Pan sam je prowadzi?

– Tak.

– I nie ma możliwości, żeby ktokolwiek inny się pod pana podszywał?

– Nie ma! Ale o tym teraz chce pani ze mną rozmawiać? – zdenerwował się Gunther. – O tym, co napisałem kiedyś w internecie? Będzie mi pani wyciągać jakieś nieistotne opinie na temat homoseksualistów, ekologów i feministek?! A może coś na prezydenta Warszawy jeszcze mi pani wyciągnie? Bo wydaje mi się, że napisałem kilka soczystych komentarzy na temat tego dyletanta, który nawet głównem nie potrafi się zająć!

– Homoseksualiści i cała reszta tej sfory to są nasi wrogowie. A do wrogów się strzela, a nie wchodzi z nimi w dyskusję – przeczytała Sucha, nie zwracając uwagi na wybuch mężczyzny.

Gunther poczerwieniał, po czym ze świstem wypuścił powietrze z płuc. Przez moment po prostu siedział z przymkniętymi oczami, próbując się uspokoić.

– To też ja? – zapytał wreszcie.

– Nie wie pan?

Pokręcił przecząco głową.

– To dziwne – stwierdziła policjantka, wysoko unosząc brwi w wyrazie zaskoczenia. – Zaproponował pan, żeby strzelać do całej grupy społecznej, i nawet tego nie pamięta. Często pan rzuca takie teksty? Często proponuje pan, żeby zabijać innych ludzi?

Gunther prychnął i pokręcił głową w geście udawanego niedowierzania.

– Chce mnie pani wyprowadzić z równowagi. Dobrze, dobrze, zagram w tę grę. I wie pani co? Myślałem, że jest pani mądrzejsza – dodał. – Na tym właśnie polega problem z wami.

– Z nami?

– No cóż, przyznam szczerze, że nie bardzo teraz wiem, jak zdefiniować ten zbiór. Najczęściej jego granicę określa wiek i zaliczałem do niego ludzi młodych, na przykład moich studentów. Nie wszystkich oczywiście, to pewna publicystyczna generalizacja, ale domyśla się pani, o co mi chodzi?

– Wydaje mi się, że tak.

– Pani jednak – ciągnął Gunther – proszę tego nie uważać za przytyk, tylko za stwierdzenie pewnego faktu, nie zalicza się do tej samej grupy

wiekowej, co moi studenci. A jednak popełnia pani ten sam błąd: traktuje wszystko dosłownie.

– Czyli stwierdzenie, że do homoseksualistów należy strzelać, to... metafora? Dobrze pana rozumiem?

– To stwierdzenie padło w określonym miejscu, w określonym kontekście i było skierowane do określonego grona osób. Rozmowa w internecie dopuszcza swobodniejszy język i skrótowość myśli, pewną dosadność. To, co raziłoby w dyskusji na żywo, oko w oko, tutaj jest jak najbardziej dopuszczalne. Kontekstem tej rozmowy były działania lobby LGBT, działania nieprzyjazne w stosunku do Polski, które realnie nam szkodzą w warstwie wizerunkowej na arenie międzynarodowej. Działania notabene niesprawiedliwe. Określenie „wrogowie” nawiązuje oczywiście do filozofii politycznej Carla Schmitta. To podkreślenie faktu, że z przedstawicielami lobby LGBT nie ma co rozmawiać, dyskutować, próbować przekonać do naszych racji czy nawet szukać kompromisu. Bo oni są totalistami. Rozgrywka z nimi to gra o sumie zerowej, gdzie wygrywamy albo my, albo oni. Dlatego trzeba ich odróżniać nie tylko od naszych sojuszników, ale nawet od naszych przeciwników, gdzie jako przeciwnika definiujemy kogoś co prawda po drugiej stronie barykady, ale z kim można się spierać w nadziei na polubowne rozwiązanie konfliktu. I tutaj oczywiście strzelania nie traktujemy dosłownie jako strzelania do homoseksualistów, ale jako działania obronne, które powinniśmy podjąć na arenie międzynarodowej. I wreszcie te słowa, jeśli faktycznie ja je napisałem, ale załóżmy, że tak, kierowałem do określonej grupy osób. Osób, które znam, cenię i o których wiem, że w przeciwieństwie do pani wyczują i rozumieją wszystkie te niuanse, o których właśnie opowiedziałem.

– Powinni go wziąć i powiesić na tym znaku – przeczytała Sucha, kiedy tylko zakończył swój wykład.

Mężczyzna pobladł.

– Pan wie, o kim i kiedy to napisał?

– Tak.

– W takim razie zna pan też pewnie to określone miejsce, określony kontekst i określoną grupę osób, do których kierował pan te słowa. Myśli pan, że mógłby mi wyjaśnić swoją wypowiedź? Bo pan wie, ja jestem tylko prostą policjantką i wydaje mi się, iż pisząc te słowa, sugeruje pan, że pewien aktywista, który przy wjeździe do pewnych miast wieszał znaki „Strefa wolna od LGBT”, powinien zostać na tych samych znakach powieszony – dodała. – A może się mylę? Może nie zrozumiałam kolejnej subtelnej metafory?

Gunther zaczął nerwowo gładzić wąsy, rozglądając się po pokoju przesłuchań. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze weneckim, jakby po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że ktoś może być po drugiej stronie i go obserwować.

– Do czego pani zmierza? – zapytał drżącym głosem. – Przyznałem już, że nie lubię homoseksualistów. Jak wielu Polaków, nie uległem tej netflixowej modzie na afirmację zbrodni. I jak wielu Polaków, udzielam się w internecie. I tak, przyznaję, że czasami piszę tam rzeczy, których nie powinienem pisać. Ale to jeszcze nie znaczy, że... Właściwie co? Podejrzewacie, że z powodu tego, co kiedyś napisałem, tych kilku słów, zrobiłem coś Kotowi? Tylko dlatego, że był homoseksualistą?

– A zrobił pan?

– Nie! – wykrzyknął i zaraz dodał, ciszej, choć wciąż podniesionym głosem: – Ale żałuję teraz, że go znalazłem. Gdybym nie pomyślał, że może potrzebuje pomocy, gdybym po prostu minął te drzwi, tobyście mnie nie męczyli, prawda? A tak? Zabity homoseksualista, sąsiad homofob. Wszystko do siebie pasuje.

– Nikt tego nie sugeruje – odparła podinspektor.

– A jednak siedzę tu kolejną godzinę.

Sucha powtórnie podniosła leżące przed nią kartki. Prześlizgiwała się wzrokiem po liniijkach tekstu, szukając najwyraźniej następnego cytatu, którym mogłaby uderzyć w Gunthera. Ale nagle zmieniła zdanie. Odłożyła papiery do teczki, zamknęła ją i przesunęła na bok stołu. Złożyła dłonie

w piramidkę. Potem odwróciła głowę w stronę lustra weneckiego. Żarówka nad nimi zamrugała dwa razy, jakby wysyłała im jakieś znaki.

– Wydaje mi się, że skończyliśmy – oznajmiła policjantka po kilkunastu sekundach milczenia.

– Na dzisiaj?

– W ogóle.

– Czyli mogę iść?

– Tak – potwierdziła. – Bardzo dziękuję za poświęcony nam czas. I przepraszam, że tyle to zajęło.

Gunther powoli wstał, wpatrując się niepewnie w Suchą. Dopiero kiedy się wyprostował, a ona nic nie zrobiła, pozwolił sobie na swobodniejszy oddech. Wytarł spoczone dłonie w spodnie i wyciągnął do niej rękę na pożegnanie.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi od pokoju przesłuchań i do środka wsunęła się głowa Wodeckiego.

– Pani naczelniczko? – odezwał się policjant nieśmiało.

Sucha posłała mu przez ramię pytające spojrzenie. Tymczasem Gunther, nie doczekawszy się reakcji z jej strony, opuścił rękę i ruszył do wyjścia. Nie zdołał jednak przekroczyć progu, bo drzwi otworzyły się szerzej, a Wodecki powstrzymał go, kładąc mu otwartą dłoń na ramieniu.

– Pan jeszcze tutaj zostanie – oznajmił.

– Ale ta pani powiedziała, że mogę już wyjść – zaprotestował Gunther. – Że skończyliśmy.

– To prawda – potwierdziła Sucha. – Wypuść go.

– Nie mogę, proszę pani.

Podinspektor podeszła do obu mężczyzn. Funkcjonariusz przestąpił z nogi na nogę i wyglądał przez chwilę jak uczeń, który czeka na burę od nauczycielki.

– Pojawiły się nowe okoliczności, pani naczelniczko – powiedział. – I najwyraźniej mamy problem.

Szło im zaskakująco dobrze. Chłopaki jak chłopaki, ale on rozgrywał mecz życia. Zdecydowali się skakać na więzienie – potężny wielopoziomowy budynek, przypominający średniowieczną twierdzę. Znajdował się w południowo-wschodnim rogu mapy, w popularnym miejscu rozpoczynania gry. Tym razem jednak samolot przelatywał z daleka od niego, mieli więc nadzieję, że wyląduje jeszcze jeden, góra dwa teamy.

– Kurwa, jakiś spoceniec do mnie strzela! – krzyknął zaraz po wyskoczeniu z samolotu Jacek. – Jacy napaleni...

Mortka słuchał go jednym uchem. Mieli do pokonania ponad tysiąc metrów, więc koncentrował się na tym, żeby w odpowiednich momentach rozkładać i składać spadochron. Dzięki temu poruszał się w miarę szybko i równocześnie nie tracił za dużo wysokości, ale i tak nie trafił tam, gdzie chciał. Zamierzał wylądować na blankach więzienia, zamiast tego jednak leciał wprost na mury. Skręcił mocno w lewo.

– Idę dołem – powiedział do słuchawki.

– Masz towarzystwo – odpowiedział mu Michał.

Rzeczywiście, Mortka zauważył, jak do dużej rury kanalizacyjnej, którą wchodziło się do podziemi więzienia, wbiega właśnie żołnierz z przeciwnej drużyny. Normalnie policjant by się wycofał, ale teraz już lądował tuż przed samą rurą. Niewiele myśląc, pobiegł za przeciwnikiem, mając nadzieję, że zaskoczy go i strzeli mu w plecy.

Pokonał wąski, skręcający w lewo korytarz i wybiegł na okrągłą arenę, ze wszystkich stron otoczoną piętrami, gdzie znajdowały się więzienne cele. Drugi żołnierz był kilkanaście metrów przed nim. Mortka wymierzył z pistoletu i strzelił. Tamten tymczasem zdążył otworzyć skrzynkę ze sprzętem, która leżała na ziemi. Wyciągnął z niej ręczny karabin maszynowy, odwrócił się do Mortki i zaczął w niego pruć. Komisarz

wiedział, że nie ma szans w tym pojedynku, więc popędził na wroga, bo nie widział innej możliwości. Zrobił wślizg. Pierwsze pociski jakimś cudem go ominęły, kolejne już nie. Zdążył jednak dotrzeć do żołnierza. Uderzył go raz i drugi kolbą pistoletu i ku swojemu zdumieniu zorientował się, że tamten padł na ziemię, a on sam ciągle stoi.

Usłyszał za sobą kroki. Podniósł błyskawicznie białego stonera 63. To była kiepska broń, bez żadnych ulepszeń, a poza tym nie przepadał za RKM-ami, ale i tak lepsza niż startowy pistolet. Odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć wyłaniającego się z korytarza kolejnego przeciwnika. Wycelował i strzelił. Facet padł po kilku trafieniach.

– Dwaj powaleni – rzucił do słuchawki.

Cały czas celował w wejście do podziemi, na wypadek, gdyby wszedł nim kolejny przeciwnik. Kiedy po kilku sekundach nic się nie stało, dobił dwóch rannych żołnierzy. Usłyszał ich przekleństwa w swoich słuchawkach i mimowolnie się uśmiechnął.

– Dwóch nie ma – powiedział. – Włosi.

– Włosi zawsze najpiękniej się wkurwiają – rzucił Jacek.

– No. Jeden właśnie nazwał mnie *fottuto imbroglione*.

– Co to znaczy?

– Nie mam pojęcia. Zbieram rzeczy na dole i lecę do was.

– Ja załatwiłem jednego na blankach – powiedział Michał.

– Czwarty próbował nam zajebać helkę, ale go załatwiłem – dorzucił Andrzej.

Helka, czyli helikopter, których w grze było kilka, stała właśnie na dziedzińcu więzienia.

– A Jacek?

– W gułagu, ale zaraz do was wracam – usłyszeli jego głos. – Nie, kurwa, jednak nie wracam.

Gułag był miejscem, gdzie gracze trafiali po pierwszym zgonie. Rozgrywali tam walkę jeden na jednego z innym, niedawno zabitym przeciwnikiem. Jeśli wygrywali, wracali do gry. Jeśli przegrywali, byli

wyłaczeni do końca rozgrywki. Chyba że reszta zespołu wykupowała ich za zdobyte w grze pieniądze.

Mortka poczuł ukłucie dumy. Jacek był niewątpliwie najlepszy z nich wszystkich. Zawsze zabijał najwięcej przeciwników i zdobywał najwięcej punktów. Tym razem jednak poległ, a policjant miał na swoim koncie dwie ofiary. Co więcej, Jacek przegrał w gułagu, więc musieli go wykupić, co okazało się jeszcze bardziej satysfakcjonujące.

W tym czasie zdołali zebrać pieniądze, kupić sprzęt, wykonać trzy kontrakty, dzięki czemu dostali jeszcze więcej punktów i pieniędzy. Mortka zabił też kolejnego przeciwnika. Facet prawdopodobnie wracał z gułagu, bo nie miał żadnej broni poza startową i z jakiegoś powodu pomyślał, że lądowanie na więzieniu to dobry pomysł. Zginął, zanim dosięgnął ziemi. Tym razem w słuchawkach Mortka usłyszał soczyste *Scheisse*.

Potem wsiedli do helikoptera i polecili na Nakatomi Plaza, wysoki budynek, wzorowany na wieżowcu z filmu *Szklana pułapka*. Wcześniej zajął go niepełny, bo trzyosobowy zespół. Jeden z tamtych graczy zginął, kiedy wylądował na nim helikopter. Dwóch pozostałych udało im się pokonać, ale walka była ciężka i niewiele brakowało, by polegli.

W Nakatomi Plaza spędzili sporo czasu, Michał pilnował tyłów, Mortka chwilę powłóczył się po budynku i znalazł dwie skrzynki, które pominęli ich poprzednicy. Znaleźli też kontrakt *Most wanted*. Polegał on na tym, że przez kilka minut wszystkie drużyny mogły zdobyć punkty, jeśli zabiły osobę, która wzięła to zadanie. Wszyscy też wiedzieli, gdzie ta osoba się znajduje. Michał zdecydował się go podnieść. Ale przez ten czas, kiedy teoretycznie wszyscy na nich polowali, niewiele się zdarzyło. Andrzej z Jackiem siedzieli ze snajperkami i strzelali do ludzi znajdujących się w budynkach poniżej. Budynek Nakatomi Plaza próbowała szturmować jeszcze jedna grupa, ale po położeniu trzech osób z teamu jedyni ocalały członek zespołu zdecydował się wycofać.

Byli obkupieni, mieli prawie cały potrzebny sprzęt i pancerze, polecili więc na pobliskie wzgórze, gdzie wylądowała skrzynka ze sprzętem dla nich. Oprócz tego znajdowały się tam też pakunki przygotowane dla dwóch



innych teamów. Zdołali zebrać swój ekwipunek i wtedy pojawiły się inne drużyny. Szybko uznali, że nie mają wielkich szans i w ostatniej chwili udało im się wycofać do helikoptera i uciec.

Polecieli do kopalni, która znajdowała się z kolei na zachodnim krańcu mapy. Spodziewali się, że tam będzie ostatnia bezpieczna strefa. Na miejscu zostawili helikopter, był podziurawiony i zniszczony po ostatnim starciu. Jeszcze kilka trafień i wybuchłby z nimi w środku. W budynku kopalni znaleźli trochę pieniędzy, amunicji i skrzynkę z pancierzami. Natychmiast je uzupełnili i podzielili zapasy, a potem pozostało im już tylko czekanie, bo gaz szedł w ich stronę. Skoro znajdowali się w bezpiecznym miejscu, inni gracze będą w końcu zmuszeni szturmować ich pozycję. Trudno wyobrazić sobie lepsze miejsce na koniec gry.

I faktycznie przez większość czasu wszystko szło tak, jak sobie zaplanowali. W ich stronę zmierzały kolejne zespoły graczy. Najczęściej walili do nich z dystansu, korzystając z karabinów snajperskich. Co pewien czas Jacek z Michałem lub Andrzejem wyskakiwali z budynku i lecieli między drzewa, żeby zmierzyć się z przeciwnikami w bezpośrednim starciu. Mortka nigdy się na to nie zdecydował, chował się w budynku i tylko czasami wyglądał przez okna, szukając kolejnych celów. Ale i tak zabił dwóch graczy.

Szczyście przestało im sprzyjać przy ostatniej strefie, tuż obok budynku kopalni. Obejmowała swoim zasięgiem stromą górę oraz biegnący przez nią tunel. Musieli przebiec kilkadziesiąt metrów, gdy wokół nich roіło się od innych graczy.

– Panowie – odezwał się Jacek. – Wszyscy mamy maski przeciwgazowe, tak? Czekamy, aż przyjdzie gaz. Po dwóch, trzech sekundach wyskakujemy. Jasne?

Potwierdzili. Przez okna budynku widzieli mijające ich teamy, ale nie angażowali się w walkę. Wkrótce wszystko zatoneło w musztardowej mgle. Wtedy wybiegli. Mortka dostrzegł po swojej prawej stronie jakiegoś przeciwnika. Strzelił i powalił go na ziemię. Usłyszał wkurzone „kurwa” w słuchawkach. Zabił więc Polaka.

Na ekranie telewizora pojawiła się wielka rysa. To maska przeciwgazowa pękała. Jeszcze chwila i Mortka straciłby ochronę przed gazem. Przyspieszył. Nie miał szans wspiąć się na wzgórze. Ściany były za strome.

– Biegnę do tunelu – poinformował resztę drużyny.

– Tato! Chowaj się! – usłyszał w słuchawce głos Andrzeja.

Nie zrobił tego. Adrenalina szalała mu w żyłach. Ledwo zarejestrował to, co powiedział syn. Cyferki na górze ekranu informowały, że pozostały tylko trzy teamy, ledwo paru graczy. Byli tak blisko zwycięstwa!

Wskoczył do tunelu. Domyślał się, że są tam już inni gracze, dlatego rzucił do środka granat błyskowy. W tej samej chwili dostał serię prosto w pierś. Jego postać padła na ziemię. Jeszcze mógł się odczołgać w nadziei, że jeden z jego synów go uleczy, ale wtedy padł kolejny strzał. Zanim zginął, zobaczył jeszcze, jak ekran wybuchu bielą.

– Kurwa! – wrzasnął do pustego mieszkania. Przez kilka sekund czuł tak ogromną złość, że miał ochotę rzucić padem w stojący przed nim telewizor.

Byli tak blisko! Tak blisko! Zabrakło odrobiny szczęścia na koniec!

– Mam go! – wrzasnął do słuchawek Jacek.

Na ekranie telewizora pojawiła się wielka czarna jedyńka. Mortka przyglądał się jej z niedowierzaniem.

Wygrali.

– Świetna akcja, tato! – krzyknął Michał i roześmiał się głośno.

– Poświęciłeś się dla drużyny, ale oślepiłeś tych skurwieli flaszem – pochwalił go Jacek, mówiąc o granacie błyskowym, który Mortka rzucił w ostatnich sekundach gry. – Gdyby nie to, wyróżniliby nas.

Mortka poprawił sobie słuchawki na głowie. Oddychał głęboko. Zdawał sobie sprawę, że to jest tylko gra, nie najmądrzejsza zresztą, a nic z tego, co się przed chwilą wydarzyło, nie było przecież naprawdę. Mimo to, kiedy oglądał animację, w której jego drużyna wsiadała do helikoptera i odlatywała w bezpieczne miejsce, a z boku ekranu wyświetlały się ksywki wszystkich poległych graczy, odczuwał ogromną satysfakcję. Serce waliło

mu jak młotem, a w głowie przyjemnie szumiało jak po wypiciu kieliszka dobrego wina.

– Pierwsza wygrana? – zapytał Jacek.

– Tak – potwierdził Mortka.

– Pamiętam, że kiedyś grałem dwójki z jakimś niemieckim dzieciakiem. Zwyciężyliśmy i to dla niego też był pierwszy raz. Popłakał się wtedy do słuchawek i zaczął mi dziękować.

– Nie będę płakał.

– Ale podziękować byś mógł.

Mortka miał już na końcu języka, że to przecież jego musieli wykupywać i to Jacek jako jedyny zginął w tej grze, ale się powstrzymał.

– Tato? – odezwał się Andrzej. – W sumie chciałem ci coś powiedzieć.

– Co takiego?

– Jestem gejem.

To było tak, jakby ktoś właśnie pociął mu plecy rozbitym szkłem.

– Tato...

– Jutro wstaję wcześniej do pracy – rzucił Mortka. – Muszę kończyć.

Wyłączył konsolę.

Głos w jego głowie, obcy i nieprzyjemny, wrzeszczał na niego, żeby wyjeżdżał z Warszawy. Odzywał się nie pierwszy raz – ostrzegał go przed niebezpieczeństwem, podpowiadał, jak należy postąpić. Mężczyzna zawsze go słuchał i nigdy się nie zawiódł, ale teraz ten głos kazał mu przyspieszać, był niezadowolony z tego, że jadą tak wolno, a on przecież nie mógł przekroczyć dozwolonej prędkości, przynajmniej nie znacząco, bo ostatnie, czego chciał, to zwrócić na siebie uwagę. Dlatego jechał spokojnie ulicą Wołoską na południe miasta, chociaż stopa sama wciskała się w pedał gazu.

– Nie idziemy do ciebie? – zapytała Pola.

Nie pozwalał im palić u siebie w samochodzie, więc kobieta zawzięcie żuła gumę.

– Żona jest w domu – odparł.

– Aha... Szkoda. To gdzie mnie zabierasz?

– Na przejażdżkę.

– Ale gdzie?

– Jeszcze nie wiem. Po prostu. Pojeździć. Pogadać.

– Nie ma problemu – powiedziała prostytutka. – Lubię cię. Ale wiesz, że to będzie cię kosztować? Bo nie mam czasu, żeby tak sobie jeździć po Warszawie. Nawet z przyjaciółmi.

– Wiem, Pola. A ty wiesz, że to nigdy nie był problem.

Skreślił w lewo, w Marynarską. Polina przykleiła się do szyby i patrzyła na biurowce. Mijali właśnie warszawski Mordor, miejsce, gdzie codziennie docierały dziesiątki tysięcy ludzi, żeby dzielnie pracować w setkach mających tutaj swoją siedzibę korporacji, firm i firemek.

– Strasznie ich dużo – stwierdziła w pewnym momencie.

– To prawda.

– Myślisz, że naprawdę we wszystkich ktoś pracuje? Ja myślę, że nie. Że to jakiś przekręt.

– Niby jaki?

Wzruszyła ramionami i oderwała się od bocznej szyby.

– Ale to musi być straszne – stwierdziła. – Siedzieć przez cały czas w takim wielkim akwariu. Nie potrafiłabym tak. Ty raczej też nie.

– Raczej nie – potwierdził.

– Oboje jesteśmy wolnymi ptakami. – Przymknęła na chwilę powieki. – Potrzebujemy miejsca, żeby móc rozprostować skrzydła.

Chciał na nią krzyknąć, że nie jest żadnym wolnym ptakiem, tylko zwykłą kurwą. I jeśli potrzebuje miejsca, to po to, żeby rozłożyć szeroko nogi. Ale się powstrzymał. Jeszcze nie nadszedł czas. Nie mógł jej przecież zabić tutaj, w sercu biurowej dzielnicy stolicy. Jasne, o tej porze ulice były puste, ale na pewno w każdym z tych budynków siedzieli ochroniarze, a na rogach czaiły się kamery. Chociaż to byłoby zabawne: zabić ją gdzieś tutaj i zostawić jej ciało przed wejściem do jednego z tych lśniących biurowców. Tak, żeby rano mogli ją zobaczyć ci wszyscy pędzący do roboty korpuldkowie. Żeby mieli o czym gadać pomiędzy swoimi konferencjami, spotkaniami, callami. Inna sprawa, że tak by to wyglądało przed pandemią. Teraz nie wiadomo, ilu ich faktycznie tu pracowało.

Skreślił w lewo, w drogę S79, i wreszcie mógł przyspieszyć. Jechali wzdłuż lotniska. Polina milczała. Z jednej strony się cieszył – nie miał ochoty z nią rozmawiać, zamierzał po prostu dojechać na miejsce i zrobić to, co planował. Z drugiej – dziewczyna była gadatliwa. Nie chciał, żeby zrobiła się nerwowa i zaczęła coś podejrzewać. Jedno fiasko dzisiejszego wieczora to było dość. Widok podrywającego się z pasa startowego samolotu podsunął mu pomysł.

– Gdybyś mogła wybrać dowolne miejsce na świecie, gdzie byś poleciała?

Spodziewał się banalnej odpowiedzi: Tajlandia, ciepłe kraje, Brazylia, może Stany Zjednoczone, a potem wytłumaczenie, że to kraina wielkich

możliwości. Zaskoczyła go jednak.

– Antarktyda.

– Tam przecież nie latają samoloty.

– Latają! – obruszyła się. – Widziałam na filmie.

– Nie rejsowe.

– Nie powiedziałaś, że to mają być takie duże, normalne samoloty.

Faktycznie. Nie zrobił takiego zastrzeżenia.

– Dlaczego Antarktyda? – zapytał.

– Bo tam prawie nikogo nie ma. I jest biało, tak spokojnie. Dużo przestrzeni. I ciągle są tam miejsca, gdzie jeszcze nikt nie dotarł. Takie mam marzenie, wiesz? Żeby znaleźć się gdzieś, gdzie nie było dotąd żadnego człowieka. Być tam pierwsza. Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że zostanę odkrywcą, znajdę jakąś nową wyspę. Ale wszystko już odkryto. Została mi tylko Antarktyda. A ty? Gdzie ty byś chciał polecieć?

– Do Iraku – odpowiedział natychmiast i jeszcze szybciej pożałował. Nie powinien się przed nią odsłaniać.

– Dlaczego do Iraku? – zapytała. – Przecież tam jest niebezpiecznie.

– Ale można zarobić pieniądze – skłamał.

Prawdziwa odpowiedź była inna: tam wszystko było proste. Tęsknił za tymi czasami, kiedy nie musiał o niczym decydować. Kiedy po prostu wiedział, co trzeba zrobić.

– Aha! Biznesmen z ciebie. Dlatego masz piękny samochód, piękny dom, piękną żonę i piękne dzieci.

Poczuł, jak zaciska mu się żołądek, a wymiociny podchodzą do ust. Musiał udać, że beka, a potem przełknąć je z powrotem. Na języku został kwaśny, nieprzyjemny posmak. Dzieci. Skąd wiedziała, że ma dzieci? O żonie sam jej powiedział, ale zawsze ściągał zdjęcia ze ścian, tak by nie dowiedziała się, jak wygląda jego rodzina. Próbował sobie teraz gorączkowo przypomnieć wizyty Poliny. Czy kiedykolwiek zostawił ją samą na tyle długo, że mogła zacząć buszować? A może o czymś zapomniał? Nie, to niemożliwe. Zawsze był bardzo skrupulatny. Może więc

po prostu kłamała? Tak naprawdę nigdy nie widziała jego dzieci. Po prostu założyła, że je ma, i chciała mu zrobić przyjemność tym komplementem. Tak, to musiało być to. Uspokoił się, ale wściekłość wcale nie opadła. Wciąż w nim wrzało.

Zjechał na S2, a potem ruszył dalej drogą S8 w stronę Katowic i Wrocławia.

– Daleko mnie zabierasz – powiedziała.

– Tak tylko jeżdżę – skłamał.

– Nie zostawisz mnie na jakimś pustkowiu, co?

– Nie. Nigdy!

– Wiem. Żartuję, głuptasie – roześmiała się. – Ale jakby to był ktoś inny, już bym sięgała po nóż.

Zerknął szybko na jej białą torebkę z jakiegoś materiału udającego skórę. Trzymała tam więc nóż. Mógł się tego spodziewać, ale w sumie dobrze wiedzieć. Torebka miała skomplikowane zapięcie i była dość duża. Pewnie Polina nosiła tam dużo różnorakich śmieci. Uznał, że nie ma się czym przejmować. Zanim ją otworzy, zanim znajdzie to, czego szuka, będzie już po wszystkim.

– Nosisz nóż? – zapytał z udawanym zdziwieniem.

– Tak – potwierdziła. – Ostry jak brzytwa. Jeśli ktoś będzie próbował mnie skrzywdzić, obetnę mu jaja.

– Nie chciałbym być tym człowiekiem.

– Nie będziesz. Ty jesteś moim słodkim misiem.

Zjechali z drogi ekspresowej i zagłębili się w labirynt podwarszawskich miejscowości, gdzie jak grzyby, często w szczerym polu, wyrastały osiedla domków jednorodzinnych. Pomyślał, że pewnie mieszkają tu ci, którzy pracują w Mordorze. Pokręcił się trochę, aż wreszcie udało mu się znaleźć odpowiedni parking. Po jednej jego stronie rósł gęsty sosnowy las, a dalej była polana z wiatą piknikową. Z drugiej strony znajdował się plac zabaw dla dzieci, a za nim, ale w sporej odległości, kilka domów. Uznał, że to odpowiednie miejsce. Nikt im tutaj nie przeszkodzi.

Zatrzymał samochód i wyłączył silnik. Pola poruszyła się na siedzeniu pasażera i poprawiła kusą spódniczkę. Spojrzała na niego pytająco.

– Jesteśmy na miejscu?

– Tak.

– Ładnie tutaj. Spokojnie.

– Tak – wydusił z siebie. Serce zaczęło mu mocniej bić. Pistolet, którego do tej pory niemal nie czuł, teraz wbijał mu się w plecy.

– Chcesz spróbować? – zapytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, rozpięła pas i nachyliła się nad jego kroczem. Powędrowała dłonią do jego uda, a potem w górę, aż do rozporoka. Jęknęła cichutko, jakby naprawdę to, co robiła, i to, co zrobić za chwilę zamierzała, miało sprawić jej przyjemność. Jak mogła myśleć, że on nabierze się na to oczywiste oszustwo?

Odrzucił ją urażony i wysiadł. Od razu uderzyło w niego zimne listopadowe powietrze i świeży zapach sosnowych igieł. Zamiast go uspokoić, dodatkowo roznieciły płomień w jego wnętrzu. Obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera, a potem chwycił Polę za ramię i wyciągnął z wozu. Range rover miał wysokie zawieszenie, więc spadła z dość dużej wysokości. Wylądowała na kolanach. Poderwał ją w górę szarpnięciem, a potem pociągnął w stronę altany piknikowej. Schyliła się po torebkę i teraz ciągnęła ją za sobą, raz po raz próbując ją podnieść i zarzucić sobie na ramię.

– Aua! Co robisz?! Przestań! Nie chciałeś, żebym ci obciągała, to trzeba było powiedzieć!

Z trudem za nim nadążała. Co chwila się potykała, kiedy jej wysokie obcasy wbijały się w miękką, piaszczystą ziemię. Zmieniła taktykę. Zamiast się opierać, spróbowała do niego doskoczyć i go uderzyć. Zauważył ten ruch kątem oka i lecącą w jego stronę ciężką torebkę. Uchylił się, szarpnął nią po raz kolejny, a potem zdzielił prosto w twarz. Usłyszał chrzęst, kiedy pięść złamała jej nos. Krzyknęła. Uderzył ponownie i wtedy znowu się potknęła. Tym razem jednak nie udało jej się utrzymać



równowagi. Poleciała na ziemię. Sięgnął za plecy, wyciągnął broń i przez chwilę tak stał, celując do niej.

W jej spojrzeniu widział czysty strach. I to było piękne. Zadrzał. Nacisnął spust.

Jęknęła, kiedy pocisk trafił ją w pierś. Otworzyła szeroko usta. Na jej policzkach, widział to wyraźnie, bo wszystko nagle stało się jasne i niespodziewanie ostre, wystąpiły rumieńce. Wyciągnęła w jego stronę dłoń, jakby prosiła go o pomoc.

Strzelił po raz kolejny.

Daleko za placem zabaw rozszczękały się psy. Ale nie przejmował się tym. Psy szczekają w nocy. Nikt nie zwróci na to uwagi. Nikt tutaj nie przyjdzie.

Pola leżała na ziemi. Jej ramię opadło. Usta drżały, jakby próbowała coś powiedzieć, ale wydobywały się z nich tylko krew i rżenie. Stał naprzeciwko na lekko rozstawionych nogach, z pistoletem w zaciśniętej dłoni. Nie celował już do niej, lufę miał skierowaną w dół. Patrzył cierpliwie, jak umiera. Pomyślał, że dlatego to robi. O to w tym wszystkim chodzi. O ten spokój, ciszę i harmonię, które opanowują cały świat. I to poczucie, że znowu wszystko jest proste i że ma nad wszystkim kontrolę.

A potem Pola umarła u jego stóp. Jej krew wsiąkała w mazowiecką ziemię, a on zaczął się zastanawiać, co zrobić z ciałem. Przez chwilę rozważał, czy nie zaciągnąć go na plac zabaw, bo wydało mu się to bezczelne i śmieszne zarazem, ale potem pomyślał, że znajdą je dzieciaki, które przyjdą się tam huśtać czy robić babki w piaskownicy. Nie chciał być przyczyną ich traumy. Mógł zostawić ciało tam, gdzie leżało, ale z jakiegoś powodu zostawianie Poli tak na widoku, że każdy mógł na nią trafić, uznał za niestosowne. Dlatego schował pistolet z powrotem za pasek, podszedł do dziewczyny, chwycił ją pod pachy i zaciągnął kilkanaście metrów w głąb lasu, w krzaki. Tam przykrył ją kilkoma gałęziami, a torebkę rzucił najdalej jak potrafił w las. Przez chwilę przyglądał się swojemu dziełu. Był pewien, że następnego dnia szybko ją znajdzie. Ale to przecież nie miało żadnego znaczenia. Do świtu i tak będzie po wszystkim.

Oddychał, próbując uspokoić bicie serca. Cały spływał potem. Ciało kobiety było cięższe, niż się spodziewał.

Otarł czoło i ruszył do wozu. Kiedy mijał altankę, zorientował się, że na parkingu stoi jeszcze jeden samochód. Osobowy, raczej niewielki. Z tej odległości nie potrafił rozpoznać modelu ani marki. Auto miało włączone światła mijania, które częściowo oświetlały jego wóz. W środku więc na pewno ktoś siedział. Tylko kto? Ile widział?

Chwycił za rękojeść pistoletu. Nie wyciągnął go jednak zza paska. Nie był pewien, co zrobić w takiej sytuacji. Mógłby podejść do tego samochodu, zapukać w szybę i dopiero wtedy wyciągnąć broń i strzelić.

Co jednak, jeśli tamta osoba też była uzbrojona? A co, jeśli wszystko widziała i właśnie dzwoniła na policję? Poczł, że traci bezcenne sekundy.

Podjął decyzję.

Ruszył do swojego samochodu. Cały czas patrzył na ten drugi wóz. Pilnował, czy ktoś z niego nie wysiada albo czy nie dzieje się nic podejrzanego. Nic się nie wydarzyło, więc obszedł land rovera, wskoczył na miejsce kierowcy i uruchomił silnik. Wykręcił i ruszył. Kiedy mijał tamten wóz, spróbował zerknąć do środka. Dostrzegł sylwetki dwóch osób, ale to było wszystko, co udało mu się zauważyć.

Mniejsza z tym, pomyślał. To nie miało żadnego znaczenia. Tak długo, jak go nie zatrzymają, tak długo, jak nie powstrzymają go przed zabiciem kolejnej, nic nie miało znaczenia.

Wyjechał na główną drogę i nacisnął pedał gazu. Samochód wyrwał do przodu z rykiem silnika.

Głos w jego głowie wrzeszczał, żeby wracał do Warszawy.

Sucha wyszła na korytarz za Wodeckim i starannie zamknęła za sobą drzwi. Czekali tam na nią dwaj inni policjanci. Młodzi, w cywilnych ubraniach. Obaj w sportowych butach, niebieskich jeansach i czarnych skórzanych kurtkach, jakby byli bliźniakami albo ubierali się w tym samym sklepie. Różniły ich tylko tiszerty. Jeden nosił czarną z logo jakiegoś metalowego zespołu, drugi niebieską, a z szyi zwisał mu gruby złoty łańcuch. Znała ich z widzenia. Pracowali w wydziale do spraw zwalczania przestępczości narkotykowej.

– Pani naczelnik – powiedział ten z łańcuchem, żując gumę. – My chyba nie mieliśmy przyjemności. Romek Pijak jestem. Tak, wiem, śmieszne nazwisko.

– Umiarkowanie – mruknęła Sucha.

– Marcin Okrasko – przedstawił się drugi.

Miał ciemne oczy, krótko ostrzyżone czarne włosy i cerę Włocha. Jednego z tych z południa, a nie z północy. Na pewno nie skarżył się na powodzenie wśród kobiet, pomyślała Sucha, przyglądając mu się o sekundę czy dwie za długo. Żałowała, że nie spotkali się w innych okolicznościach. Najlepiej w takich, gdzie nie musiałaby wkładać na siebie tego obrzydliwego, oficjalnego, aseksualnego stroju.

– O co chodzi? – zapytała.

– Mamy problem – powiedział Pijak.

– To już wiem. Ale jaki, panowie? I streszczajcie się, bo nie zamierzam wam poświęcać całej nocy.

Obaj zerknęli na siebie, jakby niemo pytali się, który z nich weźmie na siebie ciężar tej rozmowy. Sucha ciężko pracowała na swoją reputację osoby surowej, oschłej, do bólu profesjonalnej, takiej, która nie waha się

ani sekundy i jest gotowa wejść w starcie z silniejszym nawet przeciwnikiem. Zdobyła w ten sposób szacunek, chociaż był on podszyty strachem. Uważała jednak, że dla kobiety to jedyny sposób, żeby zajść wysoko w policyjnej hierarchii. Oczywiście, jeśli chodziło o, jak uważała, prawdziwą robotę, a nie piony logistyki czy innych kadr, gdzie praca ograniczała się do przekładania papierów z jednego biurka na drugie.

– Kamil „Ryba” Rybski – zaczął Okrasko.

Miał przyjemny, głęboki głos. Sucha pomyślała, że świat nie jest sprawiedliwy. Niektórym daje wszystko, innym niewiele. Taki Wodecki przy Okrasce wyglądał jak pół faceta.

– „Ryba” Rybski? – powiedziała kpiąco. – Nie wysilili się przy wymyślaniu ksywki.

– Ludzie zazwyczaj idą na łatwiznę – zauważył Pijak. – Ja miałem ksywkę „Pijus”.

– A ty? – odważyła się zapytać Okraskę, chociaż czuła, że przesadnie opuszcza gardę. Uznała jednak, że raz na jakiś czas może sobie na to pozwolić. Poza tym z tą dwójką nie pracowała. Przecież jak powiedzą u siebie coś w stylu „wcale nie jest taka straszna”, nie będzie to miało wielkich konsekwencji.

– Wołali na mnie po prostu Marcin.

No tak, pomyślała, ludzie tacy jak on nie potrzebowali ksywek. Wszyscy ich po prostu zapamiętywali. To pewnie nawet przyjemne. Nie być żadnym Pijusem ani Suchą, tylko po prostu tym, jak nazwali cię na chrzcie rodzice.

– To co z tym Śledziem? – zapytała. Z zadowoleniem stwierdziła, że Okrasko lekko się uśmiechnął.

– Facet handluje prochami na Pradze. Nic wielkiego, ale też nic małego, żaden nastolatek z dwoma gramami marihuany w plecaku. Zaopatruje w towar paru dilerów, którzy w weekendy robią objazd po klubach i dyskotekach.

– Chodzimy trochę za nim – włączył się Pijak. – Mamy nadzieję, że jak go przyciśniemy, to się zesra i parę rzeczy nam opowie o ludziach, którzy

są nad nim.

– Ale żeby się zesrał, musimy mieć na niego konkret.

– A ja dalej nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną – powiedziała Sucha trochę ostrzejszym tonem niż poprzednio. Uznała, że najwyższy czas przestać być miłą.

– Zadzwoił do mnie dzisiaj informator – odezwał się Okrasko. – Powiedział, że Ryba wylądował na komendzie i jest tutaj maglowany. Nic związanego z narkotykami. Jakaś rodzinna sprawa. Głośna impreza, awantura i tak dalej. Trochę się zdziwiłem, że siedzi u nas, a nie gdzieś bliżej domu, ale nie takie cuda się widziało.

– A ja dalej...

– Przepraszam, pani naczelnik – przerwał jej Okrasko, na co niewielu policjantów, a na pewno tych niższych stopniem od niej, miałoby odwagę. Pożałowała swojego wcześniejszego zachowania. Gdyby od razu poszła ostro, nie zrobiłby tego. – Zaraz wyjaśnię, co to ma wspólnego z panią, ale musimy do tego dojść.

W głowie szybko analizowała możliwe scenariusze swojego dalszego zachowania. Nie mogła udawać, że nic się nie stało, ale też policjant zachowywał się z szacunkiem. Poza tym robienie mu awantury nie wchodziło w grę. Zostałoby odebrane, paradoksalnie, jako oznaka słabości. Przybrała więc surowy wyraz twarzy i gestem dała znać, żeby mówił dalej. Wyrażała w ten sposób swoje niezadowolenie, jednak w wyważony i oszczędny sposób.

– Nasz uchol dał nam jeszcze jedno. Powiedział, że Ryba wylądował tu przypadkiem i zostawił na naszym parkingu samochód, a w nim torbę pełną towaru. Poszliśmy to sprawdzić. Faktycznie, samochód stał. Otworzyliśmy go i w środku znaleźliśmy sportową torbę. W niej zaś tabletki za kilka tysięcy złotych.

– Pomyśleliśmy, że nie ma co czekać i jedziemy z pacjentem na ostro – odezwał się Pijak. – Zaczęliśmy go szukać i tutaj niespodzianka. Ryby u nas nie ma. Nie było żadnej awantury, nie było żadnej interwencji, faceta nie ma u nas na komendzie.

– A wasz informator?

– Przestał odbierać telefony.

– Samochód?

– No właśnie – powiedział Okrasko. – Tutaj dochodzimy do pani. Bo od razu sprawdziliśmy, do kogo należy. I okazuje się, że jego właścicielem jest niejaki Karol Gunther. Facet, który jeśli dobrze rozumiem, znajduje się po drugiej stronie tych drzwi.

Sucha żałowała teraz, że nie może spojrzeć na samą siebie z boku. Starła się zachować kamienną twarz i być w stu procentach opanowana, ale tak naprawdę ta informacja zupełnie wytrąciła ją z równowagi. Poczowała się zaatakowana i zdradzona.

– To na pewno narkotyki? – zapytała.

Okrasko sięgnął do kieszeni spodni, wyjął telefon i odblokował ekran, a potem podsunął go Suchej. Widziała teraz zdjęcie bagażnika samochodu, otwartą szeroko sportową torbę z logiem Pумы, a w środku przezroczystą strunową torebkę, którą wypełniały różnokolorowe tabletki.

– Oczywiście trzeba zrobić testy w laboratorium, wycenę i tak dalej, ale z wyglądu to dokładnie to samo, co chodzi teraz po klubach w Warszawie i okolicy – powiedział Pijak.

– Oprócz narkotyków w bagażniku znaleźliśmy też linę, nóż o dużym ostrzu, taśmę samoprzylepną, płócienny worek i trytytki – dodał Okrasko.

Sucha potrzebowała kilku sekund, żeby ułożyć sobie w głowie otrzymane właśnie wiadomości. Potem wskazała palcem na drzwi do pokoju przesłuchań.

– Żaden z was tam nie wchodzi – oznajmiła.

– Jasne – powiedział Okrasko.

– Wodecki. Zostaniesz tutaj i będziesz pilnował drzwi – dodała.

Pijak roześmiał się krótko.

– No bez przesady! – rzucił wesoło. – Nie jesteśmy tacy...

– Pracuję tu pewnie dwa razy dłużej od ciebie i doskonale wiem, jacy, kurwa, jesteście! – warknęła Sucha. – Spróbujecie tam tylko wejść, spróbujecie go przesłuchać bez mojego pozwolenia, to was zajebię. A tobie – zwróciła się do Wodeckiego – jeśli ich tam wpuścisz, urwę jaja.

– Z całym szacunkiem, ale nie pracujemy w pani wydziale – odezwał się Okrasko. – A też mamy swoje obowiązki do wypełnienia.

– Co najwyżej masz statystyki do wyrobienia – odparowała Sucha – i myślisz, że właśnie spadł ci prezent z nieba, ale wierz mi... Naprawdę, ale to naprawdę nie chcesz mnie wkurwić.

– Chryste... – jęknął Pijak. – Przecież sami tu przyszliśmy. Nie chcemy nikomu podkładać świni, tylko pogadać z tym facetem.

– Ten facet ma ponad pięćdziesiąt lat, pracuje na wyższej uczelni, a w wolnych chwilach wyzywa pedałów w internecie. Nic nie wie o żadnych narkotykach.

– Ale ma je w swoim samochodzie – odparł Okrasko. – I z jakiegoś powodu trzymacie go tutaj od kilku godzin.

Był bystry, a nie tylko przystojny.

– Spierdalajcie do siebie – powiedziała Sucha. – A z Guntherem porozmawiacie dopiero wtedy, kiedy wam pozwolę.

Obaj policjanci z narkotykowego zawahali się, ale w końcu reputacja Suchoj zrobiła swoje. Pijak trącił kolegę ramieniem, obaj skinęli podinspektor i Wodeckiemu głowami na pożegnanie, po czym odeszli niespiesznym krokiem.

– Pilnuj drzwi – poleciła Wodeckiemu. – Nie zdziwiłabym się, gdyby próbowali wrócić.

Sama weszła do pomieszczenia, w którym przez cały ten czas przebywali Zych z Mortką. Zrobiła to od razu, bez zastanowienia. Nie potrzebowała chwili na uspokojenie, nie potrzebowała czasu na zebranie myśli ani nawet na głęboki wdech. Chociaż lepiej byłoby powiedzieć, że ich nie chciała. Zamierzała wykorzystać ten gniew, który teraz targał jej wnętrzości.

– Kuba! Coś ty, kurwa, zrobił?!

Mortka oderwał wzrok od lustra weneckiego. Po drugiej stronie, w pokoju przesłuchań, Gunther krążył wokół stołu i zerkał co chwilę na drzwi. Nie wiedział, jak się ma zachować. Nie wiedział nawet, czy jego przesłuchanie już się zakończyło, czy jeszcze nie.

– Zrobiłem to, co trzeba było zrobić – odpowiedział spokojnie komisarz.

Nie próbował nawet udawać zdziwienia. Po prostu beczelnie się do wszystkiego przyznał.

– Potrzebowaliśmy czasu – kontynuował. – Jak rozumiem, mamy teraz czas, prawda? Bo pojawiło się kilka dodatkowych pytań, które chcemy mu zadać.

– Kuba, kurwa mać! – wrzasnęła, zupełnie nie przejmując się oszołomionym Zychem. – Zrobiłam ci przysługę! Powiedziałeś, że coś masz, że coś znalazłeś! I co? I gówno! Jedyne konkret, jaki dla mnie masz, to prochy i ten durny zestaw małego porywacza, które kazałeś mu podrzucić!

Wkurzał ją spokój i obojętność Mortki. Zdała sobie sprawę, że jest taki, bo spodziewał się jej wybuchu. Dokładnie wiedział, co się wydarzy, i zdążył się psychicznie przygotować.

– Poprosiłem cię o pomoc – odezwał się. – Zgodziłaś się. I co? Zamiast zrobić to, co mi obiecałaś, wysyłasz mnie najpierw do Radości, a teraz na Grochów. I wypuszczasz tego dupka przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nie miałam powodów, żeby go zatrzymać.

– To teraz masz. Nie musisz dziękować. Aha... i nie kazałem mu podrzucić żadnego zestawu małego porywacza.

Mierzyli się w milczeniu wzrokiem. Sucha miała ochotę po prostu wywalić go za drzwi i powiedzieć mu, że nie chce go więcej widzieć, ale sprawy zaszły już za daleko. Dwóch policjantów, do tego z innego wydziału, znalazło narkotyki. Nie mogła ot tak wypuścić Gunthera, a pozbycie się w tym momencie Mortki pewnie byłoby błędem. Być może w jakimś momencie ktoś zacznie zadawać pytania, a ona będzie go potrzebować obok siebie. Chociażby po to, by wskazać na niego palcem



i powiedzieć, że to wszystko jego wina. No i była jeszcze sprawa tej dziewczyny, do której strzelano. Coś jej podpowiadało, że potrzebuje komisarza.

– Jesteś dupkiem – stwierdziła.

Nie wyglądało, żeby ta zniewaga zrobiła na nim jakiegokolwiek wrażenie.

– Kuba... – odezwał się stojący z boku Zych.

Sucha wiedziała, co się dzieje. Zych w końcu łączył ze sobą kropki. Trochę irytujące, że robił to na głos.

– Jakub... – mówił dalej funkcjonariusz. – Jego stary podobno był policjantem... Jesteś Jakub Mortka, ojciec Andrzeja Mortki, którego zatrzymaliśmy za zabicie Tymoteusza Kota.

– Kiedy wrócisz do domu?

Zych stał na policyjnym parkingu, oświetlony przez żółtawy snop padający z ulicznej lampy. Telefon trzymał przed sobą na dłoni, nie chciał go przykładać do ucha. Wiedział, czego ma się spodziewać po tej rozmowie. Kolejnej kłótni. Podświadomie, włączając tryb głośnomówiący, budował dystans między sobą a żoną.

– Nie wiem – powiedział z ociąganiem. – Mamy teraz straszny kocioł. Sporo rzeczy nam się zesrało.

– Zesrała to się twoja córka! I to nie raz!

Zaskoczyła go jej wściekłość, a najbardziej to, że najwyraźniej złościła się nie na niego, tylko na Marysię. Do tej pory ich córka ani razu nie wyprowadziła jej z równowagi. Jego żona była w niej aż tak absurdalnie zakochana, że Zych czasami czuł zazdrość. Został odsunięty na boczny tor, w dodatku tak daleko od głównej linii, że teraz wydawał się prowadzić w zupełnie inną stronę. Tknięty nieprzyjemnym przecuciem, zastanawiał się, ile z tych obserwowanych przez niego w domu zachowań, z tego tulenia się, czułych słówek, całusków, było na pokaz. Jak naprawdę zachowywała się jego żona, kiedy zostawała z córeczką sam na sam?

– Ma biegunkę? – zapytał.

Żona westchnęła ciężko do słuchawki.

– Nie. Nie ma. – Jej ton głosu zmienił się z gniewnego na nieszczęśliwy.  
– Ale cały czas płacze. Nie jestem w stanie jej uspokoić.

– Ma gorączkę?

– Nie. Chyba nie.

„Chyba”. Co to właściwie znaczyło? Dlaczego jeszcze nie sięgnęła po termometr? Przecież to powinna być jedna z pierwszych rzeczy do

zrobienia w takiej sytuacji.

– Sprawdź, proszę, czy ma gorączkę – powiedział.

– A jeśli ma?

– To jej coś podaj. Mamy paracetamol, prawda?

Po co jej to wszystko opowiadał? Przecież doskonale wiedziała, jak należy postąpić w podobnej sytuacji, nawet lepiej od niego. Przerabiali już to przy okazji poprzedniej choroby Marysi. Podziwiał wtedy cierpliwość i opanowanie żony. Jasne, w pewnej chwili padła nieprzytomna, a wtedy on nosił córkę na rękach, żeby zasnęła choćby na pół godziny.

– A jeśli paracetamol nie zadziała?

– To zadzwoń do lekarza.

– Teraz? W środku nocy? Kto niby odbierze?

– To na pogotowie!

– Żeby małą covidem zarazili?

Zamknął oczy. Masował sobie powieki palcami tak mocno, aż zabolą, a wokół niego zaroilo się od różnokolorowych kropeczek.

– To czego ty ode mnie oczekujesz? – zapytał, czując, że powoli traci nad sobą panowanie.

– Żebyś wrócił do domu.

– Nie mogę! – krzyknął, zaciskając palce na komórce. – Próbuję tutaj coś załatwić, pamiętasz?! Dla ciebie, dla mnie! Po prostu... – Wziął głęboki oddech, a zimne listopadowe powietrze wbiło mu się boleśnie w płuca. – Po prostu spróbuj ją uspokoić. Zmierz jej temperaturę. Jeśli ma gorączkę, podaj panadol. Jeśli to nie pomoże, wtedy do mnie zadzwoń.

Rozłączył się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Za kilka sekund telefon znowu zadzwonił. Zych spojrział na wyświetlacz. To była ona. Nie odebrał. Nie odrzucił też połączenia. Po prostu wyciszył dźwięk.

– Jedziemy? – odezwał się ktoś z tyłu.

Odwrócił się. Mortka stał dwa, trzy metry od niego. Ręce trzymał w kieszeni kurtki, kołnierz miał postawiony. Lekko się garbił, chowając się

przed podmuchami wiatru. Zych przez moment zastanawiał się, jak długo on tutaj stoi i jak dużo usłyszał. Uznał jednak, że to nie ma znaczenia – przecież facet tu nie pracował, nie powinno go tu być. Nie rozumiał, dlaczego Sucha zgodziła się na przesłuchanie Gunthera i dlaczego teraz nalegała, żeby pojechali razem do Grochowa, ale musiał jej słuchać. W końcu liczył na to, że podpisze papiery, które położył jej kilka godzin temu na biurku. Wskazał ruchem głowy na swój samochód.

– Otwarte – powiedział.

Wsiedli do wozu. Mortka zapiął pasy. Zych zrobił to samo, ale dopiero gdy opuścili policyjny parking i wyjechali na ulicę Andersa. Popędzili na północ. Młodszy policjant włączył radio. Przez kilka minut słuchali nudnej ballady o zawiedzionej miłości, śpiewanej przez dziewczynę o głosie podobnym do jakiejś zagranicznej gwiazdy. Zych nigdy nie rozumiał, dlaczego w środku nocy puszcza się takie smęty zamiast mocnej, energetycznej muzyki. Jakby radiowym didżejom zależało na tym, żeby uspić jak największą liczbę kierowców i zabić w ten sposób jak najwięcej osób. Wyłączył radio.

– Twój syn to zrobił – odezwał się.

Siedzący obok Mortka wyprostował się jedynie na siedzeniu pasażera. Wciąż wpatrywał się w drogę przed nimi, jakby nie usłyszał słów Zycha.

– Twój syn zabił tego kolesia, Tymoteusza Kota. Mamy dowody. Przez dłuższy czas byli w związku i to takim poważnym. Na wyłączność. Wiesz, jak hetero. Że z nikim nie bzykają się na boku. Przynajmniej oficjalnie. Twój syn zresztą to wymusił na Kocie, a ten mu uległ i przez chwilę było jak w bajce, ale potem pokłócili się i zerwali ze sobą. Niby banalna historia, jakich setki, ale Kot nie przyjmował tego do wiadomości. Wiele razy kontaktował się z twoim synem. Nachodził go przy różnych okazjach, domagał się rozmowy i tak dalej, i tak dalej. Jeśli ci to w czymkolwiek pomoże, to tak, zachowywał się jak prześladowca.

Mortka w dalszym ciągu nie reagował. Wjechali na most Gdański. Po lewej stronie mieli drugi, którym jeździły pociągi. Około dziesięciu lat temu ktoś powiesił tam zwłoki zamordowanego mężczyzny, teraz jednak

można było zobaczyć tylko wysprejowane wyznania miłości. Z boku pracowała ekipa drogowców, którzy malowali znaki na jezdni.

– Tamtej nocy twój syn spotkał się z Kotem na imprezie w jednym z klubów. Świadkowie mówią, że strasznie się pokłócili. Kot uwiesił się na twoim synu, jakby był laską w ciąży, która próbuje zaprowadzić faceta przed ołtarz. To była wielka drama. Parę osób nawet nakręciło ich telefonami. Widziałem filmiki. Pokazać ci?

Przejeżdżali właśnie nad ciemną smugą Wisły. Mortka patrzył w bok, jakby dostrzegł coś na powierzchni rzeki. Zych nic nie był w stanie wyczytać z jego twarzy, ale koncentrował się głównie na drodze, a poza tym wciąż myślał o niedawno odbytej rozmowie z żoną. Miał ochotę wybrać jej numer i zapytać, co z małą, powstrzymała go jednak wizja kolejnych wyrzutów na temat tego, że jeszcze nie wrócił do domu. Żona sama z siebie oczywiście nic nie napisała o stanie Marysi – czy ma gorączkę, czy może się uspokoiła. W ten sposób go karała.

– Zaraz powinienes skręcić – powiedział Mortka. – Lepiej, żebyśmy nie przegapili.

Zych wrzucił kierunkowskaz, sprawdził, czy nikt go nie mija z prawej strony, puścił pedał gazu i łagodnie skręcił kierownicę.

– Twój syn w końcu się uwolnił. Wybiegł z tego klubu. Kot wydzwaniał potem do niego przez resztę wieczoru jak pojebany. Naliczyliśmy pięćdziesiąt dwa połączenia. Żadne z nich nie zostało odebrane.

Chwilę pokręcili po ulicach Targówka. Niedawno oddano tu do użytku stację metra. I jak zawsze w takich przypadkach okolica się zmieniła, wyładniała. Pojawiły się nowe budynki, bo deweloperzy, kiedy tylko ujawniono trasę drugiej nitki, od razu wiedzieli, że ceny za metr kwadratowy skoczą w górę.

Wkrótce opuścili ten rejon i skręcili w ulicę, która biegła wśród torów kolejowych. Na kolejnych odcinkach nosiła różne nazwy. Wzdłuż niej stały nieliczne, stare i często zaniedbane domy, hale fabryczne, magazyny. Zych mógł tutaj przyspieszyć i skorzystał z tej okazji. Silnik bmw zawył, a policjant uśmiechnął się pod nosem. Szybka jazda sprawiała mu

przyjemność. To, że panował nad tym samochodem, że warczący pod maską potwór jest mu całkowicie posłuszny, zawsze dodawało mu pewności siebie. Znikały wszelkie wątpliwości, zapominał o kłopotach w pracy i zrządzącej żonie.

– Twój syn poszedł potem do Kota – kontynuował swobodnie swoją opowieść. Już go nie obchodziło, jak Mortka na nią zareaguje. Liczyło się tylko to, żeby facet usłyszał prawdę. – Do jego mieszkania. Chciał mu chyba raz i na zawsze wytłumaczyć, że ma się od niego odczepić. Zaczęli się kłócić. Pół kamienicy słyszało awanturę, a potem zaległa cisza. Twój syn wybiegł z mieszkania, trzasnąwszy drzwiami. Mamy nagrania z monitoringu, jak stamtąd ucieka, poruszony, przestraszony. A następnego dnia znaleziono ciało. Na rękach twojego syna były ślady po niedawnej walce, jakby kogoś uderzył, a w koszu na brudy tiszert z zaschniętymi plamami krwi Tymoteusza. On go zabił. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Kątem oka zauważył ruch. Jego noga sama powędrowała na hamulec. Nacisnął go z całych sił. Samochód zahamował tak gwałtownie, że pasy bezpieczeństwa wbiły im się boleśnie w piersi. Mortka instynktownie zaparł się ręką o przedni panel, było już jednak za późno. Uderzyli w coś, przed oczami mignęła im biało-czarna kulka.

Kierowca dyszał ciężko. Mortka odpiął pasy i wysiadł. Poszedł do przodu i kucnął nad potrąconym przez nich zwierzęciem. Zych doskonale go widział w światłach reflektorów. Po chwili wahania poszedł w jego ślady i otworzył drzwi.

– Co to jest? – zapytał, wychodząc z wozu.

– Kot.

– Nie żyje?

Mortka wyprostował się i wsadził ręce do kieszeni.

– A jak myślisz? Jechałeś ile? Sto kilometrów na godzinę? Sto dwadzieścia? A teraz co? Sprawdzasz, czy nie zarysował ci karoserii?

Zych poczuł, jak pomimo chłodu zaczynają go piec policzki. Faktycznie, nachylał się nad samochodem. Dostrzegł krwawą plamę po lewej stronie zderzaka. Pomyślał, że gdyby jechał odrobinę wolniej, to zwierzak zdążyłby przebiec przez ulicę.

– Przecież nie chciałem go zabić.

– Oczywiście, że nie chciałeś – potwierdził Mortka, podchodząc do niego. – Jesteś po prostu debilem, który nie potrafi zdjąć nogi z gazu w terenie zabudowanym. Policjantem też jesteś chujowym, podobnie jak twój koleś. Bo mój syn nie zabił tamtego chłopaka. I doskonale byście o tym wiedzieli, gdybyście wykonali swoją pracę tak, jak należy. Co ja mówię... gdybyście się choć trochę do niej przyłożyli. A teraz ja muszę naprawiać wasze błędy. I nie chodzi tylko o to, że oskarżyliście mojego dzieciaka. Po prostu macie nie tego człowieka, co trzeba.

Byli teraz tak blisko siebie, że Zych czuł na skórze ciepło oddechu Mortki. Wzdrygnął się mimowolnie. Nie tylko dlatego, że starszy policjant naruszył jego osobistą przestrzeń, ale także z powodu tej głupiej myśli, że jeśli Mortka ma covid, to Zych właśnie go złapał. Co było głupie, bo przecież jechali w jednym samochodzie, a żaden z nich nie nosił maseczki. Mieli mnóstwo okazji, żeby nawzajem się pozarażać. Poza tym Zych był zaszczepiony. Ale, przypomniał sobie, jego niespełna roczna córka nie. Żona wpadała w okresową panikę, że policjant przyniesie wirusa do domu. Zawsze powtarzała, że nie wiadomo, gdzie bywa i z kim się spotyka. Powinien mieć inną pracę. Spokojniejszą, pewniejszą. Taką, w której nie musi wydobywać zeznań z chorujących na wszystko co możliwe lumpów.

– Nie macie nawet narzędzia zbrodni – powiedział Mortka. – Kot dostał w głowę jakimś tępym przedmiotem. Nie znaleźliście go.

To była prawda, przyznał w myślach Zych. Szukali, ale nie znaleźli. Nie budziło to jednak ich niepokoju, bo w ogólnym rozrachunku nie miało wielkiego znaczenia. Zgromadzili dość dowodów, nawet bez narzędzia zbrodni. Uznali, że sprawca wyrzucił je gdzieś po drodze do domu.

Mortka minął Zycha. Przez moment wydawało się, że trąci go ramieniem, ale tylko lekko otarł się o niego rękawem kurtki. Komisarz

wsiadł do samochodu. Trzasnął drzwiami. Po kilkunastu sekundach otworzył je z powrotem.

– Wsiadasz czy nie? – zapytał, wychylając się z bmw. – Chciałbym już załatwić to, co mamy do załatwienia, i wrócić do Gunthera. Mój syn z powodu waszej nieudolności spędził w celi już wystarczająco dużo czasu.



– Wiedziałaś?

Połączył się z Olą na Skypie. Umówił się z nią wcześniej, nie tłumacząc dokładnie, o co chodzi. Trochę się dziwiła, ale nalegał i wreszcie się zgodziła na to spotkanie. Był przekonany, że podczas tej rozmowy powinien patrzeć jej prosto w twarz, widzieć jej mimikę, zachowanie, oczy. Sam głos mu nie wystarczył.

Siedziała więc teraz naprzeciwko komputera z wysoko upiętymi włosami i w białej koszuli z rozpiętym jednym guzikiem. Jej szyję ozdabiał delikatny naszyjnik z białego złota, była w pełnym makijażu. Niewiarygodne, zdążył pomyśleć. On miał na sobie spodnie dresowe i tiszert sprzed dwóch dni. Oboje pracowali przecież głównie zdalnie. Jaki był sens, żeby tak się odstawiać? Do tego tło – szafa wypełniona grubymi kodeksami w pozłacanych oprawach. Jakby ktokolwiek jeszcze korzystał z ich papierowej formy, a nie komputerowych wersji. Profesjonalizm na tak wysokim poziomie, że aż zmieniał się w groteskę. Mortka zastanawiał się przez chwilę, gdzie w ogóle zmieściła ten swój gabinet, a potem przypomniał sobie, że przecież nie miała z tym problemu. Dwa lata po jego wyjeździe do Hagi przyjęła oświadczyzny Adama. Gość sprzedał swoje mieszkanie w Piasecznie, które określał mianem porażki, bo wszędzie miał daleko, pół dnia spędzał w korkach na Puławskiej, a w sumie nie było aż takie tanie. Zamiast tego kupili sobie dom jednorodzinny w Józefosławiu. Też wcale nie aż tak tani, też dojazd do centrum wymagał stania na Puławskiej, ale za to mieli rzut beretem do Lasu Kabackiego i własny ogródek. Mortka, kiedy się o tym dowiedział, kręcił nosem. Zastanawiał się, po co im tak wielki dom. Chłopcy przecież rośli, niedługo mieli stać się nastolatkami, zacząć studia, pójść na swoje. A potem Ola zaszła w ciążę i Mortka poznał odpowiedź.

Jej córka miała na imię Ewa. Niedawno obchodziła czwarte urodziny.

Rzadko się kontaktowali. Przez lata nauczyli się komunikować ze sobą tylko wtedy, kiedy to było konieczne. Od kiedy zaczął regularnie płacić alimenty, prawie wcale nie rozmawiali. Wiedział, że inaczej to sobie wyobrażała, starała się jednak, by pomimo wszystko byli bliżej siebie. Dla dobra chłopców. Zgadzał się na to, dopóki mieszkał w Warszawie, ale nie czuł się w takich chwilach dobrze. Męczyło go patrzenia na to, jak ona buduje swój nowy związek, chociaż wtedy sam związał się z... Nie potrafił sobie teraz przypomnieć jej imienia. Była maklerką, zarabiała więcej od niego i kiepsko zareagowała na sytuację, w której jeden z najgroźniejszych warszawskich gangsterów władował się jej do mieszkania. W każdym razie wyjazd do Hagi także pod tym względem okazał się wybawieniem.

I tak właśnie po wielu latach kiepskiego małżeństwa, które jednak spędzili razem i w którym były też dobre chwile, oraz po rozwodzie, który poszedł całkiem gładko, ale zostawił swoje rany, Mortka patrzył teraz na właściwie obcą mu kobietę. I wcale nie był taki pewien, czy gdyby zdecydowała się go okłamać, wyczułby jej nieszczerłość.

– Tak – odpowiedziała, bo od razu domyśliła się, o co chodzi.

– Od jak dawna? – zapytał.

– Od dwóch lat oficjalnie. Wcześniej... wcześniej się domyślałam. Dość szybko przestał przyprawadzać do domu dziewczyny. Spróbował raz, potem drugi. Nie spodobało mu się. Łatwo się domyślić dlaczego.

Zaczerpnął głęboko powietrza, ale i tak zakręciło mu się w głowie.

– Wiedziałaś od dwóch lat i nic mi nie powiedziałaś?!

– Jeśli masz na mnie krzyczeć, to kończymy rozmowę – oznajmiła chłodno. – Mam dość własnych rzeczy na głowie, żeby jeszcze zмагаć się z jakimś furiatem z Hagi.

Wstał z kanapy bez słowa. Poszedł do kuchni, nalał sobie szklanekę wody i wypił ją duszkiem. Kiedy wrócił, Ola wciąż na niego czekała. Jej prawa dłoń powędrowała w kierunku szyi. Palce bawiły się łańcuszkiem. Spoglądała gdzieś w bok. Chrząknął, by dać jej znać, że już jest.

– Zaszło mi w gardle – powiedział, nie wiedząc, dlaczego się przed nią tłumaczy. – Czemu nic mi nie powiedziałaś?

– A dlaczego bym miała?

– Bo to mój syn. Mam prawo wiedzieć.

– Twój syn już jakiś czas temu skończył osiemnaście lat. Od tego czasu ma prawo kupować i pić alkohol, głosować w wyborach, ale także samemu decydować, komu powie lub nie o swojej orientacji seksualnej.

– Proszę cię... Skończ z tym prawniczym pierdoleniem. Po prostu to przede mną ukrywałaś.

– Tak. I nie.

Przewrócił oczami.

– Tak, ukrywałam to przed tobą – powiedziała. – Głównie dlatego, że uważam, że Andrzej sam ma prawo decydować, komu i kiedy o tym powie.

– Jesteś jego matką!

– A on jest dorosłym człowiekiem. Nie dzieckiem, tylko dorosłym mężczyzną, Kuba. Dlatego ci nie powiedziałam. Ale nie ukrywałam tego przed tobą. Sam przecież nigdy nie zapytałeś, prawda?

– Jestem jego ojcem i...

– Masz prawo wiedzieć, co? – dokończyła za niego kpiarskim tonem. – Teraz to ty skończ pierdolić, Kuba. Nigdy mnie o to nie zapytałeś. A szkoda, bo miałam przygotowaną całkiem niezłą odpowiedź. Nie zapytałeś, bo nigdy nic nie wzbudziło twoich wątpliwości. A nic nie wzbudziło twoich wątpliwości, bo ty swoich synów, Kuba, w ogóle nie znasz. Nie interesowałeś się ich życiem, nie rozmawiałeś z nimi, nie...

– To nie jest prawda! – przerwał jej.

– Tak? A wiesz, że od kilku lat Andrzej trenuje MMA?

Nie wiedział. Zdradził to wyraz jego twarzy.

– Wiesz, dlaczego zapisał się na treningi? – zapytała.

– Nie.

– Bo się boi. Bo my mieszkamy w Polsce, Kuba, a nie w Holandii. I w Polsce nasz syn może dostać wpierdol na ulicy po prostu za to, kim jest. Wystarczy, że ktoś go zobaczy, jak daje na pożegnanie całusa swojemu chłopakowi. Bo on ma chłopaka, wyobraź sobie! Albo że trzymają się za ręce. Do cholery.... Nawet jeśli ktoś po prostu pomyśli, że jest homoseksualistą, to wystarczy, by kilku gnojków rzuciło się na niego z pięściami. Dlatego nasz syn zaczął ćwiczyć MMA. Bo chce się umieć obronić. Ale wiesz co? Chodzi na tę sekcję kilka lat, ale żadnemu z tych chłopaków nie powiedział, dlaczego to robi. Bo się boi, że ktoś stamtąd dowie się o jego orientacji, a wtedy on straci miejsce, które zdążył polubić, i ludzi, z którymi się zaprzyjaźnił. Ale ty o tym wszystkim nie wiesz, bo życie twoich synów zupełnie cię nie interesuje.

Chciał zaprzeczyć, jednak żadne słowo nie potrafiło mu przejść przez gardło, a w głowie miał zupełną pustkę.

– Żałuję, że nie wiedziałeś – odezwała się po kilku sekundach ciszy Ola.  
– Bo bardzo potrzebowałam kogoś, z kim mogę o tym wszystkim porozmawiać. Komu mogłabym opowiedzieć o tym strachu, który czuję za każdym razem, kiedy mój syn wychodzi wieczorem na imprezę. I nie wiem, po prostu nie wiem, czy tym razem jakoś się nie zdradzi i to pechowo akurat przed kimś, komu to się nie spodoba. Albo o tych obawach, które mnie męczą, ilekroć myślę o tym, jaka przyszłość czeka go w tym kraju. Czy będzie tu w stanie zbudować sobie normalne życie? Czy będzie w ogóle mógł wychodzić na ulice i czuć się tutaj jak u siebie? Naprawdę żałuję, Kuba, że dowiedziałeś się dopiero teraz. Bo przez ostatnie kilka lat musiałam się z tym zmagać sama.

Żałował, że wcześniej nie przyniósł sobie z kuchni pełnej szklanki, bo teraz nawet usta miał suche. Język lepił mu się do podniebienia.

– Gramy razem na konsoli – powiedział wreszcie.

Wybuchnęła śmiechem.

– Serio? Będiesz mi teraz wmawiać, że jesteś ojcem roku? Nie, ojcem dziesięciolecia! Dlatego że kilka razy zagrałeś z własnymi synami w jakąś

strzelankę. Brawo, Kuba! – Pokręciła energicznie głową. – Nie, nawet nie wiem, jak miałabym to skomentować na poważnie.

– Spędzamy razem czas.

– Znakomicie – prychnęła. – Szkoda, że bawiąc się w żołnierzyków, szkoda, że tylko przez internet, i przede wszystkim szkoda, że tak późno, Kuba!

Przez chwilę miał ochotę po prostu zamknąć laptopa i przerwać tę rozmowę. Naprawdę chciał się dowiedzieć, dlaczego nic mu wcześniej nie powiedziała. Uważał, że miał do tego prawo. Jego syn mógł być pełnoletni, ale przecież ciągle był jego synem, a to było ważne, do cholery! A te jej obawy, o których teraz opowiadała? Przecież nie mógł nic zrobić, skoro o nich nie wiedział. A nie wiedział, ponieważ wszystko przed nim ukrywała. Dlaczego nie była w stanie tego zrozumieć?

– Dobrze – powiedział, czując, że nie jest w stanie kłócić się z Olą w momencie, kiedy dzieliło ich tysiąc kilometrów. Nie żeby lepiej z tym sobie radził, kiedy przebywali w jednym mieszkaniu, ale wtedy przynajmniej miał wrażenie, że trochę bardziej panuje nad sytuacją. – Niech będzie, że masz rację.

Uniosła lekko podbródek, a jej wzrok powędrował w bok, kiedy zastanawiała się nad tym, co powiedzieć.

– Kuba, to nie ma znaczenia, czy mam rację, czy nie – zaczęła. Jej głos był łagodny, spokojny, ale mimo że rozmawiali przez Skype'a, dało się w nim usłyszeć delikatne drżenie. – Bo ja w tej rozmowie jestem najmniej ważna. Ty zresztą też. Tu chodzi o Andrzeja.

– Wiem. Porozmawiam z nim. Tylko wcześniej chcę ci zadać jedno pytanie. I cokolwiek sądzisz, jakiegokolwiek masz zastrzeżenia, chciałbym, żebyś szczerze mi na nie odpowiedziała.

– Słucham – powiedziała, lekko nachylając się do kamery w komputerze.

– Czy Michał jest normalny?

Zmarszczyła brwi, jakby go nie rozumiała. Dopiero potem wzdrygnęła się, a w jej oczach pojawiły się błyskawice.

– Czy ty właśnie powiedziałeś to, co myślę, że powiedziałeś? – wydusiła z siebie.

– Po prostu chciałem wiedzieć.

– Czyli według ciebie z Andrzejem jest coś nie tak?!

– Nie o to mi chodziło... – próbował się bronić, ale słyszał, jak nieszczerze brzmi.

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, Kuba! – krzyknęła. – A ty zadajesz takie pytania?! Przeczytaj sobie Wikipedię! Albo włącz *Sex Education* na Netflixie, kurwa mać! Wbij to sobie do tego durnego, policyjnego łba: nasz syn jest normalny!

– Andrzej czy Michał?

Zastygła zszokowana bardziej, niż gdyby teraz wstał i się przed nią obnażył. Zanim zdążył przeprosić, zanim zdążył nawet o tym pomyśleć, wykonała szybki ruch ręką, nacisnęła przycisk i przerwała rozmowę.

Przez moment w lśniącym ekranie laptopa Mortka mógł dostrzec blade odbicie swojej twarzy. Ze złością zamknął wieko komputera, kiedy Skype wyświetlił komunikat z prośbą o ocenę jakości połączenia.

Resztę drogi do aresztu śledczego na Grochowie pokonali w milczeniu. Zych zaparkował na parkingu przed bramą. Zakład mieścił się na peryferiach dzielnicy. Po jednej stronie drogi rósł niewielki zagajnik, wokół znajdowały się nieużytki, a w oddali widać było tory kolejowe. Teraz nie jechał nimi żaden pociąg, więc tylko trakcja przecinała fioletowe od świateł miasta niebo. O tej porze roku, w środku nocy, to miejsce wyglądało jeszcze smutniej i jeszcze bardziej przygnębiająco niż zazwyczaj.

Kiedy zbliżali się do bramy, otworzyły się drzwi wartowni i pojawiła się w nich zwalista sylwetka strażnika więziennego w szarym mundurze. Mężczyzna był pod pięćdziesiątkę, miał czarną brodę, której gęstość musiała mu wynagradzać łysinę na głowie.

– Zychu! – krzyknął i zamachał do nich. – Czekaliśmy na was! Chodźcie, chodźcie.

Weszli po schodkach do niewielkiego pomieszczenia, w połowie przedzielonego kratą zamykaną na magnetyczny zamek. Na ścianie naprzeciwko wisiała tablica, na której zamieszczano ogłoszenia zakładowe i plakat zachęcający do szczepień. Po prawej od wejścia, za szybą znajdował się kolejny pokój. Drugi strażnik, młodszy od kolegi, siedział przy biurku, a przed sobą miał zeszyt, w którym zapisywano wejścia i wyjścia.

– Mikołaj – przedstawił się starszy z funkcjonariuszy i podał rękę Mortce.

– Kuba.

Miał żelazny uścisk. Nieustannie się uśmiechał, jakby ich wizyta naprawdę sprawiła mu radość.

– Dobra, panowie – powiedział Mikołaj. – Ponieważ z tego, co zrozumiałem, wasza wizyta jest mocno nieoficjalna, nie będziemy się

pierdolili z formalnościami. Normalnie musiałbym was prosić o wynik testu na covid, ale pozostaje mieć nadzieję, że nie przynieśliście nam tutaj tego gówna, nie? Nikt nie ma gorączki? Smak i zapach jest?

Przytaknęli.

– To fajnie, fajnie. Chociaż ja smak to bym chętnie stracił. Może wtedy mógłbym zjadać obiady mojej starej bez krzywienia gęby.

– No, ale piwka byłoby szkoda, nie? – rzucił Zych. – Jak byś wtedy degustował te kraczki?

Strażnik więzienny pokiwał głową w zamyśleniu.

– W sumie racja. Dla kraczków to mogę wytrzymać nawet gotowanie starej – przyznał i klasnął w dłonie. – Panowie, ale pomimo tego, że jesteście tutaj nieoficjalnie i w ogóle incognito, to musicie zostawić broń u tego tutaj młodego dżentelmena.

Zych bez słowa wyciągnął służbowego glocka z kabury i położył go na blacie przy oknie do rejestracji. Młody strażnik ostrożnie go podniósł i schował do szuflady biurka. Mikołaj spojrzał znacząco na Mortkę.

– Nie mam broni – powiedział komisarz.

– Okej. A coś innego? Jakies ostre przedmioty? Scyzoryki, noże, siekiery, tasaki?

– Tylko klucze.

– No klucze to ci pozwolimy zostawić. – Mikołaj puścił do niego oko. – Zapraszam, panowie.

Chwycił za kratę i gdy tylko funkcjonariusz w rejestracji nacisnął przycisk i rozległo się ciche brzęczenie, pchnął ją i szeroko otworzył. Zych ruszył pierwszy, za nim Mortka.

Opuścili budynek i znaleźli się na niewielkim, otoczonym wysokim płotem dziedzińcu. Przeszli przez jedną bramę, pokonali asfaltową drogę, która prowadziła w głąb zakładu, a potem kolejną bramę. Dopiero wtedy znaleźli się na terenie aresztu. Po lewej stronie mieli pięć połączonych ze sobą parterowych pawilonów. Cała budowla przypominała zwielokrotnioną literę W. Strażnik więzienny zaprowadził ich do drugiego z „palców”



i przywitał się z pracującym tam kolegą. Zamienili kilka słów na osobności, a potem poszli dalej. Drzwi od wszystkich cel były zamknięte. Pod sufitem świeciły się jasno jarzeniówki, ale w całym zakładzie panowała cisza i spokój.

Mikołaj zatrzymał się przed grubymi stalowymi drzwiami. Sięgnął po pęk kluczy, otworzył i zapalił światło. Oczom policjantów ukazała się skromnie urządzona siłownia. Były tutaj tylko bieżnia i stary rowerek, za to na ścianach znajdowało się mnóstwo plakatów informujących, jak ważny jest ruch, oraz przedstawiających propozycje ćwiczeń na różne części ciała. Weszli do środka.

– Poczekajcie tutaj – powiedział Mikołaj. – Zaraz go przyprowadzimy.

Odszedł, zostawiając przymknięte drzwi. Mortka oparł się o ścianę i potarł kilka razy twarz.

– Chyba się znacie, co? – zapytał Zycha.

– No – burknął tamten, a chwilę później uznał, że jednak powinien rozwinąć swoją wypowiedź. – Gramy razem w piłkę. Takie nieoficjalne rozgrywki służb mundurowych. My, straż więzienna, strażacy, wojskowi, nawet celnicy się załapali.

– I kto wygrywa?

– Jak dotąd strażacy.

– No tak. Można się było spodziewać.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł krótko ostrzyżony mężczyzna w dresie i tenisówkach. Ziewnął przeciągle. Na policzku odbił mu się ślad od poduszki. Był średniego wzrostu, spod białego tiszertu wyłaniał się wzór tatuażu.

– O! Bieżnia wolna! – powiedział i momentalnie skierował się do urządzenia, ignorując obu policjantów.

Mikołaj popatrzył na Zycha pytająco, a ten odparł:

– Możesz nas zostawić. Poradzimy sobie.

– Będę czekać na korytarzu. Jak skończycie, wystarczy, że jeden z was wystawi główkę – dodał, wychodząc z siłowni.

Więzień uruchomił bieżnię, wskoczył na nią i zaczął maszerować w szybkim tempie, energicznie wyrzucając na przemian ramiona, jakby trzymał kijki do nordic walkingu.

– Cześć, Kinol – powiedział Zych.

– Dzień dobry, panie komisarzu. A właściwie dobry wieczór, nie? Bo dość późno się zrobiło. Sporo po ciszy nocnej mnie odwiedziliście. Nie żebym się nie cieszył, bo pana komisarza to zawsze miło zobaczyć.

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego przyjechaliśmy?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Pewnie po to, żeby jeszcze raz mnie przepytać o tę martwą dziwkę, nie? Ale ja już wszystko powiedziałem i trzymam się swojego. Jestem niewinny. Nic nie zrobiłem.

– Oprócz tego, że wyrzuciłeś ją na wysypisko jak zwykły śmieć.

– Panie komisarzu, rozmawiałem z moim adwokatem i on mi poradził, żebym już z wami nie gadał. W niczym to mi nie pomoże, a jeszcze zaszkodzi.

– To nieoficjalne spotkanie, Kinol – odezwał się Zych. – Nic, co teraz powiesz, nie trafi do protokołu.

– Raz jeszcze, miło pana zobaczyć, ale gadać to sobie nie pogadamy, panie komisarzu.

W pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana tylko odgłosami pracującej bieżni i uderzających o nią stóp Kinola. Mortka oderwał się od ściany.

– Wiesz, Kinol, co jest najlepsze w takich nieoficjalnych, luźnych spotkaniach? – zapytał.

Mężczyzna odwrócił się do niego i jego twarz wykrzywiła się w grymasie przesadnego zaskoczenia, jakby dopiero teraz zauważył Mortkę.

– A my się chyba nie znamy, nie? Poza tym Kinol jestem dla znajomych. Dla pana komisarza na przykład, a dla ciebie...

– Najlepsze jest to, że mogę zrobić tak – rzucił Mortka, zupełnie nie słuchając tego, co ma do powiedzenia więzień. Doskoczył do bieżni i zanim

tamten zdążył zareagować, chwycił go za głowę i z całych sił szarpnął w dół.

Kinol stracił równowagę, najpierw uderzył czołem o panel sterowania urządzenia, a potem upadł z głuchym tąpnięciem na bieżnię. Taśma ciągle pracowała, więc pojechał na ścianę i wreszcie spadł na podłogę.

– Co to było, kurwa?! – jęknął, chwytając się za czoło, a potem nogę. – Chyba skręciłem kostkę.

– Zachęta do mówienia.

– Teraz to już w ogóle chuja wam powiem.

– Powiesz, powiesz – oznajmił spokojnie Mortka.

– Bo co? Z rowerka mnie zaraz zrzucisz?! Pierdol się, pedale. Skargę na was złożę!

– Ojej... Już się boję. Co ty, Kinol, myślisz? Że będziesz pierwszym, co się w celi w nocy powiesił? I to tak cichutko, że żaden, ale to żaden ze współosadzonych nic nie słyszał?

Kinol zastygł, masując kostkę i zrobił wielkie oczy.

– Nie zrobicie tego – powiedział cicho.

– Oczywiście, że nie zrobimy! – żachnął się Mortka. – Nie z takim małym gówienkiem, jak ty. Szkoda zachodu, chłopie. Ale pomiędzy zostawieniem cię w spokoju, a powieszeniem w celi jest spora przestrzeń na różne wynalazki. Dlatego nie utrudniaj nam pracy, a sobie nie psuj pobytu w tym luksusowym ośrodku. To co, Kinol? Jak będzie?

Mężczyzna przestał masować kostkę i ostrożnie, podtrzymując się ściany, podniósł się z podłogi. Powoli postawił stopę na ziemi i syknął z bólu.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał. – Przecież opowiadałem wam już to dziesiątki razy.

– No to opowiesz jeszcze raz – powiedział Mortka. – Ale na początek wyłącz tę cholerną bieżnię. Strasznie szumi.

Więzień wykonał polecenie, potem spojrzał na niego pytająco.

– Dalej, dalej, Kinol. Od początku.

– No to było tak, że z Oksaną nie było kontaktu, nie? Nie odbierała telefonu, nie odpowiadała na WhatsAppie. Ani mnie, ani klientom. To się trochę wkurwiłem, nie? Bo dużo dla dziewczyny zrobiłem, a myślałem, że ona spierdoliła. Albo na Zachód, albo do siebie wróciła, nie?

– Pracowała dla ciebie?

– No przecież mówię.

– Gdzie?

– Na domówce. W takiej kawalerce ją trzymałem. Bo ona ładna była, w sensie, jak już ją zrobiłem. Młoda, nowa w mieście, prawie nieśmigana. Niemiec płakał, jak sprzedawał.

Zarechotał z własnego dowcipu, ale śmiech ugrzęzł mu w gardle, kiedy zobaczył, że Mortka zaciska pięści.

– No to na początek siedziała w tej kawalerce – kontynuował po chwili męczącej ciszy. – Że to niby takie lepsze standardy, nie? Prywatność, nie żaden burdel, o którym wszyscy wiedzą i każdy tylko patrzy, kto tam wchodzi. A ona też dobrze ze mną miała. Na nic się nie miała prawa skarżyć. Dobrze zarabiała. Na łańcuchu jej nie trzymałem. Ważne było tylko, żeby pracowała. Ale przestała odbierać telefony, nie? To się trochę wkurzyłem.

– I co zrobiłeś?

– Poszedłem do tej kawalerki, nie? Szczerze mówiąc, to naprawdę się spodziewałem, że mi spierdoliła i nikogo tam nie zastanę. Bałem się nawet, bo trochę sprzętu tam miałem. Jakiś telewizor, radyjko. Myślałem, że mi to podprowadziła.

– Dobra. Przyszedłeś do kawalerki. Co dalej?

– Poszedłem. Drzwi, kurwa, zamknięte. To się zirytowałem jak Cygan w kolejce po zasiłek, bo musiałem jechać do siebie po klucze. Wróciłem, otworzyłem, no i ona tam była. Leżała na łóżku. Cała pościel zaplamiona krwią. Ktoś ją kropnął. Prosto w cyce jej strzelił.

Mortka zerknął pytająco na Zycha.

– Dwa postrzały w klatkę piersiową – wytłumaczył funkcjonariusz. – Jeden prosto w serce. Z bliskiej odległości, na co wskazuje osmolenie skóry.

– I co zrobiłeś, Kinol?

– No wkurwiłem się mocno.

Mortka westchnął ciężko.

– Nie pytałem o twój stan emocjonalny. Chodzi mi o to, co się wydarzyło dalej.

– No... ten... poczekałem trochę. Posprzątałem syf, co tam był, potem zawiązałem ją w takie torby na śmieci, do samochodu i na wysypisko. A później to już przecież sami wiecie. To zresztą też już znaliście. Mówiłem wam przecież, że wszystko powiedziałem. Nie mam pojęcia, kto zajeżdżał tę dziewczynę.

– A próbowałeś się dowiedzieć, kto to zrobił?

Kinol przez moment wyglądał tak, jakby się zawstydził. Spuścił wzrok, poczerwieniał aż po czubek łysiny.

– Nie – mruknął cicho.

– Jak to nie? – zdziwił się Mortka. – Przychodzi jakiś facet, zabija twoją dziewczynę, a ciebie nie interesuje, kto to był? Tak po prostu odpuszczasz?

– Chryste, człowieku! – wykrzyknął Kinol i wyrzucił ramiona w górę. – A po co mam czas, kurwa, tracić? I się wdawać w jakieś awantury? Odjechał dziewczkę, to odjechał! Na chuj drażyć temat.

– Straciłeś swoją dziewczynę.

– I wielka mi tragedia! Przecież teraz mamy ich najazd! Z Ukrainy więcej dziwek przyjechało niż jebanych budowlańców, a do tego Białorusinki i nawet laski z Bliskiego Wschodu się trafiają! Nie ma tylu chujów w stolicy, żeby je wszystkie wyruchać! Codziennie se mogę castingi urządzać, jak te ciulki w *Top Model*. Szkoda Oksany, ale trzy inne miałem na jej miejsce!

Mortka wysłuchał tej tyrady i pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Co się z tym miastem porobiło, kiedy mnie nie było – powiedział cicho, jakby do siebie. – Klienci – dodał głośniej. – Kto był jej ostatnim klientem?

– No nie wiem – oznajmił Kinol.

– Nie wiesz? Nie pilnowałeś, kto do niej przychodził?

– No nie. Przecież nie będę stał pod drzwiami i liczył, ilu facetów ją dyma, nie?

– To skąd wiedziałeś, ile ma ci zapłacić?

– To była stała stawka. Nie obchodziło mnie, czy ruchała się całe dnie i nocy, czy dawała dupy tylko jednemu facetowi, ale tak zajebiście, że rzucał w nią banknotami. Ważne, żeby płaciła mi co miesiąc tyle, na ile się umawialiśmy.

– Czyli jaka właściwie była twoja w tym rola? Co robiłeś poza zbieraniem kasy?

– No sporo – obruszył się Kinol. – Przede wszystkim lokal był na mnie, nie? Poza tym wyhaczyłem ją, założyłem konta na tych wszystkich portalach i pokazałem, jak z nich korzystać. Zabrałem do kosmetyczki, fryzjerki, na solarium, depilację, paznokcie i inne duperele. Nakupowałem fatalaszków, żeby się mogła odstawić na spotkanie. No i gwarantowałem... – przerwał w połowie oddechu, ale Mortka dokończył za niego:

– Bezpieczeństwo.

– No tak – przyznał, przełykając ślinę Kinol. – Ale jakby się ktoś do niej dopierdalał, a nie jak jakiś świr przychodzi, żeby ją odjechać.

– Czyli nie wiesz, kto to mógł być?

– No nie...

– Znasz jakichś jej stałych klientów? Masz ich adresy, nazwiska, numery telefonów?

– Człowieku, przecież to dziwka była! Jakbym chciał legitymować każdego, kto przychodzi sobie zaruchać, tobym przecież żadnych klientów nie miał!

Do Mortki właśnie docierało, że wyjazd tutaj był stratą czasu. Kolejną tej nocy, kiedy w pokoju przesłuchań czekał na niego Gunther. Nie wiedział, czego spodziewała się po nim Sucha, ale przecież nie da się wyciągnąć żadnych informacji z kogoś, kto nic nie wie.

– Sprawdzaliście to mieszkanie? – zapytał Zycha.

Młodszy funkcjonariusz pokiwał głową.

– Musiała się jakoś kontaktować z klientami. Znaleźliście tam jej telefon? Komputer?

– Nic nie było.

– Jakies ślady biologiczne?

Zych parsknął krótko.

– Ona była prostytutką. Znaleźliśmy w tym mieszkaniu więcej śladów spermy niż jest w banku nasienia – oznajmił.

Mortka minął go i podszedł do zakratowanego okna. Wyjrzał na zewnątrz i przez chwilę przyglądał się więziennemu murowi naprzeciwko. Zwoje drutu kolczastego na jego szczycie w środku nocy przypominały krzaki dziwacznej, groźnej rośliny. Potem odwrócił się na pięcie.

– Chodźmy stąd. Szkoda naszego czasu – oznajmił i ruszył w kierunku stalowych drzwi. Przystanął przed jednym z plakatów z propozycjami ćwiczeń na plecy i postukał w niego palcem. – Masz jeszcze chwilę, zanim przyjdzie strażnik – rzucił, zwracając się do Kinola. – Jak się pospieszysz, to może nawet zdążysz zrobić cały obwód. Tylko uważaj na kostkę. Wydaje mi się, że faktycznie trochę spuchła.

Ania przyglądała się sobie w lustrze. Ścisnęło ją w brzuchu z niepokoju, jak wtedy, gdy szła na studniówkę z Przemkiem. Ale to przecież nic dziwnego. Ona, prosta dziewczyna z zawodówki, z baraków. Tak nazywano jej okolice, chociaż już dawno baraków tam nie było. Na ich miejsce wybudowano niskie, dwupiętrowe bloki, nazwa jednak została. On natomiast z liceum, mieszkał w domu jednorodzinnym, miał rodziców lekarzy. Niby się znali, niby kilka razy gdzieś poszli, ale zaskoczył ją tym zaproszeniem na studniówkę. Z nerwów tuż przed dostała biegunki i bała się, że jednak nie pójdzie.

A potem na samej studniówce Przemek szybko upił się przemyconą wódką. Ledwo był w stanie poloneza zatańczyć. Musiała go przytrzymać, żeby nie upadł. Godzinę później spał już w kącie, przytulony do swojej marynarki. Powinna sobie wtedy pójść, ale została. Bo dotąd nikt nie zaprosił jej na bal, bo była młoda i zakochana. Ale też trochę zła. Dlatego później sama ruszyła na parkiet, a już w nocy, kiedy się zgrzała i trochę upiła, poszła z dwoma kolegami z klasy Michała zapalić za restauracją. Rozmawiali, śmiali się, było miło. A kiedy mieli już wracać, zaciągnęli ją w krzaki i stało się to, co się stało.

Nikommu o tym nie powiedziała, za to oni tak. Przemek już nigdy się do niej nie odezwał, kiedy po jego szkole poszła plotka, że na studniówce uprawiała seks z dwoma chłopakami naraz. W jakiś sposób dotarła też do mamy. Mama weszła wtedy do jej pokoju, spojrzała na nią z góry i powiedziała, że wychowywała ją na porządną dziewczynę, a nie dziwkę, i nie odzywała się do niej przez ponad dwa tygodnie. Zaczęła znów, kiedy Ania wracała do domu późnym wieczorem. Nic złego nie robiła, krążyła tylko po okolicy, a mama i tak zapytała: „A gdzie ty się kurwisz po nocy?”.



Poznała Darka. Już nie szukała, nie wzdychała za takimi jak Przemek. Znała swoje miejsce. Ten chłopak pasował do niej i pasował do baraków. Nie wywyższał się, nie opowiadał o książkach, których nie czytała, ani o filmach, których nie widziała. Za to zrobił jej dziecko, a potem nie chciał się do niego przyznać. Opowiadał wszystkim dookoła, że nie wie, czy to jego. Że wiadomo, jaka jest Ania, że tych dwóch chłopaków ze studniówki. A brzuch rósł i coraz więcej ludzi się od niej odwracało. Mówili, że rozkłada nogi przed każdym i teraz wrabia biednego chłopaka. A prawda była taka, że miała tylko czterech. Pierwszego Szymona, jedyne, o którym by złego słowa nie powiedziała. Po tym kupił jej pączki i colę. Trochę się jeszcze wozili, ale jakoś tak się rozeszło bez żalów i chyba z ulgą po obu stronach. Tych dwóch, co ich wcale nie chciała. I wreszcie Darka, któremu jako pierwszemu po tym wszystkim zaufała.

Urodziła syna, pozwała Darka o alimenty. Sąsiedzi krzywo na nią patrzyli, ale swoje wygrała. Gorzej, że matka miała jej za złe. Często wspominała, że to wstyd, że dziecko powinno mieć ojca. Jakby to była jej wina, że Darek wolał jeździć na roboty do Anglii, Niemiec czy Irlandii, byleby tylko małego unikać. A do niej w ogóle się nie odzywał, jakby zapomniał, kto chciał bez gumki i kto zapewniał, że wyjmie przed czasem.

Źle się jej mieszkało z matką w tym dwupokojowym mieszkanku, które kiedyś dostała z ojcem, zanim ten wpadł pod samochód. Ciągle miała do niej pretensje. Ciągle się jej czepiała. Ciągle wypominała, że najpierw to powinna skończyć szkołę, zdobyć zawód, stanąć na swoim i znaleźć męża, a dopiero potem nogi rozkładać. Ale musiała jej przyznać, że Rafałkiem pięknie się zajmowała. Zawsze do niego wstawiała, zanim Ania zdążyła się rozbudzić. Podawała mu mleko, karmiła, wychodziła na spacer, bawiła się. Dlatego bez wyrzutów sumienia zostawiła z nią małego i wyruszyła do Warszawy szukać pracy. Bo u nich w miasteczku roboty po prostu nie było. Covid zrobił swoje. Tam, gdzie wcześniej mogłaby się zatrudnić, nie szukali nowych pracowników. Ledwo trzymali etaty dla tych, które już tam pracowały. Poza tym wszyscy bali się tego, co będzie potem.

Strasznie tęskniła za swoim synkiem. Często wieczorami, już leżąc w łóżku, wyciągała komórkę i przeglądała ich wspólne zdjęcia oraz filmiki. To, na którym bawią się samochodzikami, i to, na którym łapie go, kiedy mały pędzi w dół na zjeżdżalni na placu zabaw, po czym klaszcze z radości małykami dłońmi i pokazuje palcem, że chce jeszcze raz. Zawsze potem płakała do poduszki, zasypiając. Wywołała nawet jedno zdjęcie i schowała je do portfela, żeby zawsze mieć Rafałka blisko serca.

W Warszawie znalazła robotę w takim jednym salonie. Fajne miejsce. Zaprzyjaźniła się szybko i z Klaudią, i z Ludmiłą. Klientki też były w większości uprzejme, więc nawet sama nie wiedziała, kiedy czas pracy mijał. I wreszcie właściciel. Który oficjalnie płacił mało, ale pod stołem znacznie więcej. Jak go po raz pierwszy zobaczyła, to się przestraszyła. Wielki facet, brzuch taki, że swoich stóp nie widział, spocony i do tego tandetny wąs. Pomyślała, że nic dobrego z tego nie będzie, a on okazał się takim wujkiem do rany przyłóż. Płacił więcej niż uczciwie, pożartować z nim można było, pogadać. Nie tolerował tylko, jak się spóźniały do pracy, bo klientki czekały. Ania to rozumiała. Nie denerwowała się nawet, kiedy raz spóźniła się pół godziny, nie ze swojej winy, bo metro stanęło, i właściciel potracił jej z pensji. I tak myślała, że wreszcie znalazła swoje miejsce na Ziemi.

Gorzej, że znalazła także Wojtka. Od razu ją przyuważył, kiedy się wprowadziła. Fajny, dowcipny, dobrze zbudowany, przystojny. Pracował w okolicy. Minęli się raz czy drugi w Żabce. Zaczepił ją. Przy kolejnej okazji zaproponował wino. U niej, bo on mieszkał daleko, ale on płacił, więc się zgodziła. Wkrótce byli już razem.

Nie miała nikogo w Warszawie. Nikogo znajomego oprócz dziewczyn w pracy. Może gdyby miała, to ktoś by ją ostrzegł. Bo pewnego dnia, kiedy wróciła do domu, Wojtek zniknął, a razem z nim jej pieniądze. I te, które oficjalnie zarabiała, i te, które dostawała pod stołem. Nie odbierał telefonów, oczywiście. Do pracy też przestał przychodzić. Nie miała z nim żadnego kontaktu. Została sama, bez kasy, z rachunkami do zapłacenia na głowie. I obietnicą, którą złożyła mamie, że będzie jej wysyłać pieniądze.

Nie wyobrażała sobie teraz, że mogłaby wrócić do domu. Wiedziała, co by się stało, co by usłyszała. Na samą myśl zaczynała się palić ze wstydu.

Wtedy przypomniała sobie, jak poszła z Klaudią na imprezę do jednego ze stołecznych klubów. Koleżanka długo ją musiała wyciągać. Ania nie chciała tracić pieniędzy na alkohol, wejściówki, makijaż i ciuchy. Klaudia obiecała, że wszystko jej załatwi, i faktycznie, przyjechała do niej dwie godziny przed imprezą. Przywiozła kieckę, prostą małą czarną, ale Ania wyglądała w niej szalowo, i torbę z akcesoriami do makijażu. Zrobiła ją tak, że Ania ledwo sama się w lustrze poznawała. A potem pojechały do klubu i nie musiały płacić przy wejściu ani złotówki.

Nie miała żadnych pieniędzy. Klaudia, jak się okazało, też nie. Siedziały więc jak te dwie durne przy barze i tylko podrygiwały nóżką w takt muzyki. Aż do Klaudii przyszedł esemes. Poderwała się. Zaczęła rozglądać się wokoło i zaraz wyłowiła wzrokiem wysokiego faceta w białej koszulce i krótkiej marynarce. Przeprosiła Anię i radośnie do niego podbiegła. Zniknęli dziewczynie z oczu.

Klaudia wróciła po ponad pół godzinie. Wyglądała inaczej. Policzki miała zaróżowione, cała lśniła. Zamówiła dla nich obu po drinku i nonszalanckim gestem rzucił barmanowi stówkę.

– Myślałam, że nie masz kasy – powiedziała Ania.

– Już mam.

– Skąd? – zapytała.

– Artur mi dał.

I wtedy już wszystkiego się domyśliła. Siedziały obok siebie na niewygodnych barowych hokerach, w tle dudniła klubowa muzyka, a w powietrzu unosił się słodkawy zapach dyskotekowego dymu.

– No co? – zapytała Klaudia, a jej głos brzmiał wojowniczo.

– No nic – szepnęła Ania. – Po prostu ty tak z nim... za pieniądze?

Klaudia teatralnie przewróciła oczami.

– Słuchaj, Ania. Chciałam się pójść zabawić i się bawię. Seks lubię, a że przy okazji coś zarabiam, to chyba nie ma w tym nic złego, prawda?

Początkowo zabrakło jej tchu, kiedy usłyszała, jak lekko Klaudia o tym opowiada. Przecież tak właśnie zachowują się „dziwki”. Tyle że pracowały razem, nie mogła więc użyć tego słowa.

– Ale to... sama wiesz...

Klaudia położyła jej dłoń na ramieniu. Anię aż przeszedł dreszcz.

– To nie jest tak, że chodzę z każdym. Najpierw się z nimi umawiam, obserwuję, patrzę, czy mi się podobają. Artur mi się akurat spodobał. A ty co myślisz? Podoba ci się?

Tylko jej mignął, nawet mu się dobrze nie przyjrzała.

– Chyba jest całkiem niezły – powiedziała.

– To dobrze. Bo ty mu się też spodobałaś, a Artur lubi trójkąty. Dobrze płaci i jest w tym naprawdę dobry, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Ania doskonale wiedziała, ale i tak zrobiło jej się niedobrze.

– Nie, dziękuję – odparła.

Klaudia zrobiła zmartwioną minę. Ania zeszła z hokera, wzięła swoją torebkę i komunikacją miejską wróciła do domu. Po drodze zaczepiało ją dwóch wyrostków. Na szczęście wysiedli trzy przystanki wcześniej.

Martwiła się, jak będzie potem w pracy, ale Klaudia w ogóle nie poruszała tematu. Zachowywała się tak serdecznie, jak zawsze. Obie udawały, że nic się nie stało, i były w tym świetne.

A teraz stała przed lustrem. Włożyła na siebie kieckę, której zwrotu Klaudia nigdy nie zażądała, bo to przecież równałoby się przyznaniu, że tamten wieczór się wydarzył, i patrzyła na siebie z zadowoleniem. Wyglądała obłędnie. Nawet Przemek, pomimo tego wszystkiego, co się wydarzyło, nie mógłby się jej oprzeć. Bo przecież on też mieszkał teraz w Warszawie, studiował na Uniwersytecie Medycznym. A kiedy tylko myśl o ich potencjalnym spotkaniu pojawiła się w jej głowie, Ania poczuła, że pali się ze wstydu. Wiedziała, że nie byłaby w stanie mu się pokazać.

Szczególnie biorąc pod uwagę to, co zamierzała zrobić. Nie miała pieniędzy na czynsz. Mama wyrzucała jej ten wyjazd do Warszawy, powtarzała, że co za matka zostawia własnego syna. Ania tłumaczyła

w kółko, że to wszystko właśnie dla Rafałka, że chce coś dla niego zrobić, zapewnić mu lepszą przyszłość, zarobić na ubranka, buty. Żeby nie musiał się wstydzić, że mieszka w barakach. Żeby mógł chodzić po ich miasteczku z wysoko podniesioną głową. Przecież nie wróci teraz do rodzinnej miejscowości bez grosza przy duszy!

Poprawiła makijaż i przyjrzała się sobie w lustrze. Wiedziała, że teraz to się inaczej załatwia, głównie w internecie. Tak właśnie robiła Klaudia. Ale Ania nie miała w sobie dość odwagi, żeby wrzucić własne zdjęcie na jeden z tych portali. Nawet gdyby skadrowała je tak, by ukryć twarz, była pewna, że ktoś by ją rozpoznał i wkrótce wszyscy by wiedzieli. A ona miała dość wstydu po tej nieszczęsnej studniówce.

Powtarzała sobie, że tylko wychodzi zobaczyć, jak tam jest. Że pospaceruje po nocnej Warszawie. Że jeszcze nic nie jest postanowione. Że nic nie musi się wydarzyć.

I że robi to wszystko dla swojego synka.

– I? – powiedziała Justine, patrząc wyczekująco na Mortkę.

– I co?

– I gdzie jest problem? – sprecyzowała.

Siedziała naprzeciwko niego na fotelu, założyła nogę na nogę, odsłaniając kawałek uda. W dłoni trzymała kieliszek czerwonego wina. Delikatnie nim kręciła, raz w lewo, raz w prawo. Miała na sobie szarą obcisłą spódnicę i czarną bluzkę z dekoltem na tyle dużym, że wyraźnie widział rowek pomiędzy jej piersiami. Usta pomalowała czerwoną szminką i teraz uśmiechała się delikatnie, ale z pewną przyjazną złośliwością. Wyglądała cholernie seksownie i normalnie myślałby tylko o tym, co zrobić, żeby jak najszybciej zaciągnąć ją do łóżka. Ale Justine lubiła zazwyczaj odwlekać ten moment. Wymagała wina, rozmowy, dobrego posiłku, wspólnego oglądania filmu albo tańców do piosenek puszcanych ze Spotify. Nieustannie się z nim drażniła, a jemu zazwyczaj sprawiało to przyjemność.

Ale nie dzisiaj. Dzisiaj nie chodziło o seks. Potrzebował jej, żeby pomogła mu ułożyć to sobie w głowie.

– Mój syn jest gejem – powtórzył, a ona powtórnie wzruszyła ramionami.

– To jest zakazane w Polsce?

– Co takiego?! Nie!

Wiedziała, że nie. Wcześniej zajmowała się trochę przestępczością seksualną i mniej więcej orientowała się, jak wygląda prawo w różnych częściach Europy. Poza tym nikt przy zdrowych zmysłach nie wpuściłby do Unii kraju, w którym karze się dorosłych ludzi za seks. Nieważne, w ile osób i w jakiej konfiguracji – oczywiście, tak długo jak wszyscy zainteresowani wyrazili na to zgodę. Lubiała jednak od czasu do czasu się

z nim droczyć. Udawać, że naprawdę uważa go za faceta z jakiegoś egzotycznego kraju na Dzikim Wschodzie, gdzie ludzie wciąż jeżdżą do pracy na niedźwiedziach polarnych, a po nocach drżą ze strachu przed sforami wilków.

– No to chyba nie masz powodu do zmartwień, prawda?

Mortka do tej pory stał oparty o okienny parapet. Teraz odepchnął się od niego, przeszedł kilka kroków w stronę najbliższej ściany tylko po to, żeby od niej również się odbić. Zupełnie jakby był piłeczką w starym automacie do gry w pinballa.

Justine upiła łyk wina, a kiedy przechodził obok, chwyciła go za rękę. Przytrzymała i ścisnęła w geście, który miał dodać otuchy i przypomnieć, że jest teraz przy nim.

– Słuchaj, Jacques – zaczęła. – Rozumiem, że twój syn właśnie dokonał coming outu i zrobił to w mało delikatny sposób.

Mortka mimowolnie się napiął, kiedy mu to przypomniała.

– Podczas cholernej gry komputerowej – wyrzucił z siebie.

Odwróciła głowę, żeby ukryć przed nim uśmiech. Rozumiała jego wzburzenie, ale jej wydawało się to bardzo zabawne.

– Tam byli jeszcze inni ludzie i wszystko słyszeli. Cholera, nie rozumiem, dlaczego nie mógł do mnie zadzwonić. Albo po prostu wyznać wszystkiego, kiedy spotkaliśmy się w Polsce!

– Masz rację, powinien właśnie tak zrobić. Ale ty z kolei mógłbyś trochę zrozumieć jego.

– Bo?

– Żeby cię nie urazić, powiem tylko, że tobie też trudno przychodzi mówienie o uczuciach. Na przykład do teraz nie powiedziałeś mi, że mnie kochasz.

Wybuchła śmiechem, kiedy zobaczyła jego minę. Skrzywił się, kiedy dotarło do niego, że żartowała. Wyzwolił dłoń z jej uścisku. Trąciła go delikatnie palcem w ramię.

– Daj spokój – dodała. – Chciałam cię tylko rozbawić. Nie udało mi się?

– Niespecjalnie – mruknął.

– Dobrze, Jacques, przepraszam – powiedziała. – Dowiedziałeś się, że twój dorosły syn jest gejem. Rozumiem, że to niespodzianka, i rozumiem, że możesz się czuć trochę nieswojo. Bo to jednak jest wyjście poza jakąś... brzydko to ujmując, normę. To znaczy, wszyscy sobie wyobrażamy, że nasze dzieci są jednak heteroseksualne. Pójdą tą utartą ścieżką, znajdą partnera przeciwnej płci, wezmą ślub, zrobią sobie dzieci, a my będziemy się cieszyć wnukami na starość. Ale ty, powiem ci szczerze, trochę przesadzasz.

– Przesadzam?

– Geje, osoby niebinarne i tak dalej – mówiła, wymachując dłonią – były, są i będą. Ocenia się, że jest ich około sześciu procent w waszym społeczeństwie. To przecież wcale nie jest mało. A niedawno czytałam amerykańskie badania, z których wynika, że wśród młodych aż piętnaście procent badanych identyfikuje się jako osoby nieheteroseksualne. I teraz pytanie, czy coś się zmieniło w ostatnich latach, czy takich osób zawsze tyle było, tylko wiesz, nie ujawniały się, bo na przykład groziło im za to więzienie, społeczny ostracyzm i tak dalej.

Kiedy mówiła, Mortka coraz mocniej marszczył brwi, a do Justine dotarło, że przesadziła ze swoją wiarą w jego znajomość francuskiego. Dobrze sobie z nim radził, nie robił wielu błędów i w miarę swobodnie mogli porozmawiać na większość tematów, ale teraz sprawiał wrażenie, jakby nie rozumiał. Albo brakowało mu słownictwa, albo po prostu mówiła za szybko. Wypiła łyk wina. Porządne bordeaux. Sama je przyniosła, bo Mortka miał wiele zalet, ale dobry gust w kwestii win nie był jedną z nich. Chociaż i tu czynił postępy i dwa razy nawet zdołał ją przyjemnie zaskoczyć. Bordeaux było trochę ciężkawe, ale z jakiegoś powodu dobrze ją nastrajało przed seksem. Cóż, pomyślała, ta butelka pójdzie na zmarnowanie. Do niczego przecież dzisiaj nie dojdzie.

– Chciałam powiedzieć, że to, co się wydarzyło, jest zupełnie normalne i nie masz się czym przejmować.

– Masz w rodzinie kogoś homoseksualnego? – zapytał po chwili.



– Kuzyna.

– Kuzyna. Czyli nie syna? Nie córkę?

– Wiesz, że nie mam dzieci – rzuciła nonszalancko. – Powiesz mi w końcu, o co ci właściwie chodzi, Jacques?

Rozejrzała się po jego mieszkaniu i uderzyło ją, że nie ma w nim nic, co by wiązało się z Polską i jego rodziną. Żadnych zdjęć, pamiątek, rysunków, kartek z życzeniami. Niczego. Jakby przyjechał do Hagi, żeby stać się zupełnie nową osobą. Przypomniała sobie, że to ich początkowo zbliżyło – to przecucie, że oboje przed czymś uciekają. Związała się z nim, bo wiedziała, że nie będzie jej zadawać żadnych pytań. A nawet jeśli jakieś tematy wyjdą, bo przecież tak musiało się stać, nie będą ich drażnić. A teraz proszę, siedziała u niego, po uszy zatopiona w jego rodzicielskich rozterkach. I nawet szczerze chciała mu pomóc, ale miała wrażenie, że on nie pomocy oczekuje, tylko potwierdzenia swoich myśli.

– Wydaje mi się, że to moja wina – odezwał się.

Takich słów się nie spodziewała. Poprawiła się na fotelu, który nagle wydał się jej bardzo niewygodny.

– Co to znaczy „twoja wina”? Że twój syn jest homoseksualistą?

Niechętnie skinął głową, a potem położył rękę na czole, jakby chciał otrzeć nią pot, którego tam nie było.

– Nie zapewniłem mu męskiego wzorca do naśladowania.

Justine przez chwilę się wahała. Nie dlatego, że nie miała odpowiedzi, po prostu nie była pewna, czy on ją zrozumie. Nie do końca wiedziała, jak u niego jest ze znajomością potocznej francuszczyzny. Wreszcie uznała, że w końcu uczył się nie tylko z podręczników, ale także od policjantów, z którymi pracował w jednym zespole, a ci nie gryźli się w język. Dlatego zdecydowała się wypowiedzieć zdanie, które jako pierwsze pojawiło się w jej głowie.

– Chyba cię popierdoliło, Jacques.

Machnął na to lekceważąco ręką.

– Tylko posłuchaj. Rozwiodłem się z jego matką, kiedy miał jedenaście lat, a wcześniej dużo się z Olą kłóciliśmy. On tego wszystkiego musiał słuchać. Ja wtedy dużo pracowałem... – Zawiesił głos, jakby coś do niego właśnie dotarło. – Może do tej pracy po prostu uciekałem – dodał po chwili. – Żeby nie siedzieć w domu, nie wdawać się w kolejną awanturę. A potem, kiedy była jakaś szansa, że zrobi się normalnie i jakoś sobie ułożymy to życie po rozwodzie, musiałem wyjechać do Hagi.

Zdziwiło ją, że użył słowa „musiałem”. Nie знаła nikogo, kto by przyjechał do Europolu za karę. Każdy chciał tu być, ci z Europy Środkowej głównie dla pieniędzy. W Hadze zarabiali dużo lepiej niż w swoich rodzimych krajach. Tutaj starali się żyć oszczędnie, potem wracali do siebie, robili remonty, kupowali samochody, domy, mieszkania. Podobnie zresztą było z Portugalczykami czy Grekami. Ci ze starej Unii najczęściej uważali, że misja w Europolu będzie dobrze wyglądała w ich CV, wybierali Hagę jako miejsce spokojnego zakończenia policyjnej kariery albo chcieli sobie wyrobić kontakty, które przydadzą im się już w pracy poza służbami. Nie znała nikogo, kto by „musiał” tu być. Wszyscy, choć z różnych powodów, chcieli.

– Przez cały okres jego dorastania prawie nie było mnie w domu – kontynuował Mortka. – Nie widział mnie. Nie wiedział, jak powinien zachowywać się mężczyzna. Większość czasu przebywał z matką albo z babcią, bo z dziadkiem też prawie nie miał kontaktu. Przecież nie można wykluczyć, że to właśnie dlatego jest, jaki jest. Że to wszystko moja wina, bo nie potrafiłem go wychować.

Justine wstała z fotela i obciągnęła spódnice. Ujrzała swoje odbicie w oknie i pożałowała, że włożyła akurat tę bluzkę. Miała teraz ochotę ubrać się w zapinany pod samą szyję sweter lub chociaż schować się pod kocem. Odstawiła na stół kieliszek z niedopitym winem i ruszyła do wyjścia. Mortka po kilku sekundach podreptał za nią. W milczeniu obserwował, jak wkłada buty, a potem sięga po płaszcz.

– Nie chcę cię tak zostawiać – powiedziała, zapinając po kolei guziki – ale też nie mogę patrzeć na ciebie, jak opowiadasz takie głupoty.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i zaraz je zamknął. Przełknął ślinę. Skończyła się ubierać. Poprawiła szalik, a potem zrobiła dwa kroki w jego stronę. Położyła mu dłoń na policzku i poczuła pod palcami chropowatość jego zarostu. Pogłaskała go, cały czas patrząc mu w oczy. Widziała w nich zagubienie, gniew, niepewność. Nie wiedziała tylko, czego jest więcej. I na kogo się gniewa? Na siebie? Na nią? Na Andrzeja? Na całą ich trójkę?

– Dzwoniłeś już do syna? – zapytała.

– Po co?

– Żeby powiedzieć mu, że go kochasz. I że akceptujesz go takim, jakim jest.

Odsunął głowę od jej dłoni, a potem zrobił krok w tył.

– On o tym wie – powiedział.

– Od ciebie?

Jego milczenie wystarczyło jej za całą odpowiedź. Ruszyła do drzwi, nacisnęła klamkę. Odwróciła się do niego po raz ostatni tego wieczora.

– Zadzwoń do syna, Jacques – poleciła. – Zadzwoń najszybciej, jak możesz. Zanim będziesz żałować, że tego nie zrobiłeś.

Sucha po raz kolejny tej nocy przekroczyła próg pokoju przesłuchań. Gunther wyglądał, jakby spał. Głowę miał opuszczoną, ręce splótł na piersi. Lekko się kołysał w rytm powoli unoszącej się i opadającej klatki piersiowej. Policjantka podeszła do stołu, przesunęła krzesło, specjalnie szurając nim po podłodze. Usiadła. Mężczyzn podniósł wzrok i zamrugał, jakby nie do końca wierzył, że znowu ją widzi.

– Drzwi były zamknięte – oznajmił nieoczekiwanie.

Wydawał się zmęczony i zrezygnowany. Sucha wiedziała z doświadczenia, że to jest ten moment, kiedy trzeba milczeć. Pozwolić wygadać się przesłuchiwanemu, który w takich przypadkach zazwyczaj mówi więcej niż wtedy, gdy się go dociska.

– Bo o to wam chodzi. Po to całe to przedstawienie, prawda?

Nie odpowiedziała, ale nie przejął się tym.

– W nocy była ta awantura – kontynuował. – Zresztą pani sama wie. Kłócili się z tym chłopakiem, który w końcu go zabił. Wtedy tego nie wiedziałem, ale przeszkadzały mi te hałasy. Rano się obudziłem, ciągle wkurzony, bo się przez niego nie wyspałem. Wiem, zaraz pani powie, że przecież była sobota. Mogłem spać, do której tylko sobie życzę. Ale ja tak nie potrafię. Codziennie budzę się mniej więcej o tej samej porze. Potem nie mogę już zasnąć.

Przerwał na kilka sekund, jakby próbował sobie przypomnieć, jak dokładnie wyglądał tamten poranek, i tym razem niczego nie pominąć.

– Ubrałem się. Wyszedłem po pieczywo. Kiedy mijałem jego drzwi, przypomniałem sobie o tej nocnej awanturze. Przyszło mi do głowy, że to dobry moment, żeby powiedzieć mu, co o nim myślę. I o tych awanturach, imprezach, o tym, jak się zachowuje, i o wszystkich innych rzeczach. Zapukałem. Nikt nie otwierał. Zapukałem jeszcze raz, a potem nacisnąłem

klamkę. To był impuls po prostu. Nawet o tym nie myślałem. Ale drzwi się otworzyły. To wszedłem do środka. I może mi pani nie uwierzyć, ale złość od razu mi przeszła. Bo w tym mieszkaniu była cisza, taka inna cisza, nieprzyjemna. Od razu wiedziałem, że stało się coś złego. Zawołałem go, powiedziałem, kim jestem, ale nikt mi nie odpowiedział. Wszedłem głębiej i zaraz go zobaczyłem. Martwego.

Nabrał w płuca powietrze, a potem wypuścił je z ciężkim westchnieniem, jakby właśnie zrzucał z ramion straszny ciężar.

– Nie wiem, dlaczego skłamałem o tych drzwiach, dlaczego powiedziałem, że były uchylone. W końcu nie zrobiłem niczego złego, nie włamałem się ani nic, ale... Nie wiem. Może chodziło mi o to, że nie chciałem wyjść na tego sąsiada furiata. Wie pani, tego, co się zawsze wszystkich czepia. Albo... Nie... Nie wiem. W każdym razie tak powiedziałem, a potem się tego trzymałem. Przepraszam.

Sucha poczekała jeszcze chwilę, by upewnić się, że skończył mówić. Nie spodziewała się, że rozmowa podąży w tę stronę. Przyszła tutaj, nie do końca wiedząc, jak nią pokierować. Podrzucone przez Mortkę narkotyki wszystko skomplikowały. Do tej pory przesłuchanie mężczyzny było w pewnym sensie ich prywatną sprawą. Wiedziała o nim ona, Mortka, Zych i Wodecki. W każdej chwili mogli wypuścić Gunthera i udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. Aż do teraz, bo ci dwaj z narkotyków natychmiast zrobiliby awanturę z tego powodu. Pewnie zresztą już się zastanawiają, o co chodzi, a może nawet wydzwanają do swoich przełożonych. Będzie musiała jakoś rozwiązać ten problem. Przynajmniej dzięki wyznaniu Gunthera wiedziała już, jak poprowadzić dalszy ciąg przesłuchania i w którą stronę je pociągnąć.

– Chciałby pan zadzwonić do żony? – zapytała. – Wie pan, żeby się nie martwiła. Jest już w końcu dość późno.

Na jego twarzy odmalował się wyraz zaskoczenia. Zerknął na zegarek na przegubie, a potem pokręcił przecząco głową.

– Jest pan pewien?

– Tak. Raczej już śpi – stwierdził.

– Nie chce jej pan budzić? To miłe.

– Nawet gdybym zadzwonił, to wątpię, żeby odebrała. Śpi jak zabita.

Zmarszczyła brwi w udawanym zaskoczeniu.

– Naprawdę? To dziwne.

– Dlaczego?

– Niedawno straciliście syna, prawda? Po czymś takim spodziewałabym się raczej, że jego matka nie będzie w stanie zmrużyć oka.

Gunther wyglądał teraz na dezorientowanego. Spojrzał w kierunku lustra weneckiego, jakby oczekiwał, że ktoś po drugiej stronie wyjaśni mu, co właściwie się dzieje.

– Początkowo tak było. Dostała proszki. Mocne – wyjaśnił, a w jego głosie pojawiła się podejrzliwość.

Minął już ten moment, kiedy zbierało mu się na zwierzenia. Znowu był spięty. Znowu szykował się do odparcia ataku. Ale to nie miało już żadnego znaczenia. Był dokładnie tam, gdzie chciała, żeby był.

– Gdzie był pan w nocy, kiedy zginął Tymoteusz Kot? – zapytała suchym, nieprzyjemnym tonem.

– W domu. Nigdzie nie wychodziłem. Mówiłem już to.

– Ktoś to może potwierdzić?

– Moja żona. Przecież wiecie.

– Ta sama, która każdego wieczora łyka tabletki na sen i śpi po nich tak mocno, że nic nie jest w stanie jej obudzić?

Gunther zadrżał. W jego spojrzeniu najpierw pojawił się gniew, a potem uraza. Potrafiła go zrozumieć. Przyznając się do tego, że sam otworzył drzwi, wyciągał do niej rękę, a ona, zamiast ją przyjąć, po prostu go ugryzła. Nie miała oczywiście z tego powodu najmniejszych wyrzutów sumienia. Ciągle była policjantką, a to ciągle było przesłuchanie. Czasami trzeba ugryźć.

– Co pani sugeruje?

– To, że pańskie alibi jest do dupy i nie ma nikogo, kto by potwierdził, że spędził pan noc z żoną we własnym mieszkaniu. Kto wie, może ta awantura pomiędzy chłopakami faktycznie pana zezłościła, tyle że nie poszedł pan przemówić Tymoteuszowi do rozumu rano, a w środku nocy. Wszedł pan do mieszkania, zaczął mu wyrzucać, on odpyskował. A pan jest porywczym człowiekiem, prawda? Coś się stało. Stracił pan nad sobą panowanie i doszło do nieszczęścia.

Zagryzł zęby tak mocno, że aż zadrżały mu policzki.

– Spędziłem tamtą noc u siebie w mieszkaniu. Żona może potwierdzić.

– Pańska żona spała jak zabita.

– To z nią na ten temat rozmawiajcie, nie ze mną!

– Ale to pan tu jest, nie ona.

– Byłem wtedy w mieszkaniu. Mam alibi!

– Fałszywe.

– Nie kłamałbym w takiej sprawie!

– Kłamał pan w sprawie drzwi!

Dostał tymi słowami prosto w twarz. Aż się zachwiał. Ścisnął teraz dłonie w pięści, jednak nie w wyrazie złości, ale desperacji. Pewnie myślał, że przyznanie się do otwarcia drzwi okaże się błahostką. Może ktoś pogrozi mu palcem, rzuci kilka gorzkich słów o utrudnianiu pracy policji, ale to będzie wszystko i wreszcie wypuszczą go do domu. Teraz powoli do niego docierało, jak wielki błąd popełnił.

– Kłamał pan w sprawie drzwi – powtórzyła spokojniej podinspektor. – I to wiele razy. Kto wie, kiedy jeszcze nas pan oszukał.

– Spędziłem tamtą noc w domu. Nigdzie nie wychodziłem. Moja żona potwierdzi.

Sucha uznała, że nie ma już sensu kontynuować tego wątku. Przynajmniej na razie. Postanowiła dać Guntherowi czas, żeby sobie wszystko dokładnie przemyślał. Żeby zrozumiał, w jakiej sytuacji się znalazł i jakie mogą być tego konsekwencje. Otworzyła teczkę i wyjęła z niej fotografię wnętrza bagażnika samochodu.

– Przeszukaliśmy pański wóz – powiedziała. – W środku znaleźliśmy torbę z narkotykami – postukała palcem w zdjęcie pakunku – a oprócz tego linę, nóż o dużym ostrzu, taśmę samoprzylepną, płócienny worek i trytytki.

Na moment Gunther stracił nad sobą panowanie i przez ten ułamek sekundy Sucha mogła zobaczyć na jego twarzy wyraz czystego strachu. Zrozumiała, że do tej pory uważał, iż wszystko kontroluje. Mógł popełnić jeden, dwa błędy, ale generalnie był z siebie zadowolony. Teraz po raz pierwszy go zaskoczyli.

– To nie moje rzeczy – wypalił.

– Narkotyki i ten zestaw małego porywacza? – zapytała, jakby chciała się upewnić.

Milczał przez kilka sekund ze wzrokiem wbitym w fotografię, a później niespodziewanie pokręcił przecząco głową.

– Tylko narkotyki – powiedział. – Tylko narkotyki nie są moje. Lina, nóż, taśma, trytytki i ta torba prawdopodobnie należą do mnie.

– Prawdopodobnie?

– Tak – potwierdził.

– Co to znaczy, że prawdopodobnie należą do pana?

Uśmiechnął się lekko.

– Wie pani, co mówią o bagażnikach samochodów?

– Nie mam pojęcia.

– Że są dla facetów tym, czym torebki dla kobiet. Wrzuca się tam wszystko i wszystko można tam znaleźć.

Podniosła zdjęcie ze stołu i przez moment udawała, że je studiuje.

– Czyli jeśli dobrze rozumiem, narkotyki, nóż, linę, taśmę i tak dalej tak po prostu wozi pan ze sobą, tak jak ja mam w torebce zapasowe podpaski?

– Narkotyki nie są moje – powiedział twardo. – Nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły, i proszę mi wierzyć, będę żądał wyjaśnień. Ale co do reszty tych rzeczy, nie wykluczam, że mogłem je kiedyś kupić, bo coś naprawiałem albo były mi do czegoś potrzebne, a potem wrzuciłem je



z powrotem do bagażnika i zupełnie o nich zapomniałem. Jeśli dobrze się orientuję, to posiadanie tych przedmiotów nie jest zakazane, prawda?

Znowu przybrał belferską pozę i ton. Znowu czuł się pewny swego. Sucha pomyślała, że facet jest sprytny. Przyznał się do wszystkiego, do czego mógł się przyznać. Bo faktycznie, posiadanie noża, liny, taśmy i trytytek było podejrzanе, ale przecież nic z tego nie wynikało. Nie oskarżali go ani nawet nie podejrzewali o porwanie kogokolwiek. A narkotyki to na dłuższą metę był raczej ich problem, a nie jego. Mało kto przecież uwierzy, że facet w średnim wieku, akademicki wykładowca, człowiek, który nigdy nie miał najmniejszego zatargu z prawem (za wyjątkiem paru mandatów za prędkość), dorabiał sobie, handlując dragami. W miarę łatwo się z tego wywinie, a to oni będą musieli się tłumaczyć, skąd ten towar w bagażniku jego samochodu. Cholerny Mortka, pomyślała ze złością.

– Nie jest – przyznała. – Ale to znalezisko w połączeniu z pańskimi kłamstewkami daje do myślenia. Nie uważa pan?

– I narkotykami – powiedział szyderczo. – Zapomniała pani wspomnieć o narkotykach.

Nachyliła się w jego stronę, tak że teraz ich twarze dzieliło co najwyżej pięć centymetrów, i pozwoliła sobie na szelmowski uśmiech.

– Oboje wiemy, że to prochy nie należą do pana – wyszeptała. – Ale to jeszcze nie znaczy, że nie ma pan czegoś na sumieniu.

Sucha weszła do swojego gabinetu, gdzie czekali już na nią Mortka, Zych i Wodecki. Ten pierwszy krążył po pokoju – zdenerwowany, zniecierpliwiony i spięty. Kojarzył się jej z alkoholikiem czekającym na zabieg wszycia esperalu. Zych stał, oparty plecami o ścianę. Chciała go opieprzyć, bo była pewna, że zostawi na niej ciemne smugi. Wystukiwał coś energicznie w komórce. Wodecki natomiast od razu ruszył w jej stronę, ale powstrzymała go ruchem ręki.

– Czego się dowiedzieliście? – zapytała Mortkę.

– Najpierw ty powiedz, co wyciągnęłaś z Gunthera – odparł.

– Wszystko idzie w dobrą stronę. Jak u Kinola?

– Najpierw omówimy Gunthera – powiedział twardo. – Chcę wiedzieć, czy z nim rozmawiałaś, ile z nim rozmawiałaś i jak dokładnie przebiegła rozmowa. Minuta po minucie.

– Kuba, zdajesz sobie sprawę, że obok stoi Zych, który dla mnie pracuje i któremu mogę po prostu kazać wszystko opowiedzieć, zamiast grzecznie pytać ciebie?

Zych, słysząc swoje nazwisko, oderwał gwałtownie wzrok od ekranu komórki. Potem szybko zablokował telefon i wrzucił go do kieszeni.

– Ale że mam teraz mówić? – zapytał, bo Sucha patrzyła na niego wyczekująco.

– Tak.

– Nic nam nowego nie powiedział.

– Nie – zaprotestował Mortka. – To Zych nie usłyszał niczego nowego. Bo, umówmy się, nie jest zbyt bystry.

– Ej! – krzyknął policjant.

Oderwał się od ściany i Sucha faktycznie dostrzegła na niej brudne ślady.

– No daj spokój! – zachnął się Mortka. – Myślisz, że dlaczego to mnie wysłała na ten cholerny Grochów? Bo wiedziała, że na ciebie nie ma co liczyć. I... popatrz. Faktycznie, ty niczego się nie dowiedziałeś. Ja tak.

– On pierdoli, pani naczelniczko – warknął Zych. – Kinol nic nie powiedział.

Sucha pomyślała, że jej życie byłoby znacznie łatwiejsze, a policja dużo bardziej efektywna, gdyby prawo zezwalało na kastrację pracujących tam funkcjonariuszy. Nie musiałyby już obserwować walk kogucików, mediować podczas śmierdzących wytryskami testosteronu kłótni i brać pod uwagę tego samczego zaprzaństwa w codziennym zarządzaniu swoim wydziałem. Media były przepełnione artykułami na temat zespołu napięcia przedmiesiączkowego albo huśtawek nastrojów podczas menopauzy, ale żadna kobieta nigdy nie zachowała się tak irracjonalnie jak dowolny facet z poczuciem zagrożonej męskości. Ale o tym programów w śniadaniówkach nie robią.

– Czego się dowiedziałeś, Kuba? – zapytała Sucha, siląc się na zachowanie spokoju.

– Najpierw opowiedz mi o Guntherze.

– On znowu zabił! – krzyknął Wodecki.

Wszyscy natychmiast odwrócili się w jego stronę. Na moment zapadła cisza i słyszeli tylko przejeżdżającą powoli na zewnątrz zamiatarkę.

– Kto zabił? – zapytała Sucha.

– Facet od Syryjki – wyjaśnił policjant pospiesznie. – W Magdalence. Tam jest taki parking blisko lasu i właśnie tam znaleziono ciało. Bo miejscowi dostali zawiadomienie, bo takich dwoje...

– Czarek – przerwała mu podinspektor. – Dwa oddechy. Uspokój się i powiedz wszystko na spokojnie, od początku do końca.

Wodecki skinął głową. Faktycznie wziął dwa oddechy. Ten drugi przytrzymał dłużej w płucach.

– W Magdalence jest taki parking niedaleko wejścia do lasu – zaczął powoli, bardzo skupiony. – Dzisiaj w nocy przyjechało tam dwoje młodych

ludzi. On to Jacek Skowronek, dwadzieścia jeden lat, ona to Marta Brodczak, osiemnaście lat. Przyjechali tam, bo chcieli spokojnie porozmawiać.

– Raczej się pieprzyć – zauważyła Sucha. – No ale mniejsza z tym. Co dalej?

– Kiedy przyjechali na miejsce, zobaczyli, że stoi tam już inny samochód. Właśnie wracał do niego z lasu jakiś facet. Marta Brodczak powiedziała, że sprawiał dziwne wrażenie.

– Co to znaczy? – zapytał Mortka.

– No... jakby się przestraszył, że oni tam są. I ta dziewczyna opowiadała, że też się przestraszyła.

– Czego?

– Po prostu mówiła, że jak go zobaczyła, to się przestraszyła. Bo niby jakoś dziwnie na nich patrzył, kiedy się zorientował, że tam są.

– Przecież to leśny parking. W środku nocy. Jak mogła się zorientować, że dziwnie na nich patrzył? – rzucił spod ściany Zych.

– Nie wiem! Ja jej nie przesłuchiwałem, tylko tamci, co ich wezwała. Oni mi jedynie wszystko przekazali.

– Czyli bawimy się w głuchy telefon? – powiedział Zych i wykrzywił twarz w sarkastycznym uśmiechu.

– Ty się, Zych, zamknij, jak nie masz nic wartościowego do powiedzenia – rozkazała Sucha. – A ty, Czarek, mów, co było dalej.

– Facet wsiadł do samochodu i odjechał. Marta Brodczak postanowiła sprawdzić, co robił w tym lesie.

– Dlaczego?

– Podobno podejrzewała, że przyjechał tam śmieci wyrzucić. I gdyby się potwierdziło, to chciała zawiadomić policję. Jest harcerką, więc zwraca uwagę na takie rzeczy.

– Harcerką, która po nocy dyma się na tylnym siedzeniu – rzucił Zych.

– Zych, kurwa! – ryknęła Sucha. – Co ja ci przed chwilą powiedziałam?!

Policjant mimowolnie zrobił krok w tył i aż uderzył w ścianę. Poczerwieniał, a zaraz potem uciekł wzrokiem w bok, jakby instynktownie szukał drogi ucieczki.

– Dalej Wodecki – wysyczała podinspektor.

– Poszła do tego lasu i tam znalazła ciało kobiety, która została zastrzelona. Natychmiast wróciła do samochodu, zadzwonili na policję, a potem ta informacja trafiła do nas.

– Skąd wiemy, że to ten sam człowiek, co strzelał do Syryjki? – zapytał Mortka.

Wodecki chrząknął.

– Ta zastrzelona kobieta wygląda jak prostytutka.

– Jest piątek wieczór – odezwał się z boku Zych. – Połowa dziewczyn w Warszawie wygląda teraz jak prostytutki.

– I tutaj akurat Zych ma rację – stwierdziła Sucha.

– Przyjechał na ten parking białym samochodem terenowym.

Nie musiał dodawać nic więcej. Dwie kobiety: jedna zginęła, drugiej udało się uciec. Do obu strzelano. W obu przypadkach sprawca jeździł białym samochodem terenowym. Już sam fakt, że w Warszawie, w przeciągu kilku godzin, doszło do napaści z bronią palną na kobiety, które zajmują się pracą seksualną, byłby niewiarygodnym zbiegiem okoliczności, gdyby dokonało go dwóch różnych ludzi. Ale jeśli na miejscu widziano ten sam typ samochodu w tym samym kolorze, to wniosek mógł być w zasadzie tylko jeden: ten sam sprawca. Spełniał się najczarniejszy scenariusz. Scenariusz, który – jak miała nadzieję Sucha – się nie wydarzy.

– Potrzebujemy nagrań z monitoringu z Magdalenki i okolicy. Może złapiemy ten samochód i będziemy mieć tablice rejestracyjne. Wtedy dowiemy się, kto to jest – powiedziała.

– Jeśli ich nie zdjął albo nie ukradł i nie podmienił na cudze – zauważył Mortka.

– To jest możliwe – przyznała policjantka. – Jakies inne pomysły?

– Trzeba przesłuchać każdego, kto mieszka w okolicy.

– Teraz, w środku nocy? Naprawdę myślisz, że ktoś coś widział? A nawet jeśli, to co? Przejeżdżający biały samochód?

– I tak to trzeba zrobić – powiedział Mortka. – Równie dobrze możemy zacząć teraz.

– To prawda – zgodziła się Sucha, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Przepraszam... – odezwał się nieśmiało Wodecki.

– Co jest, Czarek?

– Chyba wiemy, kto to jest – powiedział.

Sucha najpierw zamarła, a potem wydusiła z siebie kilkanaście przekleństw. Mówiła jednak tak cicho, że ledwo ją słyszeli.

– Kto? – rzuciła wreszcie.

– Tomasz Cielecki.

– Jak?

Wodecki natychmiast domyślił się, o co pyta Sucha. Wskazał na Mortkę.

– Zrobiłem to, co on kazał. Sprawdziłem najpierw tłumaczy z arabskiego, a potem w CEPiK-u, jakimi samochodami jeżdżą. I zaliczyłem trafienie. Cielecki jeździ białym piętnastoletnim land roverem. Mieszka w Radości. No to chyba wszystko się zgadza.

– Czyli masz jego adres?

– Tak.

– Wysłałeś tam kogoś?

– Nie. Czekałem na panią.

– Dlaczego dopiero teraz mówisz, że masz potencjalnego podejrzanego?

Wodecki przełknął ślinę.

– No bo wysłała informacja o tej zabitej dziewczynie. Wydawało mi się, że to jest ważniejsze. Poza tym na początku państwo kłócili się o tego Gunthera...

Podinspektor dała mu znak, żeby przestał mówić, a potem podeszła do swojego biurka i opadła na fotel. Przez chwilę milczała, analizując najnowsze informacje.

– Wodecki? – odezwała się w końcu.

– Tak, proszę pani.

– Pojedziesz do Magdalenki. Przypilnujesz tam wszystkiego, ale dosłownie wszystkiego. Mamy zebrać wszelkie możliwe ślady, każdą sosnową igielkę, jeśli będzie potrzeba. Rozumiesz?

– Tak.

– Pełna dokumentacja fotograficzna, filmowa, wszystko ma być tip-top. Do tego wyślesz miejscowych, żeby zrobili to, o czym mówił Mortka. Mają przesłuchać każdego, kto mieszka w okolicy. Może zaliczymy szczęśliwy traf. I wreszcie, ta nasza dwójka kochanków. Masz ich dokładnie przesłuchać. Wiem, że było ciemno, ale może uda się zrobić portret pamięciowy. Dowiedz się, czy słyszeli strzały. Zapytaj, czy widzieli broń. I ostatnia rzecz: czy facet był sam.

– Na razie o nikim innym nie wspominali.

– Bo może nikt ich nie zapytał. Ty to zrobisz. Może facet ma współnika. Być może ten współnik siedział w samochodzie. I wreszcie, ofiara. Dowiedz się, kto to był, zdobądź jej dane i informacje, gdzie pracowała. Na ulicy? W burdelu? Na domówce? Miała opiekuna? I tak dalej, i tak dalej. Na tym etapie nie możemy wykluczać, że jakieś dwie grupy się poprzątkowały i postanowiły pozabijać sobie nawzajem dziewczyny.

– Tak jest.

– Zrozumiałeś wszystko i zapamiętałeś czy musisz zapisać?

– Zapamiętałem.

– Ale i tak zapisz.

– Tak jest.

Sucha przeniosła teraz wzrok na pozostałych dwóch policjantów.

– Zych...

– Pojedziemy do tego Cieleckiego – powiedział Mortka.

Nawet jeśli Sucha była zaskoczona jego deklaracją, to nie dała tego po sobie poznać. Gorzej zareagował Zych, na którego twarzy malowało się

oburzenie.

– Bardzo dobrze – stwierdziła. – Odwiedzicie faceta i jak najszybciej zweryfikujcie, czy to jest nasz człowiek, czy nie.

– Oczywiście – potwierdził Mortka.

– Pani naczelniczko, ale on nie jest mi do niczego potrzebny – zaprotestował Zych.

– Chcesz to przeniesienie? – odparowała natychmiast Sucha.

Nie odpowiedział. Jego oczy błyszczały tylko gniewem, którego nie miał odwagi z siebie wyrzucić.

– To bierzesz go ze sobą. A teraz do roboty. Zanim ten skurwiol zabije kolejną dziewczynę.

Wodecki, który stał najbliżej biurka, pierwszy znalazł się przy drzwiach. Widać było, że z radością opuszcza gabinet przełożonej. Myśl, że przez co najmniej kilka najbliższych godzin znajdzie się z dala od Suchej, przynosiła mu ulgę. Nawet biorąc pod uwagę to, że będzie zabezpieczał miejsce popełnienia zabójstwa i przesłuchiwał przestraszonych świadków.

Zych wyglądał, jakby bił się z myślami. Wygrała najwyraźniej ta strona, która przekonywała, że w tej rozgrywce nie ma w ręku żadnych mocnych kart, a sprzeciw mógłby go drogo kosztować. Ruszył więc do wyjścia.

– Mortka, Zych. – Sucha ich zatrzymała.

Jak na komendę odwrócili się niej.

– Jeśli to jest nasz człowiek... – zaczęła i zawiesiła na chwilę głos – ...to jest niebezpieczny. I uzbrojony. Nie popisujcie się. Nie ryzykujcie. Po prostu wezwijcie wsparcie. Rozumiecie?

Skinęli głowami.

– Mortka...

– Tak?

– Będę dalej rozmawiać z Guntherem.

– Dziękuję. Przyciśnij go porządnie.

– I jeszcze jedno. Czygo dowiedziałeś się od Kinola?



Mortka wzruszył ramionami.

– Niczego – stwierdził. – Tak jak mówił Zych, to była pierdolona strata czasu.

Mortka bardzo długo wpatrywał się w ekran dzwoniącego telefonu. Ojciec. Nie wierzył w intuicję, w to przekonanie, że nasz umysł widzi więcej, niż wie nasza świadomość. Albo że istnieje jakaś nadnaturalna sieć, która łączy ze sobą wszystkie żywe istoty, i przy odpowiednim nastawieniu i otwartej głowie można pobierać z niej informacje jak z internetu. Nie dlatego, że w ogóle odrzucał wiarę w świat duchowy – on po prostu prawie o nim nie myślał. Jego racjonalizm był dla niego tak naturalny, jak chodzenie na dwóch nogach.

Tym razem jednak, patrząc na wyraz „Tata”, wyświetlający się na komórce, był pewien, że wydarzyło się coś złego. Wmawiał sobie, że przesadza. Że reaguje w ten sposób, bo od kiedy dowiedział się o powrocie ojca do szpitala, obsesyjnie śledził wieści z Polski i informacje o rosnących, a potem utrzymujących się na wysokim poziomie zakażeniach. Obserwował chyba każdy lekarski profil na Facebooku, żeby być na bieżąco z sytuacją w kraju. Powtarzał sobie, że błędnie ją ocenia, ponieważ patrzy na wszystko z Hagi. Przecież nie jest tak źle, jak mu się wydaje. Na pewno nic złego się nie stało. Ojciec dzwonił tylko po to, żeby zapytać, co u niego w tej dalekiej Holandii.

Telefon umilkł. Mortka ostrożnie położył go na nocnym stoliku, a kiedy przysiadł na brzegu łóżka, materac ugiął się delikatnie pod jego ciężarem. Poczuł się nagle głupi i niedojrzały. Co dało mu to, że nie odebrał? Tylko tyle, że jeśli faktycznie coś się stało, odwłókł moment, kiedy się o tym dowie. Zamiast od razu zmierzyć się z problemem, będzie się zadręczał, snując różne scenariusze, albo spędzi pół nocy, nabijając kolejne poziomy na karnecie w *Call of Duty*, byleby tylko o tym nie myśleć.

Może chodziło o Andrzeja. Może ojciec dowiedział się o wnuku i o tym, że Mortka też już wie, a teraz chciał mu udzielić kilku dobrych rad. Na

samą myśl komisarz zaśmiał się głucho. Miałby mu doradzać w tej kwestii ten sam mężczyzna, który przez lata głośno wyrażał dezaprobatę, że syn nie poszedł w jego ślady i nie został lekarzem? A potem przestał, ale tylko dlatego, by okazywać swoje rozczarowanie tym, że Mortka wybrał służbę w policji? Poza tym czy to w ogóle były prawdziwe problemy? Raczej fanaberie. Prawdziwe problemy to mieli ci chłopcy w Afryce, którzy ginęli od chorób, walącej się na nich ziemi i strzałów pijanych strażników, gdy pod lufami tych czy innych rebeliantów przez dwadzieścia godzin na dobę wydobywali kobalt. Ten sam, który potem przerabiano na baterie do telefonów komórkowych, by bogaci Europejczycy mogli sobie gawędzić przez pół kontynentu. Każda komórka była utopiona w ludzkiej krwi. To podczas jednego z luźnych spotkań w większym gronie uświadomiła mu Justine, jeszcze wtedy, kiedy ze sobą nie sypiali. Zresztą przez pierwsze dwa lata Mortka czuł się w Hadze trochę jak dzikus wśród ludzi, dla których temat ekologii, czystego powietrza, śladu węglowego, praw człowieka i zrównoważonego rozwoju nie był jakąś lewacką fanaberią, tylko czymś, o czym swobodnie rozmawia się przy lunchu. Nawet jeśli głosowali na partie raczej z prawej strony sceny politycznej.

Drgnął, kiedy nagle dotarło do niego, jak daleko odpłynął myślami. To był zwykły mechanizm psychologiczny. Sam próbował się oszukać, zmylić, byleby tylko przestać myśleć o tacie.

– Miejmy to już za sobą – powiedział głośno.

Wziął komórkę, wybrał nieodebrane połączenia i nacisnął zieloną słuchawkę. Ojciec odebrał po jednym dzwonku, najwyraźniej czekał na jego telefon.

– Cześć, synek. – Miał słaby głos. Nie zmęczony, ale właśnie słaby. Jakby brakowało mu energii i nie miał skąd jej czerpać.

– Dzwoniłeś.

– Ano dzwoniłem. – Ojciec przełknął ślinę. – Chciałem ci powiedzieć, że mam pozytywny wynik testu.

Czyli wydarzyło się to, czego Mortka się obawiał. Wstał z łóżka, bo nagle zapiekło go całe ciało.

– Jak się czujesz?

– Jeszcze nieźle.

„Jeszcze”. Mortka pozwolił, żeby to słowo zawisło między nimi i ujawniło wszystkie swoje konsekwencje.

– Jesteś pewien, że to dobry wynik testu? – zapytał. – Że to nie jest fałszywy pozytywny?

– Fałszywy pozytywny wynik? – Ojciec zaśmiał się krótko. – Nie wiedziałem, że nawet znasz takie pojęcia.

– Kiedyś sam sobie robiłem test i tak mi wyszło.

– Na co ten test? Nic nie mówiłeś.

– Już nawet nie pamiętam, na co – skłamał Mortka. – To było coś z pracy, rutynowego. Szybko się wszystko wyjaśniło.

– Nie. To pozytywny test. Dwa razy sprawdzałem – powiedział ojciec i zakaszłał do słuchawki, jakby chciał udowodnić, że naprawdę jest chory.

– Jak się czujesz?

– Co mam ci mówić? Kaszel. Gorączka. Brakuje mi sił. Dużo odpoczywam, ale... Zresztą mniejsza z tym.

– A mama?

– Też sobie zrobiła test. Negatywna.

Przerwał na moment, żeby nabrać tchu, i był to jeden z najbardziej przerażających dźwięków, jakie Mortka słyszał w życiu. Bo ojciec nie brzmiał, jak ktoś, kto się dusi, topi czy walczy o każdy oddech. Raczej jak ktoś, kto zapomniał, jak to się robi, i teraz desperacko próbuje sobie przypomnieć, zanim będzie za późno.

– Raczej nie musisz się o nią martwić – odezwał się znów. – Mówiłem ci, że byłem ostrożny. Rzadko pojawiałem się w domu.

– A teraz gdzie jesteś?

Długa cisza. Jakby ojciec bał się wypowiedzieć te słowa.

– W szpitalu – wydusił z siebie wreszcie.

– Chryste.

– Nie przejmuj się, synek. Będzie dobrze.

Mortka miał ochotę wrzeszczeć do telefonu. Przypomnieć ojcu, co jeszcze sam mu niedawno opowiadał o pacjentach, którzy do niego trafiają. Ale się powstrzymał.

– W szpitalu czy w garażu? – zapytał, siląc się na żart.

Ojciec zaśmiał się i zaraz rozkaszał. Mortka czekał długą chwilę, zanim ojciec odzyska siły.

– W szpitalu. Przywilej lekarza. Jestem pacjent VIP. Ale dzwonię do ciebie, Kuba, żeby cię poprosić. Jakby coś się stało, zajmij się matką.

Mortce zrobiło się czerwono przed oczami ze zdenerwowania. Tym razem jednak gniew, jak nigdy dotąd, zamiast dodać mu sił, sprawił, że zrobiło mu się słabo. Opadł na łóżko. Z trudem trzymał w dłoni telefon komórkowy.

– Po co to zrobiłeś? – zapytał przez ściśnięte gardło. – Po co wracałeś do tego pierdolonego szpitala, tato? Przecież doskonale wiedziałeś, jak tam jest, jak bardzo ryzykujesz. Nie masz już trzydziestu lat!

– Synek... synek... synek...

– Wy tam nie macie kombinezonów, masek, dezynfekcji, tych foliowych zapór?

– Mamy, Kuba, mamy, ale to jest wirus. Małe, małe gówienko. Zresztą skąd wiesz, że ja to złapałem w szpitalu? Przecież żyję normalnie, do sklepów chodziłem. Wszędzie można się teraz zarazić.

– Ale ty poszedłeś pracować do covidowego szpitala! Co ty sobie myślałeś, tato?!

– No to, że akurat ty powinieneś zrozumieć.

– Niby co? I niby dlaczego?

– A mało to do ciebie strzelali, Kuba? W tym Myszkowie? W Karkonoszach? Nawet na cmentarzu się strzelałeś, jakbyś chciał, żeby cię tam od razu pochowali. Ty myślałeś kiedykolwiek o tym, co matka sobie wtedy myśli? Jak płacze po nocach?

– Nic mi się przecież nie stało.

– A Ola? A chłopcy?

– Taką mam pracę.

– Właśnie. A to jest moja praca, Kuba.

– Jesteś na emeryturze, tato. Nie musiałeś tam iść.

Na kilkanaście sekund zapadła cisza. Mortka nie słyszał nawet tego płytkiego, urywanego oddechu.

– Nie mam siły, Kuba – odezwał się wreszcie ojciec. – Zwyczajnie nie mam siły, żeby się z tobą kłócić. Agnieszka nie może. Sama pracuje. Dlatego ciebie proszę.

Agnieszka była jego siostrą. Rzadko ze sobą rozmawiali. Ostatnimi laty ich kontakt ograniczał się do składania sobie urodzinowych życzeń, najchętniej esemesem. Pojechała na studia do Gdańska, bo tam dostała się na medycynę, i jak to bywa, na Pomorzu ułożyła sobie życie. Spełniła ojcowskie ambicje, została lekarką. Teraz pracowała w jednym z tamtejszych szpitali.

– O co?

– Obiecaj mi – głos ojca zrobił się słabszy, jakby nagle stracił siły – po prostu mi obiecaj, Kubuś, że zajmiesz się mamą.

„Kubuś”. Czy kiedykolwiek tak się do niego zwracał? Chyba nigdy. Nawet wtedy, kiedy Mortka był dzieckiem. Wtedy to co najwyżej Kuba, czasami Jakub. Poważne imię dla poważnego człowieka, nawet jeśli młodego – powtarzał często ojciec.

– To był twój obowiązek, tato. I zjechałeś to.

– Wiem, Kubuś. Wiem. Po prostu mi obiecaj.

Tacy byli. Czasami myślał, że to zaleta. Coraz częściej, że jednak wada. Robili to, co do nich należało. Bez względu na koszty.

– Obiecuję – powiedział.

Ojciec rozłączył się bez pożegnania. Jakby po tym, kiedy w końcu uzyskał synowską przysięgę, nie był już w stanie wydusić z siebie nawet jednego słowa.

Dwa dni później Mortka dowiedział się, że ojciec trafił pod respirator.

Sucha postawiła przed Guntherem plastikowy kubek z czarną kawą, a obok saszetkę z cukrem.

– Mleczka niestety nie było. Mam nadzieję, że to nie problem.

Twarz mężczyzny zastygła w wyrazie podejrzliwości, a potem powoli, jakby sprawiało mu to trudność, pojawił się na niej szydery uśmiech.

– Bawicie się w dobrego i złego policjanta?

– Słucham? – Sucha potrząsnęła głową. – Przecież przychodzę do pana sama. Z nikim się nie zmieniam. Do tej, jak pan to ujął, zabawy, potrzeba chyba dwóch osób.

– Proszę nie robić ze mnie idioty. Raz jest pani agresywna, kiedy indziej miła, najpierw oskarża mnie o handel narkotykami, a teraz przynosi mi kawę. Zaraz pewnie będziecie mnie lać pałką po piętach.

– Nikt nie będzie pana lać pałką. Ani po piętach, ani po innych częściach ciała.

– To była metafora.

Sucha westchnęła ciężko. Kosmyk włosów opadł jej na twarz, więc założyła go z powrotem za ucho.

– Proszę pana, tak naprawdę i pan, i ja chcemy tego samego. Po prostu stąd wyjść.

– I dlatego tyle mnie tutaj trzymacie.

– Bardzo za to przepraszam, ale mamy szaloną noc. I nie ma to nic wspólnego z pańską sprawą.

– To może mnie stąd wypuścicie? Jestem pewien, że wszystko da się załatwić w bardziej cywilizowany sposób.

Policjantka potrząsnęła przecząco głową.



– Niestety – powiedziała. – Jutro prokurator składa akt oskarżenia. Chce być pewny, że wszystko się zgadza, że sprawdziliśmy, co trzeba, i że nie będzie żadnych przykrych niespodzianek. Bo wie pan, te pytania, które teraz panu zadajemy, padną też na sali sądowej. Tylko że będzie je zadawać adwokat. I proszę mi uwierzyć, on nie będzie tak uprzejmy, jak my.

– Też mi podrzuci narkotyki do bagażnika?

– Wyjaśniamy tę sprawę – zapewniła Sucha.

Mężczyzna po chwili wahania wziął saszetkę. Otworzył ją i wsypał cukier do kawy.

– Ma pani łyżeczkę?

– Niestety. Nie pomyślałam.

Gunther uniósł kubek i zakręcił nim powoli kilka razy. Pomimo całej ostrożności trochę kawy wylało się na blat stołu. Syknął, kiedy parę gorących kropeł spadło mu na palce. Odstawił kubek i zamachał dłonią w powietrzu, żeby je schłodzić.

– Chusteczkę? – zapytała Sucha.

– Mam swoje – odpowiedział z urazą. – Jeszcze mi ich nie zabraliście.

Wyjął paczkę z kieszeni, a potem starannie wytarł chustką dłonie i blat. Po wszystkim zwinął ją w kulkę i wyrzucił do stojącego w rogu pomieszczenia ciemnego plastikowego śmietnika.

– Powiedział pan coś ciekawego podczas naszej ostatniej rozmowy – odparła Sucha, kiedy wrócił na miejsce.

– Czyżby?

– Powiedział pan, że poszedł do Kota, by opowiedzieć mu... – zerknęła szybko w swoje notatki – ...cytuje: „o tych awanturach, imprezach, o tym, jak się zachowuje, i o wszystkich innych rzeczach”. O jakie inne rzeczy panu chodziło?

Gunther zmrużył oczy.

– Znowu chce mnie pani ubrać w kostium paskudnego homofoba.

– W nic nie zamierzam pana ubierać. Zależy mi tylko na poznaniu prawdy.

– Prawdy? – zaśmiał się. – No dobrze. Opowiem pani prawdę. Kiedy mówię „gej”, jakie ma pani skojarzenia?

– Żadne.

– Wymaga pani ode mnie prawdy, a sama kłamie. Ale dobrze. Jestem pewien, że od razu widzi pani takiego sympatycznego, mięciutkiego chłopaczka, co chodzi w rurkach, jest grzeczny, dobrze wychowany i uprzejmy.

– Rozumiem, że Kot taki nie był.

– Kot był jednym z tych wojowniczych. Obnosił się ze swoją seksualnością, jakby naprawdę spodziewał się, że ludzie będą mu klaskać, bo bierze w tyłek. Każdy, kto go zobaczył, musiał od razu wiedzieć, że jest pedałem.

– Panu, rozumiem, to przeszkadzało.

Machnął ręką.

– Mniejsza z tym, co mi przeszkadzało, a co nie. Z sąsiadami pani rozmawiała? Oni też go mieli dość. Sprowadzał swoich kumpli i koleżanki. Czasami robił takie imprezy, że się nie mieścili w mieszkaniu i przenosili się na klatkę. Wszędzie potem walały się butelki, pety, śmieci.

– W pandemii też?

– W pandemii trochę się uspokoił. Bał się pewnie, że na taką imprezę wpadnie mu policja. Ale i tak... działo się u nas na klatce. To pani powiem. Działo się.

– To akurat niewiele ma wspólnego z jego seksualnością, nie uważa pan? Jakby się do was wprowadzili inni studenci, pewnie wyglądałoby tak samo.

Niechętnie, ale przytaknął.

– Coś jeszcze miał mu pan do zarzucenia?

– Wywiesił tęczową flagę w oknie, od strony ulicy, żeby wszyscy widzieli. Nie rozumiem, po co oni to robią.

– Dają w ten sposób wyraz dumy z tego, kim są – odparła Sucha. – Tak jak pan na pewno wywiesza biało-czerwoną flagę w święta narodowe.

Skrzywił się, słysząc to porównanie. Oparł się łokciami o stół.

– Widzi pani, gdyby ktoś im kazał nosić tęczowe opaski na ramieniu, żeby wszyscy wiedzieli, kim są, to byłaby awantura na całą Europę. Krzyczeliby, że nazizm, hitleryzm, faszizm i tak dalej. I mieliby rację, ten jeden cholerny raz mieliby rację. Ale nie, sami postanowili się oznaczyć, żeby każdy wiedział. W tym domu, w tym mieszkaniu i w tej klatce mieszka pedał.

– Nawet jeśli, to chyba nie jest pański problem?

– A mieszkała pani kiedyś w jednym domu z kimś takim? – rzucił zaczepnie.

– Nie.

Gunther pokiwał głową z zadowoleniem, jakby był teraz dysponentem jakiejś tajemnej wiedzy. Sięgnął po kubek z kawą i wypił duży łyk.

– Widzi pani, w naszej okolicy ta flaga nie została za dobrze przyjęta. Wiązały się z tym pewne konsekwencje, tyle że nie dotyczyły one samego Kota, a nas wszystkich, którzy mieli nieszczęście mieszkać w nim w jednej klatce.

– Jakie to konsekwencje?

– Obsceniczne graffiti na elewacji. Dwa razy je zamalowywaliśmy. Od tamtej pory na szczęście się nie pojawiło. Może nie wróci. Sąsiadce z dołu ktoś wybił szybę w środku nocy. Rzucił po prostu cegłówką. Ona śpi niedaleko okna. Szczęście, że nie dostała nią w głowę ani że odłamki szkła jej nie pokaleczyły. To starsza kobieta, bardzo porządna, wierząca. Męża pochowała dwa lata temu. Ma problemy ze zdrowiem. I nagle w jej okna kamieniami rzucają.

– Dlaczego to niby wina Kota?

– Bo ona mieszka bezpośrednio pod nim – wyjaśnił Gunther. – Ktoś przechodził w środku nocy, zobaczył flagę i rzucił cegłą, ale nie trafił.

– W dalszym ciągu nie widzę w tym winy tego chłopaka.

Mężczyzna odstawił kubek na stół i wykrzywił wargi, wyraźnie rozdrażniony.

– Rzecz w tym, że wszystko, co robimy, wszystko, ma swoje konsekwencje, ale nie dotyczą one wyłącznie nas, tylko tych, którzy nas otaczają i z którymi wchodzimy w interakcje! – powiedział podniesionym tonem. – Wywieszanie tej obrzydliwej flagi w ogóle by mnie nie obeszło, gdyby tylko Kot miał z tego powodu kłopoty. Ale cenę tej dziecinady płaciliśmy my wszyscy! To było niedojrzałe i skrajnie egoistyczne!

Odetchnął głęboko.

– Kiedyś – kontynuował już spokojniejszym tonem – jakieś bydlaki włamały się nam na klatkę. Wyważyły zamek, był do wymiany, ale już mniejsza z tym. Potem wysmarowały mu całe drzwi gównem. Nie tylko drzwi, bo całe piętro, ściany, schody, wszystko, co tam było. Nie wiem, skąd oni tego gówna tyle mieli. Pewnie w wiadrach przynieśli, nie wiem! Śmierdziało potem tygodniami.

– To może trzeba było posprzątać? – rzuciła Sucha.

Gunther najpierw poczerwieniał, a potem prychnął lekceważąco i pogroził jej palcem.

– Nie uda się mnie pani wyprowadzić z równowagi. Oczywiście, że posprzątaaliśmy, ale nie dało się do końca wyczyścić tego gówna. Jakby wsiąknęło w ściany. Trzeba było przemalować, a i tak, jak się brało głębszy oddech... czuło się ten smród.

– Zawiadomiliście policję?

– Nie wiem. O to trzeba by pytać administrację.

– Przeszkadzał panu Kot?

– Przeszkadzał – przyznał Gunther.

– Wolałby pan, żeby nie mieszkał w pańskiej klatce?

– Zdecydowanie.

– Jak daleko by się pan posunął, żeby go z niej wygonić? – zapytała Sucha.

Mężczyzna pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Mówiłem... Dobry i zły glina, co? Teraz się pani zmienia w tego złego.

– Nic takiego nie robię.

– Sugeruje pani, że byłbym gotów zabić, żeby tylko pozbyć się go z mojej klatki.

– A byłby pan?

– Nie!

– A wysmarowałby mu pan drzwi głównem?

Gunther poderwał się z krzesła.

– Jak pani śmie nawet coś takiego sugerować?!

– Niech pan da spokój z tym udawanym oburzeniem – powiedział obojętnym tonem Sucha. – Nienawidził pan Kota. Za to, kim był, za to, że się tego nie wstydził, i dawał pan upust w internecie swoim emocjom. Dlaczego miałyby pan tego nie zrobić w świecie realnym?

– Bo nie jestem tchórzem!

– A pomimo tego bał się pan powiedzieć, że sam otworzył te cholerne drzwi! Non stop kłamał pan, że były otwarte, bo nie miał pan odwagi się przyznać! Czego jeszcze boi się nam pan powiedzieć, panie Gunther?! Co pan jeszcze ukrywa?!

Mężczyzna opadł na krzesło, jakby nagle zabrakło mu sił.

– Nie nienawidziłem go – powiedział cicho. – Wierzę w to, w co wierzę, ale go nie nienawidziłem. Nie rzucałem w jego okna cegłówką, nie wysmarowałem mu drzwi głównem. Nie zabiłem go.

– Nigdy tego nie sugerowałam.

– Proszę pani, nie jestem idiotą. Z jakiegoś powodu podejrzewacie mnie, że to zrobiłem. Ale naprawdę nie wiem dlaczego. Jakoś wam się naraziłem? Nacisnąłem komuś na odcisk? Poza tym przecież jest ten chłopak. Sami go znaleźliście. Sami go zatrzymaliście i oskarżyliście. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Dlaczego więc mnie ciągle trzymacie?

Sucha nie wiedziała, co odpowiedzieć. Prawdy przecież nie mogła wyznaczyć.

– Gdyby to ode mnie zależało, już by pan stąd wyszedł – stwierdziła wreszcie.

– Ale nie zależy?

– Znaleźliśmy narkotyki w bagażniku pańskiego samochodu.

– Sama pani przyznała, że nie wierzy, żeby były moje.

– Moja wiara niestety nie wystarczy. Musimy wyjaśnić, skąd się u pana wzięły.

Gunther wypił resztkę kawy i odstawił pusty kubek na stół. Uśmiechnął się szeroko.

– Co pana tak rozbawiło?

– Znowu pani gra dobrą policjantkę.

– Nikogo nie gram. Jestem po prostu zmęczona.

Wstała od stołu.

– Muszę pana zostawić – powiedziała. – Wzywają mnie niestety inne obowiązki.

– Rozumiem. Proszę tylko o mnie nie zapomnieć, dobrze?

– O to nie musi się pan obawiać. Załatwić panu jeszcze coś do picia? Do jedzenia?

Pokręcił przecząco głową. Ruszyła do drzwi i chwyciła za klamkę, kiedy zatrzymał ją jego głos.

– Proszę pani.

Odwróciła się.

– Zły policjant wychodzi pani znacznie lepiej – oznajmił Gunther i podniósł kubek, jakby właśnie wznosił toast za jej zdrowie.

– Jesteś głodny? – zapytał Zych.

– Niespecjalnie.

– Mnie ściska żołądek.

Wrzucił kierunkowskaz i chwilę później zatrzymał się pod stacją benzynową. Tą samą, od której rozpoczęła się ta cała historia. To tam kilka godzin wcześniej stanął biały samochód terenowy z Fatimą w środku, a potem dziewczyna z niego wyskoczyła i pobięła w stronę radiowozu.

Ze stacji zniknęli już policjanci i technicy. Teraz nikt by się już nie domyślił, że wydarzyło się tutaj cokolwiek niezwykłego. Zych zniknął na kilka minut w budynku, po czym wrócił z dwoma kubkami z kawą. Zębami trzymał opakowanie z rogalikiem z czekoladą. Wskoczył do samochodu i otworzył usta, tak że rogalik spadł mu między nogi. Jeden z kubków podał Mortce.

– Nie. Dzięki.

– Daj spokój. Jest zimno i środek nocy. Na pewno przyda ci się kawa.

– Prosiłem cię, żebyś mi ją kupił?

– Nie.

– No właśnie.

Zych poruszył szczęką, najpierw ją wysuwając, potem cofając. Uniósł kubek, który był przeznaczony dla Mortki, na wysokość oczu komisarza, po czym demonstracyjnym ruchem wyrzucił go na dwór. Kubek zatańczył w powietrzu, a płyn, zanim spadł na ziemię, rozlał się w locie w spektakularną rozetę. Zych trzasnął drzwiami i uruchomił silnik. Wypił spory łyk kawy i mlasnął z zadowoleniem. Ruszyli.

– Myślisz, że jesteś taki zajebisty, co? – rzucił, kiedy włączali się do ruchu.

Mortka nie odpowiedział. Siedział wpatrzony w drogę przed nimi, pozornie obojętny i spokojny. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że zaczyna przysypiać.

– Świetnie radzimy sobie bez ciebie – kontynuował policjant. – Wszystko, na co wpadłeś w tej sprawie, ten arabski, tłumacze i tak dalej, też byśmy to wymyślili.

– Ale nie wymyśliliście.

– Bo byliśmy zajęci niańczeniem ciebie i przesłuchiowaniem w kółko Gunthera nie wiadomo po co! Gdybyśmy mogli spokojnie wykonywać swoją robotę...

– Taki urok pracy w policji – wszedł mu w słowo Mortka.

– Jaki, kurwa, urok?

– Taki, że tutaj rzadko kiedy jest spokojnie – wytłumaczył. – Jeśli nie potrafisz pracować pod presją, to może czas poszukać sobie innego zajęcia.

Zych zrobił ruch ręką, jakby chciał uderzyć siedzącego obok komisarza. Zatrzymał ją jednak gwałtownie i wyciągnął w górę palec wskazujący.

– Tyle – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Miałeś dzisiaj dokładnie jednego, pojedynczego farta. Tylko ty znasz francuski, tylko ty potrafiłeś dogadać się z tą dziewczyną i to była twoja jedyna przewaga nad nami. Nade mną. Poza tym, nie masz niczego.

– Sucha uważa inaczej.

– Sucha musi dawać dupy komuś wysoko, żeby utrzymać się na tym stołku! – warknął Zych. – Nie wiem komu! A może nie dupy, może po prostu kota karmi pierwszemu sekretarzowi, ale jej zdanie mnie nie obchodzi. Ja wiem, jak jest! – zakończył, uderzając się przy tym pięścią w pierś.

– A niby jak jest?

Zych zwolnił, potem wrzucił kierunkowskaz i zjechał na pobocze. Kiedy stanął, odwrócił się do Mortki i spojrzał mu prosto w oczy.

– Jest tak – zaczął mówić, cedząc słowo za słowem – że wcale nie jesteś aż tak dobry. A poza tym, twój syn to morderca.



Jeśli spodziewał się jakiejś reakcji, to czekało go rozczarowanie. Komisarz wyjął tylko komórkę, popatrzył na ekran i niezadowolony schował ją z powrotem do kieszeni.

– Powinniśmy się pospieszyć – oznajmił.

– Najpierw zjem – powiedział Zych, podnosząc rogalika i szeleszcząc głośno celofanowym opakowaniem. – I wypiję swoją kawę.

Rozpakował croissanta, zamoczył jego koniec w kawie i zjadł. Przez kilka minut tak siedzieli. Samochód pracował na jałowym biegu i z rzadka mijaly ich inne auta. Kiedy policjant skończył, zmiął folię, wsadził ją do kubka, a całość rzucił na podłogę za siebie.

Gdy dojechali wreszcie do Radości, skręcili w labirynt małych uliczek i zwolnili. Zych, mrużąc oczy, wypatrywał tabliczek z numerami kolejnych posesji. Zatrzymali się przed szarym jednopiętrowym domem z płaskim dachem, do którego dobudowano garaż o blaszanych drzwiach. Budynek wyglądał na całkiem zadbany, kilka lat wcześniej go odmalowano. W ogródku rosły dwa świerki, na trawniku stał drewniany stół z ławkami, na których można było siedzieć. A niedaleko dostrzegli wielkie kupy niedawno zagarniętych liści.

– To tutaj? – zapytał Mortka.

– Adres się zgadza – potwierdził Zych. – Przejeżdżaliśmy tędy z tą Syryjką?

– Tak – potwierdził komisarz.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Pamiętam nazwę tej ulicy.

– Czyli nie rozpoznała tego budynku...

– Noc, stres, pewnie rzadko tutaj bywała.

– A może to po prostu nie nasz człowiek? I cała ta twoja dedukcja jest chuja warta?

– Przekonajmy się – powiedział komisarz i wysiadł z wozu.

Podszedł do furtki. W domu nie paliło się żadne światło, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Domownicy mogli po prostu spać. Zaczął się rozglądać za

domofonem, żadnego jednak nie widział, więc nacisnął klamkę i furka otworzyła się z cichym skrzypnięciem. Wszedł do środka.

W tym czasie Zych zaparkował przy płocie i szybko dołączył do komisarza. Wspólnie podeszli do domu. Zych zerknął na Mortkę pytająco, a ten uśmiechnął się półgębkiem i nacisnął przycisk dzwonka.

– Nie mam swojej blachy, więc będziesz musiał machać swoją – powiedział.

– Nie masz odznaki? – zdziwił się Zych. – A broń?

– Nie mam.

– Jedziesz do potencjalnego sprawcy bez broni?

– Będziesz mógł się wykazać – rzucił Mortka i jeszcze raz nacisnął przycisk dzwonka.

Ponieważ nic się nie działo, w oknach nie zapaliło się światło, przybliżył się do drzwi i zamknął oczy. Nasłuchiwał. Nie dochodziły do niego żadne odgłosy ludzkich kroków, nikt się nie odezwał. Brakowało nawet szczekania psa.

– Chyba nikogo nie ma – mruknął.

– Co teraz?

– Trzeba będzie wejść do środka.

Policjant spojrzał na niego pytająco.

– Bez nakazu?

– Bez nakazu. Na blachę.

– Czyli jakby co, będzie na mnie?

Mortka wyszczerzył zęby w drwiącym uśmiechu.

– Co? Nigdy tego nie robiłeś?

Zych podszedł bliżej.

– Rozejrzyjmy się. Może znajdziemy jakieś inne wejście – powiedział i zaczął obchodzić budynek.

Na bocznej ścianie garażu, pod dachem, dostrzegł okienko. Podskoczył, chwycił się chropowatego brzegu i podciągnął. Zajrzał do środka. Było

ciemno, ale nigdzie nie dostrzegął samochodu. W sumie nic dziwnego, pomyślał. Skoro nikogo nie ma w domu, to dlaczego w garażu miałyby stać auto. Opuścił się na ziemię i przeszedł na tył domu. Tam znajdował się niewielki ogródek z kilkoma drzewami, huśtawką, piaskownicą przykrytą teraz szarą plandeką oraz szopą ogrodową. Nic, co mogłoby budzić jakiegokolwiek podejrzenia. Zwyczajny ogródek ludzi, którzy niespecjalnie mieli czas się nim zajmować. Policjant pomyślał, że raczej nie tak wygląda dom kogoś, kto zabił już dwie prostytutki i próbował zastrzelić trzecią. Ten cały Cielecki miał co najmniej jedno dziecko, o które najwyraźniej dbał na tyle, żeby zapewnić mu miejsce do zabawy, pewnie też żonę i najprawdopodobniej prowadził nudne, zwyczajne życie.

Telefon w jego kieszeni zaczął dzwonić. Wyciągnął go i spojrzał na wyświetlacz. W pierwszej chwili chciał go po prostu wyciszyć, ale potem pomyślał, że nie może. Że postępując tak, przekroczyłby jakąś granicę i zawiódł. Nie jako mąż, a ojciec. Dlatego odebrał.

– Jak Marysia? – zapytał od razu. Bez żadnego przywitania. Bez dania jej szansy, żeby wyjaśniła, po co dzwoni.

– Kiedy wrócisz do domu? – usłyszał jej płaczliwy głos.

– Wrócę... – powiedział.

– Ale kiedy?

Naprawdę płakała. Nie udawała tego. Nie było też w jej głosie złości, tylko przeraźliwe zmęczenie.

– Posłuchaj mnie uważnie, naprawdę chciałbym być już z wami. Ale nie mogę. Wiesz dlaczego. Wrócę do domu najszybciej, jak to tylko możliwe. A teraz powiedz mi, jak Marysia.

Usłyszał, jak bierze dwa głębsze wdechy, a potem pociąga nosem. Czekał cierpliwie, aż trochę się uspokoi, chociaż obawiał się, że wtedy znowu zaatakuje go litanią pretensji i wyrzutów. Chciał się jednak dowiedzieć, co z córką.

– Podałam jej paracetamol. Nie ma gorączki. W końcu zasnęła.

Fala ulgi rozlała się po jego ciele. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był spięty.

- Też powinnaś iść spać.
- Chyba tak zrobię. Ale chciałabym...
- Wiem. Ja też.
- Uważaj na siebie.
- Będę.

To ona się rozłączyła. Odsunął powoli telefon od ucha, a potem patrzył na zdjęcie żony, aż ekran sam przygasł. Wtedy schował telefon z powrotem do kieszeni i zgiął się wpół. Oddychał, rozglądając się po raz kolejny dookoła. Po co właściwie tutaj przyjechali? Żeby dręczyć jakiegoś Bogu ducha winnego faceta, który miał tego pecha, że znał arabski i jeździł niewłaściwym samochodem?

Wyprostował się i otarł czoło. Pomyślał, że bez sensu to wszystko roztrząsa. To nie była przecież jego decyzja, tylko Suchej. Jeśli naczelniczka wydziału chciała, żeby sprawdzili tego faceta, to go sprawdzą. Wejdą mu nawet do domu, skoro to takie ważne. Im szybciej to załatwią, im szybciej okaże się, że mają zły adres, tym szybciej będą mogli wracać do komendy. A tam może wreszcie szefowa złoży podpis pod dokumentami, które dzisiaj położył jej na biurku.

Przyjrzał się domowi. Miał co prawda tylne wyjście, jednak zakratowane, podobnie jak wszystkie okna na parterze. Tak samo było zresztą od frontu. Opcja z wybiciem szyby nie wchodziła więc w grę, tym bardziej że kłódki od krat wyglądały na ciężkie i solidne. Nie rozwałą ich bez narzędzi. Jeszcze raz popatrzył na dom i wtedy przyszedł mu do głowy pomysł.

Wrócił do Mortki, który ciągle stał przy drzwiach wejściowych. Zych zastanawiał się, czy komisarz przez cały ten czas po prostu do nich dzwonił w nadziei, że ktoś jednak mu otworzy. Uśmiechnął się na tę myśl pod nosem.

– Okna z tyłu też są zakratowane, ale te na poziomie pierwszego piętra nie – oznajmił, zbliżając się do niego. – Zrobimy tak. Pójdziemy do garażu, podsadzisz mnie, a ja wespnę się na dach. Tam jest drabinka, którą z kolei wdrapię się na dach domu, i stamtąd zeskoczę na balkon. Wybiję szybę, otworzę okno i wejdę do środka.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział komisarz.

– Słucham?

– Zadzwoń na straż pożarną – wyjaśnił Mortka. – Będą tu za jakieś pięć minut. Przywiozą ze sobą sprzęt. Wyważą taranem drzwi albo zrobią coś innego. W każdym razie wejdziemy do środka bez tego całego wspinania się po ścianach i skakania po dachach. Cyrk zostawmy akrobatom.

Kiedy tylko skończył mówić, usłyszeli w oddali syreny. Zbliżały się z każdą sekundą. Mortka uśmiechnął się lekko.

– No popatrz, będą jednak szybciej, niż myślałem – powiedział, a potem pstryknął palcami. – I właśnie dlatego mnie potrzebujecie, Zychu. Bo ty byś nigdy na to nie wpadł, prawda? Ale nie przejmuj się, kolego. Nie każdy w końcu nadaje się na policjanta.

Po orgazmie zawsze czuł się brudny. Pamiętał, kiedy masturbował się pierwszy raz i po wytrysku, który go zaskoczył, bo nie spodziewał się, że to już i że będzie tak obfity, gorączkowo wycierał brzuch papierem toaletowym, prał pościel oraz czyścił ścianę. A potem i tak cienka warstwa zaschniętego nasienia na jego skórze kruszyła się i kojarzyła mu się z łuszczycą. Seks z kobietą nie był lepszy. Jeśli nosił prezerwatywę, to później musiał starannie myć członka. Jeśli nie, sperma z niej wyciekała i brudziła prześcieradło. Zabijanie było o tyle czystsze! I być może w związku z tym, o tyle przyjemniejsze! Nie ograniczało się tylko do fizycznej rozkoszy, chociaż uderzenia adrenaliny i endorfin nie dało się porównać z niczym, co oferował seks. Nie, chodziło także o satysfakcję psychiczną. O to niezwykle poczucie kontroli nad swoim ciałem, nad życiem drugiej osoby i całym światem. Nie był pewien, czy potrafiłby to wytłumaczyć komukolwiek, kto tego uczucia nie zaznał.

Po zabiciu Poli pospiesznie ruszył w drogę powrotną do Warszawy, ale wkrótce głos w jego głowie ucichł, a on sam zwolnił. Jechał przed siebie, obserwował puste miasto i nawet durne nocne audycje w radio sprawiały mu przyjemność. Kręcił się bez celu po ulicach i uliczkach. Chodziło tylko o to, żeby być w ruchu, rozkoszować się chwilą, ciszą i spokojem. Wszystkie jego problemy zniknęły. Co pewien czas przypominał sobie twarz Poli, kiedy naciskał na spust, i kąciki jego ust same unosiły się w uśmiechu. Pomyślał, że ona też powinna być szczęśliwa. Była w końcu prostytutką, a praca prostytutki polegała na zadowalaniu mężczyzn. Ona dała mu rozkosz, spełniła więc swoje zadanie. Osiągnęła ostateczny cel. Nie zmarnowała swojego życia. Zrobiła to, po co pojawiła się na tym świecie. Nie więcej, ale też nie mniej. O ilu osobach można było to powiedzieć?

Zerknął na tablicę rozdzielczą i zauważył, że zapaliła się kontrolka paliwa. Miał co prawda rezerwę, która starczy na kilkadziesiąt, może sto kilometrów, ale nie wiedział, co jeszcze przyniesie mu ta noc. Wolał, żeby ropa nie skończyła się akurat w chwili, kiedy będzie skądś uciekał. Lepiej było się przygotować.

Powłóczył się jeszcze chwilę, aż zaczęło go ssać w żołądku i suszyć w gardle. Zawsze tak się działo, kiedy kogoś zabił. Jakby spalał się tak mocno, że organizm w pewnym momencie musiał uzupełnić zapasy. Zabawne, i jego ciało, i land rover domagali się w tej chwili tego samego – więcej paliwa.

Zajechał na stację benzynową i przez chwilę stał z włączonym silnikiem niedaleko wjazdu. Obserwował budynek. Przed dystrybutorami stały tylko dwa samochody, oba osobowe. W rozświetlonym wnętrzu dostrzegął kilka osób, w tym dwójkę znudzonych sprzedawców. Wiedział, że na stacji zamontowany jest monitoring, ale czy to miało jeszcze jakieś znaczenie? Odjechał daleko od Lesznowoli. Jeśli naprawdę go szukają, to już wiedzą, jakim samochodem jeździ i jak wygląda. Zresztą czy miał inne wyjście? Oczywiście mógł podejść do dystrybutorów i nalać paliwa do kanistra, tyle że takiego klienta na pewno zapamiętają.

Poza tym czy naprawdę go szukają? Może przesadza? W końcu od momentu, kiedy strzelił do Fatimy, minęło już tyle godzin i nic się nie stało! Do cholery, zdążył zabrać Polę, wywieźć ją za miasto i zabić! Nikt go nie ścigał, nikt nie próbował zatrzymać, nikt na niego nie polował.

Uśmiechnął się szeroko i spojrział na swoje odbicie w tylnym lusterku.

– Udało mi się – powiedział. – Znowu mi się udało.

Odetchnął i poczuł, jak spływa na niego ogromna ulga. Był blisko wpadki, ale znowu uszło mu na sucho. Następnym razem będzie musiał po prostu bardziej uważać.

Zaburczało mu w brzuchu. Tak głośno, że aż się roześmiał. Podjechał pod dystrybutor, wysiadł z samochodu i rozejrzał się dookoła. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Otworzył drzwi od strony pasażera, potem

schowek i wrzucił tam pistolet. Wylądował obok kluczy do mieszkania pierwszej ofiary. Lepiej nie wchodzić z bronią do budynku stacji, pomyślał.

Zatankował do pełna, obserwując rosnącą z każdym nalany litrem kwotę do zapłaty. Uznał, że jeśli dalej tak pójdzie, nie będzie go stać na jeżdżenie samochodem. Poszedł do budynku stacji, minął regały z kolorowymi magazynami, słodyczami, kanapkami i lodówki pełne słodkich napoi oraz piwa. Przed nim stała jakaś kobieta w średnim wieku, która właśnie płaciła. Musiał poczekać chwilę, zanim wpisze kod PIN, a potem ekspedient wydrukuje jej fakturę. Wtedy przyszła pora na niego.

– Za trójkę – powiedział.

– Ten wielki biały samochód? – zapytał sprzedawca.

– Tak.

– Jasne. Karta Vitay?

– Nie.

– Faktura?

– Nie.

– Dużo pali.

– Sporo.

– No. Wygląda na prawdziwego potwora. Chciałbym mieć takiego, ale żona się nie zgadza. Coś będzie do paliwa?

Znowu zassało go w brzuchu.

– Dwa hot dogi – powiedział. – Do tego duża kawa.

– Jasne – odparł sprzedawca, nabijając na kasę.

Wyjął kartę i przyłożył ją do czytnika. Na moment się zdenerwował. Pomyślał, że może policja jednak o wszystkim wie i zablokowała mu konto, ale wtedy rozległo się pyknięcie, a lampki na terminalu roz błysły na zielono.

– Pin poproszę – rzucił sprzedawca.

Wbił cztery cyfry. Chwilę później dostał paragon, który natychmiast zmiął i wsadził do kieszeni, żeby wyrzucić przy pierwszej nadarzącej się



okazji.

- Pan sobie zrobi kawę, a ja już szykuję hot dogi. Jakie sosy?
- Tysiąca wysp i czosnkowy.
- Jasne.

Podszedł do stojącego nieopodal wejścia ekspresu i przygotował sobie kawę z mlekiem. Potem odebrał dwa hot dogi i usiadł przy jednym z wolnych stolików, skąd miał widok na swój samochód. Mile połechtало go, że sprzedawca zazdrościł mu wozu. Jasne, land rover miał już swoje lata i sporo przeżył, ale przecież o niego dbał i był pewien, że pokonałby każdą przeszkodę. No dobrze, może trochę przesadził, jednak na pewno auto dałoby sobie radę na większości terenowych rajdów. A ta rysa, którą zrobił, wjeżdżając dzisiaj do garażu – trudno, naprawi się jakoś. Takie rzeczy tylko dodają samochodowi charakteru. Są jak blizny na ciele żołnierza, pamiątki po dawnych przygodach.

Zjadł pierwszego hot doga w kilku kęsach i popił kawą. Wtedy rozdzwonił się jego telefon. Zdziwił się, że ktoś próbuje się z nim skontaktować o tak późnej porze. Pomyślał najpierw, że żona chce mu powiedzieć dobranoc, ale to nie było w jej stylu. Poza tym pewnie już spała. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy spojrział na ekran. Nacisnął zieloną słuchawkę.

- Tak, panie Witoldzie – powiedział, siląc się na spokój.
- U pana chyba się pali, panie Tomaszu – usłyszał głos sąsiada.
- Jak to się pali?
- No bo przyjechała straż pożarna, i to na sygnale. To chyba się pali. I policja. Policja też przyjechała.

– Policja? – Serce zaczęło mu mocniej walić, niedawno przełknięty hot dog podszedł z powrotem do gardła.

– No nie mieli radiowozu, ale chyba by nie kłamali, prawda, panie Tomaszu? Wydaje mi się, że powinien pan przyjechać, zobaczyć, co się stało. No bo chyba coś się spaliło, jak przyjechała straż pożarna. Chociaż ja dymu nie widziałem, to może gaz wycieka. Jak pan sądzi, panie Tomaszu?

– Proszę im powiedzieć, że już jadę – odparł i natychmiast się rozłączył.

Wstał od stolika, ale zaraz zakreśliło mu się w głowie i znowu usiadł. Jednak go znaleźli, pomyślał. Zamknął oczy i poczuł, jak zaczyna go piec pod powiekami. Niepotrzebnie pozwolił sobie uwierzyć, że wszystko dobrze się skończy. Jego pierwsza intuicja była słuszna – to ostatnia noc na wolności. Już go szukają. To, że jeszcze nie złapali, zawdzięcza tylko szczęściu. Nie, poprawił się natychmiast. Nie szczęściu, tylko przebiegłości. Miał w końcu plan i go realizował, punkt po punkcie. Powinien to robić dalej, a nie ulegać panice.

Otworzył oczy. Serce mu zwolniło, swobodniej oddychał. Poczuł, że odzyskuje spokój i kontrolę nad sytuacją. Nic się nie zmieniło, pomyślał. Trzeba działać.

Wstał od stolika, zostawiając na nim niewypitą kawę oraz hot dog. Wyszedł przed stację benzynową i do śmietnika wyrzucił zmięty paragon, a po kilku sekundach zastanowienia również telefon komórkowy. Znali w końcu jego adres i nazwisko, kwestią czasu było, kiedy namierzą i numer. Nie da się tak złapać. Nie w tak głupi sposób.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Myślał wyłącznie o tym, że jeśli tylko będzie spokojny, jeśli tylko nie popełni żadnego błędu, zdąży zabić jeszcze jedną osobę.

Ania zobaczyła swoje odbicie w witrynie cukierni Smaki Warszawy i pomyślała, że naprawdę wygląda jak prostytutka. Nagle ta sukienka mini wydała się jej krótsza, niż myślała. Jeszcze trochę i będzie widać majtki, a właściwie ten pasek, który miała między pośladkami, bo włożyła stringi. Normalnie ich nie nosiła, bo były niewygodne i wrzynały się wszędzie tam, gdzie nie powinny. Do tego dekolt, większy niż ten, do którego przywykła, stanik typu push-up, który podnosił piersi, i makijaż, który w domu wydawał się seksowny, a teraz był po prostu wyzywający.

Nie wiedziała, jak długo przechadza się po ulicach Śródmieścia. Krążyła pomiędzy Emilii Plater, Nowogrodzką, Wspólną a Poznańską. Zauważyła kilka pracujących tam kobiet i zdziwiła się, że jest ich tak niewiele. Były różne. Blondynki, brunetki, starsze, młodsze, grubsze i te przeraźliwie chude. Niektóre paliły papierosy, pociągały wódkę z buteleczek wyjmowanych z torebek, głośno się śmiały lub nawet zaczepiały mężczyzn w przejeżdżających obok samochodach, a ci na ich widok przyspieszali. Inne stały spokojnie albo dreptały w miejscu, pozornie obojętne, jakby znudzone.

Ania próbowała znaleźć miejsce dla siebie. Takie z dala od innych kobiet. Powtarzała sobie, że jest tutaj, bo musi, że jeszcze nic się nie wydarzyło, a jeśli się wydarzy, to będzie jedynie raz. Raz i nigdy więcej. Żeby mogła tylko stanąć na nogi i wydostać się z kłopotów, w które wpędził ją Wojtek.

Stanąła koło Marriotta. Dopiero po chwili zorientowała się, że niedaleko są dwie inne dziewczyny. Raczej młodsze, nie mogły mieć więcej niż trzydziestkę. Brunetka, dość korpulentna, w zielonej sukience z odblaskowego materiału, przez co w momencie, gdy obok przejeżdżał samochód, przypominała znak drogowy. I nie pomagała nawet narzucona

na ramiona skórzana kurtka. Blondynka była wyższa i szczuplejsza od koleżanki, opatulona w puchową kurtkę, ale i tak co pewien czas wstrząsała nią dreszcz, jakby miała gorączkę. Może zresztą nawet tak było. Obie przyglądały się Ani. W ich spojrzeniu widziała podejrzliwość, złość i wrogość, postanowiła więc oddalić się stamtąd, zanim te dwie podejda i coś jej zrobią.

Zatrzymała się niedaleko teatru Roma, ale kiedy przejeżdżający obok samochód na jej widok zwolnił, a potem się zatrzymał, natychmiast odwróciła się do niego plecami, jakby interesowały ją tylko teatralne plakaty i zdjęcia ze spektakli. Odetchnęła, kiedy usłyszała dźwięk uruchamianego silnika i ruszającego auta, a po chwili poczuła... Nawet nie wiedziała co. Nie był to wstyd, bo przecież nie zrobiła nic, czego miałyby się wstydzić. Po prostu wyszła na miasto. Tyle że w konkretnym celu. I kiedy nadarzyła się okazja, dobra okazja, bo auto było ładne, jedne z droższych, mercedes albo audi, to się przestraszyła i spękała. Czują zażenowanie? Być może. Ale przede wszystkim taką gryzącą, palącą złość. Na siebie samą, na Wojtka, Darka i Przemka. Na wszystkich facetów, przez których znalazła się w tej sytuacji.

Poszła sobie spod Romy, a teraz stała jak głupia przed zamkniętą cukiernią. To miejsce wyglądało na jedno z tych, do których wstydziłaby się nawet wejść, bo stać by ją było co najwyżej na najtańsze ciastko.

– Cześć, mała – usłyszała za sobą męski głos.

Odwróciła się natychmiast. Miała na sobie buty na wysokim obcasie i kiepsko się w nich chodziło, więc prawie się przy tym manewrze przewróciła. Musiała się podeprzeć ręką i uderzyła o szybę tak mocno, że ta aż zadrżała. Przez chwilę się wystraszyła, że zbiła okno.

Stał przed nią mężczyzna trochę po trzydziestce. Z ciemnym zarostem i kaszkietem zsuniętym głęboko na tył głowy. Chyba był łysy. Nosił niebieską kurtkę z flagą amerykańską na ramieniu i logo jakiejś drużyny na przodzie. Z szyi zwisał mu gruby złoty łańcuch. Na nogach miał modne sneakersy.

– Dzień dobry – odezwała się po chwili i przełknęła ślinę.

Za mężczyzną stał samochód na światłach awaryjnych. Srebrny golf. Nie zauważyła, kiedy podjechał.

– Chcesz się zabawić? – zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie? – zdziwił się. – No daj spokój, mała. Dobrze zapłacę. Ile chcesz za nockę?

– Nic.

– Dajesz za darmo? – powiedział wesoło. – Co to? Caritas? Czy jakaś promocja?

– Ja nic nie daję. Nie sprzedaję. Czekam na chłopaka.

Mężczyzna zmarszczył brwi, zrobił krok w jej kierunku, podniósł dłoń – owłosioną, z jakiegoś powodu zwróciła uwagę na ten szczegół – i pogłaskała ją po policzku.

– Daj spokój, mała – odezwał się. – Mnie się nie musisz bać.

– Czekam na chłopaka – powtórzyła mocniejszym, bardziej stanowczym tonem. Miała nadzieję, że w ten sposób go odstraszy, ale on tylko uśmiechnął się szeroko. Zamiast górnej dwójki miał złoty ząb.

– Jakiego chłopaka? Dwa kółeczka zrobiłem i żadnego chłopaka w okolicy nie widziałem. Nie zgrywaj się, malutka. Może nawet na to nie wygląda, ale mam pieniądze. Ile chcesz?

– Jak mówi, że czeka na chłopaka, to czeka, kurwa, na chłopaka, nie?! Głuchy, kurwa, jesteś?! – krzyknął ktoś z boku.

Oboje się odwrócili. Szła w ich stronę pięćdziesięcioletnia ruda kobieta w krótkiej białej spódnicy i w czerwonej bluzce z dużym dekoltem, ozdobionym falbanami. Na to narzuciła skórzaną kurtkę. Mimo nadwagi i szpilek poruszała się z taką gracją i pewnością, jakby urodziła się w butach na obcasie. Ania poczuła ukłucie zazdrości. Absurdalne, biorąc pod uwagę, w jakiej sytuacji teraz była.

Mężczyzna odsunął się od niej. Zmarszczył brwi.

– No ja tylko...

– Co ja tylko?! Co ja tylko?! Mówi dziewczyna, że na chłopaka czeka, a ten się przypierdala!

– Jakiego, kurwa, chłopaka? – zaprotestował.

I wtedy, niespodziewanie, kobieta uderzyła go otwartą dłonią w tył głowy tak mocno, że aż krzyknął z bólu, a kaszkiet spadł mu na ziemię.

– Jej chłopaka, piździelcu jebany! – ryknęła ruda.

Mężczyzna patrzył na nią równie zszokowany, co Ania, a potem szybkim ruchem podniósł kaszkiet z ziemi i wrócił do stojącego nieopodal samochodu.

– Głupie pizdy, jebane – rzucił jeszcze przez ramię. – Żeby wam cipska uschły, kurwiszony jedne!

Ruda w odpowiedzi pokazała mu środkowy palec, a potem obserwowała go, jak odjeżdża aż do momentu, kiedy golf zniknął za zakrętem.

– No temu to już nie obciągnę – stwierdziła wtedy, a Ania nie wiedziała, czy powiedziała to do niej, czy do siebie.

– Przepraszam – szepnęła, po czym zaraz dodała: – I dziękuję.

Ruda powoli przeniosła wzrok na dziewczynę i uśmiechnęła się ciepło.

– Nie przejmuj się, kochana. Nie on jeden przecież tutaj przyjeżdża – stwierdziła i długo przyglądała się Ani. – Pierwszy raz? – zapytała nieoczekiwanie.

– Ja... na chłopaka...

– Ściemniać to możesz temu ciulowi, a nie Rudej Joli.

– Ja naprawdę...

– Nie chcesz mówić, to nie – stwierdziła kobieta i wzruszyła ramionami.

– Jak się ten twój chłopak pojawi, to mu powiedz, żeby się bardziej spieszył. W takiej okolicy nie powinnaś za długo stać po nocy na ulicy sama. Może dojść do nieporozumienia.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku Wspólnej.

– Pierwszy raz! – krzyknęła za nią Ania, zanim zorientowała się, co robi.

Ruda Jola zatrzymała się, zerknęła na nią, a potem skinęła głową, wskazując na pobliski skwer.

– Chodź, pójdziemy zapalić – rzuciła. – Pogadamy sobie.

Okoliczni mieszkańcy wylegli na ulicę. Tłoczyli się wokół wozu strażackiego, który stał na włączonym sygnale świetlnym, i z ciekawością obserwowali strażaków chodzących wokół domu. Co pewien czas ktoś podchodził do płotu, pytał się, co się dzieje, ale nikt mu nie odpowiadał.

– Jedzie już tu patrol – powiedział Zych, chowając telefon do kieszeni i wracając do Mortki. – Zabezpieczą teren.

– Trzeba będzie też przepytać tych tam. – Mortka pokazał na gapiów. – Dowiedzieć się wszystkiego o tym Cieleckim.

– Nawet nie wiemy, czy to nasz człowiek.

– Nie wiemy. Ale facet jest podejrzany i zamiast tracić czas na zastanawianie się, czy słusznie, lepiej wziąć się do roboty.

Zych skrzywił się, jakby ktoś go trzepnął w ucho.

– Od kiedy ty prowadzisz to śledztwo? – zapytał.

– Od dłuższego czasu, jakbyś nie zauważył, bo ty nie ogarniasz i trzeba cię trzymać za rączkę jak przedszkolaka.

W tym momencie drzwi od domu otworzyły się od środka i w progu pojawił się szczupły strażak. Wcześniej odbyli krótką dyskusję z Mortką i Zychem. Uznali, że nie będą wywierać drzwi, bo długo to zajmie i spowoduje za duże szkody. Szczególnie że sytuacja wcale tego nie wymagała. Przecięli więc kraty w oknach i wybili szybę, a potem jeden ze strażaków wszedł do środka. Miał spróbować otworzyć od wewnątrz i najwyraźniej mu się to udało.

– Znalazłem zapasowe klucze na kołku przy wejściu – wytłumaczył Zychowi i Mortce, kiedy się zbliżyli. – Możecie wchodzić.

Odsunął się, robiąc im miejsce.

– Masz rękawiczki? – zapytał Mortka.



– W samochodzie – powiedział Zych, po czym ruszył do auta.

Komisarz obrócił się w kierunku ulicy. Zmrużył powieki. Oślepiło go błękitne światło syreny strażackiej. Próbował się przyjrzeć gapiom, ale dostrzegał jedynie ich sylwetki. Pomyślał, że być może się pospieszył. Trzeba było to inaczej rozegrać – wejść po cichu, założyć dyskretną obserwację, na wypadek, gdyby Cielecki zamierzał wrócić. A teraz z daleka będzie wiedział, że coś jest nie tak. Tylko że Mortka działał pod presją czasu. W komendzie czekał na niego Gunther. Sucha miała się nim zająć, ale przecież nie wiedziała wszystkiego, nie znała całego planu. Nie tak miała wyglądać dzisiejsza noc.

Zych pojawił się po trzech minutach już w gumowych rękawiczkach i bez słowa podał mu całą paczkę. Mortka podziękował ruchem głowy, wyciągnął parę i założył, po czym pozwolił mu wejść pierwszemu.

Przez wiatrołap przeszli do salonu połączonego z kuchnią. Meble miały tu już dobrych kilkanaście lat, ale były w dobrym stanie. Te najbardziej wysłużone najwyraźniej już jakiś czas temu wyrzucono i zamieniono na nowe z IKEI czy Black Red White. Na półce z książkami stało kilka modnych tytułów, a także Biblia Tysiąclecia oraz portret Jana Pawła II w srebrnej ramce. A tuż obok niewielka figurka Buddy z brzuszkiem wytartym od częstego pocierania na szczęście. Na podłodze leżały drewniane klepki, którym przydałoby się cyklinowanie.

Zych przeszedł od razu do kuchni i zaczął otwierać kolejne szafki. Mortka dołączył do niego, jednak zamiast grzebać po szufladach, wziął do ręki grubą książkę, która leżała na blacie.

– Co to jest? – zapytał młodszy policjant.

– Książka kucharska. Z daniami dla cukrzyków.

– Wow! – powiedział z udawanym przejęciem Zych. – W takim razie facet na pewno morduje prostytutki! Mamy twój dowód!

Mortka odłożył książkę na miejsce i zajrzał do lodówki. Oprócz zwyczajnych produktów spożywczych, takich jak ser czy wędlina, dostrzegł dwie butelki wina. Białe i czerwone, raczej z tych tanich, do kupienia

w dowolnym sklepie spożywczym. W zamrażarce chłodziła się natomiast butelka wódki.

– Coś tutaj zwróciło twoją uwagę? – zapytał komisarz.

– Nic. Normalny dom. Może to nie są bogacze, ale chyba nie mają wielkich problemów z kasą.

– Nie ma zdjęć. Oprócz tego papieża – zauważył Mortka. – Żadnych rzeczy osobistych. Portretów dzieci, fotografii z wakacji, pamiątek.

– Może mieszka sam?

– Zajrzyj jeszcze raz do szafek. Plastikowe kolorowe talerze i sztuce, dla dzieci, nie dla dorosłych. No i tam na ścianach, widzisz te jaśniejsze miejsca? Tam wisały zdjęcia – wyjaśnił.

Zych odwrócił wzrok i z trzaskiem zamknął otwartą szafkę.

– Chodźmy na górę – oznajmił Mortka.

Ruszyli w kierunku schodów na piętro. Policjant został z tyłu, żeby sprawdzić toaletę na parterze, i dopiero potem poszedł za komisarzem. Mortka otworzył drzwi po lewej stronie i zapalił światło. Znajdował się tam pokój dziecięcy z piętrowym łóżkiem, dwoma biurkami i zabawkami rozrzuconymi na podłodze. Zostawił to do sprawdzenia Zychowi, a sam zajął się kolejnym pomieszczeniem. Była to sypialnia z dużym małżeńskim łóżkiem, starannie pościelonym. Stały tam także szafa, dwa nocne stoliki i toaletka, a na niej leżały oprawione w drewniane ramki fotografie. Ktoś zdjął je z dołu i przyniósł tutaj. Mortka podniósł pierwszą z góry. Na zdjęciu znajdowała się czteroosobowa rodzina na wakacjach gdzieś za granicą. Wyglądało na Chorwację, ale równie dobrze mógł to być inny bałkański kraj. Dwójka dzieci, chłopiec i dziewczynka, ona chyba starsza. Tuliła ich do siebie kobieta koło trzydziestki, szczupła blondynka o pociągłej twarzy i ostrych rysach, w sukience, która odsłaniała spieczone ramiona i dekolt. Oczy schowała za szklami przeciwsłonecznych okularów. Obok, trochę jakby znalazł się na tym zdjęciu przypadkiem, stał mężczyzna. Krótko obcięte siwe włosy, lekka nadwaga, którą ukrywał pod zielonym luźnym tiszertem. Spodenki odrobinę poniżej kolan, w odcieniu khaki, z kieszeniami po bokach, i sandały. Na nosie okulary w drucianej

oprawie. Mężczyzna nie miał żadnych cech charakterystycznych, był tak zwyczajny, że Mortka mógłby nawet teraz minąć go na ulicy i nie zwrócić na niego uwagi. Wyglądał na starszego od kobiety o dziesięć, może nawet piętnaście lat. Komisarz przez chwilę zastanawiał się, czy to nie jej ojciec, ale uznał, że nie – różnica wieku była jednak zbyt mała.

Odłożył zdjęcie. Rozejrzał się jeszcze, ale nic nie zwróciło jego uwagi. Postanowił sprawdzić kolejny pokój. Tym razem wszedł do mniejszego pomieszczenia, które pełniło funkcję gabinetu. Stało tam sporej wielkości biurko, a na nim komputer i drukarka. Za biurkiem z kolei była szafa wypełniona książkami i segregatorami. Wśród tytułów znajdowało się kilka podręczników dla przedsiębiorców, a także liczne słowniki, w tym specjalistyczne. Polsko-arabski, arabsko-angielski, polsko-rosyjski, polsko-angielski. I kolejne zdjęcie. Przedstawiało tego samego mężczyznę na tle pustynnego krajobrazu. Był ubrany w wojskowy mundur, ręce założył za plecami, a na nosie miał przeciwsłoneczne okulary. Tuż obok stał oprawiony w ramkę order. Czteroramienna gwiazda, otoczona wieńcem, a z tyłu dwa krzyżujące się miecze. Na gwieździe znajdował się napis: „RP Irak”.

Mortka poczuł nieprzyjemne ukłucie niepokoju. Cielecki był weteranem misji w Iraku. Pewnie pojechał tam jako tłumacz z arabskiego. Jeśli mieli szczęście, był pracownikiem cywilnym, chociaż zdjęcie w mundurze raczej sugerowało, że to żołnierz. A skoro tak, potrafił posługiwać się bronią. Niby już to udowodnił, strzelając do Fatimy, ale co innego mieć przeciwko sobie faceta z bronią, a co innego takiego, który przeszedł przeszkolenie i brał udział w prawdziwym konflikcie zbrojnym.

Tuż obok regału z materiałami biurowymi stała niewielka lodówka. Buczała cicho, więc była włączona. Kucnął i ją otworzył. W środku chłodziło się kilka butelek piwa, słodkie i słone przekąski, napoje energetyczne, a w drzwiach, na półce, znajdowało się kilka opakowań z lekami. Mortka wziął pierwsze z nich.

– Humalog – przeczytał cicho i sprawdził skład. To była insulina. Odłożył pudełko z powrotem do lodówki i wstał z klęczek.

Skórzana kanapa musiała być chyba najstarszym meblem w całym mieszkaniu. Wytarta w wielu miejscach, poplamiona, na jednym boku miała dziurę. Komisarz zwrócił jednak uwagę przede wszystkim na poskładaną w kostkę pościel, poduszkę i pidżamę, które na niej leżały.

– Mortka! – usłyszał głos Zycha i pospiesznie opuścił gabinet.

Policjant stał w progu łazienki i na jego widok odsunął się tak, żeby ten mógł zajrzeć do środka. Komisarz przez chwilę przyglądał się wnętrzu, nie odważył się jednak wejść.

– Wiesz, co trzeba zrobić? – zapytał.

– Przepytać sąsiadów – odpowiedział Zych. – Wezwać techników. Przeszukać dokładnie cały dom. Zdjąć odciski palców. Zdobyć jego zdjęcie. Wysłać po jednostkach i patrolach. Sprawdzić dane telekomunikacyjne i tak dalej. Skontaktować się ze znajomymi i rodziną. To naprawdę nie jest mój pierwszy dzień w tej robocie.

Wnętrze łazienki, mniej więcej do poziomu ramion dorosłego człowieka, wyłożono grubą folią malarską. Z półek zdjęto wszystkie kosmetyki i wrzucono do wanny. W rogu stało wiadro ze szmatami oraz środkami czyszczącymi na bazie chloru.

– Zaprasza je do domu – powiedział Mortka. – Najpierw siedzi z nimi na dole, podaje im wino albo wódkę, cokolwiek chcą. On sam nie pije.

– Myślisz, że coś im dodaje do drinków?

– Nie sędzę. Nie ma takiej potrzeby. One go znają, pewnie były tu już wcześniej. Przywoził je, dawał alkohol, a potem odwoził z powrotem. Całe i zdrowe. Wtedy nie stało się nic złego, to dlaczego teraz by miało. One mu po prostu ufają. Nic nie wzbudza ich podejrzeń. Kiedy są już rozluźnione, zaprasza je na górę, do sypialni, a wcześniej proponuje wspólny prysznic. Wchodzą do łazienki, widzą to, co my, ale zanim zdążą zareagować...

– Zabija je – dokończył Zych.

Komisarz powoli skinął głową. Właściwie to patrzył na miejsce zbrodni. Cała krew, włosy, może kawałki mózgu, jeśli tamten celował w głowę, miały trafić na folię malarską, którą po wszystkim zwijał razem ze

zwłokami i gdzieś wyrzucił. Brakowało tu tylko ciała, bo Fatimie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, udało się uciec z samochodu mordercy. Potem Cielecki się przestraszył. Domyślał się, że zaczną go szukać, dlatego kolejnej dziewczyny nie przywiózł już tu, tylko zabił ją w Lesznawoli. Wezwanie strażaków, żeby włamali się do domu, nie było więc złym pomysłem. Jakikolwiek hałas narobią, nie miało to żadnego znaczenia. Cielecki nigdy więcej się tutaj nie pojawi.

– Naprawdę uważasz, że ma na koncie więcej ofiar? – zapytał Zych. – Więcej niż ta dziewczyna od Kinola i ta dzisiejsza?

– Nie wiem – odpowiedział Mortka. – Ale to – wskazał na wyłożoną folią malarską łazienkę – świadczy o tym, że ma już doświadczenie.

Starał się jechać spokojnie, nie przekraczać dozwolonej prędkości, przynajmniej nie na tyle, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale fotel dosłownie parzył go w tyłek. Gorączkowo próbował ułożyć sobie wszystko w głowie. Policjanci byli u niego w domu, co oznaczało, że wiedzieli, kim jest. Pewnie dysponowali też jego zdjęciem, a także wiedzieli, jakim samochodem jeździ, czyli teraz każdy policjant w Warszawie wypatrywał białego land rovera. Powinien natychmiast zmienić wóz. Tylko niby jak? Nie był złodziejem. Nie wiedział, co zrobić z alarmem cudzego samochodu, jak otworzyć drzwi ani uruchomić silnik.

Zaczął się zastanawiać, czy rozmawiali już z jego żoną. Na samą myśl zaczęło go trząść ze złości. Nie chciał, żeby dowiedziała się w ten sposób. Powinien sam do niej zadzwonić, porozmawiać, wytłumaczyć, co się stało. Ta kobieta była przecież jego małżonką, zaślubioną przed Bogiem, matką jego dzieci. Zaslubiła na to.

Tylko jak miał to zrobić, skoro wyrzucił telefon? Nie żałował, że to zrobił, tylko może zbyt się pospieszył. Gdyby trochę się z tym wstrzymał, zdążyłby jeszcze zadzwonić. Ale to byłoby niepotrzebne ryzyko. Nie, dobrze postąpił. Szkoda, że nie przeszukał torebki Poli. Mógłby wziąć jej komórkę. Poczł pokusę, żeby pojechać do Lesznowoli, wrócić do ciała prostytutki. Tylko co zrobić z tym przeklętym samochodem? Poza tym na tamym parkingu stało przecież drugie auto. Ktoś siedział w środku, ktoś go widział. Nie. Powrót do Lesznowoli to nie był dobry pomysł. Za dużo niewiadomych.

Jego dłonie robiły się śliskie od potu. Wytarł je szybko o spodnie, ale i tak miał wrażenie, że z trudem utrzymuje je na kierownicy.

Potrzebował miejsca, gdzie mógłby się schronić, odpocząć, pomyśleć. Miejsca, gdzie znalazłby telefon, żeby zadzwonić do żony.

Co powinien zrobić, kiedy zatrzyma go policja? Czy powinien po prostu się poddać? Nie. Nie chciał być jak ta bezwolna owca prowadzona prosto na rzeź, która jest zdolna jedynie do rozpaczliwego beczenia. On był mężczyzną, żołnierzem, wojownikiem. Nie pozwoli, żeby rzucili go na ziemię i zakuli w kajdanki. Nie pozwoli sobą pomiatać. Potrzebował broni. Nie wiedział jeszcze, czy po to, żeby walczyć, czy strzelić sobie w łeb, kiedy nadejdzie ta chwila, ale na pewno jej potrzebował.

Była w schowku. Tylko czy zdąży po nią sięgnąć, kiedy go zatrzymają. Nie był pewien. W takich sytuacja liczyła się każda sekunda. Przekonał się o tym boleśnie dzisiaj wieczora, kiedy Fatima uciekła z jego samochodu. Gdyby zareagował wtedy szybciej, bardziej zdecydowanie, gdyby się nie zawahał..

– Dość! – krzyknął na siebie samego i to go trochę otrzeźwiło.

Nie było sensu rozpatrywać przeszłości, pomyślał sobie. Stało się to, co się stało, i tyle. Potrzebował broni. Blisko siebie, żeby mógł po nią sięgnąć w przeciągu sekundy, a nie kilku. Zwolnił trochę, bo nie chciał się zatrzymywać. Mocniej chwycił kierownicę, żeby utrzymać się na właściwym pasie, i wychylił się mocno w prawo. Nie spuszczać oka z drogi, otworzył schowek i po omacku sięgnął do środka, ale zamiast zimnej kolby wyczuł pod palcami coś innego. Niewielki metalowy przedmiot. Wyciągnął go, ale wiedział, co to jest, zanim na niego spojrział. Klucze od mieszkania tamtej dziewczyny. Klucze, które jej zabrał i zatrzymał. Jego szczęśliwy amulet.

I nagle wiedział już, co powinien zrobić. Jego myśli się uspokoiły, przestał się pocić. Po niedawnym zdenerwowaniu pozostał tylko nieprzyjemny, kwaskowaty zapach.

Odbił na wschód, szybko wjechał na Dolinę Służewiecką, jedną z ważniejszych arterii stolicy. Miała trzy pasy w każdą stronę, a jednak w godzinach szczytu zawsze była zakorkowana. Teraz poruszały się nią tylko nieliczne samochody, a on czuł się trochę tak, jakby płynął środkiem szerokiej rzeki.

W oddali dostrzegł jadący z naprzeciwka samochód policyjny. Kiedy się mijali, radiowóz włączył syreny. Obserwował go w tylnym lusterku, sprawdzając, czy tamten nie zawróci, ale nie – pojechał prosto.

Nawet nie był tym specjalnie zaskoczony. Jego szczęśliwy amulet zadziałał po prostu po raz kolejny.

Kiedyś nie był przesądny, jednak wojna wszystko zmieniała. W Iraku jego praca co prawda należała do względnie bezpiecznych, bo głównie siedział w bazie, tłumaczył dokumenty i pomagał w kontaktach z iracką administracją, ale ludzie potrafili tam ginąć w przeróżnych okolicznościach. Na ich bazę też spadały pociski z moździerzy. Człowiekowi łatwiej było funkcjonować, kiedy wierzył, że ma coś albo kogoś, kto nad nim czuwa. On miał obrazek z Czarną Madonną, który dostał od matki tuż przed wylotem. Nosił go zawsze blisko ciała. Podczas dwóch tur, które spędził na Bliskim Wschodzie, nie został nawet ranny. Po powrocie do kraju wybrał się na pieszą pielgrzymkę do Częstochowy, żeby podziękować za opiekę.

Skręcił w Świętego Bonifacego, minął stację benzynową, a potem supermarket FRAC i odbił w lewo, w najbliższą przecznicę tuż przy szkole. Nie zwrócił uwagi na informację, że to ulica jednokierunkowa. Uznał, że o tej porze i tak nie miało to wielkiego znaczenia.

Jechał wolno wzdłuż zatłoczonego parkingu, ale nigdzie nie potrafił znaleźć miejsca. Zawrócił z trudem na wąskiej jezdni i ruszył z powrotem do Świętego Bonifacego. Wolną przestrzeń znalazł tuż przy skrzyżowaniu. Trochę za blisko głównej ulicy, trochę za blisko latarni, ale przecież chronił go amulet. Zaparkował i wysiadł z wozu.

Za plecami miał szkołę podstawową z boiskiem, przed sobą długi ciąg wysokich bloków. Schował pistolet za paskiem na plecach, poprawił kurtkę, tak żeby zakrywała kolbę, i zacisnął dłoń na kluczach.

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż bloku, aż wreszcie dotarł do odpowiedniej klatki. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, na którym pięttrze mieszkała tamta dziewczyna. Na drugim, uświadomił sobie po chwili. Na tyle nisko, że ostatnim razem nie jechał windą, tylko wchodził po schodach.



Na tyle wysoko, że nikt nie zajrzyłby do mieszkania. Zresztą zasłony zawsze były zasłonięte.

Znalazł odpowiednie okno. Nie paliło się w nim światło, ale to przecież o niczym nie świadczyło. Jeśli ktoś był w środku, o tej porze raczej spał.

Wahał się przez kilkanaście sekund, ale wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma żadnego planu B, więc musi zaryzykować. Przez chwilę szukał odpowiedniego klucza i w końcu otworzył drzwi. Wszedł do środka. Światło automatycznie się zapaliło. Trudno, uznał i ruszył schodami, tak jak zawsze. Starał się iść cicho, żeby nikogo nie zbudzić. Dotarł na drugie piętro, na drzwiach nie dostrzegł żadnych policyjnych taśm, nalepek czy plomb. Przyłożył ucho, ale ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Znowu – to nic nie znaczyło. Przecież jeśli ktoś był w mieszkaniu, to i tak spał.

Czuł, że nie powinien za długo zwlekać. Im dłużej stał na klatce, im więcej tracił czasu, tym większe było ryzyko, że ktoś zwróci na niego uwagę, że coś pójdzie nie tak. Postanowił spróbować. Jeśli klucze pasują do zamka, to znaczy, że nikogo nie ma, bo gdyby ktoś tam mieszkał, od razu wymieniliby zamki, biorąc pod uwagę wydarzenia sprzed kilku miesięcy.

Weszły gładko. Otworzył najpierw dolny zamek, potem górny i wsunął się do środka. Na wszelki wypadek nie zapalał światła. Najpierw chciał się upewnić, że nikogo tu nie ma. Wyciągnął pistolet, poczekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

Najpierw sprawdził pokój. Wszystko wyglądało tak jak tamtej nocy. Każdy przedmiot był na swoim miejscu. Łóżko, szafa, stolicek nocny, a na nim przewrócona tubka z żelam nawilżającym. Pewnie w szufladzie znalazłby paczkę prezerwatyw. Niektóre rzeczy jednak się zmieniły. Ktoś ściągnął pościel. Zostały tylko materac i dwie poduszki bez poszewek.

Zajrzał jeszcze do łazienki. Zniknęły stamtąd wszystkie kosmetyki, które należały do tamtej dziewczyny. Na umywalce znalazł jedynie starą kostkę zwykłego mydła. Kuchnia również świeciła pustkami.

Wrócił do pokoju, zasunął szczelnie zasłony i dopiero wtedy zapalił światło. Usiadł na łóżku. Zwiesił głowę i odetchnął ciężko. Jego wzrok zatrzymał się na brunatno-rdzawej plamie na podłodze. Znajdowała się

dokładnie w miejscu, gdzie upadło ciało tamtej dziewczyny. Krew wsiąknęła w drewniane klepki. Wstrząsnęło nim to. Nawet bardziej, niż gdyby zobaczył jej nadgniłe zwłoki. Na coś takiego był gotów, ale na tę plamę, subtelne przypomnienie czynu sprzed kilku miesięcy, nie.

Wstał i przesunął włochaty, biały dywan, tak żeby zasłonił plamę, jednak wciąż nie potrafił się odprężyć. Wiedział, że ona ciągle tam jest. Dlaczego policjanci, pracownicy zakładu pogrzebowego, ktokolwiek tutaj był, nie mogli tego porządnie wysprzątać?! Partacze!

Poszedł do łazienki. Zaczął rozglądać się za środkami czyszczącymi, ale nie znalazł nic oprócz tego kawałka mydła i wtedy dotarło do niego, jak się zachowuje. Zaśmiał się krótko, gorzko. Odkręcił kurek z zimną wodą i opłukał sobie twarz, po czym wrócił do pokoju. Przypomniawszy sobie, po co tutaj przyjechał. Potrzebował komórki. W najgorszym razie, komputera lub tabletu – jakiegokolwiek urządzenia elektronicznego, dzięki któremu mógłby się skontaktować z żoną.

Zaczął przetrząsać mieszkanie. Zajrzał do szafki (jednak nie znalazł prezerwatyw) i szafy, w której wisiało jeszcze kilka sztuk damskiej odzieży. Sprawdził też pod łóżkiem, w kuchni i znów, po raz trzeci już, w łazience. Niczego nie znalazł.

Wrócił na łóżko. Położył pistolet obok, w zasięgu ręki, i zapatrzył się w okno, chociaż jedyne, co widział, to ciężkie, aksamitne, fioletowe zasłony.

Był poszukiwany. Nie miał telefonu. Nie mógł już poruszać się swoim samochodem. Nie zadzwoni do żony. Nie pożegna się z dziećmi. Jego sytuacja z chwili na chwilę stawała się coraz gorsza. Ale przecież tego się spodziewał, prawda?

– Jeszcze jedna – powiedział sam do siebie. – Dam radę z jeszcze jedną.

Podерwał się na równe nogi, wziął pistolet i schował go za paskiem spodni, a potem szybkim krokiem wyszedł z mieszkania. Tak, jego sytuacja była zła, ale jeszcze nie beznadziejna. A w jego głowie właśnie pojawił się plan działania.

Mortka podszedł do drzwi domu rodzinnego, wsadził dłoń do kieszeni i właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał kluczy. Doskonale wiedział, gdzie są – w szufladzie szafki niedaleko łóżka, tam, gdzie schował wszystkie rzeczy związane z jego „polskim” życiem, które nie przydawały mu się w Holandii. Leżały teraz obok paszportu, karty pojazdu i kilku innych dokumentów. Zabrał je ze sobą, bo nie wyobrażał sobie zostawić ich w kraju. Mimo to zaczął sprawdzać kolejne kieszenie spodni i kurtki w nadziei, że jednak się pomylił i wziął je sobą. Nie znalazł ich. Zerknął na walizkę stojącą obok, zastanawiając się, czy jest choćby minimalna szansa, że je tam wrzucił. Wiedział, że nie, ale i tak zamierzał ją przeszukać. Tylko nie tutaj, nie na dworze i nie przy tej pogodzie.

Ustalili z Agnieszką, że przyjedzie sprawdzić, co z mamą. Paradoksalnie, jemu było łatwiej przylecieć tu z Holandii, niż jej wydostać się z pomorskiego szpitala. Zbyt wielu pacjentów, zbyt wiele pracy, za mało personelu. Nikt by jej nie dał nawet dnia urlopu. Poza tym, słyszał to pomiędzy słowami, nie chciała jechać. Potrafił to zrozumieć. Były przecież takie śledztwa, kiedy prawie nie pojawiał się w domu. Nie mógł sobie wtedy wyobrazić, że mógłby zostawić kolegów samych z nawąłem roboty. Domyślał się, że teraz w szpitalach jest podobnie. Gdyby Agnieszka jednak przyjechała, później traktowano by ją jak zwykłą dezerterkę. Miał się do niej odezwać, jeśli wydarzyłoby się coś złego. A raczej, kiedy wydarzy się coś złego.

Zapukał. Przez długą chwilę nic się nie działo, wcisnął więc dzwonek. Raz i drugi. Przestał, dopiero kiedy usłyszał kroki, a potem dźwięk otwieranych zamków. Wkrótce drzwi się uchyliły i ujrzał mamę. Żle wyglądała. Drobniejsza i jakby starsza niż wtedy, kiedy widział ją we wrześnie. Nie umalowała się, nie uczesała. Różowy, puchaty szlafrok na jej

ramionach wyglądał, jakby był na nią za duży. Skojarzył mu się z żywą istotą, z jakimś pasożytem, który zniechęca spadł na jego matkę, oplątał ją swoimi mackami frotté, a teraz wysysał z niej wszystkie siły.

– Kuba – szepnęła, wyrzucając z siebie jego imię razem z oddechem. Wydawała się zaskoczona widokiem syna.

– Nie odbierałaś – powiedział. – Napisałem ci esemesa, że przyjeżdżam. Przeczytałaś?

– Chyba tak. Pisałeś, ale zapomniałam.

Uderzył w nich podmuch nieprzyjemnego, mokrego grudniowego wiatru. Podniósł poły szlafroka, odsłaniając blade, nagie nogi matki. Wzdrygnęła się. Chyba dotarło do niej, że nie powinni dłużej stać na dworze. Wycofała się w głąb domu.

– Mam wyniki testu – odezwał się Mortka. – Negatywny.

Matka tylko machnęła lekceważąco ręką, przeszła do salonu i zapadła się w fotelu ustawionym naprzeciwko telewizora. Oglądała program kulinarny, ale Mortka miał wrażenie, że w zupełności wystarczało jej to, że odbiornik jest po prostu włączony.

Zdumiało go, że w całym domu panuje niewiarygodny porządek. Patrząc na matkę, na to, jaka słaba i zaniedbana się wydawała, spodziewał się najgorszego – brudu, piętującego się stosu nieumytych naczyń w kuchni, śmieci leżących wprost na podłodze i smrodu niewyrzuconych resztek. Ale wszystko lśniło. Był pewien, że nigdzie nie znajdzie choćby nawet pyłku kurzu. Poczul się nagle bezradny.

– Przygotować ci coś do jedzenia? – zapytał.

– Nie, ja już jadłam, ale sobie podgrzej leczo. Jest w garnku, na kuchence. Tylko kiełbasę sobie musisz wyjąć z lodówki, bo ja ograniczam mięso – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od telewizora.

Poszedł do kuchni. Najpierw zajrzał do lodówki – zapełniona w połowie. Było tam wszystko, czego mogłaby potrzebować: ser, masło, mleko, wędlina, soki, jogurty, jakieś owoce i warzywa. Na kuchence faktycznie stał wielki garnek, a w nim leczo. Dotknął go – był jeszcze ciepły. Sprawdził

zmywarce. W niej znalazł dwie szklanki, brudny talerz i łyżkę. Czyli mama niedawno jadła.

Włączył gaz pod garnkiem, zaniósł walizkę na górę, do swojego pokoju, gdzie niewiele się zmieniło od czasu, kiedy wyjechał do Warszawy. Wrócił na dół. Leczo akurat się podgrzało. Sięgnął po talerz, nałożył sobie porcję i zjadł. Pomyślał, że mogłoby być bardziej doprawione. Potem po sobie posprzątał.

Poszedł do matki, która ciągle oglądała telewizję. Usiadł obok niej.

– Zjadłeś? – zapytała.

– Tak.

– To dobrze.

Na ekranie telewizora dwóch zarośniętych facetów właśnie przygotowywało deser. W Holandii Mortka poprawił swoje umiejętności kulinarne. Trochę z nudów, trochę z powodu kontaktu z kolegami i koleżankami z innych krajów, tych wszystkich dni Hiszpanii, Włoch, Irlandii, Francji i tak dalej, kiedy zbierali się w knajpie na dole i zjadali specjami z tamtejszych kuchni i pili zdecydowanie zbyt dużo alkoholu. Ale zasmakowało mu to żarcie, paella, owoce morza, gnocchi, currywursty, wołowina po burgundzku, cévapi i jeszcze wiele innych rzeczy. Część z nich nauczył się robić samodzielnie, jednak przepis, którego wykonanie teraz oglądał, wydał mu się absurdalnie skomplikowany, a obaj kucharze zachowywali się, jakby to była najprostsza rzecz pod słońcem.

– Masz jakieś wieści? – zapytał.

– Jakie wieści? – odpowiedziała pytaniem, z trudem odrywając wzrok od telewizora.

– O ojcu. Rozmawiałaś może z Kluską?

– Rozmawiałam – potwierdziła.

Zirytował się, że musi z niej wyciągać informacje słowo po słowie. Jakby brali udział w jakimś przesłuchaniu, a ona była wyjątkowo opornym świadkiem, który w dodatku ma coś na sumieniu i boi się powiedzieć

o jedno zdanie za dużo. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie jest na niego zła z jakiegoś powodu, ale nie miał pojęcia z jakiego.

– Co z nim?

– Leży nieprzytomny. Tak jak leżał. Nic się nie zmieniło – rzuciła pozornie obojętnym tonem, ale po drzeniu jej powiek poznał, że te trzy zdanie kosztowały ją dużo wysiłku.

Nie ciągnął tematu, przesunął tylko swój fotel w stronę fotela mamy, a potem chwycił ją za rękę. Miała delikatną, przyjemną w dotyku skórę. Z dzieciństwa pamiętał, że każdego ranka poświęcała sporo czasu, żeby się nakremować. Nie używała żadnych wymyślnych kosmetyków, wystarczył jej krem Nivea.

Po sekundzie, dwóch, kiedy już był gotów cofnąć swoją dłoń, poczuł, że odwzajemniła uścisk. Siedzieli potem w milczeniu przed telewizorem i przez kolejną godzinę obserwowali, jak dwóch brodatych kucharzy męczy się z kolejnymi daniami.

– Najgorsze jest to, że on jest sam – odezwała się, kiedy skończyli oglądać. – Nie ma przy nim nikogo, kto mógłby go potrzymać za rękę.

– Jest nieprzytomny, mamó. Utrzymują go w śpiączce farmakologicznej. Nawet by nie wiedział.

– Wiedziałyby – odpowiedziała miękko matka. – Ludzie wiedzą takie rzeczy, czują.

– Skąd wiesz?

– Ojciec mi opowiadał. Naoglądał się przez lata takich sytuacji. Chyba tego się właśnie bał, wiesz? Tej samotności. A teraz... spełnia się to, czego tak się obawiał.

Zrobiło na nim wrażenie, że mama mówi o tym z takim spokojem. Jemu samemu natychmiast zrobiło się sucho w gardle, a pod powiekami, po raz pierwszy od lat, może nawet od dzieciństwa, poczuł zbierające się łzy.

– Masz kogoś w tej Holandii? – zapytała, niespodziewanie zmieniając temat.

– Nie – skłamał.

– To szkoda. Nie powinieneś być sam.

– Nie jestem sam. Mam znajomych.

– To nie to samo, synku – powiedziała i pogłaskała go po policzku. – Obiecuj mi jedno.

– No?

– Jak tam wrócisz, do tej Holandii, rozejrzyj się dobrze dookoła. Może jednak znajdziesz tam kogoś miłego.

Po kolacji, późnym wieczorem, poszedł do pokoju. Rozpakował swoje rzeczy, wyciągnął komputer i popracował przez godzinę. Odpowiedział na kilka mejli, które nad nim wisiały, pozałatwiał zaległe sprawy. Mama poszła już spać. Około godziny dziesiątej zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz, na którym pojawiło się „Justyna”. Odebrał.

– *Salut Jacques...*

– Cześć, Justine.

– Jak tam? Jesteś już na miejscu?

– Jestem.

– Lot w porządku?

– Oprócz tego mierzenia temperatury, machania wszędzie testem i siedzenia przez cały czas w maseczce? Tak w porządku.

Zaśmiała się krótko.

– Co takiego? – zapytał.

– Nic. Wyobrażałeś sobie, że tak to będzie wyglądać? Jeszcze rok temu?

Rok temu? Potrzebował chwili, żeby się zastanowić, czy to było przed pandemią, ale tak, grudzień 2019. Wtedy co najwyżej dochodziły ich jakieś wieści o dziwnym zapaleniu płuc z Wuhan i opowiadali sobie o kretynie, który zjadł nietoperza.

– Dobrze, że nikt u nas nie urządza dnia chińskiego – zażartował ktoś podczas wieczornej nasiadówki i kilka osób się roześmiało, ale ostrożnie, bo dowcip był jednak trochę rasistowski.

Rok. Minął zaledwie rok, a wydaje się, że znacznie dłużej. Tyle się zmieniło.

- Nie. Oczywiście, że nie.
- Jak twój tata?
- Ciągle pod respiratorem.
- Jestem pewna, że da sobie radę.

Mortka chciał zacytować ojca: „Spod respiratora się nie wychodzi”, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie chciał jej tłumaczyć, że nie przyjechał tutaj po to, by być przy nim, kiedy się wybudzi, tylko żeby pomóc mamie z kwestiami pogrzebowymi, gdy już wydarzy się to, co nieuniknione.

- Justine...
- Tak, Jacques?
- Kiedy coś zrobimy?
- Z czym?
- Z nami.

Usłyszał, jak wciąga ze świstem powietrze.

- O co ci chodzi, Jacques?
- O to, kiedy powiesz o nas swojemu mężowi.
- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Wiesz, co to by dla mnie oznaczało.
- Wiem. I dobrze, bo powinnaś się z nim rozwieść.
- To nie jest takie proste, Jacques.
- To właśnie jest proste, Justine! Przecież wy nawet nie macie dzieci!

Przez chwilę dźwięki w słuchawce stały się inne, jakby wytłumione. Domyślił się, że odsunęła komórkę od ucha i przycisnęła ją do piersi.

- Dlaczego chcesz to zepsuć, Jacques? – usłyszał ją znowu. Jej głos był opanowany, wręcz lodowaty.
- Nic nie chcę zepsuć. Chcę to naprawić – powiedział.
- Niczego ci nie obiecywałam.



– Wiem, ale widzisz sama przecież, że...

– Zajmij się swoim tatą, zajmij się mamą – przerwała mu. – Potrzebuję cię teraz. Pa, Jacques!

Rozłączyła się, zanim zdążył odpowiedzieć. Zacisnął zęby ze złości. Opanowała go przemożna ochota, żeby rzucić komórką o ścianę, ale nie zrobił tego. To w końcu było jego narzędzie pracy.

Poszedł do łazienki, wziął szybki prysznic i gdy zorientował się, że zapomniał także spakować pidżamę, położył się spać w bokserkach i tiszercie. Przez ponad godzinę przewracał się z boku na bok, nie potrafił zasnąć. Co kilka minut sięgał po komórkę. Sprawdzał, czy Justine może do niego napisać – esemesem, mejlem, na Messengerze albo WhatsAppie. Za każdym razem czekało go rozczarowanie.

Obudził się rano i natychmiast sprawdził telefon. Znalazł tylko jedną wiadomość – od swojego operatora. Nawet jej nie przeczytał, od razu wyrzucił. Dopiero wtedy dotarło do niego, że rzeczą, która go obudziła, był dzwonek do drzwi.

Poderwał się z łóżka i szybkim krokiem opuścił pokój.

– Otwieram! – krzyknął głośno, mając nadzieję, że mama go usłyszała.

Zszedł na dół, zastanawiając się, kto to może być. Kurier? Jakoś nie wyobrażał sobie, żeby mama w tej sytuacji cokolwiek kupowała przez internet. Gazownia? Nie, raczej nie przychodziliby o tak wczesnej porze. Pozostawała ostatnia możliwość. Najgorsza. Ojciec. Oczywiście, nie tak zawiadamia się o zgonie pacjentów – nie przychodzi się do nich rankiem do domu, ale ojciec był przecież emerytowanym lekarzem, który wrócił do pracy na osobistą prośbę dyrektora szpitala. Mortka potrafił sobie wyobrazić, że Kluska, z powodu wyrzutów sumienia, informację o śmierci ojca chciał przekazać matce osobiście.

Podszedł do drzwi i wziął głęboki wdech. Miał na sobie bokserki i tiszert – kiepski strój jak na taką okazję, ale przecież nie zdążył się ubrać. Otworzył i zaskoczony zamarł na ułamek sekundy.

Po drugiej stronie stał Andrzej.

– Palisz? – zapytała Ruda Jola, siadając na ławeczce na skwerku wciśniętym pomiędzy kamienice śródmieścia.

Ania nie lubiła tej dzielnicy. Wydawała jej się klaustrofobiczna – wąskie ulice, dużo samochodów, smrodu spalin i ludzi, a mało przestrzeni. Do tego te odbudowane po wojnie budynki. Niby nie tak wysokie jak pobliskie wieżowce, ale jednak czasami wydawały się od nich wyższe. Być może dlatego, że zasłaniały niebo. Niektóre były śliczne, niedawno odnowione, pomalowane, zamieszkiwane przez bogatych ludziach o prestiżowych zawodach. Inne z kolei równie dobrze można by przenieść na baraki i nikt by się specjalnie nie zdziwił. Idealnie by pasowały do tej zapuszczonej dzielnicy jej rodzinnego miasteczka. Malutki skwerek sprawiał wrażenie wyrwanego drapieżnym kamienicom – ledwo kilka ławeczek i krzewów, żadnego placu zabaw dla dzieci, piaskownicy czy małego gaju. Było to miejsce dla seniorów, którzy mogli sobie tutaj przysiąść z siatkami, kiedy wracali z zakupów do domu.

– Hej, mała, palisz? – powtórzyła Ruda Jola i pomachała jej dłonią przed oczami.

Ania wzdrygnęła się, wyrwana z zamyślenia. Nie paliła. To znaczy, zdarzało jej się kiedyś popalać, ale przestała, kiedy zaszła w ciążę. Wiadomo, lekarze od lat straszą, że nie powinno się wtedy palić, a ona bardzo o siebie dbała. Najbardziej na świecie bała się tego, że urodzi kalekie dziecko. Kiedy Rafałek pojawił się na świecie, sięgnęła po papierosy jeszcze ze dwa razy i była zdumiona, jakie są niesmaczne i na jak długo zostawiają paskudny posmak w ustach. Zupełnie je rzuciła, nie sięgała po nie nawet towarzysko, ale teraz dopadła ją wielka ochota, żeby zapalić. I dlatego energicznie pokiwała głową.

Kobieta podsunęła jej paczkę z cienkimi papierosami. Ania wyciągnęła jednego, wsadziła sobie do ust i poczekała na ogień. Ruda Jola chwilę siłowała się z masywną, stalową zapalniczką marki Zippo. Wreszcie pojawił się wielki płomień, a w powietrzu delikatnie zapachniało benzyną. Ruda Jola odpaliła najpierw jej, potem sobie i obie zaciągnęły się niemal równocześnie. Dym drażnił gardło, ale w przyjemny sposób. Powędrował od razu do płuc. Ania przytrzymała go tam i zakreśliło jej się w głowie – to też było fajne. Za to Ruda Jola zanosła się kaszlem. Był bardzo brzydki, ostry, jakby ktoś jeździł jej po wnętrznościach papierem ściernym. Aż zgięło ją wpół i zaczęła uderzać się rytmicznie pięścią w mostek. Ania przyglądała się jej zaskoczona i niepewna, jak powinna się w tej sytuacji zachować – poklepać ją po plecach, a może od razu wezwać pomoc? Zanim podjęła decyzję, kobieta przestała kaszleć i wyprostowała się. Otarła palcami oczy.

– I teraz nie wiadomo – rzuciła z uśmiechem – rak czy covid. A ty co byś wolała?

– Słucham?

– Na co wolałabyś zachorować? Na raka czy na covid?

– Nie wiem.

Jola się zaśmiała.

– Jasne, że nie wiesz. To w moim wieku myśli się o takich rzeczach. Słyszałam, że na ten covid to fajnie się umiera, ale jak już jesteś pod respiratorem, bo wcześniej to koszmar: kaszlesz i się dusisz. A pod respiratorem to śpisz sobie, nic nie czujesz, leki ci podają i nagle pyk!, po wszystkim. Raczycho to jednak zawsze boli, a ja się bólu strasznie boję.

Odwróciła twarz w jej stronę i zamrugała przesadnie dwa razy.

– Rozmazałam się? – zapytała.

– Eee... nie.

– Na pewno?

Ania mogła jej się teraz uważnie przyjrzeć. Zauważyła liczne zmarszczki na twarzy: rowki na czole, kurze łapki wokół oczu, a także luźną skórę na

podbródki. Ruda Jola się malowała, nawet mocno, ale w żaden sposób nie próbowała ukryć tych niedoskonałości. Być może po prostu potrafiła starzeć się z godnością, w przeciwieństwie do matki Ani, która spędzała przed lustrem długie godziny, naciągając skórę na wszystkie możliwe sposoby i skrycie marząc o operacjach plastycznych, na które nigdy nie będzie jej stać.

– Na pewno – powiedziała dziewczyna, bo faktycznie, makijaż wokół oczu pozostał perfekcyjny. Jedynym śladem niedawnego ataku kaszlu były silnie zaróżowione policzki.

Ruda Jola najwyraźniej jednak jej nie ufała, bo wyjęła z torebki komórkę, włączyła ją, uruchomiła przedni aparat i przyjrzała się sobie w ekranie. – No faktycznie – powiedziała, chowając telefon, i oparła się o ławkę. – To co, mała? To twój debiut?

– Tak – przyznała Ania z trudem. – Ale ja...

Ruda Jola przerwała jej ruchem ręki.

– Spokojnie, mała. Nie zamierzam cię naciągać na zwierzenia. Tutaj każda z nas ma swoją historię. Zresztą tyle w życiu się ich nasłuchałam, że nowe mnie już nie interesują. – Rozumiem. Ale tutaj nie jest źle – dodała i zaciągnęła się papierosem. Tym razem jednak gładko wypuściła nosem dwie papierosowe smugi. – Masę fajnych facetów poznałam. Bo ja tutaj już przychodzę trzydzieści lat. Weteranka jestem. Prezydent powinien mi dać jakiś medal za długoletnią służbę, nie?

– Chyba.

– Moja kuciapka tylu facetów uszczęśliwiła, że naprawdę mi się należy! No ale ten nasz to prędzej da jakiemuś ministrantowi, co obciągnął paru biskupom, a nie mnie, ciężko pracującej kobiecie.

Ruda Jola roześmiała się z własnego dowcipu, Ania jednak milczała, chyba nawet się zaczerwieniła. Nie lubiła, jak ludzie żartują z Kościoła. Ksiądz podczas spowiedzi, tej po studniówce, był jedynym, który jej wysłuchał. I jedynym, który zasugerował, żeby poszła na policję. A na koniec ją błogosławił i nie zadał żadnej pokuty.

– W każdym razie fajnych facetów możesz tu spotkać. Paru bydlaków też, ale przed tymi to my się nawzajem ostrzegamy, wiadomo. Jeden z tych miłych to przychodził do mnie latami, w każdą pierwszą sobotę po wypłacie. Zawsze z winem i kwiatami. Nawet ślub chciał brać, ale powiem ci, że to nie dla mnie. Z innym się związałam, chodziliśmy ze sobą, jak to się mówi, ale nie wyszło. Nie podobało mu się, że ciągle pracuję, a przecież kobieta powinna mieć swoje pieniądze. Nie rozumiał tego. Rozstaliśmy się, ale ciągle się przyjaźnimy.

Ania kiwała głową, kiedy Ruda Jola opowiadała swoją historię, chociaż nie mieściło jej się to w głowie. Nawet nie chodziło o to, o czym mówiła, ale w jaki sposób to robiła: bezpretensjonalnie, bez wstydu. Tak ona mogłaby opowiadać o swoich klientkach koleżankom w salonie fryzjerskim.

– Nie jest tak źle i tak strasznie, jak ci się może wydawać – ciągnęła Ruda Jola. – Da się dobrze zarobić, a przy tym się nie napracować. Wyjdiesz na noc, pójdziesz z jednym, pójdziesz z drugim i fajrant, można wracać do domu. Niektóre dziewczyny naprawdę dobrych pieniędzy się tutaj dorobiły. Jest taka jedna, pokażę ci ją potem, przyjeżdża nowiutką toyotą, ale taką prosto z salonu. Parkuje daleko stąd, żeby żadna z nas się nie zorientowała, że to jej, ale ja ją widziałam.

– Tak.

Ruda Jola klepnęła ją w udo i zacisnęła palce w geście zupełnie pozbawionym agresji, raczej przepełnionym entuzjazmem, a nawet pewną czułością.

– Tutaj nie jest źle – powiedziała łagodnie. – Ale jeśli nie czujesz się gotowa, jeśli nie chcesz tego robić, to po prostu sobie idź. Tylko nie myśl, że cię zniechęcam, bo się boję konkurencji. Jasne, jesteś młoda, ale ja mam swoich wiernych klientów. Chodzi mi tylko o ciebie, mała. Byłaś, spróbowałaś, wiesz, że to nie dla ciebie.

– Nie... nie mogę stąd iść. Muszę zostać.

Kobieta zmarszczyła brwi tak mocno, że niemal się stykały. Przypominały teraz grubą czarną linię.

– Musisz? – zapytała i pozwoliła, żeby to słowo zawisło między nimi na kilka sekund. – Ktoś cię zmusza? Twój chłopak? A może jesteś komuś winna pieniądze? Jeśli tak, to powiedz. Pomogę ci. Znam jednego policjanta, obciążam mu czasami. Wiem, co sobie myślisz, ale to dobry chłopak, pomoże ci. Nieoficjalnie. Już robił z kolegami takie rzeczy. Jednego takiego, co nas nachodził tutaj, dorwali i kulasy mu połamali. Jak go któraś po tym widziała, to tylko kłaniał się grzecznie i uciekał na drugą stronę ulicy.

Ania potrząsnęła przecząco głową.

– Nie – wyszeptała, bo znowu zaatakował ją wstyd. – To nie o to chodzi.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Czyli musisz – powiedziała głucho Jola. Zaciągnęła się papierosem po raz ostatni i wyrzuciła niedopałek przed siebie. Ten odbił się od chodnika i upadł na trawę. – Tak też się zdarza.

– Pani też musiała? – odważyła się zapytać Ania.

– Ja? Nie, ja to lubię. Nigdy się mnie prawdziwa robota nie trzymała. A tutaj? Tutaj to jest życie. Tylko się dziwię, że trafiłaś do nas. W twoim wieku to dziewczyny częściej w internecie.

– Wolę tutaj.

– Jasne, mała. No to jak musisz, to słuchaj. Po pierwsze, ty tu jesteś pani, księżniczka, rozumiesz? Nie żadna kurew, tylko księżniczka. Nie oni ciebie wybierają, ale ty ich. Sama decydujesz, z kim idziesz, za ile i co z nimi robisz. A jak się nie podoba, to niech spierdalają. Rozumiesz?

– Tak.

– Nie dajesz sobą pomiatać. Nie dajesz się obrażać. Oni mają rozumieć, kto tu rządzi. A rządzisz tu, maleńka, ty.

Ania początkowo myślała, że Ruda Jola sobie z niej żartuje, jednak kobieta mówiła z pełnym przekonaniem. Błysk w jej oku zdradzał, że wierzy w każde wypowiedziane właśnie słowo. Dziewczyna pomyślała więc, że może faktycznie tak jest – przecież naprawdę nie musi iść

z pierwszym lepszym, nie musi robić wszystkiego, czego od niej zażądają. Cokolwiek zamierzała zrobić, nie oznaczało to jeszcze, że przestawała być kobietą. Że przestawała być człowiekiem.

– Ma pani rację – powiedziała.

– Mam rację?! – powtórzyła za nią Ruda Jola. – Oczywiście, że mam rację! Trzydzieści lat tutaj pracuję i nigdy nic złego mi się nie stało. Nic. Wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo każdy z nich od samego początku wiedział, że jeśli chce dostać to, na czym mu zależy, to pieniądze nie wystarczą. Przede wszystkim ma mnie traktować z szacunkiem! Z szacunkiem, mała! I ty też masz tego od nich wymagać. Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Powiedz to, mała.

– Mają mnie traktować z szacunkiem.

– Głośniej.

– Mają mniej traktować z szacunkiem!

Ruda Jola uradowana klasnęła trzy razy.

– Właśnie, mała! Dokładnie, kurwa, tak. Szacunek – westchnęła, uśmiechnęła się i zapaliła kolejnego papierosa. Kiedy się nim zaciągnęła po raz pierwszy, żarzącą się końcówką wskazała na Anię. – Pomogę ci – powiedziała. – Taka ze mnie tutaj trochę matka kurka, wiesz. Pomogę ci.

– Dziękuję.

– Postoję z tobą, przypilnuję, jak sobie radzisz. Ale nie bój, stanę wystarczająco daleko, żeby żaden debil nie pomyślał, że jak bierze taką młodą dupcię, to jeszcze musi wziąć starą do kompletu.

Tym razem nawet Ania się uśmiechnęła. Zrobiło jej się jakoś lżej, a na pewno poczuła się bezpieczniej. Ciągle jeszcze nie wiedziała, co robi, czy się zdecyduje, jednak sama świadomość, że nie jest już z tym sama, że jest tutaj ktoś, kto ją wesprze, bardzo jej pomagała.

– Ale zanim tam wrócimy, masz to. – Ruda Jola pogrzebała chwilę w torebce, po czym wyjęła z niej jakiś przedmiot i wcisnęła w ręce Ani.

– Co to takiego? – zapytała dziewczyna.

– Gaz, mała. Tak na wszelki wypadek.



Mortka ściągnął gumowe rękawiczki i schował je do kieszeni. Odzwyczaił się od tego, od wchodzenia do obcych domów, mieszkań, poruszania się w nich niczym duch, żeby zebrać jak najwięcej informacji, a równocześnie pozostawić po sobie jak najmniej śladów, które mogłyby utrudnić pracę technikom. W Europolu siedział głównie za biurkiem, jego narzędziami pracy były telefon i komputer. Sam wielokrotnie się dziwił, jak dużo może osiągnąć, jedynie kontaktując ze sobą odpowiednie osoby, a potem koordynując pracę grup roboczych. Tym razem zdziwiło go to, że niczego nie poczuł. Żadnej ekscytacji, podniecenia, poczucia, że na tym właśnie polega prawdziwa policyjna robota. Był absolutnie skupiony, na chłodno analizował każdy szczegół. Wiedział, że jest w tym dobry, ale nie chciałby do tego wracać. Wolał to, czym zajmował się w Hadze, nawet jeśli przypominał bardziej urzędnika niż policjanta.

Wyszli z domu Cieleckiego. Zych skończył rozmawiać przez telefon i dał znak Mortce, że idzie porozmawiać z funkcjonariuszami, którzy zabezpieczali teren. Komisarz pokazał mu wyciągnięty w górę kciuk. Wyjął z kieszeni komórkę, wybrał zainstalowaną wcześniej aplikację i wykonał szybko kilka ruchów palcem. Potem czekał, obserwując Zycha. Ten wydawał polecenia pozostałym policjantom, coś energicznie tłumaczył, pokazywał to na dom, to na grupę gapiów. Kiedy skończył, jeden z funkcjonariuszy wyciągnął notatnik i ruszył w tłumek. Zaczął spisywać znajdujące się tam osoby.

– Niedługo przyjedzie do nas wsparcie – powiedział Zych, wracając do Mortki. – Technicy i jeszcze jeden patrol, żeby pochodzić po domach i pozbierać od ludzi zeznania.

– Świetna robota. Ogarniesz to sam?

– Jasne. A ty? – zapytał podejrzliwie policjant.

Mortka zerknął na ekran komórki, a potem popatrzył w głąb ulicy. Ruchem głowy wskazał na zbliżające się w ich stronę światła samochodu osobowego.

– To mój uber. Wracam na komendę.

– Tak po prostu?

– Przecież powiedziałaś, że ogarniesz to sam, nie?

– Powiedziałem. Ale nie możesz...

– Mnie tu nawet nie ma, Zych – przerwał mu Mortka. – Ciągle jestem na delegacji w Hadze. Baw się tu dobrze i zrób, co trzeba, żebyście złapali tego gnoja.

Klepnął go jeszcze na pożegnanie w ramię. W zamierzeniu miał to być wspierający i serdeczny gest, ale wyszedł raczej arogancki i szorstki, z czego zdał sobie sprawę, podchodząc do auta. Trudno. Nie zamierzał już wracać do Zycha i tłumaczyć mu się ze swoich intencji. Facet był w końcu dorosły.

Wsiadł do białego forda focusa, oblepionego naklejkami z napisem „Uber”. Kierowca, blondyn o bladej twarzy, ubrany w czarną bluzę i biały tiszert, miał na szyi gruby złoty łańcuch z równie masywnym złotym krzyżykiem.

– Kuba? – upewnił się, kiedy komisarz zajmował miejsce z tyłu. Mówił z wyraźnym wschodnim akcentem.

– Tak.

Kierowca poczekał, aż ten zamknie za sobą drzwi. Uliczka była zatarasowana przez wóz strażacki, więc mężczyzna musiał wykonać skomplikowany manewr zawracania na sześć. Zupełnie przy tym nie zwracał uwagi na wściekle pipczące czujniki parkowania, patrzył tylko w tylne i boczne lusterka.

– Co tam się stało? – zapytał, kiedy ruszyli.

– Pożar był.

– Pożar? – zdziwił się. – Nie wyglądało, jakby się paliło. Nie było dymu.

– Mały pożar.

– Aha.

Wyjechali na główną ulicą i ruszyli w stronę centrum. Znacznie przekraczali dozwoloną prędkość, ale kierowcy zdawało się to nie przeszkadzać. Chyba nawet ani razu nie zerknął na prędkościomierz.

– Ale się porobiło! – zauważył.

Mortka pomyślał ze złością, że trafił mu się gaduła. Wielokrotnie korzystał z ubera i wołał tych kierowców, którzy po prostu wykonywali swoją pracę i skupiali się na prowadzeniu. W Holandii miał łatwiej. Kiedy tylko ktoś go zaczepiał, mówił „Przepraszam, nic nie rozumiem”, ale po polsku, i tyle wystarczyło. Tylko raz trafił na Polaka i w ten sposób zafundował sobie męczącą dwudziestominutową pogawędkę o dolach i niedolach emigracji. Od tamtej pory, ilekroć wsiadał do taksówki czy ubera, najpierw wypatrywał śladów polskości: portretów Jana Pawła II, obrazków ze świętym Krzysztofem, polskich flag czy naklejek z Robertem Lewandowskim.

– Z czym? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Z Putinem.

Z Putinem, powtórzył w myślach Mortka. Czekala go więc rozmowa o polityce międzynarodowej. Po akcencie nie potrafił wychwycić, czy męczyzna jest z Ukrainy, Białorusi czy Rosji. Te dwie pierwsze opcje były najbardziej prawdopodobne, ale trzeciej też nie mógł przecież wykluczyć.

– No, porobiło się – powiedział, wybierając najbezpieczniejszą opcję.

– Putin nam nie odpuści, ja to panu mówię.

Użył pierwszej osoby liczby mnogiej, był więc Ukraińcem.

– Podobno chce się z wami dogadać – ciągnął.

– Naprawdę?

– No. On sobie weźmie Wschód, a wam odda Lwów i okolice, żeby było jak przed wojną. Ale nie idźcie na to. Bo pan wie, co będzie, jak na to pójdziecie?

– Co?

– Potem przyjdzie do was.

Mortka pokiwał z uprzejmością głową, a potem demonstracyjnie zerknął na zegarek.

– Mógłby pan trochę przycisnąć? – zapytał. – Spiesz mi się.

Mężczyzna, zrozumiałwszy, że to koniec pogawędki, przytaknął i włączył radio. Z głośników popłynął wschodni hip-hop. Mortka rozróżniał tylko pojedyncze rosyjskie przekleństwa, a kiedy ford focus przyspieszył, chwycił się jeszcze uchwytu pod sufitem, choć był przypięty pasami.

Kierowca wypuścił go na przystanku koło komendy stołecznej policji. Mortka pokonał te kilkanaście metrów, wylegitymował się i od razu skierował się do gabinetu Suchej. Rozmawiała właśnie przez telefon, równocześnie stukając intensywnie w klawisze komputerowej klawiatury. Dała mu znać, żeby poczekał. Skończyła rozmawiać, rzuciła komórkę na blat biurka i odetchnęła głęboko. Kiedy zwiesiła głowę i na kilka sekund zasłoniła twarz dłońmi, Mortka pomyślał, że nigdy nie pozwoliłaby sobie na taki moment słabości przed którymkolwiek ze swoich podwładnych. Wreszcie wyprostowała się. Miała zaczerwienione oczy. Nie od płaczu, tylko ze zmęczenia.

– Co za noc – powiedziała.

– Tak. Jak Lesznowola?

– Pracują. Zbierają ślady. Na razie nie znaleźli nic, co by pomogło nam dorwać tego faceta, ale mamy bardzo ładne odciski opon. Jeśli go złapiemy, to będzie mocny dowód. Do tego zeznania tej dwójki. Teczka puchnie w oczach.

– Gadałaś z Zychem?

– Tak. Wiem, co tam znaleźliście. Właśnie wpuścił do środka techników. Niedługo będziemy mieli jego fotkę, która powędruje do wszystkich jednostek. Będziemy chcieli się też skontaktować z jego rodziną, bo ma żonę i...

– Dwójkę dzieci. Tak.

– Mortka?

– No?

– Myślisz, że coś im zrobił?

Potrząsnął przecząco głową, a na twarzy Suchej od razu odmalowała się ulga. Rozumiał, skąd brały się jej obawy. Tacy ludzie, kiedy czuli, że wpadli w potrzask, byli gotowi do najgorszych, najbardziej brutalnych czynów. Nawet do zamordowania swoich najbliższych.

– Nie zastaliśmy ich co prawda w domu, ale nie sądzę, żeby cokolwiek im się stało. Wiesz, tam w środku było czysto. Ale nie aż tak czysto, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Oczywiście, że rozumiała. Żadnego smrodu wybielacza, żadnych jaśniejszych plam na podłodze po zwiniętych i wywiezionych dywanach, żadnych resztek w kominku czy w ogrodzie po spalonych szmatach.

– Mógł ich gdzieś wywieźć.

– Kiedy? – zapytał Mortka i zaraz zaczął tłumaczyć, gestykulując energicznie: – Strzelał do Fatimy, spanikował i uciekł. Przemyślał sprawę. Pojechał po tę drugą dziewczynę, wywiózł ją do Lesznowoli, zastrzelił, ukrył ciało i odjechał. Fizycznie brakuje mu czasu na zabicie trzech osób i wywiezienie ciał gdzieś, gdzie byśmy ich nie znaleźli. Nie. Moim zdaniem wyjechali. To ma najwięcej sensu, bo taki jest jego sposób działania. Czeka, aż żona z dziećmi wyjadą, i wtedy sprowadza dziewczyny do domu. Albo je zabija, albo wypuszcza. Bo chodzi o to, żeby zdobyć ich zaufanie. Nie może zabijać każdej, która wsiada do jego samochodu.

– Tak. Pewnie masz rację – stwierdziła Sucha. – Tyle że i tak musimy ich znaleźć.

– Oczywiście. Ale jest coś ważniejszego, czym powinnaś się zająć.

– Co takiego?

– Wiesz, że to się nie skończy na tej jednej dziewczynie? – zapytał.

Sucha mimowolnie się wzdrygnęła. Zerknęła za okno gabinetu, jakby spodziewała się, że ulicą właśnie będzie przejeżdżał biały land rover.

– Mamy mało ludzi, a to jest ponad dwumilionowe miasto – powiedziała po chwili. – Wiesz, ilu tutaj jest burdeli? Domówek? Nie obsadzimy ich wszystkich.

– I nie musicie. Ten facet nie chodzi do burdeli, więc możecie je sobie odpuścić. Chociaż dobrze by było, żeby ktoś, kto zajmuje się sutenerstwem, wykonał kilka telefonów. Na pewno macie kontakty, a kontakty mają swoje kontakty. Ostrzeżenie dotrze do odpowiednich ludzi.

Sucha przez chwilę zastanawiała się nad tym, co usłyszała. Lekko pobladła, przerażona wizją mężczyzny, który wchodzi do jednego z warszawskich burdeli i zaczyna po prostu strzelać do znajdujących się tam kobiet oraz ich klientów. Ile byłoby ofiar? Kilka? Kilkanaście? Czy znalazłby się tam ktokolwiek, kto by go powstrzymał, czy facet po prostu wystrzelałby całą amunicję, wyszedł stamtąd spokojnie, a po uzupełnieniu magazynka pojechał do kolejnego przybytku?

– Domówki?

Mortka wzruszył ramionami.

– Tutaj nic nie poradzicie. Ale jeśli by to ode mnie zależało, zaprzęgnąłbym chłopaków od cyberprzestępczości. Niech złączą na te wszystkie portale z ogłoszeniami towarzyskimi i wysyłają mejle z ostrzeżeniami. Dziewczyny mogą sobie zrobić kilka godzin przerwy, nawet dzień czy dwa, dopóki go nie złapiemy.

Kąćki ust Suchej uniosły się lekko.

– Chłopaki będą mogli na legalu wchodzić na portale z gołymi babami. Będą zachwyceni.

– Sama widzisz. Pozostaje ostatnia rzecz: dziewczyny, które pracują na ulicy. Myślę, że one są teraz najbardziej zagrożone. Dla niego to najmniejsze ryzyko. Po prostu podjeżdża, zabiera jedną i wiezie ją w ustronne miejsce. Kto wie, ile będzie w stanie zrobić takich kursów dzisiejszej nocy.

– Czyli co powinnam według ciebie zrobić?

– Poczekać na zdjęcie, a potem wysłać patrole wszędzie tam, gdzie wiecie, że stoją dziewczyny. Niech policjanci łążą od jednej dziwki do drugiej, pokazują jej fotkę i mówią, żeby trzymały się od tego faceta

z daleka, a najlepiej niech do nas zadzwonią, kiedy tylko pojawi się w okolicy.

Sucha przetarła zmęczone oczy. Sięgnęła po kubek, który stał na biurku, spróbowała się napić i skrzywiła się, kiedy dotarło do niej, że jest pusty.

– Tylko że wtedy nigdy go nie złapiemy – powiedziała po chwili namysłu, wodząc palcami wzdłuż ceramicznego naczynia.

– Słucham?

– Facet jest ostrożny. Jeśli nie był wcześniej, to teraz już jest. Zobaczy patrole policji i od razu da nogę. Nie złapiemy go tak. Albo gdzieś się przyczai, albo spierdoli do innego miasta. Cholera, może już pojechał S8 do Katowic. Tam też są przecież dziwki.

Mortka zdziwił się, że sam wcześniej na to nie wpadł, jednak ten scenariusz pomimo wszystko wydał mu się mało prawdopodobny. Facet przecież starannie planował swoje działania, a w jego domu nie było niczego, co sugerowałoby, że zamierzał opuścić miasto.

– Wątpię – odparł.

– Ja też. Ale nie chcę, żeby nam się wymknął. Nie będziemy nikogo ostrzegali.

– Zostawisz po prostu te dziewczyny?

– Nie bądź głupi! Założymy obserwację.

– Masz mało ludzi!

– Słucham?

– Sama powiedziałaś, że masz mało ludzi! Od początku wieczora to powtarzasz, dlatego jeżdżę z Zychem po całej Warszawie! A sam pigalak to przecież nie jest jedno miejsce, tylko połowa Śródmieścia! Dziewczyny krążą koło Marriotta, Nowogrodzką, Wspólną, Poznańską. Od Emilii Plater do Marszałkowskiej!

– Wiem, co robię!

– Nie jesteś w stanie upilnować tego całego terenu!

– Kurwa mać, Mortka! – wrzasnęła Sucha i uderzyła kubkiem o biurko. – Skończyły się czasy, kiedy mną rządziłeś! Ja mam wyższy stopień, wyższe stanowisko! Ja tutaj dowodzę! I nie było cię tu przez te wszystkie lata! Nie wiesz, co udało mi się osiągnąć. Nie wiesz, ilu skurwieli wsadziłam za kratki, kiedy ty pierdziałeś w stołek na ciepłutkiej posadce w Hadze! Dlatego przestań podważać moje kompetencje!

– Rzykujesz życie tych dziewczyn – stwierdził.

– Nie, Mortka. Ja po prostu chcę złapać tego drania – powiedziała Sucha. Potem jej wzrok powędrował w stronę zawieszonoego na ścianie zegara. – Możemy kontynuować tę fascynującą dyskusję na temat moich metod śledczych albo dasz mi wykonać jeszcze dwa telefony i wykorzystamy zaoszczędzony czas, żeby porozmawiać z Guntherem. Twój wybór, Kuba.

– To nie fair, Sucha.

– Dla ciebie podinspektor Suchecka. Pański wybór, panie komisarzu.

Mortka dostrzegł w jej oczach coś jakby błysk rozbawienia. Zastanawiał się, czy zawsze taka była, a on po prostu tego nie dostrzegał – gotowa postawić na swoim, nawet jeśli graniczyło to z okrucieństwem i bezwzględnością. „Twój wybór”, dobre sobie... Przecież tak naprawdę żadnego wyboru nie miał.

– Chodźmy porozmawiać z Guntherem – powiedział, słysząc w swoim głosie coś jakby dźwięk łamanego kręgosłupa.



Gunther siedział na krześle ze zwieszoną głową, kiedy Sucha weszła do pokoju przesłuchań. Starła się nie okazywać, jak bardzo jest zmęczona i jak wiele kosztuje ją dzisiejsza noc. Wolałaby siedzieć teraz w swoim gabinecie, mieć w zasięgu ręki komórkę oraz komputer i na bieżąco śledzić polowanie na Cieleckiego, chociaż przez pewien czas i tak nie będzie nikomu do niczego potrzebna. Maszyna została puszczone w ruch i każdy wiedział, co należy zrobić. O ile nie wydarzy się nic naprawdę niespodziewanego, mogła być spokojna, a jeśli się wydarzy, to przyjdzie po nią Wodecki. Wszystko było pod kontrolą.

Zerknęła na swoje odbicie w lustrze weneckim. Kilka kosmyków włosów uciekło jej z końskiego ogona. Założyła je szybko za uszy. Oczy miała podkrążone, cerę bladszą niż zwykle. Napięcie ostatnich godzin dało o sobie znać, szczególnie że nie mogła go wyładować. Marzyła teraz, żeby przez kwadrans, góra dwadzieścia minut po prostu powalić w worek.

Po drugiej stronie lustra stał Mortka. Chociaż nie mogła go zobaczyć, czuła na sobie jego ciężkie spojrzenie. Domyślała się, że jest na nią wściekły. Potrafiła zrozumieć jego argumenty i wiedziała, jakie ryzyko podejmuje, ale jej priorytetem było złapanie Cieleckiego. Im dłużej przebywał na wolności, tym bardziej nieprzewidywalny się stawał. Mortka nie rozumiał jednego – pigalak był naturalnym miejscem polowania dla tego człowieka i jeśli mu je odbiorą, to wcale nie przestanie zabijać, po prostu poszuka innego. Suchoj przychodziły do głowy najróżniejsze scenariusze, także takie, w których ten zdesperowany mężczyzna postanowi wyprzedzić ruch policji, przyjdzie na jakiś komisariat i zacznie strzelać do znajdujących się tam funkcjonariuszy. Nie, nie mogła na to pozwolić. Czuła, że wbrew pozorom to oni mają przewagę nad Cieleckim, a nie on

nad nimi. Chciała to wykorzystać. Mortka w końcu to zrozumie, a jeśli nie, jego strata.

Zajęła miejsce naprzeciwko Gunthera. Nie poruszył się. Sucha cierpliwie czekała, aż w końcu da znać, że ją zauważył. Tak, spieszyło jej się, ale jeśli chciał grać w te gierki, ona też mogła. Założyła jedną rękę na drugą, oparła się wygodnie i pozwoliła sobie nawet na lekko kpiący uśmieszek, by dotarło do niego, że przejrzała jego grę.

Dopiero gdy zachrapał, zrozumiała, że wcale się z nią nie bawił, tylko po prostu zasnął. Nachyliła się w jego stronę, przekrzywiając głowę tak, że teraz właściwie dotykała nią blatu stołu. Mężczyzna miał zamknięte oczy. Jego klatka piersiowa unosiła w równomiernym tempie, a z ust wylatywała niewielka strużka śliny. Sucha pomyślała, że w sumie również mogłaby sobie teraz uciąć drzemkę. Dobrze by jej to zrobiło. Może nawet lepiej niż walenie w worek.

– Panie Gunther – powiedziała.

Zero reakcji.

– Panie Gunther! – powtórzyła głośniej.

Mężczyzna poruszył się, wyprostował gwałtownie. Głowa odgięła mu się w tył, po czym znowu opadła na klatkę piersiową, a z jego gardła wydobyło się kolejne głośne chrapnięcie. Sucha pomyślała, że nie ma na to czasu. Chwyciła go za ramię i potrząsnęła nim mocno kilka razy. Ten na wpół chrząknął, na wpół krzyknął, wziął wielki haust powietrza, jakby się dusił, a potem rozejrzał się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Z sekundy na sekundę docierało do niego, co się dzieje i gdzie się znajduje. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Zasnąłem – odezwał się po chwili, pociągając dwa razy nosem.

– Zgadza się – przyznała Sucha.

– To za długo trwa – poskarżył się.

– Znowu, ma pan rację.

Prychnął lekceważąco i machnął ręką, dając do zrozumienia, że jej słowa nic dla niego nie znaczą.

– Napiłbym się kawy – powiedział.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. I nie, nie chodzi o to, że bawię się w złego policjanta. Mamy teraz urwanie głowy, bardzo napiętą sytuację. Nawet nie mam kogo prosić, żeby ją panu przygotował.

Gunther uniósł wysoko brwi.

– Naprawdę? Urwanie głowy?

– Dużo się dzieje.

– Trudno mi w to uwierzyć. Bo siedzę tutaj już sam nie wiem, ile godzin. I wie pani co? Nic nie słyszę. Żadnych podniesionych głosów, żadnych kroków na korytarzu, żadnego rozgardiaszu. Jest cicho jak na cmentarzu. Nawet udało mi się trochę zdrzemnąć – dodał i zakończył swoją wypowiedź krótkim śmiechem.

– Musi mi pan uwierzyć na słowo.

Oparł łokcie o stół i podrapał się po czubku głowy.

– Niech będzie, że pani wierzę – oznajmił wielkodusznie. – O czym tym razem chciała pani ze mną porozmawiać?

– O pańskim synu.

Gunther cały zeszywniał. Całe rozbawienie, coś, co może w innych okolicznościach można byłoby nawet określić mianem dobrego humoru, natychmiast z niego uleciało.

– Po co?

– Sprawdzamy różne wątki.

– Łukasz nie miał z tym nic wspólnego.

– Pan pozwoli, że my to ocenimy.

Palce Gunthera zacisnęły się w pięść.

– On już kurwa nie żył, kiedy Kot zginął! – wrzasnął i uderzył w blat tak mocno, że stolik aż zadrżał. Gdyby nie był na stałe przytwierdzony do podłogi, być może nawet by podskoczył. – Dajcie mojemu synowi spokój!

Sucha próbowała ocenić, na ile ten wybuch wściekłości jest szczery, nie dostrzegła jednak niczego, co sugerowałoby, że Gunther udaje. Naprawdę

dotknęła go do żywego. Czuła się tak, jakby wsadziła mu palec w ledwo zabliznioną ranę. A to jeszcze nie był koniec. Zaraz miała zacząć nim kręcić.

– Popełnił samobójstwo, tak? – zapytała.

Zazgrzytał zębami.

– Tak.

– W jaki sposób?

– Po co pani o to pyta?

– Bo nie znam wszystkich szczegółów. Opowie mi pan?

Gunther przez długą chwilę przypatrywał jej się spod zmrużonych powiek. Wzdłuż krzyża przeszedł ją nieprzyjemny dreszcz. Czy gdyby teraz ten mężczyzna się na nią rzucił, dałaby mu radę? W normalnej walce – tak. Pomimo upływu lat ciągle była w formie, a mięśnie, chociaż niewielkie, miała mocne. Na siłowni wielokrotnie widziała zdumienie na twarzach różnych pakerów, kiedy podnosiła w martwym ciągu sto dwadzieścia kilogramów. Do tego była szybka, potrafiła uderzyć, kopnąć, a nawet i ugryźć, jeśli zachodziła taka potrzeba. Ale gdyby teraz na nią skoczył, gdyby przygniótł ją całym ciężarem swojego ciała, zacisnął dłonie na jej szyi i zaczął dusić, czy zdążyłaby zareagować? Czy Mortka przyszedłby z pomocą, zanim zgasłoby jej światło przed oczami? Chciała wierzyć, że tak. Chciała wierzyć, że coś zrobi, a nie będzie się tylko beczynn timer przyglądać zza drugiej strony lustra. A po wszystkim bezradnie rozłoży ręce i powie, że akurat w tym momencie poszedł do toalety.

– Wskoczył przez okno. To była śmierć na miejscu.

– Zostawił list samobójczy?

Zawahanie. Krócej niż sekunda.

– Nie.

– Miał wcześniej jakieś problemy psychiczne?

– Przecież pani wie.

– Przecenia mnie pan.

Westchnął.

– Kiedy był w liceum, w drugiej klasie, zaprowadziliśmy go do psychiatry. Nie radził sobie z nauką. Basia, moja żona, znalazła go w pokoju. Wokół miał porozrzucone podręczniki i zeszyty, był zupełnie nagi, w dłoni trzymał nóż i płakał.

– Chciał się zabić?

– Psychiatra twierdził, że raczej nie.

– Krzyk o pomoc?

– W pewnym sensie tak. Ale to było trochę bardziej skomplikowane. Pani wybaczy, nie wszystko dokładnie pamiętam.

– Chodzi o pańskiego syna.

– I?

– Nie mam dzieci, wydaje mi się jednak, że gdyby mnie coś takiego spotkało, to pamiętałabym każde słowo lekarza.

– Ale pani nie ma.

– Słucham?

– Dzieci. Nie ma pani dzieci.

To miał być przytyk. Chciał jej dać do zrozumienia, że w tym wieku powinna mieć już wokół siebie gromadkę. Nie dała się sprowokować.

– Jak się skończyła tamta historia? – zapytała.

– Dostał leki i przez pewien czas chodził na terapię. Musieliśmy zmienić szkołę. Na gorszą.

– Odebrał pan to jako porażkę?

– To, że mój syn zmienił prestiżowe liceum, które było przepustką do dalszej kariery, na szkołę, gdzie każdy dzieciak dostawał zaliczenie, jeśli tylko pojawiał się na lekcjach? Tak, odebrałem to jako porażkę. Jego i swoją. Wiedział o tym, ale nie poruszaliśmy tego tematu od lat. Co było, to było.

– A jak zachowywał się później?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Różnie. To był wrażliwy chłopiec, może zbyt wrażliwy. Miał swoje wahania nastroju. Ale nie działo się już nic równie dramatycznego, co wtedy.

– Dopóki się nie zabił? – rzuciła to pytanie pozornie obojętnym tonem. Jakby po prostu chciała sprecyzować jeden drobny szczegół. Była ciekawa, jak on zareaguje. Rysy jego twarzy stężały, oczy zalśniły, jednak nie potrafiła stwierdzić, czy ze złości, czy od zbierających się łez.

– Tak – powiedział głucho. – Dopóki się nie zabił.

– Dlaczego to zrobił?

– Nie wiem.

– A jak pan myśli?

Niespodziewanie chwycił ją za rękę. W pierwszym odruchu chciała się wyswobodzić, ale ją przytrzymał. Nie szamotała się, bo nie widziała w jego zachowaniu agresji. On miał po prostu potrzebę, żeby kogoś dotknąć, chociaż sam sobie tego nie uświadamiał, bo kiedy nagle dotarło do niego, co właśnie zrobił, puścił natychmiast, a na jego policzkach pojawiły się rumieńce wstydu.

– Przepraszam – wymamrotał, uciekając wzrokiem w bok.

– Jak pan myśli, dlaczego Łukasz się zabił? – powtórzyła pytanie, nie pozwalając na to, żeby incydent sprzed chwili wytrącił ją z równowagi.

– Nie wiem.

– Ale musi pan mieć jakąś teorię, prawda?

– Tysiące – odpowiedział. – Każdego dnia inną. Każdego dnia? Każdej godziny, minuty, sekundy! Kiedy dzieje się coś takiego, nie jest pani w stanie myśleć o niczym innym. Nieustannie szuka pani przyczyny, analizuje każde wydarzenie ze swojego życia, każdą rozmowę, którą odbyliście, każdy gest, a potem zadaje sobie pytanie: czy to było to? Czy to był właśnie ten moment, który przegapiłem? Czy to była ta kropla, która przelała czarę goryczy? Czy gdybym tu się powstrzymał, a tam powiedział coś innego, to mój syn ciągle by żył? Ale wie pani, jaka jest prawda?

– Jaka?

Przełknął z trudem ślinę. Widziała, że ma kłopoty z oddychaniem. Jego dłonie drżały, jakby zupełnie stracił nad nimi panowanie.

– Że nie wiadomo – wydusił z siebie wreszcie. – Nikt nigdy nie wie, dlaczego jego dziecko postanawia odejść z tego świata. Dlaczego popełnia samobójstwo, zamiast przyjść do ciebie i poprosić o pomoc. Przecież tam byłem! Siedziałem w pokoju obok! Mógł do mnie przyjść! Mógł mi coś powiedzieć! Ale zamiast tego zdecydował się wyskoczyć. Jakby to było łatwiejsze niż przejście tych kilku metrów korytarzem i zapukanie do drzwi mojego gabinetu...

Przerwał. Jego wzrok powędrował w dół. Gunther zobaczył swoje ręce i to, co się z nimi dzieje. Natychmiast chwycił jedną dłoń w drugą i schował je pod stół.

– A może pukał... – dodał nagle.

– Nie wie pan?

Potrząsnął głową.

– Pracuję w zatyczkach – wyszeptał. – Zacząłem, kiedy Łukasz był mały, i jakoś tak mi już zostało. Odcinam się w ten sposób od hałasu. Łatwiej mi się wtedy skupić, zebrać myśli. Tamtego dnia również je włożyłem. Kupiłem sobie takie specjalne, nowoczesne. Niezwykle skuteczne. Tak się przynajmniej chwalili na opakowaniu. I faktycznie. – Uśmiechnął się smutno. – Świetnie działają. Dlatego mówię, że być może do mnie pukał. Być może przyszedł, żeby prosić o pomoc.

Wziął głęboki wdech, żeby nabrać siły na wypowiedzenie tych ostatnich kilku słów.

– A ja mu nie otworzyłem.

Mortka stał w otwartych drzwiach, wpatrując się bez słowa w swojego syna. W głowie miał pustkę. Zaskoczyło go, że Andrzej jest taki duży. Syn patrzył na ojca z góry, twarz miał delikatną, ale był szeroki w barach i umięśniony. Kiedy się taki stał? Był już taki we wrześniu, kiedy widzieli się ostatni raz? Musiał być. Nikt nie buduje masy mięśniowej tak szybko. Dlaczego w takim razie Mortka nie zwrócił wtedy na to uwagi?

Andrzej po kilku sekundach przedłużającej się ciszy po prostu wszedł do środka. Mortka usunął się w bok w ostatniej chwili, bo inaczej zostałby potrącony ramieniem.

– Gdzie babcia? – zapytał Andrzej, odkładając plecak w wiatrołapie i zdejmując buty. Rzucił je od razu w bok, pod szafkę.

– Śpi jeszcze – powiedział Mortka, zamykając za nim drzwi.

– Aha. To dobrze.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz?

Andrzej powiesił zieloną kurtkę o militarnym sznycie na wieszaku i spojrzał na ojca tak, jakby ten zaczął właśnie mówić językami.

– A dlaczego ty nie powiedziałaś, że przyjeżdżasz?

Jego głos był zaczepny i agresywny.

– Do własnego ojca? Opiekować się własną matką? To chyba oczywiste, że przyjadę.

– Jasne – mruknął Andrzej.

– Co to miało znaczyć?

– To, że... – zaczął chłopak, podnosząc plecak z podłogi i zarzucając go sobie na ramię – ...przez ostatnie dni siedział tutaj Michał. Wrócił wczoraj rano do Warszawy, dzisiaj ja przyjechałem, żeby go zmienić. Musieliście się minąć, bo ani słowem nie wspominał, że tutaj jesteś.



Michał tutaj był? To by tłumaczyło, dlaczego w domu jest taki porządek i skąd te wszystkie zakupy. Zakładał, że mama sama to zrobiła, ale ona po prostu miała pomoc. Z jednej strony czuł dumę z synów – nie byli z dziadkami specjalnie blisko, na pewno nie tak blisko, jak z rodzicami Oli, a jednak przyjechali i zrobili, co trzeba. Z drugiej strony irytacja wbijała się w jego serce setkami ołowianych kolców. Rozwścieczyło go to, że nikt mu nic nie powiedział.

– Zrobiłeś test przed przyjazdem? – zapytał.

– Na HIV? – rzucił z przekąsem Andrzej.

Zabolało. Bo miało zboleć, uświadomił sobie Mortka.

– Na covid. Żeby nie przywieźć tego syfa babci.

Andrzej się zawahał.

– Zrobiłem – odpowiedział. – Przed wyjazdem. Taki domowy.

Kłamał i było to oczywiste, ale co Mortka mógł z tym zrobić? Zarzucić mu powiedzenie nieprawdy? To by tylko pogorszyło i tak napiętą sytuację.

– Nie masz temperatury?

– Nie.

– Smak i węch?

– Znakomity – odparł Andrzej. – Naprawdę myślisz, że przyjechałbym do babci, gdybym czuł, że coś jest ze mną nie tak?

– Nie. Myślę, że nie.

– To po co pytałeś?

– Na wszelki wypadek.

– No to na wszelki wypadek się dowiedziałeś. Chciałbyś o coś jeszcze spytać?

– Nie.

– I dobrze.

Poszedł z plecakiem w stronę schodów. Zamierzał wejść na górę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie i ruszył do kuchni. Tam położył plecak na krześle i zaczął buszować w lodówce oraz w szafkach.

– Usiądź. Pewnie jesteś zmęczony po drodze – odezwał się Mortka. – Zrobię ci śniadanie.

Andrzej parsknął pod nosem.

– Co znowu? – zapytał komisarz.

– Nic. Próbowałem sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni zrobiłeś nam śniadanie... ojciec.

– Robiłem wam śniadania, kiedy mieszkaliśmy razem. Pamiętasz? Przed rozwodem.

– A! Te paskudne kanapki, które wrzucałeś do lodówki przed wyjściem do pracy? Pamiętam. Mama je zawsze wyrzucała i robiła nam coś innego. Coś, wiesz... smacznego, co dało się jeść – ciągnął, wyciągając chleb z pojemnika. Odkroił sobie dwie duże kromki. – Mama prosiła, żeby ci nie mówić, bo ci będzie przykro.

– Na wakacjach, jak gdzieś razem jeździliśmy, też przygotowywałem śniadania – powiedział Mortka. – I obiady. Wtedy jedliście.

– Bo nie mieliśmy jak wyrzucić, żebyś się nie zorientował.

– Jak mnie odwiedziliście w Holandii, też wam przygotowywałem żarcie. Nie narzekaliście.

– Tak. Chcieliśmy być mili.

Andrzej posmarował kromki masłem. Na jednej położył wędlinę, na drugiej ser. Dodał do tego plaster pomidora, drobno krojoną cebulę i po liściu sałaty, a całość zwieńczył majonezem i musztardą. Przez chwilę przyglądał się kanapkom, jakby to były dzieła sztuki, rozważając, czy posypać je jeszcze pieprzem. Faktycznie, wyglądały inaczej niż jedzenie, które przygotowywał im Mortka. On im dawał po dwie kromki, jedną z szynką, drugą z dżemem. Wydawało mu się, że wystarczy. Przecież ani Michał, ani Andrzej się nie skarżyli. Bo Ola ich poprosiła, przypomniał sobie. I teraz po latach to wróciło, żeby kopnąć go w dupę pretensjami. Po co to zrobiła? Dlaczego nie mogła mu powiedzieć, że nie jedzą tego, co dla nich zrobił?

Andrzej podszedł do ekspresu, dolał wody do zbiornika, sprawdził, czy w młynku znajdują się ziarna, i nastawił kawę. Przez chwilę w kuchni zapanował nieprzyjemny hałas.

– Dlaczego to robisz? – zapytał Mortka.

– Kawę? Bo wstałem kurewsko wcześniej, żeby zdążyć na autobus, i kleją mi się oczy. Potrzebuję kofeinowego kopa – powiedział i uśmiechnął się, jakby był z siebie ogromnie zadowolony.

– Dlaczego tak się zachowujesz?

– Jak?

Mortka zagryzł wargę. Andrzej go prowokował. Do tego robił to w pełni świadomie, a w jego oczach pojawiał się błysk satysfakcji, ilekroć ojciec zbliżał się do miejsca, w którym mógł stracić nad sobą kontrolę. Mortka nie wiedział, co się dzieje. Nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji i nie wiedział, jak się zachować. Nastoletni bunt synów znał głównie z opowieści Aleksandry, ale kiedy byli u niego, zachowywali się bardzo w porządku. Mortka wtedy nie rozumiał, na co narzeka była żona. Teraz powoli do niego docierało, że być może po prostu spędzał z nimi za mało czasu. Nie pokazywali mu pełni swoich możliwości. Teraz jednak nie stał przed nim nastolatek, a młody mężczyzna, który nie chciał się buntować, tylko najwyraźniej po prostu zrobić mu krzywdę.

– Daj spokój – powiedział Mortka. – Nie udawaj. Nawet się nie przywitałeś. Przy wejściu prawie mi przypierdoliłeś, a teraz jesteś po prostu złośliwy. Dlaczego?

Ekspres skończył pracować w tej samej chwili, kiedy komisarz zamknął usta. Andrzej wziął białą filiżankę z kawą i upił łyk. Długo trzymał napój w ustach. Przymknął nawet powieki, jakby rozkoszował się smakiem.

– Andrzej...

– Zapytałeś mamy, czy Michał jest normalny – odezwał się chłopak po chwili. – Bo chciałbyś mieć przynajmniej jednego normalnego syna, nie?

Mortka poczuł, jak w gardle robi mu się sucho. Lekko zakręciło mu się w głowie.

– Skąd wiesz? – zapytał.

– Bo to jest teraz ważne? Naprawdę? Skąd wiem? Nie bój się. Mama nic nie powiedziała. Słyszałem, jak rozmawialiście przez Skype’a. Nie wiedziała, że byłem wtedy w domu.

– Czyli podsłuchiwałeś.

Andrzej odstawił filiżankę na blat. Oparł się o niego, próbując przybrać lekceważącą i zrelaksowaną pozę, ale nawet pod grubą ciemną bluzą można było dostrzec, jak napinają mu się mięśnie ramion.

– Czyli tak będziemy się bawić? – zapytał. – Będiesz mnie teraz opierdalał i tłumaczył, że grzeczne dzieci nie podsłuchują, kiedy dorośli rozmawiają? Wiesz, jak wtedy, kiedy kłóciliście się z mamą, a my z Michałem po prostu chcieliśmy wiedzieć, co się dzieje.

– Nie – odparł Mortka. – Po prostu skoro podsłuchiwałeś, to dobrze wiesz, co powiedziałem. Na pewno nie to, że chcę przynajmniej jednego normalnego syna.

– Ale zapytałeś, czy Michał jest normalny.

– Tak! I przepraszam cię za to, ale, kurwa mać, powiedziałaś mi, że jesteś gejem, przez komunikator w pieprzonej grze komputerowej! Czego się spodziewałeś? Jakiej reakcji?

– A kiedy indziej miałem ci powiedzieć? Prawie cię nie ma w Polsce, bo siedzisz w tej jebanej Holandii. A zresztą, nawet jak tutaj byłeś, to i tak rzadko kiedy się widywaliśmy! Powiedz mi w takim razie, jak i kiedy miałem ci powiedzieć? Jak to załatwić? Chyba że wolałbyś nie wiedzieć, co?!

Chciał zaprzeczyć, ale zdawał sobie sprawę, że nie zrobiłby tego wystarczająco szczerze. Czy wolałby żyć w nieświadomości? Nie, tyle że jego życie stało się po prostu gorsze, od kiedy się dowiedział. Jego związek z Justine, jeśli to można było nazwać związkiem, bo przecież w Bordeaux czekał na nią mąż, balansował na granicy rozpadu. Od chwili, gdy podzielili się z nią swoimi uczuciami dotyczącymi syna, inaczej na niego patrzyła. Z Aleksandrą nie rozmawiał, tak samo jak z Andrzejem, bo skończyły się

ich wspólne sesje w *Call of Duty*. Odważył się kiedyś zadzwonić do Michała, ale rozmowa zupełnie im się nie kleiła. Chyba nie trwała nawet trzech minut.

– Później to rozwiążemy – powiedział ciężko. – Chciałbym, żebyś na razie nic nie mówił babci. Ona ma już dość zmartwień na głowie.

– Babci? Babci przecież powiedziałem wcześniej.

Mortka zmarszczył brwi.

– Wcześniej? Co to znaczy wcześniej? Przed chorobą dziadka czy... Wiedziała przede mną?

Andrzej po raz pierwszy wyglądał na zmieszanego. Z wahaniem skinął głową.

– Powiedziałeś babci przede mną?! – krzyknął Mortka.

– Tak.

– Dlaczego?! Jak?!

– Po pierwsze dlatego, że ona tutaj jest! W Polsce! I nie muszę jej wciągać do teamu w *CoDa*, żeby móc z nią normalnie porozmawiać! A po drugie...

– Co po drugie?

Andrzej wziął głębszy oddech.

– Po drugie myślałem, że to właśnie z babcią będzie najtrudniej. Wiesz, ona jest wierząca i tak dalej. Ale nie, przyjęła to bardzo spoko. Nawet jeśli sobie coś pomyślała, zachowała to dla siebie. Nikogo nie pytała, czy przynajmniej Michał jest normalny. A ja się pomyliłem. To nie z babcią było najciężej.

Mortka zagryzł zęby. Zadał wtedy jedno głupie pytanie, którego Andrzej miał nie usłyszeć, a teraz będzie nim biczowany, jakby zrobił czy powiedział nie wiadomo co. Zaklął w myślach. Ola była podobna, przypomniał sobie. Też w kłótniach potrafiła wyciągnąć sytuację sprzed miesięcy albo nawet lat, chociaż on ledwo ją pamiętał i wydawało mu się, że mieli to już dawno za sobą. Oboje, i matka, i syn, najwyraźniej odczuwali jakąś sadomasochistyczną przyjemność z wbijania tej samej

szpili w to samo miejsce. Poczł, że ma tego dość. Znosił to w wykonaniu żony, nie miał zamiaru pozwalać na to samo synowi.

– Słuchaj, kurwa... – warknął przez zaciśnięte zęby, ale zanim wyrzucił z siebie całą wściekłość, usłyszał kroki na schodach.

Mama schodziła powoli i płakała. Docierał do nich jej histeryczny szloch. Spojrzeli tylko po sobie i obaj, bez słowa, popędzili do przedpokoju.

Stała mniej więcej w połowie schodów na drżących nogach. Długie chude palce zaciskała na drewnianej poręczy. Jej włosy były w nieładzie, jakby dopiero co wstała. Po policzkach ściekały łzy, których nawet nie próbowała powstrzymać. Oczy miała czerwone i całe opuchnięte.

– Nie żyje – wyjąkała, a potem jej wzrok spadł na Mortkę całym ciężarem czarnej rozpacz. – Twój tatuś nie żyje, Kuba.

No to idzie kolejny, pomyślała Ania. Na oko miał ponad czterdzieści lat. Zarost na twarzy, podkrążone oczy, czapka nasunięta mocno na czoło. Zbliżając się do niej, rozglądał się dookoła nerwowo, jakby obawiał się, że ktoś go tutaj zobaczy. Szybko oceniła jego strój. Kurtka, niebieska, sportowa, w miarę porządna, ale znoszona i przybrudzona w kilku miejscach. Na nogach jeansy, także nienowe i chyba trochę za duże, jakby mężczyzna niedawno schudł. Wreszcie buty, ciemne i brzydkie, z taniej imitacji skóry. Takie, które rozlecą się w przeciągu paru miesięcy i ich jedyną zaletą jest cena.

– Dobry wieczór – powiedział, kiedy był już tuż-tuż.

Poczuła zapach alkoholu i papierosów wydobywający się z jego ust. Nie był pijany, a przynajmniej nie bardzo, ale pewno walnął sobie jedną małpkę czy dwie, zanim zdobył się na odwagę, żeby do niej podejść. Przypomniała sobie, że już go dzisiaj widziała. Siedział na skwerku i przypatrywał jej się ukradkiem, jakby naprawdę liczył, że ona tego nie zauważy. Ruda Jola opowiadała, że pojawiają się tutaj tacy „obserwatorzy” – trzymają się z boku, chowają się po bramach albo nawet gdzieś na bezczela zajmują miejsce vis-à-vis i walą sobie konia pod kurtką czy rozłożoną gazetą. Mówiła, że tacy faceci są niegroźni, ale dziewczyny i tak ich gonią. Jeśli chcą sobie popatrzeć, żeby zwalić, to i tak powinni płacić. To w końcu nie hipermarket, żeby w nieskończoność towar oglądać.

– Jednak gonimy ich tylko, jeśli jesteśmy we dwie – zastrzegła od razu Ruda Jola. – Niegroźny, bo niegroźny, ale nigdy nie wiadomo, co takiemu wpadnie do głowy.

Ania uznała więc, że ten facet jest jednym z obserwatorów. Upewniła się w tym przecuciu, kiedy zniknął. Popatrzył sobie, skończył w spodnie i poszedł do domu zmienić majtki. Zezłościła się wtedy na niego strasznie.

Pomyślała, że gdyby jeszcze raz go zobaczyła, to naplułaby mu w twarz. A teraz wrócił, z miną przestraszonego psa. Chyba jednak był po prostu facetem, który sam nie wie, czego chce. Albo brakuje mu odwagi.

– Chciałem się dowiedzieć... – zaczął i zaciął się, jakby coś go chwyciło za gardło.

Znowu ta woń. Pomyślała, że problemem nie będzie tylko zapach z jego ust. Facet pewnie palił tyle, że tytoniowy smród przyłgnał już do jego ciała jak druga skóra. Na samą myśl, że mógłby się na niej położyć, zemdliło ją.

– Czekam na chłopaka – powiedziała, zanim tamten zdążył zebrać myśli.

– Aha – odparł po prostu, a na jego twarzy odmalował się zawód. Przez chwilę przestępował z nogi na nogę, jakby chciał coś dodać, ale wreszcie uklonił się i odszedł ze zwieszoną głową.

Patrzyła za nim z uczuciem niewiarygodnej satysfakcji. Po raz pierwszy od bardzo dawna, być może nawet od zawsze, to ona decydowała. Przy Darku czy Wojtku nigdy nie czuła, że ma wybór. Teraz to do niej docierało. Niby nic jej nie robili, ale kiedy nie chciała się kochać, zawsze krzywo na nią patrzyli, obrażali się i mówili coś przykrego. I w końcu ulegała. Nawet jak miała okres, to przynajmniej robiła im dobrze ręką lub ustami. Bo inaczej musiałyby się zmierzyć z ich zimną złością. Bo jeśli nie ona, znajdą sobie inną – to nigdy nie padło wprost, ale tak się właśnie przy nich czuła. A tamci dwaj... Tamci dwaj wzięli sobie, co chcieli, bez pytania. Zostawał tylko Szymon, ale z Szymonem oboje byli młodzi, nie do końca wiedzieli, co robili. Nie chciała tego analizować. Bała się, że zniszczy sobie w ten sposób miłe wspomnienia. W każdym razie, wtedy nie mogła nic, a teraz mogła wszystko. Tak, ci wszyscy faceci mogli ją sobie kupić, ale pod warunkiem, że im na to pozwoli.

Uśmiechnęła się szeroko. Zobaczyła swoje odbicie w sklepowej szybie. Wyglądała inaczej niż jeszcze kilka godzin temu. Stała wyprostowana, zniknął strach w jej oczach i zastąpiła go pewność siebie. Chociaż odbicie było lekko rozmazane, Ania pomyślała, że po raz pierwszy od dawna sama się sobie podoba.



Zerknęła w bok, gdzie zgodnie z obietnicą stała Ruda Jola. Pomachała jej. Dobrze, że ją spotkała, że porozmawiały i że Jola wytłumaczyła, co i jak. A potem zachichotała, kiedy przypomniała sobie swój niedawny strach. Bo po rozmowie z Jolą zaczęło jej się kręcić w głowie. Od razu pomyślała o tym papierosie, który od niej dostała. Przestraszyła się, że kobieta czegoś tam dosypała – taką pigułkę gwałtu, tylko nie do picia, a do spalania – i że zaraz straci przytomność, a wtedy z jakiejś bramy wyjdą jej wspólnicy, zapakują ją do vana, zwiążą, a potem sprzedadzą do burdelu gdzieś w Berlinie czy innej Holandii. Wkrótce jednak zawroty głowy minęły, a ona poczuła się jak idiotka. Bo nie pomyślała nawet, że są wynikiem działania nikotyny i stresu.

– Kolejnemu kazałaś spierdalać – na wpół zapytała, na wpół stwierdziła oczywistą rzecz Ruda Jola, gdy podeszła do Ani.

– Nie podobał mi się. I śmierdział. Nienawidzę, jak faceci śmierdzą.

Dlaczego się tłumaczyła? Przecież sama od niej usłyszała, że to jej decyzja i nikomu nic do tego, a jednak odczuwała przymus, by wyjaśnić swoje postępowanie. Nie, więcej – chciała zobaczyć w jej oczach aprobatę. Chciała usłyszeć pochwałę.

– No rzeczywiście – przyznała Ruda Jola. – Tylko wiesz co...

– Co?

Kobieta spojrzała jej głęboko w oczy.

– W końcu jakiegoś faceta będziesz musiała wziąć.

I Ania wiedziała, że Ruda Jola ma rację. Było już późno, pojawiała się coraz mniej potencjalnych klientów. Wkrótce na ulicy zostaną tylko one. I co wtedy? Wróci do domu, pojawi się następnego dnia w pracy niewyspana, bez kasy, ze świadomością, że zmarnowała całą noc, bawiąc się w prostytutkę. Co z nią było nie tak?! Przyszła tutaj przecież nie dla siebie, ale dla Rafałka. Po to, żeby zarobić, spłacić długi, wysłać mamie pieniądze i prezenty dla synka. Tamten facet przecież nie był taki zły. Mogła po prostu zamknąć oczy, płytko oddychać albo kazać mu się zerznąć od tyłu w taki sposób, żeby prawie jej nie dotykał. Zamiast tego spławiła go.

– Tak, masz rację – powiedziała głucho. – W końcu będę musiała jakiegoś wziąć.

I kiedy to sobie uświadomiła, od razu opuściła ją cała odwaga i pewność siebie. Znów była tylko przestraszoną dziewczyną, która znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Modliła się, żeby Ruda Jola już sobie poszła. Żeby zostawiła ją samą. Bo nie była w stanie powstrzymać płaczu.

Sucha zaprowadziła Mortkę do swojego gabinetu, uruchomiła komputer i weszła na służbową pocztę. W najnowszym mejlu znajdował się link. Kliknęła. Komputer zapytał, czy ma uruchomić aplikację Zoom. Potwierdziła. Komisarz przez cały ten czas stał za nią.

– Jeszcze jej nie ma – powiedziała naczelniczka, kiedy na ekranie wyświetliła się tylko ich dwójka. Drugi ekran był ciemny. – Też często pracujecie na Zoomie w tym Europolu?

– Na innych programach, ale tak. I pracowaliśmy na długo przed pandemią – wyjaśnił Mortka. – Wiesz, łatwiej zorganizować telekonferencję, niż wsadzać ludzi z połowy kontynentu do samolotu do Hagi.

– Czyli dla was niewiele się zmieniło.

– Niewiele – potwierdził, chociaż nie była to do końca prawda. Tak, telekonferencje stanowiły jedno z ich podstawowych narzędzi pracy na długo przed pandemią, ale równie często organizowali spotkania na miejscu. Od czasu covidu oczywiście to się zmieniło. Dopiero teraz powoli wracali do tego, co było kiedyś. Nie miał jednak ochoty tłumaczyć jej tego wszystkiego. Nie po tym, co się wydarzyło.

Ekran zamigotał. Najpierw pojawiła się na nim biała ściana i kawałek ciemnej kanapy. Sekundę później zasiadła na niej kobieta, blondynka o pociągłej twarzy i ostrych rysach. Teraz nie ukrywała się za okularami przeciwsłonecznymi. Jasnobrązowe oczy miała zapuchnięte od niedawnego płaczu, co starała się ukryć pod prostym makijażem. Włosy zczesła do tyłu, w koński ogon. Na różową koszulkę od pidżamy narzuciła szarą bluzę dresową.

Sucha zerknęła na Mortkę, a ten skinął głową. Tak, to była ta sama kobieta, którą widział na zdjęciach w tamtym domu.

– Dobry wieczór pani. Podinspektor Anna Suchecka, Komenda Stołeczna Policji, wydział do walki z Terrorem Kryminalnym i Zabójstw. Rozumiem, że pani Klara Cielecka? – zapytała.

– Tak, to ja. Zostałam zresztą wylegitymowana. Czy ktoś mi wyjaśni, o co chodzi? – Jej głos drżał od tłumionego niepokoju.

– Chcieliśmy porozmawiać o pani mężu, Tomaszu Cieleckim.

– O Tomku? Coś mu się stało? Miał wypadek?! Proszę mi powiedzieć!

Sucha poczekała chwilę, aż kobieta się uspokoi. Przesłuchiwanie Klary Cieleckiej za pomocą Zooma nie było najlepszym rozwiązaniem, szybko jednak ustalili, że przebywa wraz z dziećmi u swoich rodziców pod Łomżą, a sprowadzenie jej do Warszawy zajęłoby zbyt wiele czasu, podobnie wytłumaczenie miejscowym policjantom, co się właściwie dzieje, jak pilna jest to sprawa i jakie pytania powinni zadać. Sucha zdecydowała się więc na telekonferencję, z całą świadomością jej wad.

– Proszę pani – zaczęła po chwili. – W tym momencie nie mogę ujawnić szczegółów. Natomiast z tego, co wiem, pani mąż nie uległ wypadkowi. Jest cały i zdrowy.

Na twarzy kobiety odmalowała się natychmiastowa ulga, która zaraz została zastąpiona przez obawę i podejrzliwość.

– To dlaczego pani w takim razie do mnie dzwoni? Dlaczego rozmawiamy w środku nocy? Co się dzieje? Mam prawo wiedzieć!

– Ma pani prawo wiedzieć – potwierdziła Sucha. – I kiedy przyjdzie czas, wszystko pani powiemy i wszystko wyjaśnimy. Ale teraz, dla dobra prowadzonych działań, nie mogę tego zrobić.

– Ale ja mam prawo!

– Nalegam jednak, żeby pani odpowiedziała na moje pytania.

– Najpierw powie mi pani, co się dzieje.

Sucha westchnęła ciężko.

– Jest pani u rodziców, prawda? – zapytała.

– Tak.

– Czyli pani dziećmi mógłby się ktoś jutro zaopiekować?

– Nie rozumiem.

– Chodzi mi o to, że w takim razie mogę spokojnie i bez wielkich wyrzutów sumienia poprosić moich kolegów z Łomży o to, żeby panią zatrzymali i zawieźli na komisariat. Tam pani sobie trochę posiedzi, może kilka godzin, może trochę więcej, zanim ktoś z Warszawy przyjedzie, żeby panią przesłuchać... A potem? Zobaczymy. Pewnie panią wypuścimy, ale dziadkowie będą musieli wytłumaczyć dzieciom i przede wszystkim sąsiadom, dlaczego wyprowadziliśmy panią z domu w środku nocy i do tego w kajdankach.

Kobieta na ekranie pobladła, a potem zerknęła w bok, jakby szukała pomocy u kogoś, kto tam stoi.

– Może też mi pani po prostu odpowiedzieć na kilka pytań – dodała spokojnie Sucha – i wrócić do dzieci, a kiedy tylko będę mogła, osobiście wyjaśnię, skąd to całe zamieszanie. Jaka jest pani decyzja?

Klara Cielecka wahała się tylko sekundę.

– Niech pani pyta – rzuciła z urazą.

– Czy wie pani, gdzie obecnie znajduje się pani mąż, Tomasz Cielecki?

Kobieta potrząsnęła przecząco głową, a potem coś sobie przypomniała i zaczęła machać ręką.

– Mówił, że jedzie do kolegi – powiedziała. – Pomóc przy jakimś projekcie, tłumaczeniu chyba, ale nie jestem pewna. Później mieli otworzyć butelkę i powspominać stare czasy.

– Czy pani wie, jak ten kolega się nazywa?

– Nie.

– Mąż nie powiedział, dokąd dokładnie jedzie?

– No nie...

– Często tak znikał w nocy i nie mówił pani, gdzie będzie?

– Nie! – zaprzeczyła gorączkowo kobieta. – Ja nawet nie wiem... Co pani sugeruje?!

Mortka położył Suchej dłoń na ramieniu, dając jej tym samym sygnał, żeby nie odpowiadała. Sam nachylił się nad kamerką, tak że znalazł się w obrębie obrazu, który widziała kobieta.

– Dobry wieczór. Komisarz Jakub Mortka – przedstawił się. – Ten znajomy... Odniosła pani wrażenie, że to jakiś kolega z wojska?

– Tak – powiedziała z ociąganiem. – Tak mi się wydawało, że to kolega z wojska.

– Zna ich pani?

– Część z nich tak.

– Świetnie. W takim razie po zakończeniu naszej rozmowy poproszę panią o to, żeby przygotowała pani listę kolegów i znajomych męża. Najlepiej wraz danymi kontaktowymi, jeśli takie pani posiada. Przekaze je pani łomżyńskim policjantom, a oni nam. Będę mógł na panią liczyć?

– Dobrze. Przygotuję dla pana taką listę.

– Kiedy po raz ostatni rozmawiała pani z mężem? – zapytała Sucha.

– Dzisiaj wieczorem. Zadzwoił, żeby powiedzieć dzieciom dobranoc.

– Czy zaobserwowała pani podczas tej rozmowy coś dziwnego, niepokojącego?

– Nie – zaprzeczyła. – To znaczy oprócz tego kolegi, bo wcześniej nie wspominał, że planuje kogokolwiek odwiedzać. Zazwyczaj mówił o takich rzeczach.

– Dlaczego mąż nie pojechał z panią do teściów? – zapytał Mortka.

Kobieta poruszyła się niespokojnie na kanapie, po czym nachyliła się w kierunku komputera, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek inny ją usłyszał.

– Mąż... Tomek mówił mi, że ma dużo pracy, ale chodzi o co innego. Ja wiem, że on nie dogaduje się z moimi rodzicami.

– Dlaczego?

Klara Cielecka przełknęła ślinę.

– Potrafi być szorstki – powiedziała po chwili. – Był żołnierzem i u niego wszystko musi być jak w zegarku. Nigdy nie zrobił mi nic złego, nawet

rzadko się kłócimy. On po prostu oczekuje porządku i trzeba się do tego przyzwyczaić. Mnie to nawet pasuje, ale mój tato... Ja mam jeszcze dwóch braci, jestem najmłodszym dzieckiem, ukochaną córeczką i oczkiem w głowie taty, a jemu nie podoba się ta szorstkość. On uważa, że mąż źle mnie traktuje.

– A ma rację?

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie, a zaraz potem dodała ciszej: – To znaczy... Nie, nie powinnam mówić.

– Dlaczego? – zapytał Mortka.

– Bo to są, proszę pana, sprawy pomiędzy mężem a żoną – oznajmiła stanowczo.

– Proszę pani – powiedział ugodowo. – Rozumiem, że stara się pani pomóc mężowi, ale w ten sposób osiąga wręcz przeciwny efekt. Powinna pani być z nami zupełnie szczerą, bo inaczej może mu po prostu zaszkodzić. A tego przecież pani nie chce, prawda?

– Ale to nic takiego – zapewniła i machnęła ręką. – Bez związku.

– Pozwoli pani, że to my ocenimy. Proszę się nie bać. Jeśli to faktycznie bez związku, zapomnimy o całej sprawie. Nikt nie dowie się o tym, co nam pani powiedziała.

Kobieta schowała twarz w dłoniach i pochyliła się.

– Proszę pani... – zaczęła Sucha.

– Daj jej chwilę – szepnął Mortka.

Policjantka przewróciła oczami, ale zrobiła to, o co prosił. Czekali oboje. Patrzyli na Klarę Cielecką, która teraz wierciła się na kanapie, jakby chciała z niej uciec, ale trzymał ją niewidzialny łańcuch przypięty do ekranu komputera.

– Chodzi o to, że... – Zadrżała, a na jej twarzy pojawiły się rumieńce. Odwróciła głowę, pociągnęła nosem i znów na nich spojrzała. – Chodzi o to, że on już prawie nie śpi ze mną w sypialni – powiedziała szybko.

– Woli w gabinecie – rzucił Mortka, przypominając sobie pościel, którą zauważył na kanapie.

– Tak – odparła zaskoczona Klara. – Skąd pan wie?

– Spędza tam każdą noc? – zapytał, nie pozwalając, żeby rozmowa zeszła na inne tory.

– Nie – odpowiedziała. – Ale dużo, chyba większość. Mówi, że ma sporo pracy, siedzi do późna i nie chce mi przeszkadzać, a jak już do mnie przychodzi, to w środku nocy. Wtedy, kiedy ma pewność, że śpię. I prawie mnie nie dotyka. Nigdy nie był specjalnie wylewny, ale teraz... Tylko się na mnie złości.

– Próbowwała pani z nim o tym porozmawiać? – zapytał Mortka.

Zaskoczona Sucha zrobiła wielkie oczy, a potem uderzyła go lekko zaciśniętą pięścią w udo. Komisarz zachowywał się tak, jakby tego nie zauważył.

– Nie – odparła Klara. – Chciałam zaproponować mu wizytę u lekarza, ale to żołnierz. Z żołnierzem nie rozmawia się o takich rzeczach. Poza tym bałam się...

– Czego?

– Że lekarz powie, że wszystko jest w porządku. Że po prostu Tomek mnie już nie kocha.

W tym momencie jej głos się załamał, a twarz zrobiła się cała czerwona. Kobieta wybuchła płaczem, zupełnie nad sobą nie panowała. Odwróciła się plecami do kamery i wtuliła się w kanapę.

– Pani Klaro! Pani Klaro! – krzyczał do kamery Mortka.

Posłuchała go dopiero za piątym czy szóstym razem. Nie patrzyła już jednak na ekran komputera. Uciekała wzrokiem to w jedną, to w drugą stronę. Rozpuściła nawet włosy, żeby się za nimi schować.

– Nie będziemy już pani męczyć – powiedział komisarz. – Proszę przygotować listę, o którą prosiłem. I jeśli mąż się z panią skontaktuje, to proszę koniecznie, ale to koniecznie, jak najszybciej nas o tym zawiadomić. Rozumie pani?

– Tak.

– Dobrej nocy, pani Klaro. I proszę się nie bać. Wszystko będzie dobrze.



Połączenie wkrótce się zakończyło. Sucha ze złością zamknęła laptopa i wstała od biurka.

– Kurwa – warknęła, chwytając się za głowę. – Czy my właśnie zmarnowaliśmy całą tę rozmowę na gadkę o tym, że mąż jej nie rucha?

– Nie całą – powiedział Mortka.

– No, ale niewiele więcej się dowiedzieliśmy.

– Bo ona niewiele więcej wiedziała. Słyszałaś, mąż jest szorstki, niedużo jej mówi. To pewnie ten typ, co rządzi w domu i nikomu z niczego się nie tłumaczy, a już na pewno nie żonie.

Sucha nie wyglądała na przekonaną. Krążyła po swoim gabinecie, próbując się uspokoić i skupić na sprawie.

– Ten kolega, do którego pojechał – odezwała się po chwili. – Myślisz, że działają we dwóch?

– Dzieciaki z Lesznowoli widziały tylko jednego człowieka.

Sucha zmarszczyła brwi.

– Drugi mógł siedzieć w samochodzie – powiedziała.

– Przejechał tuż obok nich.

– W nocy. Z włączonymi światłami, które ich oślepiły.

– Tak. Ale ciągle uważam, że on działa sam. Nic, co widzieliśmy w jego domu, nie sugerowało, że ma współnika. Fatima też nie wspominała o drugim mężczyźnie. Myślę, że z jakiegoś powodu po prostu okłamał żonę. Może zorientowała się w czasie rozmowy, że nie ma go w domu, i potrzebował wymówki.

– A jednak poprosiłeś, żeby zrobiła listę jego znajomych.

– Tak – przyznał Mortka. – Na wszelki wypadek.

Sucha przytaknęła – to miało sens. Wróciła za biurko, opadła na krzesło i odgięła się do tyłu. Przymknęła powieki i oddychała płytko.

– Co za noc... – mruknęła cicho.

– To prawda. Idę po kawę. Też chcesz?

– Nie trzeba. Ale powiedz mi jedno: na końcu tej rozmowy, kiedy powiedziałaś, żeby się nie przejmowała i że wszystko będzie dobrze...

– Tak?

– Dlaczego ją okłamałaś?

Komisarz przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– A jakie to ma znaczenie? – stwierdził wreszcie. – Przecież i tak mi nie uwierzyła.

Stali na podwórku przed domem. Wyszło słońce i zrobiło się przyjemnie ciepło. Mortka nawet rozpiął kurtkę. Gdyby nie zupełnie pozbawione liści drzewa i wszechobecne grudniowe błocko, to można by pomyśleć, że jest już wiosna.

Doktor Kluska zachowywał bezpieczny dystans i stał kilka metrów od niego. Ręce włożył do kieszeni, z nadgarstka zwisała mu maseczka chirurgiczna.

Komisarz czuł się zmieszany. Pamiętał doktora Kluskę z dzieciństwa, jak ze swoją żoną odwiedzał czasami rodziców. Siedzieli wtedy wszyscy razem, popijali wino lub piwo, i przerzucali się opowieściami z praktyki lekarskiej, raz po raz wybuchając śmiechem, a mama co pewien czas tylko powtarzała, żeby przestali na chwilę rozmawiać o pracy. Kluska był wtedy wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o potężnej czarnej brodzie, którą nosił w czasach, kiedy wcale nie było to modne. Tymczasem stojący przed nim lekarz był niższy od Mortki o głowę, pucułowaty i łysy. Nosił okulary w grubej oprawie o okrągłych szklach. W niczym nie przypominał mężczyzny, którego Mortka zapamiętał z dzieciństwa. Kim był tamten człowiek? Jak się nazywał?

Potrząsnął głową i pomasował się po czole. Potem się będzie nad tym zastanawiać. Teraz miał ważniejsze rzeczy, którymi powinien się zająć.

– Czyli żyje? – zapytał.

Kluska potwierdził skinieniem głowy.

– Leży pod respiratorem. Jego stan jest ciężki, ale stabilny.

– I nie umarł?

– Nie umarł.

– Mama jest przekonana, że ktoś zadzwonił ze szpitala i poinformował o zgonie taty.

– Sprawdziłem jeszcze raz przed wyjściem z pracy: nikt nie wykonał takiego telefonu.

– Co w takim razie się stało?

– Nie wiem. Być może ktoś wam zrobił głupi kawał.

Żart? Mortka nie bardzo w to wierzył. Po co ktoś miałby to robić? I niby kto? Rodzice nie mieli przecież żadnych wrogów. W ich otoczeniu nie było nikogo, kto byłby zdolny do takiego okrucieństwa. Ale wiedział też, że ludzie są zdolni do takich rzeczy. Robią coś po prostu dla zgrywy, nie zastanawiając się nad konsekwencjami swoich czynów. Pomyślał, że mógłby to zgłosić w lokalnym komisariacie. Kiedy wystąpią o billingi, prawda wyjdzie na jaw.

– Albo... – zaczął Kluska i zawiesił głos.

– Tak?

– Być może po prostu jej się zdawało – powiedział ostrożnie lekarz, jakby obawiał się jego reakcji. – Albo śniło.

Przypomniał sobie mamę, kiedy schodziła zapłakana ze schodów, wciąż w pidżamie, rozespana, jakby dopiero co wstała z łóżka. Wtedy nie zwrócił na to uwagi, zbyt zszokowany jej słowami. Był przerażony, ugięły się pod nim nogi, a równocześnie jakaś część jego mózgu pracowała niewiarygodnie chłodno i racjonalnie. Zaczął nawet przygotowywać listę zadań, które trzeba wykonać – skontaktować się ze szpitalem, z zakładem pogrzebowym, sprawdzić, jakie obowiązują zasady organizowania pogrzebów, i przede wszystkim, że powinien pojechać do sklepu i kupić sobie porządny czarny garnitur. Ale tak, to mógł być po prostu koszmar. Zły sen, który mama z powodu napięcia ostatnich dni uznała za rzeczywistość. Wydało mu się to bardziej prawdopodobne niż okrutny kawał. Uznał, że nie będzie tej sytuacji zgłaszać na policję. Chyba że taki telefon się powtórzy.

– Jak ojciec? – zapytał, zmieniając temat.

Kluska przestąpił z nogi na nogę.

– Jest stabilny.

– To już pan mówił.

– A co pan chce usłyszeć więcej? – powiedział lekarz z westchnieniem. – Jego stan jest bardzo ciężki. Gdyby nie respirator, już dawno byśmy go stracili. Miał zresztą ogromne szczęście, że była akurat wolna maszyna. Gdybyśmy musieli jeździć po województwie, żeby szukać dla niego miejsca...

Nie dokończył i pokręcił tylko ze smutkiem głową.

– Ojciec mówił mi, że spod respiratora się nie wychodzi – stwierdził Mortka.

Lekarz skrzywił się, jakby te słowa sprawiły mu przykrość.

– Nie miał racji – odpowiedział po chwili. – Są u nas pacjenci, którzy z tego wyszli.

– Wiem, co od niego usłyszałem.

– Może kiedy pan z nim rozmawiał, miał akurat zły dzień. Nie będę ukrywał, tracimy wielu pacjentów, zbyt wielu, ale są tacy, których udaje się nam uratować.

– A jak będzie z tatą?

– To już tylko Pan Bóg wie.

Mortka doceniał, że Kluska osobiście do nich przyjechał, kiedy tylko dowiedział się o porannym incydencie. Nie potrafił jednak zapomnieć, że to przez niego ojciec w ogóle wrócił do szpitala.

– Był... jest w grupie ryzyka – odezwał się. – Nie powinien wracać do pracy. Nie powinno go być w tym szpitalu.

– Mnie też tam nie powinno być – powiedział Kluska.

– Ojciec był już na emeryturze.

Lekarz rozłożył bezradnie ręce.

– Ja też już jestem w wieku emerytalnym – stwierdził. – Ale ciągle pracuję. Pan wie, ile osób by umarło, gdybym poszedł sobie na emeryturę? I nie mówię, że teraz. Przed pandemią nawet. Takie braki mamy, że zaraz

będziemy musieli Murzynów z drugiego końca Afryki ściągać, żeby nas leczyli. I nie ważne, czy mówią po polsku, czy nie. Będą sobie mogli w tym suahili napierdalać, byleby mieli ten dyplom Uniwersytetu Medycznego w Burundi imienia Makumby króla wioski!

Kluska aż poczerwieniał podczas tej przemowy, a potem chyba się zawstydził. Spuścił głowę, podrapał się owłosioną dłonią po karku.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało – powiedział. – Mógłbym panu tłumaczyć, że mamy standardy, że wszystkiego pilnujemy i nie wiadomo, czy on się w szpitalu zaraził, ale pewnie u nas. Taka prawda. Rzecz w tym, że gdybym nie musiał, tobym do niego nie dzwonił. Ale musiałem. Taki zawód.

– Taki zawód – powtórzył jak echo Mortka.

– Wierzę, że z tego wyjdzie.

– Dziękuję.

– Potrzebuje pan może jakichś tabletek uspokajających?

– Ja? Nie.

– Myślałem raczej o pańskiej mamie.

Mortka zmarszczył brwi, a potem pokręcił przecząco głową.

– Nie. Ona chyba coś jeszcze ma. Widziałem na stoliku, jak ją kładłem.

– Gdyby były potrzebne, to proszę dzwonić.

Kluska skinął głową na pożegnanie i omijając błoto oraz kałuże, podszedł do kilkuletniego audi, który stał zaparkowany przy płocie. Wsiadł do wozu, po czym odjechał.

Mortka wrócił do domu. Mama spała na górze, w swoim pokoju. Wcześniej była tak roztrzęsiona, że dla jej własnego dobra przekonali ją, by wzięła proszki na sen. Andrzej siedział na dole w fotelu przed telewizorem, ale nie oglądał telewizji. Wystarczał mu ekran komórki, którą trzymał w dłoni. Na dźwięk kroków ojca, położył ją na stoliku obok.

– I jak? – zapytał.

– Dziadek ciągle żyje – powiedział Mortka.

- Na sto procent?
- Na dwieście.
- Czyli...
- Babcia miała chyba zły sen.

Dziwne, ale nie czuł żadnej ulgi. Wyrok nie został przecież wycofany, tylko zaledwie przesunięty w czasie. Cokolwiek Kluska by powiedział, Mortka spodziewał się kolejnego telefonu ze szpitala. Za kilka dni albo nawet za kilka godzin. Tyle że wtedy nie będzie mowy o żadnej pomyłce czy kawale.

– To, o czym rozmawialiśmy wcześniej... – zaczął ostrożnie. – Zrobiło mi się po prostu przykro, że najpierw powiedziałaś babci. Miałem nadzieję, że jednak bardziej mi ufasz.

- To nie kwestia zaufania.
- A czego?

Andrzej położył dłoń na komórce, jakby chciał ją podnieść, ale przejechał tylko kilka razy palcem po ekranie. Ten rozświecił się na moment i zaraz przygasł, ujawniając wcześniej długą listę powiadomień.

- Pamiętasz, jak cię odwiedziliśmy w Holandii? – zapytał chłopak.
- Tak.

– A pamiętasz, jak zjaraliśmy się z Michałem? Ledwo wtedy kontaktowaliśmy, nieustannie chichotaliśmy, a potem mieliśmy taką gastrofazę, że w środku nocy zamówiliśmy wielką pizzę.

Mortka w pierwszej chwili chciał zaprzeczyć, ale potem przypomniał sobie o tym epizodzie z dostawą pizzy. Kiedy w środku nocy przyjechał do nich gość z pizzerii, uznał, że to pomyłka, bo przecież niczego nie zamawiali, ale wtedy włączył się Michał. Wy tłumaczył, że zgłodnieli z Andrzejem podczas grania w gry komputerowe.

- Byliście wtedy zjarani?
- Kompletnie. Skołowaliśmy zioło i to nie z coffe shopu, tylko po prostu od ziomka na ulicy. Oni tam muszą dbać o jakość, żeby konkurować z legalnym biznesem. Kopało jak nigdy.

– Nie wyczułem żadnego zapachu – stwierdził Mortka.

– Bo jaraliśmy na podwórku, ale że potem się nie zorientowałeś...  
A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo pracowałeś, tato. Siedziałeś nad jakimiś dokumentami i moglibyśmy dla ciebie nie istnieć. Może gdybyśmy przedawkowali, to zwrócilibyś na nas uwagę.

– Przedawkowali trawę?

– Wiesz, o co mi chodzi. Miałeś dwóch zjaranych typów u siebie w mieszkaniu i nawet tego nie zauważyłeś. Bo siedziałeś wpatrzony w ten jebany komputer. Wtedy wydawało mi się to zajebicie zabawne, ale teraz... My cię po prostu nie obchodzimy, ani ja, ani Michał. I to jest dowód, tato. Nie zwracasz na nas uwagi. To kiedy i w ogóle dlaczego miałbym ci powiedzieć, kim jestem?

Mortka mimowolnie zerknął w stronę drzwi. Jakaś jego część chciała stąd uciec, przerwać tę rozmowę. Czuł, że stoi na straconej pozycji. Że cokolwiek teraz powie, nie uda mu się tego naprawić, musiał jednak spróbować.

– To nie tak... – zaczął, ale przerwał mu krótki sygnał przychodzącego esemesa.

Andrzej wziął telefon, odebrał i podniósł się z fotela.

– Muszę spadać. Moja taksówka już czeka – oznajmił po chwili.

– Gdzie jedziesz?

– Do domu. Nie ma sensu, żebyśmy siedzieli tutaj obaj. Kiedy będziesz się związał, daj znać matce. Wtedy ja przyjadę, żeby cię zmienić.

– Mogę przecież od razu do ciebie zadzwonić.

Andrzej chrząknął. Spuścił głowę, udając, że sprawdza coś na komórce. Potem agresywnym ruchem wsadził ją do kieszeni i odetchnął głęboko. Podniósł głowę i spojrzał prosto na ojca. Wzrok miał równocześnie chłodny i przepełniony złością.



– Co do tego – powiedział – to chyba lepiej, żebyśmy już więcej nie rozmawiali.

– O twojej orientacji?

– Nie, tato. W ogóle.

Robiło się coraz zimniej i Ania coraz poważniej rozważała, czy jednak nie wrócić do domu. Wyciągnęła telefon, żeby sprawdzić godzinę, ale jej palce jakby same zdjęły blokadę i uruchomiły galerię. Zaczęła przeglądać zdjęcia i zatrzymała się na tym, które zrobiła kilka miesięcy temu, przed przyjazdem do Warszawy. Zabrała wtedy Rafała do zoo do Płocka. Chciała mu sprawić przyjemność, zanim wyruszy do stolicy i zostawi go samego z babcią. Najchętniej wzięłaby go na kilka dni nad morze, ale były wakacje, szczyt sezonu – raz, że wszystko pozajmowane, dwa, że i tak za drogo. Wybrała więc zoo. Nigdy tam nie był, a ona tylko raz, na szkolnej wycieczce bardzo dawno temu.

Zoo okazało się mniejsze, niż je zapamiętała, jednak Rafałkowi się podobało, nawet bardzo. Ponad pół godziny spędzili, oglądając słonie, niemal drugie tyle przy wybiegu dla lwów. Kiedy jeden z nich zaryczał, jej synek aż podskoczył ze strachu, a potem zaczął się śmiać, żeby na koniec samemu ryczeć na lwa. Ten go zignorował, przeszedł na drugi koniec wybiegu i ułożył się tak, że zamiast jego grzywy widzieli tyłek i leniwie przesuający się z lewej na prawą ogon. Ale prawdziwym hitem okazała się wizyta w herpetarium. Ją tam mdliło ze strachu, a Rafał z zachwytem biegał od jednej jaszczurki do drugiej, od węża do węża. Aligator tak go zachwyił, że gdyby nie zabezpieczenia, to mały pewnie by tam wskoczył, tak bardzo chciał go pogłaskać.

Niczego mu wtedy nie żałowała. Wiedziała, że zaraz wyjedzie, i bała się strasznie tej rozłąki, tego, co on sobie o niej pomyśli. Że go porzuciła, zostawiła, że go nie kocha. Ale najbardziej, ale to najbardziej na świecie, bała się tego, że on o niej zapomni. Niby to było niemożliwe, bo przecież nie oddawała go obcym ludziom, tylko własnej matce, jednak serce swoje mówiło. Dlatego robiła wszystko, żeby dobrze ją zapamiętał. Najpierw

podróż do Płocka – mało przyjemna, bo autobusem, więc z dworca wzięła już taksówkę. Wykosztowała się, ale Rafał wyglądał na zmęczonego, zniecierpliwionego i zdenerwowanego. Bała się, że jeśli pójdą na piechotę albo nawet skorzystają z komunikacji miejskiej, to zacznie się wielka awantura. Potem wejście do zoo, a w środku wata cukrowa, lody, słodkie napoje, obiad, zabawki i na koniec jeszcze balon z helem oraz kolejne lody. Była przekonana, że objedzony słodkościami, zwymiotuje w autobusie w drodze powrotnej, ale on ułożył się na jej kolanach i zasnął jak mały kotek.

Kiedy wróciła tamtego dnia do domu i mama dowiedziała się, ile Ania wydała, to zrobiła jej karczemną awanturę. Powiedziała, że teraz będą się musiały zapożyczyć, żeby mieć co do garnka włożyć, i że córka szasta pieniędzmi, a w tej Warszawie to ani złotówki nie zarobi, tylko kolejne długi będą.

I proszę, wychodziło na to, że miała rację. Ania wpatrywała się w zdjęcie Rafałka w herpetarium, gdzie w tle nawet dało się dostrzec niewyraźnego, zwisającego z gałęzi zielonego węża. Zrobiło jej się wstyd, a w oczach poczuła zbierające się łzy.

– Przepraszam panią... – usłyszała przed sobą męski głos.

Spanikowana, chciała schować telefon do torebki, ale nie wycelowała i aparat poleciał na ziemię. Uderzył o twardą płytę chodnikową. Ania jęknęła. Pochyliła się tak szybko, że aż zachwiała się na wysokich obcasach. Przewróciłaby się niechybnie, gdyby mężczyzna, na którego nawet jeszcze nie spojrzała, nie chwycił jej za ramię i nie podtrzymał. Złapała za komórkę i podniosła się.

– Dziękuję – rzuciła.

Zerknęła na telefon. Pękła cała przednia szybka, a w rogu powstało głębokie wgłębienie. Nacisnęła na przycisk i ekran się rozświecił, równocześnie ukazując pełnię zniszczeń. Wszystko było niewyraźne, przesunięte, aż bała się sprawdzać, czy da się z niego jeszcze dzwonić. Mogła zapomnieć o oglądaniu zdjęć przed snem. Nie wiedziała, czy coś

takiego da się naprawić, zresztą pewnie kosztowało to majątek. Już taniej byłoby kupić nową komórkę, ale ona i tak nie miała pieniędzy.

– Jak telefon? – Znowu ten męski głos.

Zupełnie zapomniała o mężczyźnie. Podniosła na niego wzrok. Miał na oko pięćdziesiąt lat. Kiedyś musiał być szczupły, teraz zmagął się z lekką nadwagą. Spodnie w typie bojówek, ale żadne markowe, takie z działu odzieżowego w hipermarkecie. Koszulka polo, na to kurtka. Krótko ostrzyżone włosy, przyjazna twarz.

– Zepsuty – odpowiedziała, chociaż nie wiedziała po co. Przecież tego faceta nic to nie obchodziło.

– Przykro mi.

– Dziękuję.

– Pani tu... pracuje?

Otworzyła usta, ale nie wydobyło się z nich żadne słowo. Patrzyła na niego, niepewna, co odpowiedzieć. Przez głowę przelatywały jej setki myśli i jeszcze więcej obrazów. Rafał, mama, dom, pieniądze, długi, Rafał, Wojtek, wstyd, Klaudia, to, co się już wydarzyło, i to, co się miało wydarzyć. Jej strach, niepewność, poczucie, że kiedy przekroczy tę linię, wszystko się zmieni. I to na zawsze, nawet gdyby nikt się o tym nigdy nie dowiedział. Bo ona będzie pamiętać. Ale Rafał. Chciała go jeszcze kiedyś zabrać do zoo. I spojrzenie matki, kiedy wróci do domu i powie, że nic nie zarobiła, a właściwie to straciła.

– Ania – usłyszała z boku głos Rudej Joli. Starsza prostytutka zbliżała się w ich stronę, kręcąc zalotnie biodrami. – On jest w porządku.

Mówiła o stojącym przed nią mężczyźnie. O tym, który podtrzymał ją, zanim upadła, i który zapytał, jak jej telefon, chociaż wcale nie musiał tego robić. O mężczyźnie z przyjazną twarzą i spokojnym, ciepłym spojrzeniem. Który mówił do niej z szacunkiem per pani, a nie per ty.

– Pracuję – odpowiedziała mu.

– A ile pani bierze?

Krótki moment paniki. Nie przemyślała tego przecież. Zastanawiała się nad tym w domu, potem w drodze tutaj, a ostateczną decyzję miała podjąć na miejscu. Potem myślała, czyby nie zapytać Rudej Joli, ale wydawało jej się to niewłaściwie. Jakby ta akurat kwestia, po wszystkim, co sobie powiedziały, była ciągle zbyt intymna. A teraz w głowie miała pustkę.

– Tysiąc – wyrzuciła z siebie.

Ruda Jola uniosła wysoko brwi w grymasie zaskoczenia i niedowierzania.

– Za całą noc – sprecyzowała szybko Ania.

Mężczyzna skinął głową.

– Niech będzie – stwierdził. – Proszę pójść za mną. Taksówka na nas czeka.

Dopiero teraz dziewczyna zauważyła zaparkowany kilkadziesiąt metrów dalej czarny wóz z napisem „taxi” po bokach i sygnalizatorem na dachu. Uspokoiło ją to. Pomyślała, że podjęła słuszną decyzję. Przecież ktoś, kto jeździ w nocy po Warszawie taksówkami, nie zrobi jej nic złego. Taksówkarz to zawsze świadek. Wystarczy tylko zapamiętać numer boczny, żeby go potem odnaleźć. No i skoro facet rozbija się po mieście taksówkami, a nie uberem, to jest przy kasie. Chociaż po stroju tego nie widać.

Zasugerował, żeby wzięła go pod rękę, a ona chętnie to zrobiła. Teraz, kiedy podjęła już decyzję, zrobiło się jej lepiej, jakby lżej. Oddychała równo i spokojnie, chociaż wiedziała, że zdenerwowanie pewnie wróci, kiedy dotrą na miejsce.

– Ej, kochany! – krzyknęła za nimi Ruda Jola.

Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nią pytająco.

– A gdzie jest twój samochód? Ten wielki biały?

– W warsztacie – odpowiedział szybko, a potem pomógł dziewczynie wsiąść do auta i sam zajął miejsce po drugiej stronie.

Kiedy odjeżdżali, Ania pomachała Rudej Joli przez okno.

– Chyba już wystarczy?

– Słucham?

Gunther zdjął okulary, przetarł je skrawkiem koszuli i założył z powrotem.

– Już wystarczy – powtórzył. Tym razem było to stwierdzenie, a nie pytanie.

– Pan wybaczy, ale niestety, ta decyzja należy do nas, a nie do pana. Mamy jeszcze kilka pytań, wątpliwości, które chcielibyśmy wyjaśnić.

Mężczyzna z całych sił walnął obiema pięściami w stół. Huk odbił się echem od białych ścian. Sucha nawet nie drgnęła, chociaż wiele ją to kosztowało. Od kiedy weszła do pokoju przesłuchań, widziała, że Gunther jest poruszony, na granicy wybuchu i że wszystkiego można się po nim spodziewać. W takich sytuacjach ważne były dwie rzeczy: po pierwsze, należało pozwolić przesłuchiwanemu na wyrzucenie z siebie energii, po drugie, zachować spokój. Bo jeśli policjant zdradzi się z najmniejszą nawet obawą, drobną utratą pewności siebie, przesłuchiwany to dostrzeże i zrobi wszystko, żeby wykorzystać swoją szansę.

– Gówno! – ryknął. – Siedzę tutaj już tyle godzin! Wchodzicie sobie i wychodzicie, kiedy chcecie! Traktujecie mnie jak, kurwa, zwierzę! Gorzej niż zwierzę! Nawet wylać się nie mam gdzie! Nie daliście mi tutaj pierdolonego wiadra!

– Rozumiem pańskie wzburzenie.

– Gówno rozumiesz!

– Rozumiem pańskie wzburzenie, ale na pańskim miejscu uważałabym jednak na język.

– Bo co?! Co mi jeszcze zrobicie, co?! Męczycie pytaniami o tego pierdolonego Kota, męczycie pytaniami o mojego biednego syna! Co jeszcze mi zrobicie?! Co?!

Gunther wstał, oparł się o stół, a potem nachylił w stronę Suchej i ostatniej słowa wykrzyczał jej prosto w twarz, tak że drobinki jego śliny wylądowały na policzkach i w okolicach ust policjantki. Pomyślała mimowolnie, że dobrze by było, gdyby facet nie miał covid. Sama się w ten sposób rozbawiła i znów z trudem się opanowała, żeby nic nie dać po sobie poznać.

– Po pierwsze, czas naszego przesłuchania może pan spędzić w dużo mniej komfortowych warunkach, na przykład z kajdankami na przegubach. Proszę mi wierzyć, bardzo to niewygodne. Po drugie, ciągle mogę pana po prostu wsadzić do aresztu – powiedziała.

– Niby za co?

– Za narkotyki.

– Które mi podrzuciliście!

Jego wzrok kierował się ponad jej ramieniem w stronę drzwi. Zastanawiał się pewnie, czy są zamknięte, czy otwarte. Mógłby spróbować teraz ją ominąć i podjąć próbę ucieczki, a wtedy ona musiałaby go powstrzymać. Mortka na pewno przyszedłby jej pomóc, ale w pierwszej fazie akcji, tej najbardziej niebezpiecznej, byłaby z Guntherem sama. Tak, ciągle uważała, że jest od niego sprawniejsza, że poradzi sobie z nim w większości przypadków, jednak dynamika takich sytuacji mogła przynieść jakieś niespodzianki. Zawsze było ryzyko, że uda mu się ją zaskoczyć. Nie spodziewała się najgorszego, tyle że wolałaby nie pokazywać się następnego dnia w pracy z rozbitą wargą czy podbitym okiem.

– Nie – powiedziała spokojnie, obserwując uważnie jego każdy ruch. Była gotowa reagować, gdyby zrobił choć najmniejszy krok w stronę drzwi.

– Te narkotyki, które znaleźliśmy w bagażniku pańskiego samochodu. Nie mam pojęcia, jak się tam znalazły, to jeszcze będziemy ustalać. Na razie jednak wygląda na to, że w obawie przed mataczeniem należałoby pana

trochę potrzymać w celi. I myślę, że zgodzi się z tym każdy sędzia w tym mieście.

– Wolne, kurwa, sądy, co? – wysyczał.

– Nie ma potrzeby mieszać do tego polityki, panie Gunther.

Mężczyzna oderwał się od stołu. Serce Suchej zaczęło mocniej bić, napięła wszystkie mięśnie. Wiedziała, że kiedy będzie ją mijał, musi do niego skoczyć, rzucić na ziemię i szybko założyć mu dźwignię. I to wszystko wykonać bezbłędnie, żeby nie zdążył skorzystać z przewagi, jaką dawała mu masa ciała i wzrost.

Gunther zrobił krok, ale zamiast ruszyć przed siebie, do drzwi, odszedł w bok, pod ścianę. Pomaszerował wzdłuż niej, żeby wreszcie schować się w kącie, tak że widziała tylko jego plecy. Chwycił się za głowę i pochylił, jakby robił wszystko, żeby wydać się mniejszym. Sucha odetchnęła cicho z ulgą.

– Jak za PRL-u – rzucił.

– Pan wybaczy, ale urodziłam się na tyle późno, że nie pamiętam tamtego systemu. Opowie mi pan, jak wtedy było?

Odwrócił się gwałtownie. Miał czerwoną twarz, a okulary zjechały mu z nosa i wydawało się, że zaraz spadną.

– Było dokładnie tak, jak teraz! – warknął. – Zgarniali ludzi z ulicy pod byle pretekstem! Zamykali na wiele godzin, niczego nie tłumaczyli! Tylko przychodzili, pierdoleni milicjanci, i z tymi obłudnymi uśmieszkami, zupełnie jak pani...

Sucha zwróciła uwagę, że zrezygnował z mówienia na ty, i uznała to za dobry znak. Jego gniew powoli się wypalał. Wkrótce pojawi się wyczerpanie, a wtedy łatwiej będzie z nim rozmawiać. Wielu przesłuchiwanym właśnie w tym momencie popełniało błędy. Nie mieli już po prostu siły się bronić, a część z nich była gotowa zrobić wszystko, żeby to się wreszcie skończyło. W takiej chwili więzienna cela wydawała im się wybawieniem.



– ...i udawali przyjaciół – kontynuował Gunther. – Opowiadali, że chcą tylko pomóc, że wyciągają rękę. A potem przychodzili ci inni, i lali pałami. Najczęściej po piętach, żeby nie było śladów. Ale niektórzy to się nie hamowali. Lali, gdzie im było wygodnie.

– Proszę się nie obawiać. Nikt nie będzie pana bił – oznajmiła Sucha.

– Miało być inaczej – oznajmił głucho Gunther, jakby w ogóle nie usłyszał jej ostatnich słów. – PiS, PO... Jedna banda.

Zatrzęsło nim ze wściekłości, jednak była to już ostatnia erupcja gniewu. Poczłapał z powrotem do stolika i siadając, podtrzymał się krzesła, bo inaczej mógłby się przewrócić. Zdjął okulary i położył je zmęczonym ruchem przed sobą.

– Czego wy ode mnie chcecie? – zapytał.

– Teraz? Chyba tego, żeby przyjął pan moje przeprosiny.

– Słucham?

– Faktycznie długo tu pana trzymamy. Naprawdę chce pan iść do toalety? Zawahał się, po czym skinął głową i od razu się zaczerwienił.

– Bardzo – powiedział.

– W takim razie proszę chwilę poczekać. Pójdę po kolegę. Zaprowadzi pana do ubikacji.

Wstała od stołu i opuściła pomieszczenie, zamknąwszy za sobą drzwi na klucz. Wyjęła komórkę, żeby zadzwonić do Wodeckiego, który miał się zająć Guntherem. Pomyślała, że nieźle poszło. Z mężczyzny uszła para. Udało jej się spacyfikować jego próbę buntu, miała nadzieję, że ostatnią. Pod koniec wyciągnęła do niego rękę, pokazała, że chce mu pomóc i rozwiązać jego problemy, ale równocześnie wbiła szpilę. Każąc mu czekać na policjanta, udowodniła, że ona ma tu władzę i w pełni kontroluje sytuację. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna go jednak zostawić i przesłuchiwać dalej, ale uznała, że to byłby zły pomysł. Ludzie z pełnym pęcherzem łatwo się denerwowali, przestawali myśleć, a gdyby Gunther stracił nad nim panowanie, byłoby to dla niego ostateczne upokorzenie. Po czymś takim mógłby się zamknąć i już niczego im nie

powiedzieć. Nie, ten człowiek nie był zwykłym zbirem z ulicy, tylko akademickim profesorem. Jeśli chciało się do niego dotrzeć i wydobyć z niego odpowiedzi na swoje pytania, należało mu okazać pewien szacunek.

Zadzwoiła do Wodeckiego i przekazała mu szybko swoje polecenie. Nie był zachwycony. Powiedział, że znalazł coś à propos tego gwałciciela z Lasu Bielańskiego. Sucha odparła, żeby dał spokój i że zajmie się tym później, po czym weszła do pomieszczenia obok pokoju przesłuchań, gdzie miał czekać na nią Mortka.

– I co teraz? – zapytała, chowając telefon do kieszeni. – Jaki będzie nasz kolejny krok?

Nie usłyszała odpowiedzi: Mortki nie było. Pomyślała, że może wyszedł po kawę albo skorzystał z toalety, ale to nie miało sensu. Nie porzuciłby oglądania przesłuchania Gunthera z powodu czegoś tak błahego. Powód musiał być o wiele ważniejszy. Poczula nieprzyjemne ukłucie niepokoju. Wybrała jego numer. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwała się w sygnał.

Nie odbierał.

– Sukinsyn – wyszeptała.

Domyśliła się, gdzie zniknął.

Justine otworzyła butelkę białego wina, nalała sobie kieliszek i usiadła na kanapie. Pomiędzy gazetami, czytnikiem e-booków (nienawidziła amerykańskiego imperializmu, agresywnego kapitalizmu, ale przyznawała, że Kindle to cudowny wynalazek) a swoimi laptopami (jeden do gier, drugi do pracy) znalazła wreszcie pilota. Uruchomiła telewizor i weszła na platformę Netflix. Przez chwilę skakała bezmyślnie pomiędzy kolejnymi propozycjami. Oglądała trailery, czytała opisy. Kilka rzeczy ją zainteresowało, ale nie aż tak, żeby włączyć. W ten sposób wypila trzy czwarte kieliszka i ze znużeniem pomyślała, że to będzie kolejny taki wieczór. Skończy pół butelki, zanim stwierdzi, że jest zbyt pijana na oglądanie czegokolwiek, i po prostu pójdzie spać.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym, czy zadzwonić do męża, ale rozmawiała z Pierre'em ledwo godzinę temu. Tęskniła za nim, rozumiała jednak, że nie mógł z nią tutaj przyjechać – miał swoją pracę, swoje obowiązki. On z kolei nie chciał zrozumieć, że ona nie mogła zrezygnować z tej szansy, jaką dawała jej misja w Europolu. Prawie się przez to rozwiedli, a przecież wiedział, jak ważna jest dla niej kariera. Między innymi dlatego nie zdecydowali się jeszcze na dzieci. Być może, kiedy wróci z Hagi, choć nie była już tego taka pewna, jak przed wyjazdem. Kochała męża, ale w Holandii przekonała się, że jej serce jest większe, niż myślała. Znalazło się w nim miejsce dla dwóch mężczyzn. Nie czuła z tego powodu wyrzutów sumienia, może trochę na początku, zresztą, zakładała, że on też kogoś sobie znalazł. Widziała te drobne znaki, tę jego nerwowość, małe kłamstewka, które z czasem wychodziły na jaw, obsesyjne pilnowanie komórki, niepewność, kiedy wychodzili razem na kolację. Rozglądał się wtedy, niby dyskretnie, ale jak ten finansista miałby cokolwiek przed nią ukryć, skoro już na początku służby rozbijała narkotykowe grupy

z Bordeaux i spędziła godziny w pokój przesłuchań z ludźmi, dla których kłamstwo tak bardzo złało się z prawdą, że nie rozróżniali jednego od drugiego. Wiedziała, że po jej powrocie będą musieli odbyć poważną rozmowę, i właściwie to czekała na nią z ekscytacją. Była ciekawa, kogo sobie wybrał na towarzyszkę ich rozłąki. A jeszcze bardziej interesowało ją to, czy w jej sercu znajdzie się miejsce dla tej kobiety.

Usłyszała pukanie do drzwi. Odstawiła kieliszek i ze zdziwieniem spojrzała na zegarek. Minęła już dziesiąta – nie spodziewała się nikogo o tak późnej porze. Mieszkała w dwupokojowym lokalu w Duindorp, uroczej małej dzielnicy, wciśniętej pomiędzy park a nadmorskie wydmy. Do morza miała może z pięć minut leniwym spacerkiem. Mieszkanie należało do niej. Pierre dobrze zarabiał, więc kiedy już pogodził się z jej wyjazdem, uznali wspólnie, że nie ma sensu wyrzucać pieniędzy na wynajem. Lepiej coś kupić, skoro zamierza spędzić w Hadze kilka lat. Wzięli kredyt i szybko załatwili wszystkie formalności. Wkrótce się okazało, że nie ona jedna wpadła na ten pomysł – wielu kolegów z pracy robiło podobnie, oczywiście tych z krajów starej Unii. Ci z młodej mieli inne cele i na co innego przeznaczali pieniądze, a może po prostu nie było ich stać. Ot, kolejny przykład na to, jak pierwotna akumulacja kapitału wpływa na losy kolejnych pokoleń.

Bardzo lubiła to mieszkanie. Ponieważ miała tu żyć sama, urządziła je wyłącznie według swojego gustu i tak, żeby było jej wygodnie. Skórzana kanapa (Pierre nie znosił skóry; słusznie uważał, że jest nieekologiczna, jej pozyskanie wiąże się z cierpieniem zwierząt, a poza tym lepi się do tyłka), czerwone ściany (według Pierre'a ten kolor niepotrzebnie pobudzał, powodował niepokój i utrudniał odpoczynek), meble z IKEI (stać nas na coś lepszego, Justine!) i kwiaty we wszystkich możliwych formach: w wazonie, a także jako malunki na ścianie czy wytwory rękodzieła. Nie było ich za wiele, nie była w końcu szalona, ale i tak za dużo dla Pierre'a, który zawsze uważał je za drobnomieszczańskie i wolał abstrakcję. W Bordeaux oboje szli na kompromisy, to nie tak, że tylko Justine ulegała, niemniej tutaj, w Hadze, mogła zaszaleć. Pomyślała, że będzie jej żal

sprzedać to mieszkanie po zakończeniu misji w Europolu, jednak trudno byłoby przypilnować nieruchomości tak daleko od domu, a poza tym wolą się jej pozbyć, zanim globalne ocieplenie sprawi, że całe miasto zniknie pod wodą.

Kiedy wstała z kanapy, ta wydała piszczący dźwięk. Poprawiła szlafrok i poszła do przedpokoju. Wyjrzała przez wizjer i westchnęła. Zerknęła na siebie szybko w lustrze. Zmyła już makijaż, ale przynajmniej nie nałożyła maseczki. Włosy były we względnym porządku, tyle że miała na sobie szlafrok frotté i dwuczęściową pidżamę w paski – nic, w czym chciałyby się pokazywać mężczyźni, jednak i tak nie zdążyłyby się przebrać.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się szeroko.

– Jacques – powiedziała. – Czy nie wiesz, że kiedy odwiedza się damę, to należy się wcześniej zapowiedzieć?

Zmieszał się, kiedy przetłumaczył sobie w głowie to, co powiedziała. Uznała, że to urocze.

– Przepraszam – odparł. – To było dość spontaniczne. Wsiadłem do taksówki i po prostu... zamiast swojego adresu podałem twój. Pomyślałem, że to najlepszy moment. Wiesz, niedawno robiłem test. Na pewno nie mam covida i mogę do ciebie przyjść.

Kolejna rzecz, która jej się w nim podobała: to, jak sobie wszystko racjonalizował. Wiedział przecież, że przeszła już ten syf – z dziesięciu dni raptem pięć okazało się nieprzyjemne, choć nie bardziej niż zwyczajowa grypa. Po prostu Kuba nie był w stanie przyznać przed sobą, że czasami kierują nim odruchy, czyste instynkty i zwykłe emocje, w tym przypadku tęsknota, pożądanie, a pewnie nawet miłość. To jej pochlebiało, ale kiedy ostatnio rozmawiali przez telefon, namawiał ją, żeby rozwiodła się z Pierre'em. Trochę się bała, jak rozwinie się ta konwersacja, jednak ucieszyła się na jego widok.

– Przyjechałeś prosto z lotniska? – zapytała i wskazała na jego walizkę.

– Tak.

Uśmiechnęła się.

– Wejdiesz? – zaproponowała.

– Trochę na to liczyłem.

Wpuściła go do środka. Rozebrał się, zostawił walizkę i przeszli do salonu. Kolejna rzecz, którą w nim lubiła: powieka nawet mu nie drgnęła na widok panującego tu bałaganu. Zwolnił ją tym samym od szukania usprawiedliwień.

– Chcesz wina?

Pokręcił przecząco głową.

– Piwa niestety nie mam.

– Nie szkodzi. Woda wystarczy.

Poszła do kuchni, wyjęła ze zmywarki szklanekę, nalała do niej wody z kranu i dodała kilka kropel soku z cytryny.

Usiedli na kanapie, na przeciwległych jej końcach, jak dwójka nieznajomych, którzy przypadkiem znaleźli się na tej samej imprezie i nie mają żadnych wspólnych tematów. Wydało jej się to trochę komiczne, biorąc pod uwagę, że kiedyś kochali się na tej kanapie. Tylko raz, bo skórzane pokrycie wydawało przy tym tak komiczne dźwięki, że musieli co chwila robić przerwy, żeby się wyśmiać.

– Jak tata? – zapytała.

– Wybudzili go – odpowiedział Mortka, a w jego głosie wciąż brzmiało lekkie niedowierzanie. – Ma zniszczone płuca, czeka go jeszcze długa hospitalizacja i nie wiadomo, czy po drodze nie przydarzy się jakieś nieszczęście, ale wszystko jest na dobrej drodze, żeby wrócił do domu.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tylko telefonicznie. Nie wpuścili mnie na oddział.

– Szkoda.

– Szkoda, ale tak jest lepiej dla niego. Wszyscy musimy być teraz ostrożni, myśleć przede wszystkim o jego zdrowiu.

– Mówisz o tym tak, jakbyś sam w to nie wierzył.

Upił łyk wody.

– Bo nie wierzę – potwierdził. Przez moment rozglądał się za podkładką pod szklanę, ale żadnej nie znalazł, więc skorzystał z jednej z gazet. – Mój ojciec sam nie wierzy. Myślę, że wciąż spodziewa się najgorszego. Wiesz, co mi powiedział, kiedy rozmawialiśmy?

– Co?

– Zadał mi pytanie. Brzmiało: dlaczego ja? Wiesz, on tylu ludzi wsadzał pod te respiratory i tylu z nich umierało. Młodszy od niego, zdrowszy od niego. A on przeżył.

– Cieszę się z tego.

– Ja też.

– I na tym powinieneś się skupić, a nie na zastanawianiu się, dlaczego właśnie on, a nie nikt inny. Wiesz, co ja myślę?

– Co?

– Że po prostu dobrzy ludzie mają szczęście.

Parsknął śmiechem.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie wiedziałem, że jesteś wierząca.

– Nie jestem – zaprzeczyła. – Ale nawet my, bezbożni Francuzi, potrzebujemy od czasu do czasu poczucia, że we wszechświecie panuje jakiś porządek i sprawiedliwość.

Nie wyłączyła telewizora, dlatego przez chwilę w milczeniu oglądali zapętłony fragment jakiegoś amerykańskiego serialu o kobiecie, która straciła męża w wypadku samochodowym.

– Widziałeś się z synem? – zapytała w końcu.

– Tak.

– I co?

– I nie chce już ze mną rozmawiać. W ogóle.

– Przejdzie mu.

Skrzywił się.

– Nie wiem. Chłopak jest uparty.

– Jak ty.

– Tak. Jak ja.

– Myślę, że mu przejdzie.

– A ja myślę, że to po prostu spieprzyłem. We wszystkim, co mówiłaś, miałaś rację.

Uśmiechnęła się, nie triumfalnie, ale po prostu ciepło.

– No wiesz – stwierdziła po chwili namysłu – zrobił coming out podczas gry w *Call of Duty*. Do tego, kiedy zrobiliście jedynekę! Bardzo kiepski timing.

– To samo mu powiedziałem! – wykrzyknął Mortka.

Oboje się roześmieli i atmosfera w mieszkaniu zrobiła się nagle lżejsza, przyjemniejsza.

– Chciałem cię przeprosić – powiedział.

– Za co?

– Za to, co powiedziałem o twoim mężu. Przede wszystkim nie powinienem tego robić przez telefon.

– To chyba u was rodzinne, co? Zawsze wybieracie kiepskie środki komunikacji.

– To prawda. Poza tym w ogóle nie powinienem cię prosić o to, o co prosiłem. Nie mam prawa. To twoje życie, a to tutaj – wskazał na siebie, potem wskazał na nią – jest tylko romansiem dwójki ludzi, którzy są daleko od domu.

– To coś więcej niż romans – odparła, gładząc opuszką palca zimne szkło kieliszka. – Ale nie rozwiode się z Pierre'em.

– Wiem – powiedział.

Wstał. Wykonał ruch, jakby się przeciągał.

– Czas już na mnie, Justine – stwierdził, po czym skinął jej głową na pożegnanie i ruszył do przedpokoju.

– Jacques – zatrzymała go.

– Tak? – zapytał, obracając się w jej stronę.



– Idziesz jutro do pracy?

– Nie. Mam jeszcze dzień na ogarnięcie się.

– To zostań. Zrobisz mi rano śniadanie.

Uśmiechnął się. Został. Po raz drugi uprawiali seks na skórzanej kanapie.  
I dużo się przy tym śmiali.

– Dobrze żyj z tymi kurwami, bo one dużo wiedzą, ale jak masz ruchać, to gdzie indziej, bo tutaj w gratisie dostaniesz syfa.

To była jedna z pierwszych złotych rad, jakie dostał na początku swojej policyjnej drogi. Nie potrafił sobie przypomnieć tylko, kto mu jej udzielił. Podejrzewał, że Tobi, jego partner z patrolówki. Facet jeździł radiowozem po Warszawie przez piętnaście lat. Nie miał parcia na karierę. Opowiadał, że podoba mu się ta robota. Wszystkich znał w swoim rewirze, wiedział, kogo o co pytać, kogo przycisnąć, a na kogo machnąć ręką, bo niegroźny i może się przydać później. Mortce jednak przede wszystkim imponowało wtedy jego opanowanie. Tobi miał metr siedemdziesiąt i nadwagę, z powodu której w życiu nie przeszedłby żadnego testu sprawnościowego, ale jak trzeba było podejść do bandy pijanych, agresywnych wyrostków, to szedł do nich bez wahania. I zawsze wiedział, kiedy trzeba powiedzieć proste „spierdalać mi stąd”, a kiedy zagadać łagodniej. Pewnego dnia spędzili godzinę, gawędząc przez drzwi z facetem, który zamknął się w mieszkaniu i zamierzał się zabić. Tobi kazał wtedy Mortce siedzieć cicho, sam siadł na wycieraczce, wyjął drugie śniadanie i zaczął mówić. Mężczyzna w końcu wyszedł potulny jak baranek, chociaż początkowo groził, że jeśli spróbują wejść, to pociacha wszystkich nożem. Pozwolił się zaprowadzić do karetki, a Tobi dostał wtedy nawet jakąś nagrodę uznaniową. Tak, to była rada w stylu Tobiego.

Mortka wysiadł z ubera i ruszył Nowogrodzką. Najpierw skierował się na tyły Marriotta. Dziwne, że tyle czasu minęło, tyle się zmieniło, pojawił się internet, te wszystkie portale, tindery, a jak dziewczyny stały ponad trzydzieści lat temu na tyłach hotelu, tak dalej tam stoją. Zanim do nich podszedł, rozejrzał się dyskretnie. Nikt nie chował się w zaparkowanych

samochodach, żadnych udających spacerowiczów patroli, nikt nie ukrywał się w bramach.

– To tyle, jeśli chodzi o twoją obserwację – mruknął do siebie.

Podejrzał, że gdzieś jest tutaj jakiś patrol, pewnie krążył po okolicy, ale jak mówił Suchej, to był duży teren. Za duży, żeby dobrze go obstawić w tak krótkim czasie.

Ruszył do dziewczyn. Kiedy zauważyły, że się zbliża, przybrały bardziej wyzywające pozy.

– Czego ci potrzeba, kochany? – zapytała jedna z nich.

Miała nieprzyjemnie zachrypnięty głos. Mortka od razu pomyślał, że w dzisiejszych czasach Tobi ostrzegąby go nie tylko przed syfem, ale jeszcze gratisowym covidem.

– Komisarz Mortka, Komenda Stołeczna Policji – przedstawił się od razu.

Właściwie niewiele kłamał: wciąż był zatrudniony w Komendzie Stołecznej, bo w Europolu znajdował się na delegacji.

Nastawienie dziewczyn momentalnie zmieniło się z kuszącego na agresywne.

– Spierdalaj! – warknęła jedna.

– My tu nic nie robimy! Na kolegę czekamy! – dodała druga.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby robić wam problemy.

Popatrzyły na niego podejrzliwie.

– A co? Darmową laskę chcesz? To już nie te czasy, kolego.

– Poza tym najpierw odznakę pokaż, chuju. My tu nie jesteśmy głupie!

Mortka bez słowa sięgnął do kieszeni po złożoną na czworo kartkę z wydrukowanym wizerunkiem Tomasza Cieleckiego. Rozłożył ją ostrożnie i podsunął obu kobietom pod nos.

– Znacie go? – zapytał.

– Nie – odpowiedziały zgodnie.

Oczywiście, że nie, pomyślał. Takiej odpowiedzi zresztą się spodziewał. Dziewczyny chroniły swoich klientów, przynajmniej tak długo, dopóki tamci zachowywali się przyzwoicie. Jasne, zawsze można było je przycisnąć i wtedy zazwyczaj, prędzej czy później, policjanci dostawali to, czego chcieli, ale dzisiaj Mortka nie miał czasu. Zresztą nie po to tu przyszedł.

– Ten facet jest niebezpieczny – powiedział. – I to bardzo. Nie wsiadajcie do jego samochodu, nigdzie z nim nie idźcie. Ostrzeżcie inne dziewczyny. A jeśli się tutaj pojawi, natychmiast zawiadomcie policję.

Co do tego ostatniego, to sam nie wierzył, żeby go posłuchały, ale może przynajmniej zastosują się do reszty.

– Macie komórkę? – zapytał.

– Tak.

– To zróbcie zdjęcie i pokażcie je innym – dodał.

Powinien im po prostu je wręczyć, ale opuszczał komendę w pośpiechu. Wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu – z grubsza tyle, ile Sucha będzie rozmawiać z Guntherem. Potem zorientuje się, że zniknął, a następnie domyśli się, dokąd poszedł. I pewnie będzie próbować go powstrzymać. Dlatego zgarnął tylko jedną kartkę z wizerunkiem Cieleckiego. Po prostu nie miał kiedy zrobić więcej kopii.

Jedna z prostytutek wyjęła z kieszeni kurtki komórkę i pstryknęła zdjęcie. Mortka złożył kartkę na czworo, skinął im głową na pożegnanie i ruszył dalej. Odchodząc, czuł na swoich plecach ich zdziwione spojrzenia.

Jego telefon zawibrował, informując o nadchodzącym połączeniu. Sprawdził wyświetlacz: Sucha. Czyli już wyszła od Gunthera. Powinien się pospieszyć.

Idąc Nowogrodzką, napotkał kolejną dziewczynę, tym razem samotną. Odbył z nią rozmowę niemal identyczną, jak z tymi dwiema spod Marriotta. Ona też potraktowała go najpierw jako potencjalnego klienta, potem obrzuciła wyzwiskami, żeby wreszcie go wysłuchać i zrobić zdjęcie.

Odchodząc, miał tylko nadzieję, że potraktuje go poważnie, a nie weźmie za jakiegoś wariata.

Zarzucił sobie kaptur bluzy na głowę, ale szybko go zdjął. Nie chciał wyglądać podejrzanie. Jeśli szuka go teraz jakiś patrol, to prędzej zwróci uwagę na przemykającego ukradkiem podejrzanego typa, zasłaniającego twarz, niż na mężczyznę, który pewnym krokiem przemierza ulice. A przynajmniej taką Mortka miał nadzieję. Rozglądał się uważnie, jednak nie dostrzegł żadnego potencjalnego policjanta. Zastanawiał się, czy Sucha w ogóle zarządziła tę obserwację.

I wtedy ich zauważył. Cywilny samochód jadący Nowogrodzką, zdecydowanie zbyt wolno jak na kogoś, kto po prostu tędy przejeżdża. Mortka pomyślał, że równie dobrze mogliby wyciągnąć koguta i włączyć sygnalizację.

Miał dużo czasu. Wsunął się do najbliższej bramy. Oczywiście była zamknięta, ale wystarczyło, żeby schował się w cieniu, pochylił głowę, schował dłonie za plecami i spokojnie czekał. Wóz, prawdopodobnie kilkuletni ford, minął go po kilkudziesięciu sekundach. W środku dostrzegł twarze dwóch mężczyzn. Rozglądali się uważnie na boki.

Nie zauważyli go.

Odczekał jeszcze kilkanaście sekund i dopiero wtedy wysunął się z bramy.

– Ożeż kurwa mać! Ależ mnie, człowieku, wystraszyłeś!

Niemal wpadł na przechodzącą właśnie chodnikiem kobietę. Szybko spojrzał w stronę, gdzie odjechał policyjny wóz. Pomyślał, że funkcjonariusze w środku mogli usłyszeć krzyk, ale nie.

– Przepraszam – rzucił i przyjrzał się osobie, którą przestraszył.

Od razu wiedział, że stoi przed nim prostytutka. Jej strój i makijaż nie pozostawiały żadnej wątpliwości: to była weteranka. Wydawało mu się, że już ją tutaj widział, oczywiście lata temu, chociaż nie przypominał sobie ani jej imienia, ani ulicznej ksywki.

– Komisarz Mortka, Komenda Stołeczna Policji – przedstawił się.

Kobieta zmarszczyła brwi i chwyciła się pod boki.

– To teraz zamiast pilnować porządku, wyskakujecie na dziewczyny po nocach? – zapytała drwiąco. – Masz szczęście, że swój gaz oddałam, bo już dawno byś dostał między oczy.

Nie skomentował tego w żaden sposób. Ci dwaj policjanci z samochodu pewnie zaraz zadzwonią do Suchej i powiedzą, że nigdzie nie znaleźli Mortki, a ona pewnie ich opieprzy z góry na dół i każe sprawdzić cały teren ponownie, tym razem dokładniej. Albo ściągnie tu więcej ludzi.

Wyjął więc kartkę z wizerunkiem Cieleckiego, rozłożył ją i pokazał kobiecie.

– Znasz go?

Rzuciła okiem na fotografię. Pokręciła przecząco głową.

– Kto to? – zapytała.

– Ktoś niebezpieczny. Nie wsiadaj do jego samochodu, nigdzie z nim nie idź i ostrzeż inne. Jeśli się tutaj pojawi, natychmiast zawiadom policję – powiedział, składając kartkę.

Chciał już iść, szukać kolejnej dziewczyny, ale kobieta chwyciła go nagle za rękaw i przytrzymała.

– Co to znaczy, że jest niebezpieczny? – zapytała, a w jej głosie nie było słychać ciekawości, tylko raczej strach.

– Zabił już co najmniej dwie dziewczyny, w tym jedną dzisiaj. Do innej strzelał, ale zdołała mu uciec. Jeździ białym samochodem terenowym. Znasz go?

– Ściemniasz, prawda? Szukacie go z zupełnie innego powodu.

– Zabił co najmniej dwie prostytutki – powtórzył Mortka. – Próbował zabić trzecią. Prawdopodobnie spróbuje zabić ponownie. I to dzisiaj, bo domyśla się, że go szukamy.

Kobieta zachwiała się na szpilkach, oparła się dłonią o brudną ścianę, pochyliła głowę i pukle rudych włosów zasłoniły jej twarz. Oddychała ciężko.

– Kurwa – jęknęła.

– Znasz go?

– Powiedziała jej, że on jest w porządku.

– Komu powiedziałaś?

Przełknęła ślinę. Wyprostowała się.

– Nowej dziewczynie – wyszeptała. – Ani. Powiedziała jej, że on jest w porządku. Ale ten facet nie przyjechał białym samochodem, teraz jeździ taksówką.

– Poczekaj tutaj – powiedział Mortka i odszedł kilka kroków w bok. Kątem oka zauważył, że starsza prostytutka przykucnęła, a potem nie utrzymała równowagi i wylądowała na tyłku. Nie przejęła się tym jednak, tylko zaczęła grzebać w torebce, skąd wreszcie wyjęła paczkę papierosów.

Komisarz tymczasem wybrał numer Suchej. Odebrała zaledwie po dwóch sygnałach.

– Mortka, co ty sobie...

– Zamknij się – przerwał jej. – Zabrał kolejną dziewczynę. I jeśli ją zabije, to będzie twoja, kurwa, wina.

W jakiś dziwny sposób przez cały ten czas, kiedy jechali taksówką, Ani udawało się nie myśleć o tym, co ją czeka. Teraz jednak, kiedy weszli do windy i wjeżdżali na górę, miała wrażenie, że wnętrzności wywracają się jej na lewą stronę. Powtarzała sobie, że przecież nie robi niczego złego, niczego, czego powinna się wstydzić. Złe było to, co zrobili ci dwaj chłopacy na studniówce i nawet nie próbowali tego ukrywać. Opowiadali o tym każdemu, kto chciał ich słuchać. Złe było to, że Michał nie chciał się po tym do niej odzywać. Złe było to, że Darek zostawił ją, gdy zrobił jej dziecko. Złe było to, że Wojtek tak pięknie opowiadał o swojej miłości do niej tylko po to, żeby ją parę razy przelecieć i ukraść pieniądze odłożone dla jej synka. Ona była po prostu dorosłą kobietą, która zgadza się uprawiać z dorosłym mężczyzną seks za pieniądze. Nikogo nie okradała. Nikomu nie robiła krzywdy.

Przez głowę przelatowały jej te wszystkie myśli i bolesne wspomnienia, ale pilnowała się, żeby nie dać niczego po sobie poznać. Upominała się w duchu raz za razem, że powinna się uśmiechać.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział mężczyzna, stając przed drzwiami mieszkania.

– Super – odparła cicho.

Wydawało się, że powinna teraz pocałować go w policzek, objąć albo uwiesić mu się na ramieniu, jednak żadnej z tych rzeczy nie potrafiła zrobić. Stali obok siebie jak dwoje nieznajomych, co właściwie było prawdą. Przestraszyła się, że kiedy znajdą się w środku, to też będzie tak wyglądać, nawet jak już będą nadzy. I że nic nie poczuje, a tam, na dole, będzie zupełnie sucha. Miała paczkę prezerwatyw, ale nie wzięła żelu nawilżającego. Nawet o nim nie pomyślała. Może następnym razem...



Następnym? Będzie następny? Już o nim myślała, a nie miała za sobą nawet pierwszego.

– Proszę – powiedział mężczyzna, otwierając przed nią drzwi.

Weszła do środka i poczuła rozczarowanie. Myślała, że ten facet jest bogaty. Przywiózł ją tutaj taksówką, bez mrugnięcia okiem zgodził na się tysiąc złotych za noc, więc spodziewała się jakiegoś apartamentu albo ładnego hotelu. Tymczasem trafiła do skromnie urządzonej, trochę zaniedbanej kawalerki.

A co ty myślałaś, ofuknęła się zaraz, że facet zawiezie cię do swojego domu, przedstawi żonie, dzieciom? Nie, pewnie wynajął po tanioci lokal na jedną noc i tyle. Ważne, że w miarę czysty, że po wszystkim mogła się wykapać, a łóżko było nawet duże. Zaniepokoił ją tylko brak pościeli – na gołym materacu leżały jedynie dwie poduszki. Na nocnym stoliku dostrzegła buteleczkę żelu nawilżającego. Trochę jej ulżyło. Jakby co, to się nim wspomóże.

Usłyszała, jak mężczyzna zamyka drzwi, a potem zamki. Mimowolnie się wzdrygnęła. Odwróciła się powoli. Stał naprzeciwko niej, w odległości około półtora metra. Zaczęła się zastanawiać, co powinna teraz zrobić. Zacząć się rozbierać? Zazartować? Flirtować z nim? A może po prostu klęknąć i rozpiąć mu rozporek?

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Ania – powiedziała, zanim zdążyła się ugryźć w język. Dlaczego podała mu swoje prawdziwe imię? Powinna sobie wymyślić jakiś pseudonim. Coś, co utrudni ustalenie jej prawdziwej tożsamości.

– Skąd jesteś, Aniu?

– Z Warszawy.

– A naprawdę?

Wzruszyła ramionami. Nie chciała mu mówić o sobie niczego więcej.

– Nie chcesz mi powiedzieć? – raczej stwierdził, niż zapytał.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo... – przełknęła ślinę – chyba nie po to tutaj przyjechaliśmy.

– Masz rację. Nie po to.

– Mogę poprosić cię o coś do picia?

Zmrużył powieki. Stał w taki sposób, że blokował jej drogę i do łazienki, i do kuchni. Już nie wspominając o wyjściu na klatkę. Nagle wydał się nieprzyjemny i groźny. Poczowała strach. Przypomniała sobie Rudą Jolę, która zapewniła: „Ten jest w porządku”, ale właściwie dlaczego tak powiedziała? Dlaczego jej w ogóle pomagała? Z dobroci serca? Na pewno nie, przecież były dla siebie konkurencją. Ruda Jola zastawiła na nią pułapkę. Ten facet na pewno jest jakimś gwałcicielem, dlatego od razu zgodził się na tysiąc złotych. Po prostu nigdy nie zamierzał jej płacić, więc teraz była skazana na jego łaskę i niełaskę. Pewnie najpierw ją pobije, a potem wykorzysta, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że ona nie pójdzie z tym na policję. Nikomu nie przyzna się do tego, co tutaj zaszło.

– Chcę stąd iść – powiedziała.

– Co takiego?

Co ona sobie w ogóle myślała? Naprawdę chciała dawać facetom za pieniądze? Tak, chciała to zrobić dla syna, dla Rafała, i ze względu na to, co zrobił jej Wojtek. Czy naprawdę przyznanie się mamie, że została okradzona przez faceta, któremu zaufała, byłoby aż takie straszne? Tak, pewnie mama tego nie zrozumie, będzie na nią zła, powie jej wiele przykrych rzeczy, ale to i tak wydało się Ani lepsze niż zmuszanie się do tego. Teraz to wiedziała, teraz zrozumiała. Może Klaudia to potrafiła, może Rudej Joli sprawiało to przyjemność, ale jej nie.

– Chcę stąd iść. Zmieniłam zdanie.

Wsadziła rękę do torebki i zacisnęła palce na puszcze z gazem. Ruszyła przed siebie zdecydowanym, jak miała nadzieję, krokiem.

Mężczyzna ją odepchnął. Był silniejszy, niż się spodziewała. Poleciała do tyłu, poczuła, jak łamie się jej obcas, a kostka boleśnie wykręca. Szczęśliwie, upadła na łóżko. Mężczyzna nawet się nie poruszył. Przypatrywał jej się z ciekawością entomologa, który zauważył interesujący

okaz motyla i szykował się już do tego, żeby przybić go szpileczkami do drewnianka.

Zrzuciła buty. Dużo kosztowały, ale trudno. Zostawi je tutaj. Wygodniej jej będzie uciekać bosą.

– Będę krzyczeć – powiedziała.

– Nie będziesz – oznajmił chłodno, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

Dlatego wrzasnęła i naprawdę go tym zaskoczyła. Właściwie siebie też, bo przypomniała sobie, że przecież wtedy, na tamtej studniówce, wcale nie krzyczała. Siedziała cichutko, zagryzała zęby, jakby brała udział w mistrzostwach w milczeniu na czas albo w teleturnieju *Ile jesteś w stanie znieść, zanim wydasz z siebie dźwięk?*, gdzie nagrodą jest nowy samochód, milion złotych w gotówce i romantyczny wypad we dwoje na Malediwy.

A teraz wrzeszczała.

Poderwała się w górę. Kostka zapiekła ją żywym ogniem, ale mimo to jakoś stawiała kolejne kroki. Wyciągnęła z torebki puszkę z gazem, podniosła i nacisnęła przycisk. Mężczyzna zawył. Próbował się zasłonić dłońmi, ale za późno. Wyminęła go bokiem, odepchnęła. Przed sobą miała już drzwi na klatkę schodową.

I wtedy poczuła, jak tamten chwyta ją od tyłu za włosy. Jak szarpie z całych sił, zaciąga z powrotem w głąb mieszkania, a ona z jakiegoś powodu nie jest w stanie mu się przeciwstawić. Chociaż próbowała, zapierała się, to jednak ten atak był tak zaskakujący i tak gwałtowny, że przez chwilę po prostu nie wiedziała, co się z nią dzieje. A potem on ją uderzył pięścią w brzuch. I nawet nie chodziło o ból, bo bólu jeszcze nie czuła, tylko o to, że zupełnie odebrało jej dech.

Miała wrażenie, jakby stanęła gdzieś obok siebie. Znowu znalazła się w tym małym pokoiku, znowu poleciała na łóżko, ale już razem z nim. Cały czas trzymał ją za włosy, bił, szarpał ubranie. Puszka z gazem wyleciała jej z ręki, przeturlała się po podłodze i wreszcie zatrzymała się na białym puchatym dywanie. Kiedy upadali, uderzyła tyłem głowy o ścianę. Zamroczyło ją na moment i straciła ostrość widzenia. Kiedy ją odzyskała,

najpierw ujrzała jego twarz. Była cała szkarłatna, z oczami nabiegłymi krwią, zaciśniętymi zębami, jakby targał nim jakiś straszny ból. Lśniła od potu i spływających po policzkach łez. Potem zobaczyła dłoń i jakiś ciemny kształt. Dopiero po chwili dotarło do niej, że to pistolet. Nie zdążyła się jednak przestraszyć, bo wtedy na jej głowę spadła poduszka. Nie miała jak oddychać. W nozdrza wdarł się gryzący zapach kurzu i pierza. Szarpnęła się i zsunęła poduszkę w okolice mostka. Znowu widziała jego wykrzywioną wściekłością twarz. Nagle dotarło do niej, że on jej nie widzi. Że wszystko robi na ślepo, bo gaz wżera mu się w oczy. Zanim zastanowiła się, jak to wykorzystać, coś metalowego wbiło się w poduszkę i przycisnęło do jej piersi. W jakiś sposób wiedziała, że to lufa pistoletu.

Huk.

Smród palonego prochu.

Pomyślała, że ten wystrzał był bardzo głośny. To nie było takie pyknięcie jak w filmach, tylko dźwięk, od którego mogły popękać bębenki.

Przypomniała sobie, że najpierw ona krzyknęła, potem on, kiedy dostał gazem po oczach, a teraz to. Narobili w mieszkaniu sporo hałasu. Ktoś na pewno ich usłyszał i przyjdzie jej pomóc, pomyślała, starając się nie myśleć o tym, jak ciężko jest wziąć kolejny oddech, jak traci kontrolę nad ciałem, jak wszystko się oddala, zanika. Skupiała się tylko na tym, że było ich słychać. Na dole, na górze, z boku. I zaraz ktoś przyjdzie. Na pewno. Tak będzie.

Zaraz...

Ktoś...

Przyjdzie...

Mortka stał niedaleko samochodu, w którym siedziała kobieta przedstawiająca się jako Ruda Jola. Przed tym samym autem jeszcze kilkanaście minut wcześniej chował się w bramie. Teraz prostytutka opowiadała dwóm ubranym po cywilnemu policjantom o Ani, o tym, skąd się tutaj wzięła i z kim pojechała. Komisarz czekał ze zwieszoną głową na zewnątrz i czuł wściekłość przemieszana z bezradnością. Spełnił się czarny scenariusz, którego się obawiał. Przestrzegał przed nim Suchą. Powiedział dokładnie, jakie słabe strony ma jej plan i jak powinna postąpić, ale go nie posłuchała. Nie wiedział dlaczego. Naprawdę wierzyła, że może jej się udać? Chęć złapania zabójcy okazała się ważniejsza niż troska o życie pracujących na ulicy kobiet? A może po prostu chciała mu pokazać, że teraz ona rządzi w wydziale? Jakakolwiek była odpowiedź, nie miało to już znaczenia. Mortce pozostało tylko czekanie i nadzieja, że inni policjanci złapią Cieleckiego, zanim ten zamorduje kolejną dziewczynę. Tylko skoro mężczyzna wymykał im się przez całą noc, jaką mieli szansę na to, że właśnie teraz im się poszczęści?

W oddali zauważył światła samochodu skręcającego w Poznańską. Po kilku sekundach rozpoznał w nim dobrze mu już znane bmw. Wóz zatrzymał się tuż przy Mortce i wysiadł z niego Zych, wcześniej uruchamiając światła awaryjne. Skinął mu głową, po czym podszedł do samochodu z przesłuchującymi Rudą Jolę policjantami. Zapukał w boczną szybę, poczekał, aż się opuści, i machnął legitymacją przed twarzą siedzącego w środku funkcjonariusza.

– Zabieram tego tam – powiedział i wskazał palcem na Mortkę.

– Jasne.

Zych machnął dłonią na komisarza, dając mu znak, żeby wsiadał do bmw, i Mortka bez słowa komentarza wykonał polecenie. Nie zamierzał się

kłócić. Jego obecność tutaj niczemu przecież nie służyła. Usiadł na siedzeniu pasażera, zapiął pas i ściszył radio, w którym właśnie leciała jakaś smętna piosenka z lat osiemdziesiątych.

Zych wrócił do wozu, wyłączył światła awaryjne, włączył silnik i ruszyli na skrzyżowanie ze Wspólną. Tam skręcili w lewo, potem od razu w prawo na Marszałkowską i przez plac Konstytucji skierowali się na południe Warszawy.

– Co się tutaj dokładnie wydarzyło? – zapytał Zych.

– Przyjechał i zabrał kolejną dziewczynę – odpowiedział Mortka. – Na miejscu były nasze cywilne patrole. Podobno nawet trzy, chociaż widziałem jeden.

– Niczego nie zauważyli?

– Nie, bo wypatrywali białego wozu terenowego, a Cielecki przyjechał taksówką.

– Tak, słyszałem. Ciekawe, dlaczego porzucił wóz.

– Domyślił się, że go szukamy po tej akcji na stacji benzynowej.

– Ale do Lesznowoli pojechał jednak swoim samochodem – zauważył Zych. – Czyli porzucił go dopiero później. Ze względu na tych dwóch świadków?

– Być może. Albo... – Mortka zawiesił głos.

– Co takiego?

– Przeszukanie jego domu. Przyjechał wóz strażacki, było sporo gapiów. Któryś z sąsiadów mógł do niego zadzwonić. Nawet nie po to, żeby ostrzec, po prostu powiedzieć, że w jego domu dzieje się coś dziwnego.

– Odwiedziliśmy sąsiednie domy – zauważył policjant. – Nikt nie przyznaje się do rozmowy z Cieleckim.

– Ludzie kłamią, Zych.

– Dlaczego by mieli kłamać w tej sprawie?

– Chociażby ze strachu. Bo nagle do nich dotarło, że przez przypadek mogli zrobić coś złego. Nie chcą mieć kłopotów.

Zych postukał palcami w kierownicę, jakby wybijał rytm do piosenki z radia, chociaż teraz ledwo było ją słyszeć. Wreszcie skinął głową, przyznając Mortce rację.

– Dowiemy się, kiedy przeanalizujemy jego billingi.

– Tak.

– Szukamy już tego taksówkarza – rzucił Zych, zmieniając temat. – Ale to trochę zajmie, bo ta kobieta nie zapamiętała ani numeru, ani nazwy korporacji, ani nawet modelu samochodu. Nawet koloru nie jest pewna.

– Wiem.

– No tak. Ty z nią pierwszy rozmawiałeś. Pewnie nawet już wiesz, jaką bieliznę nosi, co?

– Taka weteranka jak ona? Na pewno jakieś ciepłe bawełniane gacie.

– A nie koronkowe fatałaszki?

– Koronki może robią wrażenie na facetach, w tym fachu podstawa to nie przeziębienie swojego narzędzia pracy.

Zych parsknął śmiechem.

– Jak przeszukanie domu Cieleckiego? – zapytał Mortka.

– Ciągle trwa – odpowiedział policjant. – Jest tam sporo ciekawych rzeczy, ale nic, co by pomogło nam go odnaleźć.

– Telefon?

– Zlokalizowany i znaleziony na śmietniku na stacji benzynowej. Ktoś tam teraz przesłuchuje obsługę. Nic więcej nie wiem na ten temat.

Czyli zrobili już wszystko, co tylko mogli, stwierdził w duchu Mortka. Próbował nie myśleć o tym, że gdyby tylko nie uległ Suchej, gdyby jej nie posłuchał i wyszedł kilkadziesiąt minut wcześniej, to teraz nie zastanawiałby się nad tym, czy odnajdą dziewczynę żywą czy martwą.

– Gdzie jedziemy? – zapytał.

Dawno minęli już Pole Mokotowskie, teraz jechali Puławską w stronę metra Wilanowska i skrzyżowania z aleją Wilanowską oraz aleją Niepodległości.

– Sucha... przepraszam, podinspektor Suchecka kazała mi cię zawieźć na komendę.

– Ale nie jedziemy na komendę.

– Nie – potwierdził Zych.

– To gdzie?

Policjant milczał przez kilka sekund, jakby zastanawiał się nad tym, czy powinien udzielić mu odpowiedzi.

– Ten facet przyjechał po nią taksówką – zaczął wreszcie. – Taksówką nie pojedzie już do Lesznowoli. Nie pojedzie też na żadne zadupie. Wie, że to się wyda podejrzanie. I dziewczynie, i taksówkarzowi.

– Czyli?

– Czyli musiał podać jakiś adres, konkretną ulicę. Zwróć uwagę, Lesznowola to był wyjątek, bo Fatimę chciał zabić u siebie w domu. To jest właśnie jego styl: wszystko na spokojnie, bez pośpiechu, bez ryzyka, że ktoś mu przeszkodzi. Bez świadków. Myślę, że ma jeszcze jeden lokal. I tam ją zabrał.

– Gdzie?

– Kinol mówił, że kiedy stracił kontakt z tą zamordowaną dziewczyną, bo przestała od niego odbierać telefony, od razu poszedł do mieszkania, które jej wynajął. Było zamknięte. Walił do drzwi, ale nikt nie otwierał. Wkurzony wrócił do siebie po klucze. Dopiero wtedy otworzył i w środku znalazł ciało.

– Czyli morderca...

– Wychodząc, wziął klucze dziewczyny i zamknął drzwi na wszystkie zamki – dokończył Zych.

– Co się teraz dzieje z tym mieszkaniem?

– Moim zdaniem? Stoi puste.

– Mówiłeś o tym Suchej?

– Jeszcze nie. Wpadłem na to, kiedy jechałem po ciebie.

Mortka pokiwał głową.



– Gdzie jest to mieszkanie?

– Sadyba. Myślisz, że to, co mówię, ma sens?

Po jego minie widać było, że naprawdę mu zależy na odpowiedzi. Naprawdę chciał poznać zdanie Mortki. Po tej arogancji sprzed kilku godzin nie został nawet ślad. Jakby dotarło do niego wreszcie, jaka jest stawka tego wyścigu, w którym biorą udział.

– Zych...

– Co?

– Jedź szybciej – powiedział Mortka.

Silnik bmw zawył, kiedy policjant przycisnął pedał gazu.

Mortka przyspieszył. Prześcieradło zawinęło mu się wokół nóg, więc zaczął wykonywać niezgrabne ruchy, żeby je z siebie zrzucić. W tym samym momencie Justine uniosła biodra, tak że znalazł się jeszcze głębiej w niej. Jęknął. Ona odpowiedziała tym samym. I wtedy poczuł nadciągający orgazm. Tak szybko i tak gwałtownie, że nie miał żadnych szans, by go w jakikolwiek sposób spowolnić. Mógł zrobić tylko jedno – wbić się w nią, wtulić mocno, przycisnąć głowę do jej ramienia i skupić się na dotyku jej twardych piersi na swojej klatce piersiowej.

Drżały mu nogi, drżały mu pośladki, z trudem łapał oddech. Justine głaskała go łagodnie po plecach, czekając, aż wróca mu siły. Wreszcie delikatnie z niej wyszedł, a potem opadł obok. Położyła mu dłoń w okolicach mostka.

– Ale ci serce mocno bije – powiedziała.

– No – rzucił, bo tylko na tyle było go stać.

– Mam nadzieję, że nie jesteś jeszcze w tym wieku, kiedy dostaje się ataku serca podczas seksu, co?

– No ja też – powiedział i podniósł się na ramionach. Znalazł szklanekę wody stojącą na stoliku nocnym i upił dwa potężne łyki. – Ale daj spokój, to był przecież już trzeci raz.

– I jak na trzeci raz, skończyłeś zaskakująco szybko – zauważyła.

– Przepraszam...

– Nie ma za co, Jacques. Poprzednie dwa razy trwały znacznie dłużej, więc ja czuję się usatysfakcjonowana. Poza tym w pewnym sensie było to miłe.

– W jakim sensie? – zapytał z lekką podejrzliwością w głosie.

– Znowu poczułam się tak, jakbym miała w łóżku siedemnastolatka.

Najpierw spojrział na nią urażony, a potem wybuchnął śmiechem.

– Potraktuję to jako komplement – powiedział, odstawiając szklanekę i kładąc się z powrotem. – W końcu ilu facetów w moim wieku jest w stanie uprawiać seks trzy razy z rzędu?

Justine przysunęła się do niego i oparła podbródek na jego piersi.

– Nie wiem, czy to się liczy jako z rzędu – stwierdziła. – Jednak pomiędzy były spore przerwy.

Zmrużył oczy, pogłaskał ją po głowie, a potem owinął sobie wokół palców kosmyk jej włosów.

– No to jednej nocy – sprecyzował. – Ilu facetów w moim wieku jest w stanie uprawiać seks trzy razy jednej nocy?

Udała, że się zastanawia.

– Polaków to nie wiem – odpowiedziała po kilku sekundach. – Ale Francuzów całkiem sporo.

Uśmiechnął się i pociągnął ją delikatnie za włosy. Zapiszczała, a potem uderzyła go otwartą dłonią. Którą zaraz potem zaczęła go masować. Najpierw po klatce piersiowej, potem po brzuchu, żeby wreszcie zejść w okolice krocza i chwycić go za penisa. Na przemian głaskała go i drażniła.

– A dasz radę po raz czwarty, mój siedemnastolatku? – zapytała z figlarnym uśmiechem.

– A Francuzi dają radę?

– Nie! – zaprzeczyła ostro. – Nigdy żaden Francuz nie kochał się z kobietą cztery razy tej samej nocy! To fizycznie niemożliwie, szanowny panie! Niemożliwe!

– W takim razie – powiedział, nachylając się do niej i całując ją w czoło – zobaczymy, na co stać Polaków.

Chwycił ją za ramiona, przekręcił na plecy i przywarł ustami do jej ust, a dłońmi zaczął pieścić jej piersi. I wtedy zadzwonił telefon. Justine zamarła. Wyswobodziła się z jego objąć i posłała mu pytające spojrzenie.

– Twój czy mój?

– Nie wiem.

Zeszła z łóżka, kucnęła i zaczęła grzebać wśród leżącej na podłodze odzieży. Mortka obserwował linię jej pleców i pośladki. Justine w końcu znalazła swój aparat, ale ekran był ciemny.

– Twój – powiedziała.

Wzruszył ramionami. Wkrótce sygnał ucichł, a on dał jej znak, żeby do niego wracała. Ale wtedy komórka znowu zaczęła dzwonić.

– To chyba coś ważnego – zauważyła.

– Chyba – potwierdził niechętnie.

Zsunął się z łóżka. Uważał, że nago nie wygląda tak dobrze, jak Justine. Trochę niezręcznie się czuł, wiedząc, że na niego patrzy i widzi wszystkie niedoskonałości jego ciała. Dlatego szybko znalazł spodnie, a w nich telefon. Dzwoniła Ola. Skrzywił się. Nie chciał z nią teraz rozmawiać, ale czuł, że jeśli znowu nie odbierze, będzie próbowała do skutku, a jeśli wyciszy dzwonek, to następnego dnia czeka go awantura na ten temat. Niby od lat nie byli już małżeństwem, niby dzieliło ich prawie tysiąc kilometrów, a i tak wolałyby tego uniknąć.

– Zaraz wracam – powiedział do Justine, która chowała się już pod prześcieradłem.

Odebrał. Przycisnął sobie telefon policzkiem do ramienia i zaczął wkładać spodnie. Nie potrafili rozmawiać z Olą bez ubrania.

– Co jest? – zapytał.

– Andrzeja zatrzymała policja – wydusiła z siebie. Nie widział jej, ale był pewien, że płacze. Słyszał to w jej głosie.

Zaczął się zastanawiać, o co chodzi i jak wielki mają problem. Jeśli wdał się w jakąś awanturę po pijaku, sprawa powinna rozejść się po kościach. Bójka to już był kłopot większego kalibru, szczególnie jeśli tej drugiej osobie stała się poważniejsza krzywda. Ola wspominała, że Andrzej ćwiczył mieszane sztuki walki, a to paradoksalnie działało na jego niekorzyść. Nawet jeśli uszkodził kogoś w obronie własnej, to sąd mógł uznać, że jako sportowiec powinien zdawać sobie sprawę ze swojej siły

i zareagować inaczej. No ale to był już ten czarny scenariusz. O co mogło jeszcze chodzić? Jazda po pijanemu? Nie, nie podejrzewał syna o taką głupotę. Wandalizm? Mógł z kolegami wpaść na jakiś idiotyczny pomysł i go zrealizować. Trudno, zdarza się, będzie mieć nauczkę na całe życie. Ale czy w takim razie Aleksandra dzwoniłaby do niego po nocy i do tego szlochając do słuchawki? Nie. Pozostawał najbardziej prawdopodobny scenariusz: narkotyki. Pewnie podczas rutynowego legitymowania znaleziono przy nim trochę trawki, może jakieś tabletki, które młodzi łykają teraz w klubach. Tylko ile tego było i czego dokładnie? Miał jedynie nadzieję, że Andrzej trzymał się z dala od heroiny i kokainy. Tyle że tym mógł przecież zająć się Adam, w końcu był adwokatem. Mortka z bólem to przyznawał, ale w tej sytuacji z drugiego męża Oli był większy pożytek niż z niego. Szczególnie że on siedział w Holandii.

– Dobra. Weź głęboki wdech – poprosił, bo ciągle płakała – i powiedz mi, za co go zatrzymali.

– Za zabójstwo, Kuba – powiedziała Ola. – Zatrzymali naszego synka za zabójstwo.

Siedział na podłodze oszołomiony i skołowany. Nie do końca docierało do niego to, co się właśnie wydarzyło. Nie do końca potrafił sobie przypomnieć ostatnie kilkanaście sekund swojego życia. Jakby ktoś je wyciął, tak jak wycina się kawałki filmu na stole montażowym. Piekły go za to oczy, nos, skóra twarzy, wnętrze gardła. Płakał. Z nosa wylatywały mu przezroczyste, lepkie smarki, ślina skapywała z brody prosto na podłogę. Podejrzewał, że wyglądał teraz żałośnie. Jak wielki niemowlak, który zмага się z pierwszą w życiu kolką.

Dobrze, że miał tyle rozumu w głowie, żeby tego nie wycierać, bo tylko pogorszyłby sprawę. Cząsteczki gazu pieprzowego jeszcze bardziej podrażniłyby skórę i oczy. Ślepy jak kret, wymacał drogę do łazienki. Tam znalazł kran i odkręcił wodę.

Nic się nie wydarzyło.

Poruszył kilka razy kurkiem w jedną i w drugą stronę. Bez skutku. Wściekły uderzył pięścią o umywalkę, a potem oparł się na niej i dyszał ciężko. Powinien się tego domyślić. Mieszkanie stało puste od dłuższego czasu, właściciel musiał zakręcić wodę. Nie było szans, żeby odnalazł teraz zawory.

Na oślep przeszedł do kuchni i wymacał zlewozmywak. Tam też nie było wody, więc wrócił do pokoju. Odważył się otworzyć oczy, delikatnie, tak że powstała tylko niewielka szparka pomiędzy powiekami. Ale i tak zapiekło, jakby ktoś wbijał mu tam tysiące maleńkich, rozżarzonych do czerwoności igiełek. Z jego gardła wydobyło się coś pomiędzy piśnięciem a chrząknięciem.

Obraz był zamazany. Widział kształty i plamy, a nie konkretne przedmioty. Biała plama dywanu, brązowa plama łóżka, a na niej wielobarwna plama martwego ciała z dominującą czerwienią wylewającej

się z niego krwi. A niedaleko jakiś kwadratowy przedmiot. Chwilę mu zajęło, zanim zorientował się, że to jej torebka. Podniósł ją i zaczął wyrzucać z niej kolejne rzeczy. Portfel, komórka, krem, kilka podpasek, klucze, aż wreszcie znalazł to, czego szukał – paczkę chusteczek nawilżanych.

Wciąż mrużąc powieki, przeszedł do łazienki, wyjął pierwszą chusteczkę i ostrożnie, delikatnymi ruchami, wycierał sobie twarz, a następnie okolice oczu. Kiedy skończył, wciąż koszmarnie piekło, ale czuł, że może w miarę funkcjonować i przede wszystkim normalnie myśleć.

Usiadł na krześle stojącym pod ścianą i westchnął ciężko. Był wyczerpany. Powoli uchodziło z niego napięcie, adrenalina zniknęła z jego krwi, a w mięśniach pojawiał się tępy, nieprzyjemny ból. Spoglądał na ciało leżące kilka metrów przed nim – nogi w ciemnych rajstopach zwisające z łóżka, szeroko rozłożone ramiona, lekko uniesiony podbródek, wpółotwarte usta i włosy wokół głowy, które na przemian kojarzyły mu się to z aureolą, to z parzydełkami meduzy.

Był smutny i rozczarowany. Zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę jest już po wszystkim. Dotykała go każda mijająca minuta, sekundy zdawały się złośliwie przebiegać mu po plecach. Prędzej czy później przecież go odnajdą, a wtedy co? Nie chciał iść do więzienia. Nie chciał, żeby żona i dzieci oglądały go najpierw na sali sądowej, a potem w jednym z tych upiornych pokoi widzeń. Poza tym dla wszystkich byłby to wstyd. Już lepiej dać się zabić, wyjść na tych policjantów z bronią w ręku. Zmusić ich, żeby go zastrzelili. Byłby do tego zdolny. Służył w Iraku, otarł się tam o śmierć. Albo to wszystko uprościć – wsadzić sobie lufę pod brodę i po prostu pociągnąć za spust. Nawet tutaj, w tym pokoju. Niech znajdą jego zwłoki tuż obok ciała zamordowanej prostytutki i wyciągną sobie takie wnioski, jakie im będzie wygodnie.

Byłby gotowy to zrobić, w ten czy inny sposób. Potrzebował tylko jednego – poczucia, że wykorzystał swój czas najlepiej, jak to tylko możliwe. A tego mu brakowało, bo wszystko potoczyło się tak szybko. Poza tym wyciągnęła na niego gaz, durna suka, i niczego nie widział.

Działał zupełnie po omacku. W rezultacie coś, co miało być piękną chwilą, zwieńczeniem całej tej sekwencji zdarzeń, która doprowadziła go do tego momentu, stało się chaotyczną wymianą ciosów, pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia, pustą. Chciał przecież celebrować to zabójstwo, przeciągnąć je. Nadać mu odpowiednią rangę.

Kim w ogóle była ta martwa dziewczyna? Jak się nazywała? Skąd się wzięła? Nie wiedział! Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Pomyślał, że równie dobrze mógłby zastrzelić pierwszą lepszą kobietę na ulicy. Ten akt miałby równie wiele sensu i przyniósłby mu taką samą satysfakcję. Czyli żadną.

Pomyślał, że poniósł klęskę. To, co miało być jedną z najważniejszych i najpiękniejszych chwil w jego życiu, okazało się niczym więcej jak tylko wielkim bałaganem. Tak o nim będą myśleli, dotarło do niego, tak go zapamiętają – jako kogoś, kto dał ciała, człowieka niezdolnego do zrealizowania nawet prostego planu. Mężczyznę, który prawie dał się pokonać zwykłej dziwce. Przecież gdyby nie zareagował wystarczająco szybko, gdyby pozwolił jej uciec... Nie, nie chciał nawet sobie tego wyobrazić.

Do tego tak bardzo chciało mu się pić i jeść. Jak zawsze po zabójstwie. Tylko że zazwyczaj towarzyszyła temu ta głęboka, piękna satysfakcja, która nawet zwykły posiłek na stacji benzynowej zmieniała w triumfalną ucztę wracających z wyprawy wikingów. Teraz czekał go ostatni posiłek skazańca.

– Nie... – wyszeptał, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Wzdrygnął się, słysząc swój głos. Zmarszczył brwi, a potem powtórzył, tylko głośniejsze:

– Nie.

To jedno słowo, jeden dźwięk, sprawił, że poczuł nagły przypływ sił. To przecież nie mogło się tak skończyć. Jego ostatnim wspomnieniem, ostatnią znaczącą chwilą nie może być ta żalosna szamotanina. Przecież noc wciąż trwała. Miał czas na jeszcze jedną dziewczynę. Tutaj popełnił błąd –



wszystko szło za gładko, a on za bardzo się rozluźnił i pozwolił, żeby go zaskoczyła. Następnym razem będzie bardziej uważał.

Wstał z krzesła. Powoli układał w głowie plan działania. Zabójstwo w Lesznowoli sprawiło mu przyjemność, ale nie tak wielką, o jakiej marzył. To wydarzyło się za szybko, na dworze, na zimnie, do tego w ciemności. Nie mógł się tym rozkoszować. Dlatego właśnie zamierzał przyprowadzić kolejną dziewczynę. Do miejsca, gdzie będzie miał nad wszystkim kontrolę, gdzie potrwa to dokładnie tyle, ile on sam zechce. Tylko najpierw trzeba będzie tutaj posprzątać. Ciało ukryje w łazience. Pozostawał problem krwi, ale jakoś sobie z tym poradzi. Teraz jego największym problemem był głód. Potrzebował energii.

Niedaleko jego stóp leżała komórka dziewczyny. Miał nadzieję, że uda mu się ją uruchomić i być może zadzwonić do żony, ale ekran był zbity, a poza tym nie umiał poradzić sobie z blokadą. Rzucił telefon na łóżko, podszedł do okna i rozsunął zasłony. Postanowił zostawić zapalone światło – gdyby pod jego nieobecność ktoś wszedł do mieszkania, z dołu zauważy w oknie sylwetkę albo chociaż czyjś cień. Potem wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Na dworze zapiął kurtkę, żeby się uchronić przed chłodem. Było grubo po północy, temperatura spadła poniżej zera. Pamiętał, że w okolicy jest sklep całodobowy, więc od razu się tam skierował. Po drodze nikogo nie spotkał, przejechały tylko dwa samochody i nigdzie nie widział radiowozu, co dodatkowo go uspokoiło. W większości okien nie paliło się światło. Prawie cała Warszawa spała, przyjemnie cicha i spokojna. Jakby to było zupełnie inne miasto.

Wszedł do sklepu. W większości tego typu przybytków po północy towary sprzedawano przez niewielkie okienko w drzwiach, ale tutaj sprzedawca, młody chłopak w dresowej bluzie, najwyraźniej zapomniał zamknąć drzwi. Siedział na taborecie przy kasie, klikał coś na komórce i kiedy usłyszał wchodzącego klienta, niechętnie ją odłożył, po czym wstał. Czekał znudzony, opierając się o ladę.

Mężczyzna wziął z lodówki dużą butelkę coli, do tego dołożył dwa słodkie batony i jeszcze paczkę chipsów. Niezdrowe jedzenie, którego powinien unikać, ale skoro to była jego ostatnia noc, jakie to miało znaczenie?

Chłopak szybko skasował towary i podał kwotę do zapłaty. Mężczyzna wyciągnął z portfela sto złotych. Unikał płacenia kartą.

– Macie tu jakieś środki czystości? – zapytał, kiedy sprzedawca wziął banknot i zaczął wydawać resztę.

– Środki czystości? – Chłopak po raz pierwszy podniósł wzrok na klienta. W jego oczach pojawiło się zdziwienie pomieszane z niepokojem.

– Płyn do podłóg, do naczyń, domestos, worki na śmieci? Coś takiego.

– Nie – wyjąkał.

– Trudno – powiedział mężczyzna. – Da pan jeszcze jedną torebkę.

Odebrał resztę, zapakował zakupy, a potem opuścił sklep. Podeszedł do stojącego niedaleko samochodu, przejrzał się w lusterku auta i już wiedział, co wywołało taką reakcję sprzedawcy. Miał tak przekrwione oczy, że niemal nie było widać białek. Trudno, pomyślał. Chłopak na pewno go zapamięta, ale co z tego. Dzisiejszej nocy i tak wszystko się skończy.

Szybkim krokiem ruszył z powrotem do mieszkania. Zwolnił dopiero wtedy, kiedy zauważył skręcające w osiedlową uliczkę ciemne bmw. Samochód zatrzymał się tak, że zablokował trzy inne stojące na parkingu samochody, i wysiadło z niego dwóch mężczyzn. Obaj niemal natychmiast skierowali wzrok w stronę okien mieszkania, gdzie leżały zwłoki dziewczyny.

Morderca zrozumiał, że w końcu go znaleźli.

Zych zajechał pod blok na warszawskiej Sadybie. Wszystkie miejsca do parkowania były zajęte, więc zatrzymał się tak, że zablokował trzy stojące prostopadle na parkingu samochody. O tej porze zresztą nie miało to żadnego znaczenia.

– Które to mieszkanie? – zapytał Mortka.

Zych wskazał palcem wysokość drugiego piętra.

– To, w którym pali się światło? – dopytał komisarz.

– Dokładnie to.

– Wynajęli je komuś?

– Z tego, co wiem, stoi puste.

– Ktoś tam mógł zamieszkać? Ktoś z rodziny Kinola?

– Nie mam pojęcia.

Przez chwilę stali tak z zadartymi głowami, wpatrzeni w jasny prostokąt okna na ciemnej ścianie bloku.

– Dzwonić po wsparcie? – zapytał Zych.

– Dzwon – powiedział Mortka. – Ale wiesz, że nie mamy czasu, żeby na nich czekać?

Policjant skinął głową.

– Masz broń? – zapytał, sięgając po komórkę.

– Nie.

– Szlag by to.

Zych przycisnął telefon do ucha i zrobił kilka kroków w stronę bloku. Mortka oderwał wzrok od okna i zaczął się rozglądać dookoła. Za plecami miał szkołę, po lewej ręce ciąg bloków, po prawej niedaleko było skrzyżowanie ze Świętego Bonifacego. I właśnie tam, u wylotu ulicy,

dostrzegł tego mężczyznę. Stał bez ruchu, z siatką z zakupami w jednej ręce. Był od nich dość daleko, więc komisarz nie mógł mieć pewności, ale zgadzały się wzrost i budowa ciała. I przede wszystkim to, że znalazł się w tym miejscu o tej porze i wpatrywał się w nich, jakby byli ścigającymi go przez całą noc upiorami, z którymi w końcu będzie musiał się zmierzyć.

– Zych – powiedział Mortka.

Policjant oderwał się od rozmowy telefonicznej i spojrzął na niego pytająco. Komisarz wskazał głową na stojącego kilkadziesiąt metrów dalej mężczyznę. Ten zaś cisnął w bok torbą i rzucił się do ucieczki. Popędził na skos przez Świętego Bonifacego na pętlę autobusową. Mortka niewiele myśląc, ruszył za nim. Zwolnił przed samą ulicą, rozejrzał się, czy nic nie jedzie z lewej i prawej. Było pusto, więc przyspieszył. Za sobą słyszał kroki biegnącego Zycha.

Widzieli plecy uciekającego mężczyzny. Oglądał się co kilka, kilkanaście metrów i powoli tracił swoją przewagę. Dystans pomiędzy nimi zmniejszał się z każdą sekundą. Mężczyzna pokonał już całą pętlę, a potem pobiegł wzdłuż płotu otaczającego kościół. Na moment zniknął im z oczu, bo wbiegł na wydeptaną dziką ścieżkę pomiędzy krzakami a osiedlowymi garażami.

Tutaj zwolnili. Zych wyprzedził Mortkę, wyciągnął pistolet i powoli wszedł w krzaki, po czym dopadł do ściany garażu. Przytulił się do niej i dopiero wtedy, z bronią gotową do strzału, wyrztał za róg.

– Czysto – powiedział.

Ruszyli dalej truchtem, lekko przygarbieni, gotowi natychmiast paść na ziemię, gdyby mężczyzna nagle wyskoczył z pistoletem w rękach. I wtedy znów go zauważyli. Biegł dalej wzdłuż ulicy, a potem skręcił w lewo.

Popędzili za nim. Wkrótce wypadli na Kaspijską. Po lewej stronie mieli pusty plac, ogrodzony siatką, na którym znajdowały się jakieś zabawki i przeszkody dla psów. Po prawej wyrósł jeden blok, dziesięciopiętrowy klocek o kwadratowej podstawie, a za nim kolejne. Wzdłuż ulicy stały gęsto zaparkowane samochody.

– Gdzie on jest? – zapytał Zych.

Mortka tylko rozłożył bezradnie ręce. Nigdzie go nie dostrzegali.

W tym momencie padł strzał. Kula przeszła tuż obok głowy Mortki. Komisarz natychmiast się skulił, a potem zastygł w tym atawistycznym odruchu dzikiego zwierzęcia, które ma nadzieję, że jeśli nie będzie się ruszać, to drapieżnik go nie zauważy. Dopiero ułamek sekundy później skoczył w bok i schował się za najbliższym samochodem. W samą porę, bo rozległ się kolejny strzał.

Zych ukrył się za innym wozem. Byli jakieś trzy metry od siebie. Młody policjant z wyciągniętą bronią wskazał kierunek, z którego padły strzały, a gdy Mortka przytaknął, odetchnął głęboko i wyjrzał ostrożnie. Zaraz znowu się schował i pokręcił głową.

– Nie widzę go – wyszeptał.

Komisarz ledwo go usłyszał.

– Panie Tomaszu! – krzyknął. – Proszę nie pogarszać swojej sytuacji! Zaraz tu będzie więcej policji! Proszę odłożyć broń i wyjść z rękami w górze! Porozmawiajmy!

Przez długą chwilę nikt im nie odpowiadał i Mortka zaczął się już zastanawiać, czy Cielecki nie skorzystał z okazji i nie uciekł. Wtedy jednak go usłyszał. Podobnie jak oni, ukrywał się za zaparkowanymi samochodami, tyle że po drugiej stronie ulicy.

– Chcę porozmawiać! – wrzasnął tamten zachrypniętym, zdyszczanym głosem.

– Świetnie! Proszę wyjść z rękami w górze!

– Nie chcę gadać z wami! Chcę rozmawiać z żoną!

– Dobrze! Sprowadzimy ją na komendę! Proszę wyjść z rękami w górze, to pan z nią porozmawia!

– Nie! Chcę z nią porozmawiać teraz!

– Nie damy rady jej tu sprowadzić!

– Przez komórkę, debilu!

Mortka mimowolnie się uśmiechnął. Zerknął na policjanta, który wciąż co pewien czas wychylał się to z jednej, to z drugiej strony auta. Co mogli

zrobić? Zych wezwał wsparcie, ale nie wiedzieli, kiedy się pojawi ani jak zareaguje Cielecki, gdy w okolicy zaroi się od policji. Miał broń i przed chwilą udowodnił, że nie zawaha się jej użyć. Mortka czuł, że mężczyzna jest pod ścianą. Nie mogli pozwolić mu teraz uciec. Nie mogli pozwolić, żeby jeszcze kogoś skrzywdził. Dlatego komisarz wyjął swój telefon z kieszeni i zamachał do Zycha.

– Idę do niego – powiedział głośnym szeptem. – Zajdź go z drugiej strony.

Zych skinął głową na znak, że zrozumiał.

– Idę do pana z telefonem! – krzyknął Mortka. – Proszę nie strzelać!

Wziął głęboki oddech, a potem wstał z zamkniętymi oczami. Ręce miał wysoko uniesione. To był najgorszy moment, najbardziej niebezpieczny. Moment, w którym mógł spodziewać się wszystkiego.

Ale nic się nie stało. Odetchnął z ulgą. Poczuł, że plecy ma całe mokre od potu. Powoli ruszył przed siebie.

– Mam telefon i idę do pana! – zawołał. – Zaraz będzie pan mógł porozmawiać z żoną!

Kątem oka zauważył jeszcze skulonego Zycha, który skradał się do Cieleckiego szerokim łukiem. Tymczasem mężczyzna wychylił się zza srebrnego peugeota i dał mu znak, żeby szedł w jego stronę. Mortka przeciął ulicę, a potem bokiem wsunął się między dwa samochody. Po kilku sekundach znalazł się w oko w oko z człowiekiem, którego szukali przez całą noc. Siedział oparty o bagażnik auta. Był cały spocony i czerwony na twarzy, dyszał. Do swojej skroni przykładał lufę pistoletu. Lewą rękę wyciągnął w jego stronę.

– Daj mi telefon – zażądał.

Nagle jakby przeszedł przez niego jakiś impuls, jakby niespodziewanie dla siebie samego zmienił zdanie w jakiejś ważnej sprawie. Skrzywił się, kąciki jego ust zadrżały i wycelował w stojącego przed nim komisarza.

– Komórka! – warknął. – Albo cię zabiję!

– Nie – odpowiedział Mortka. – Najpierw mnie zabij, a potem dam ci komórkę.

Mężczyzna zamrugał zdumiony, jakby nie rozumiał, co właśnie usłyszał. Na jego czole pojawiły się głębokie, poziome zmarszczki.

– Co? – stęknął.

Mortka wykorzystał ten moment, zrobił szybki krok do przodu i kopnął go prosto w twarz. Cielecki jęknął z bólu. Komisarz skoczył na niego, chwycił go za przegub ręki z pistoletem i z całej siły uderzył nią w bok samochodu, a potem jeszcze raz. Dopiero wtedy mężczyzna wypuścił broń i ta wpadła pod zaparkowanego peugeota. W tej samej sekundzie Mortka dostał cios pięścią w twarz. Zadźwięczało mu pod czaszką, przed oczami zatańczyły gwiazdy. Poczuł, że Cielecki się podnosi, więc dopadł do niego i przez moment się szamotali, krążąc wokół własnej osi. Komisarz nie do końca wiedział, co się dzieje, ale raz czy dwa udało mu się zamachnąć pięścią i chyba trafił. Niespodziewanie, przy kolejnej próbie ciosu, Cielecki zrobił krok w tył, pociągnął go za sobą i Mortka stracił równowagę. Mężczyzna wykorzystał ten moment, żeby uderzyć go w brzuch. Komisarz stracił dech. Na szczęście w tej chwili pojawił się przy nich Zych. Zaszedł Cieleckiego od tyłu, chwycił go w pasie i oderwał od Mortki, a potem obrócił w powietrzu, równocześnie podkładając nogę i rzucając go na ziemię. Nie wszystko poszło tak, jak zaplanował, bo tamten w jakiś sposób pociągnął go za sobą. Zych wylądował na nim, tak że krocze miał na wysokości jego głowy, i nagle zawył dziko, na całe gardło. Poderwał się w górę, ale tylko po to, żeby po trzech krokach znowu upaść. Cielecki tymczasem próbował się podnieść. Mortka jednak był już przy nim, zamachnął się i kopnął go w głowę. Tamtego aż uniosło i chociaż zdołał wstać, sekundę później padł nieprzytomny.

– Ugryzł mnie w kutasa! – wrzeszczał skulony Zych, tarzając się po ziemi. – Kurwa! Ugryzł mnie w kutasa! Ja pierdołę!

Mortka dopadł do niego.

– Kajdanki! – krzyknął. – Dawaj kajdanki!

Policjant miał łzy w oczach. Pokiwał głową i sięgnął do pasa, do którego przytroczone były kabura na kajdanki. Komisarz wziął je, wrócił do Cieleckiego i obrócił go na brzuch, a potem wbił mu kolano w kręgosłup, przygniatając w ten sposób do ziemi, i go zakuł. Dopiero wtedy wstał, po czym odetchnął głęboko. Poczował, że drżą mu kolana i że z trudem stoi na nogach. Człapiąc niezgrabnie, poszedł szukać broni Cieleckiego oraz swojej komórki, która gdzieś mu wypadła.

Z oddali dochodziły go zbliżające się szybko policyjne syreny.



Wszystkie domy w Józefosławiu wyglądały tak samo, przynajmniej te nowe. Wybudowane jeden obok drugiego, białe klocki z ciemnymi dachami i szarymi elementami elewacji, stały przy wąskich drogach, na których miejscami z trudem mijaly się dwa samochody. Rankami wyjazd na Puławską, drogę dojazdową do centrum, był koszmarem. Kolejka aut, w każdym zdenerwowany, spoglądający co chwila na zegarek i klnący pod nosem ojciec lub matka, a na tylnym siedzeniu dwójka niewyspanych dzieci, które trzeba jeszcze odwieźć do szkoły czy przedszkola. Kiedy to się stało, zastanawiał się Mortka, dojeżdżając powoli do domu Oli. Pamiętał jeszcze, jak ciągnęły się tu zwyczajne pola, na których uprawiano ziemniaki, kapustę czy marchew. Pamiętał też, że swego czasu sam marzył o domku z garażem i działką właśnie w takim miejscu, jakby był to ostateczny dowód życiowego sukcesu. Teraz miał inne podejście. Lata spędzone w Hadze nauczyły go, że nie ma nic lepszego od mieszkania w dobrej dzielnicy. W takiej, gdzie tuż obok jest sklep spożywczy, dobry internet i blisko do fajnej knajpy.

Skręcił w prawo, w jeszcze nieutwardzoną drogę, na której tylko co większe dziury zasypano tłuczniem. Nawet o tej porze w środku tygodnia na poboczu stało mnóstwo samochodów o rejestracjach z całej okolicy. Ludzie przyjeżdżali tutaj pobiegać, robić kolejne kółka po pięć, dziesięć kilometrów, szykować się do maratonów, ale zaparkować musieli oczywiście pod samym Lasem Kabackim. Jakby przejście tych kilkuset metrów albo znalezienie miejsca do biegania bliżej domu miało zrujnować ich plan treningowy.

Zatrzymał się pod płotem Oli i Adama, zadzwonił do furtki domofonem, a gdy zabrzączał zamek, pchnął kłamkę i wszedł na posesję. Równocześnie otworzyły się drzwi do domu i stanął w nich Adam. Bokiem przemknął

kudłaty pies, wielkości mniej więcej labradora. Mortka zupełnie zapomniał, że go mają. To był jakiś kundel. Jednemu z sąsiadów, takiemu starej daty, który mieszkał tutaj jeszcze przed inwazją nowobogackich z miasta, oszczeniła się suka. Starym zwyczajem miał zamiar wsadzić młode do wora, a wór wrzucić do Wisły, ale czasy się zmieniły i szczeniaczki powędrowały do nowo przybyłych mieszkańców, którzy chcieli jakoś wynagrodzić swoim dzieciom wyprowadzkę na peryferia.

Mortka przywitał się z psem, a potem z Adamem. Nie bez satysfakcji zauważył, że prawnik przytył, kiedy jemu udało się zrzucić w Holandii kilka dobrych kilogramów i równocześnie zbudować trochę masy mięśniowej.

– Ola już na ciebie czeka. Chcesz kawy, herbaty? – zapytał adwokat.

– Nie, dzięki.

– Na pewno?

– Woda wystarczy.

Adam poprowadził go do salonu. Tam, wśród drogich mebli i zawieszonych na ścianach obrazów, siedziała zatopiona w lekturze dokumentów Aleksandra. Tym razem nie bawiła się w żaden oficjalny strój. Włożyła zwykły dres, a oprawki jej okularów miały już chyba milion lat. Nie były ładne ani modne, ale wygodne i to najwyraźniej w tej chwili było najważniejsze. Przy tym samym stole, na malutkim krzeselku siedziała Ewa, która coś rysowała na kartce.

– Ładne, mamó? – zapytała, odkładając zieloną kredkę.

– Ładne – odpowiedziała Ola, nie odrywając nawet wzroku od tekstu, który teraz czytała.

Mortka poczuł, że coś go ściska za gardło, kiedy zobaczył dziewczynkę. Z każdym rokiem coraz bardziej upodobiała się do matki.

– Jakiś pan przyszedł – odezwała się Ewa.

Ola zdjęła okulary, odłożyła je na bok i podniosła wzrok na Mortkę.

– Cześć, Kuba.

– Cześć.

Chrząknęła, pogłaskała córkę po włosach i wskazała na gościa.

– Znasz tego pana – powiedziała. – To wujek Kuba, pamiętasz? Tato Michała i Andrzeja.

Dziewczynka zmarszczyła czoło i pokręciła przecząco głową.

– Nie pamiętam go.

Ola uśmiechnęła się lekko.

– Najwyraźniej wujek za rzadko nas odwiedza.

Adam minął Mortkę, podszedł do córki, schylił się i wziął ją na rękę. Podniósł się, udając, że kosztuje go to znacznie więcej wysiłku niż w rzeczywistości. Dziewczynka zachichotała.

– Chodź – powiedział do Ewy. – Wujek musi teraz z mamą porozmawiać. My pobawimy się w twoim pokoju.

Mortka poczekał, aż wyjdą, i zajął miejsce na fotelu naprzeciwko Oli.

– Mała nie w przedszkolu? – zapytał.

– Jest na kwarantannie – wyjaśniła. – Jedna z koleżanek zachorowała. Rodzice zrobili jej test i teraz cała grupa siedzi w domu.

– Dobrze, że ona się nie pochorowała.

– Pochorowała się albo nie. Przez dwa dni miała gorączkę, więc może to było to. Ale testów nie będę jej robić, bo wtedy my wszyscy musielibyśmy siedzieć w izolacji, nie?

– Też prawda.

– Przeczytałeś te dokumenty, które ci wysłałam?

– Oczywiście – potwierdził Mortka.

– I co myślisz?

Jadąc tutaj, wiedział, że to pytanie padnie. Adam był adwokatem Andrzeja, towarzyszył mu podczas przesłuchania w prokuraturze i miał dostęp do materiałów ze śledztwa. Tyle, ile się dało, udostępnił Oli i Mortce, a on szczegółowo się z nimi zapoznał. Czytał każdą stronę po kilka razy. Ale co miałby teraz powiedzieć? Że dowody są po prostu obciążające? Że gdyby on prowadził to dochodzenie, doszedłby do takich

samych wniosków, co jego koledzy po fachu? Nie był w stanie wypowiedzieć tych słów. Po prostu nie potrafił.

– Coś wymyślimy – wymamrotał.

– Niby co?

Patrzyła na niego wyczekująco, a on zdał sobie sprawę, że naprawdę oczekuje od niego odpowiedzi, liczy na to, że z czymś do niej przyjechał. To mogłaby być najdrobniejsza nawet rzecz, byleby dała jej nadzieję.

– Nie wierzę, że to zrobił – powiedział głucho.

– Ja też nie, Kuba – szepnęła Ola. – Ale czytałeś akta.

– A co on mówi?

– Niewiele. Tyle co nic.

Siedzieli naprzeciwko siebie. Z góry dochodziły ich śmiechy Ewy. Ojciec puścił jej piosenki z filmów Disneya i teraz szalała z nim przy *Vaianie*.

– Coś tam nie gra – powiedział wreszcie.

– Co takiego?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Ale to wszystko... jest zbyt doskonałe.

– Co masz na myśli?

– Miał motyw. Jest tylu świadków. Pojechał do niego do domu. Pokłócili się, co słyszeli inni mieszkańcy kamienicy. Są nagrania z monitoringu, jak stamtąd ucieka. Tiszert z krwią tego chłopaka. Obrażenia na dłoniach. Te dowody nie pozostawiają ani cienia wątpliwości.

– Takie historie też się zdarzają. Sam opowiadałeś...

– Nie – przerwał jej. – Sprawcy zawsze zacierają ślady. Nawet w tych najgłębszych, najbardziej oczywistych sprawach, zawsze próbują zacierać ślady. Andrzej nie zrobił nic!

– Dlaczego w takim razie się nie broni? – zapytała Ola.

– Nie wiem.

– On prawie nie reaguje, Kuba. Zachowuje się, jakby to wszystko przydarzyło się komuś innemu.

– Też tego nie rozumiem.

– Co możemy zrobić?

– Jeszcze nie wiem – odparł. Czuł, że potrzebuje trochę czasu, by ułożyć sobie to wszystko w głowie i znaleźć jakiś punkt zaczepienia, coś, co dałoby jej choć cień nadziei, dlatego zapytał: – Mogę zobaczyć jego pokój?

Ta prośba ją zaskoczyła. Po chwili Ola skinęła potakująco głową.

– Na górze. Drugie drzwi po lewej.

Pokój Andrzeja miał ściany pomalowane na ciemną, wręcz wpadającą w granat, zielen. Mortka ze zdziwieniem zauważył na jednej z nich szalik Legii. Nawet nie wiedział, że syn kibicuje temu klubowi. Od razu w jego głowie pojawiła się myśl, czy któryś z kolegów kibiców wie, że Andrzej jest gejem.

W pokoju nie było wiele. Na podłodze leżał materac, pod oknem stało biurko, a pod ścianami ułożone w kupki książki. Jedyne większe meble, szafa na ubrania, zajmował cały kąt pomieszczenia. Mortka oglądał to wszystko i starał się nie zwracać uwagi na takty kolejnej wesołej piosenki płynącej z naprzeciwka.

– To właściwie nie jest jego pokój – odezwała się za jego plecami Ola.

– Nie jest?

– To znaczy, należy do niego, ale on od dawna mieszka w Warszawie. Wynajmuje mieszkanie z kolegami. Podobno ma stamtąd bliżej na uczelnię, ale wiadomo, że chodzi o imprezy i tak dalej. Jasne, pojawia się tutaj, kiedy trzeba mu coś wyprać albo stęsknił się za domowym żarciem, ale mieszka i żyje w zupełnie innym miejscu. Czasami się zastanawiam...

– Nad czym? – zapytał, kiedy przerwała swoją wypowiedź w połowie zdania.

– Czy gdybym go tutaj zatrzymała, to wszystko by się nie wydarzyło – odpowiedziała.

– Andrzej jest dorosłym facetem. Jakbyś się nie starała, nie byłabyś w stanie go tutaj zatrzymać – stwierdził, odwracając się do niej.

Aleksandra spojrzała na niego z wdzięcznością.

– Adam uważa, że powinien się przyznać – dodała po chwili.

- Do zabójstwa?
- Żeby wywalczyć niższą klasyfikację czynu – wyjaśniła. – Zabójstwo w afekcie, pobicie ze skutkiem śmiertelnym.
- I tak pójdzie wtedy do więzienia.
- Ale na krócej.
- Wiesz, co czeka homoseksualistę w więzieniu?
- To co chcesz zrobić?! – zapytała, a w jej głosie po raz pierwszy pojawiła się złość.
- Nie wiem – przyznał. – Ale wierz mi, nie pozwolę, żeby mój syn trafił za kratki.

– To już koniec.

Mortka pomyślał, że Zych nie mógłby się bardziej mylić. Cielecki co prawda siedział już skuty w radiowozie ze zwieszoną głową i tylko co pewien czas ją podnosił, żeby obrzucić znajdujących się w pobliżu policjantów mściwym spojrzeniem i wymamrotać przekleństwa lub groźby. Ale przecież to był dopiero początek. Teraz czekała na nich prawdziwa praca: nieustający ciąg przesłuchań, zbierania dowodów, wypełniania kolejnych raportów, przygotowywania dokumentów dla prokuratury, niekończących się spotkań.

– Trzeba sprawdzić to mieszkanie – powiedział komisarz.

– Wiem.

Zych poszedł pierwszy, Mortka za nim. Włożyli gumowe rękawiczki. Towarzyszyła im upiorna, męcząca cisza, bo domyślali się, co tam zastaną. I obaj chyba po cichu liczyli, że drzwi będą zamknięte. Że nie będą mogli ich otworzyć, pomimo kluczy, które zabrali Cieleckiemu. Że trzeba będzie wezwać techników i to wszystko się przedłuży. Ale nie, wystarczyło nacisnąć klamkę i już byli w środku.

Dziewczyna leżała na zakrwawionym łóżku, blada, z szeroko otwartymi oczami. Nie mieli żadnych wątpliwości, że jest martwa. Jedyne pytanie, na jakie nie znali odpowiedzi, brzmiało, jak długo umierała i jak bardzo cierpiała. Na podłodze leżała wybebeszona torebka i osobiste rzeczy.

Mortka minął Zycha i wszedł w głąb mieszkania. Klęknął i podniósł portfel.

– Co robisz? – zapytał młodszy policjant. – Zostaw to! To przecież miejsce zbrodni, nie można tutaj niczego ruszać!

Komisarz jakby go nie słyszał. Otworzył portfel, znalazł przegródkę z dokumentami i wyjął dowód osobisty zamordowanej. Przyglądał się chwilę poważnej dziewczynie na zdjęciu.

– Nazywała się Anna Gubin – powiedział. Pozwolił, żeby dowód osobisty wypadł mu z dłoni i wylądował na podłodze. Raz jeszcze zaczął grzebać w portfelu i tym razem znalazł w nim wydrukowaną w niewielkim formacie, takim, żeby zmieściła się w przegródce, fotografię. Pokazał ją Zychowi. Ta sama dziewczyna przytulała do siebie kilkuletniego chłopca. Uśmiechała się do obiektywu, rozanielona, a chłopiec nie zważał na pieszczotę. Ważniejsze były dla niego lody, które właśnie pożerał.

– To może być jej brat – powiedział Zych.

– A jakie to ma znaczenie? – odparł Mortka.

Wsadził fotografię z powrotem do portfela, a sam portfel położył mniej więcej w tym samym miejscu, w którym przed chwilą leżał.

– Spadam stąd – oznajmił.

– Wracasz na komendę?

– Nie. Jeszcze nie.

– Wiesz, że będziesz mi potrzebny? Nie możesz po prostu zniknąć. Nie po tym, co się wydarzyło.

– Wiem, ale teraz... Mniejsza zresztą z tym.

Mortka opuścił mieszkanie. Sprawdził w telefonie, czy gdzieś w pobliżu jest stacja benzynowa. Nie było, ale znalazł sklep całodobowy. Zamówił tam sobie ubera, a potem przez niewielkie okienko w drzwiach kupił dużą butelkę wódki.

– Ta cała policja to z powodu tego dziwnego faceta? – zapytał go przejęty sprzedawca, kiedy Mortka już zapłacił.

– Jakiego dziwnego faceta?

– Był tu taki jeden – wyjaśnił chłopak. – Pytał, czy sprzedajemy środki czyszczące i worki na śmieci. Trochę mnie przestraszył, bo miałem otwarte i wszedł do środka.



Komisarz wziął od niego butelkę. Telefon poinformował go, że właśnie podjeżdża jego kierowca.

– Ja, proszę pana, niczego nie wiem – odpowiedział i poszedł do samochodu.

Tym razem prowadził Polak. Facet miał ponad sześćdziesiąt lat. Opowiadał, że nie jeździ dla zarobku. Od kiedy zmarła mu żona, nie może spać, więc wozi pasażerów, żeby coś robić. Zabić te nieznośnie długie godziny do świtu.

Mortka kazał się zawieźć na Poznańską. Tam wysiadł i zaczął szukać Rudej Joli. Nie zajęło mu to długo. Siedziała na skwerku przy skrzyżowaniu ze Wspólną, jakby na niego czekała. Usiadł obok niej, wyjął butelkę z reklamówki i odkręcił korek. Pociągnął duży łyk. Przełknął, krzywiąc się mocno. Wódka paliła usta, przełyk i żołądek. Aż się wzdrygnął.

– Dawno pan nie pił, co? – zapytała prostytutka.

– Dość dawno – odparł i podsunął jej butelkę. Kobieta spojrzała na niego zaskoczona.

– Co to? Covid party?

– Podwójnie zaszczepiony – powiedział. – Poza tym alkohol dezynfekuje.

– Co prawda, to prawda – szepnęła.

Wzięła butelkę z rąk Mortki, napiła się raz, niewiele, jakby na spróbowanie. Potem drugi, już więcej.

– Tak sobie myślałam, że pan tu wróci – powiedziała, oddając mu butelkę.

– Wróciłem – przyznał i napił się wódki.

– Ona nie żyje, prawda?

– Nie żyje – potwierdził Mortka.

– Kurwa... Bardzo cierpiała?

– Chyba nie.

– Ona była taka młoda... Dlaczego zabił ją, a nie takiego starego kurwiszcza jak ja?

– Nie wiem.

– Niech pan da tę butelkę.

Zrobił to, o co go poprosiła.

– A pali pan?

– Nie.

– Tak w ogóle czy teraz?

– Tak w ogóle. A teraz to bym zapalił.

Siedzieli potem obok siebie, Mortka palił i myślał sobie, że papieros smakuje równie paskudnie jak wódka. Podawali sobie butelkę. Obserwowali budynek naprzeciwko, chociaż w żadnym z okien nie paliło się światło. Ulicami nie jeździły już nawet samochody. Może na pobliskiej Marszałkowskiej coś jeszcze się działo, ale oni znaleźli się w krainie ciszy i cieni.

– To ja jej powiedziałam, żeby z nim poszła – odezwała się Ruda Jola. – To była jej pierwsza noc. Bardzo się bała. Nie wiem, dlaczego tu trafiła. Nie pytamy się o takie rzeczy.

– Rozumiem.

– To przecież nie moja sprawa, prawda?

– Nie pani.

– Mnie też nikt nigdy o to nie pytał.

Skrzywiła się, jakby przypomniała sobie nagle coś nieprzyjemnego. Zaciągnęła się mocno papierosem, którego koniec rozżarzył się tak mocno, że zmienił barwę z pomarańczowego na żółty.

– A pan wie? – zapytała, wypluwając z siebie kłęby dymu. – Dlaczego tutaj przyszła?

– Nie. Jeszcze nie wiem.

– Jestem pewna, że przez faceta. Bo to zwykle jest przez faceta. Albo zostawi, albo pobije, albo okradnie. Albo kobieta się zakocha. Wtedy jest

najgorzej. Nie ma na tym świecie nikogo głupszego niż zakochana kobieta.

– Zakochani mężczyźni nie są wcale mądrzejsi.

Pociągnął łyk z butelki. Wódka dalej smakowała paskudnie, dalej paliła przełyk, ale już nim nie telepało.

– Nie pasowała tutaj – oznajmiła Ruda Jola. – Ale przyszła, przestraszona i zdesperowana. Była gotowa to zrobić, a ja wiedziałam, że jeśli pójdzie z jakimś facetem, jeśli prześpi się z nim za pieniądze, to już następnego dnia tego pożałuje. Że nie będzie w stanie spojrzeć na siebie w lustrze. Ona nie miała tego czegoś.

– Czego?

– Nie wiem, ale niektóre z nas to mają, inne nie.

– Dlaczego więc powiedziała jej pani, żeby poszła z tym facetem?

Ruda Jola skończyła palić. Zgniotła niedopałek na oparciu ławki.

– Bo on nigdy nic nie robił, chciał tylko gadać. Nawet nie dotykał. Myślałam, że jej pomagam. – Sięgnęła po butelkę i zacisnęła drżącą dłoń na szyjce. – Pracuję tutaj ponad trzydzieści lat – powiedziała głucho. – Nikt mnie nawet nie uderzył. Nigdy. A to była jej pierwsza noc.

Mortka zorientował się, że od dawna nie zaciągnął się papierosem. Teraz był już króciutki i zaczynał parzyć go w palce. Wyrzucił go przed siebie.

– Nie mogła pani wiedzieć – odparł i wstał z ławki.

Ruda Jola wyciągnęła w jego stronę butelkę. Wziął ją, wypił ostatni, duży łyk i oddał resztę kobiecie.

– A pani? – zapytał, zanim odszedł.

– Co ja?

– Dlaczego pani tutaj trafiła?

Ruda Jola uśmiechnęła się smutno.

– Bo się zakochałam. Może się pan śmiać, ale z miłości robi się najgłupsze rzeczy.

– Wiem – odpowiedział Mortka.

– Ona bardzo przeżyła samobójstwo syna. Zaczęła brać tabletki na sen i takie antydepresyjne, bardzo mocne.

– Skąd pani wie? Powiedziała pani o tym?

– Nie, pewnego dnia spotkałam ją w aptece. Widziałam, co kupuje, i od razu z ciekawości sprawdziłam, co to jest.

– Pamięta pani, jak te środki się nazywały?

– Niestety, nie, ale mam zapisane w historii wyszukiwania. Poszukać panu?

Zanim Mortka zdążył odpowiedzieć, usłyszał chrzęst otwieranych zamków i kroki na korytarzu.

– Jestem w domu! – krzyknął ktoś.

Po chwili w pokoju pojawił się na oko czterdziestoletni mężczyzna o okrągłej twarzy, szerokim karku i zaczerwienionych policzkach. Miał krótko obcięte włosy, tak że wyraźnie było widać znamiona na jego czaszce. Przystanął zaskoczony i zmarszczył brwi, a Mortka podniósł się z krzesła.

– Cześć, kochanie! – odezwała się wesoło kobieta. – To pan...

– Jakub – wszedł jej w słowo komisarz. – Jestem tutaj w sprawie Tymoteusza Kota. Pracuję dla adwokata, który reprezentuje mężczyznę podejrzanego o zabicie pana Kota.

– Czyli jest pan takim prywatnym detektywem, tak? – zapytał podejrzliwie mężczyzna.

– Tak jakby.

– Jak to tak jakby?

– Mam wszystkie pełnomocnictwa, ale nie jestem prywatnym detektywem.

– Czyli nie muszę z panem rozmawiać?

– Nie musi pan.

– I moja żona też nie musi?

– Nie musi – potwierdził Mortka.

– Sebastian! – krzyknęła kobieta. – Nie bądź dla pana niemiły!

Mężczyzna przymknął na moment powieki, westchnął ciężko, a wyraz jego twarzy wyraźnie sugerował, że żałuje powrotu do domu. Niechętnie wyciągnął dłoń w stronę gościa.

– Sebastian Lubczyk.

– Miło pana poznać – powiedział komisarz, ściskając wyciągniętą rękę.

– Opowiadałam panu o tych drzwiach – włączyła się żona mężczyzny.

– O jakich drzwiach? – zapytał zmieszany Sebastian.

– No tych od mieszkania Tymoteusza. Tych, co mi mówiłeś, że były zamknięte, chociaż pan Gunther opowiadał potem, że były otwarte.

– Aha – mruknął mężczyzna.

– To ty może panu wszystko opowiesz, a ja przygotuję jeszcze herbaty. Bo się pewnie napijesz po pracy, co? A pan?

– A ja już dziękuję.

– Beatko – odezwał się Sebastian i kobieta spojrzała na niego pytająco. – Zamiast herbatki to mi lepiej piwo przynieś.

– Tak wcześnie, kochanie?

Policzki mężczyzny zaczerwieniły się jeszcze bardziej. Jego żona zachichotała i pocałowała go w czubek głowy.

– Żartuję! Piwko dla ciebie. A pan się może skusi na browarka?

– Prowadzę.

– Rozumiem. To ja za sekundkę wracam.

Poczekali, aż wyjdzie z pokoju. Mortka był pod wielkim wrażeniem Beaty Lubczyk, ale równocześnie czuł rosnący dysonans. Żona Sebastiana Lubczyka stanowiła bowiem najlepszy dowód na to, jak bardzo zmieniła się Polska, od kiedy wyjechał. W każdej kamienicy był przecież ktoś taki, ktoś,

kto wie wszystko o innych, zbiera wszelkie plotki, a potem szeroko je dystrybuje, zapewniając przepływ informacji po całym budynku. Tylko że kiedyś zajmowały się tym starsze kobiety, emerytki wysiadające całe dni w oknach, z nudów obserwujące korytarze przez wizjery lub wprasujące się do sąsiadów pod byle pretekstem. Tymczasem Beata Lubczyk ledwo przekroczyła trzydziestkę, a jej elegancki strój wskazywał na to, że pracowała w jakiejś korporacji lub biurze poważnej firmy. W każdym razie na stanowisku, które wymagało od niej odpowiedniej prezencji. I napędzało ją nie tyle podglądanie sąsiadów, ile pogaduszki na WhatsAppie, powiadomienia z Instagrama i ploteczki z facebookowych grup. Efekt był jednak ten sam: wiedziała więcej, niż ktokolwiek się spodziewał.

– Podobno sprawa jest jasna – odezwał się Sebastian. – Z tym chłopakiem, co zabił Tymka.

– Jest jasna – przytaknął Mortka. – Ale swoją robotę wykonać trzeba.

Miał nadzieję, że powiedział dokładnie to, co Lubczyk chciał usłyszeć. Nie chciał zabrzmieć jak człowiek, który wkłada kij w mrowisko, tylko ktoś, kto marzy o tym, by jak najszybciej zrobić swoje i wrócić do domu.

– Żona już pewnie wszystko panu opowiedziała.

– Dużo – przyznał komisarz.

– Beata przyjaźniła się z tym Tymoteuszem – powiedział Sebastian. – Dużo czasu z nią spędzał. Przez moment zastanawiałem się nawet, czy nie powinienem być o niego zazdrosny, ale potem wyszło, że to gej, więc się uspokoiłem. Chociaż wie pan, takie ziarenko w sercu zostało. Gej czy nie gej, facet to facet, nie?

– To prawda.

Mortka pomyślał, że jego pierwsze wrażenie było najwyraźniej mylne i Sebastian Lubczyk niespecjalnie różni się od swojej żony. On także lubił sobie pogadać i szukał kogoś, przed kim mógłby się otworzyć.

– Ale i tak smutno mi się zrobiło, kiedy dowiedziałem się, co się stało. Żeby w naszej kamienicy takie rzeczy... Najpierw syn Gunthera przez okno

wyskoczył, potem Tymka zabito. Przez lata spokój był, a teraz taka kumulacja.

Lubczyk pokręcił z niedowierzaniem głową i Mortka zrozumiał, że dużo więcej od niego nie wyciągnie. To jego żona była skarbnicą wiedzy na temat życia kamienicy i najwyraźniej nie dzieliła się informacjami z mężem. Przynajmniej nie wszystkimi.

– A jak było z tymi drzwiami? – zapytał niby obojętnym tonem. – Były zamknięte czy otwarte?

– Czy to takie ważne?

– Dla mnie nie, ale szef będzie pytać.

Sebastian podrapał się po karku.

– Chyba były zamknięte – powiedział po sekundzie zastanowienia.

– Chyba?

– Nie jestem pewien. Właściwie to nie zwróciłem uwagi.

W tym momencie pojawiła się Beata z butelką piwa dla męża oraz szklanką herbaty dla siebie. Mortka został z nimi jeszcze trochę ponad dwadzieścia minut. Rozmawiali o tym, co się wydarzyło, ale nie dowiedział się niczego nowego. Tak jak podejrzewał, przy mężu kobieta była dużo bardziej powściągliwa. Nie dzieliła się już swoimi podejrzeniami ani wiedzą, którą zdobyła, uważała na każde słowo, jakby wstydziła się przed małżonkiem. Mortka wyszedł jednak od nich zadowolony. Ostatnie dni spędził intensywnie. Chodził po okolicy, rozmawiał z ludźmi, z sąsiadami Kota, z przyjaciółmi jego i Andrzeja. Zbierał informacje. Zatrudnił zaprzyjaźnionego analityka, który teraz robił w prywatnym sektorze, żeby zajął się dla niego kwerendą internetową. Dowiedział się wiele, chociaż nie potrafił jeszcze powiedzieć, co z tego wynika.

Wrócił do domu, policyjnego mieszkania na warszawskim Ursynowie. Szczęśliwie nikt nie wpadł na pomysł, żeby kazać mu zwolnić lokal na czas delegacji do Hagi. Przygotował sobie coś do jedzenia. Sprawdził, czy nie ma żadnych wiadomości od Justine. Były. Pytała, co u niego i czy chce porozmawiać. Odpowiedział zdawkowo, że wszystko w porządku, ale jest

zbyt zmęczony na rozmowy. To nie była prawda – po prostu nie chciał się rozpraszać. Wyciągnął zeszyty z notatkami i komputer. Zaczął spisywać wszystko to, czego się dowiedział.

Po około dwóch godzinach pracy zadzwonił jego telefon. Na wyświetlaczu wyświetliło się „Adam – maz numer 2”. Mała złośliwość, na którą pozwolił sobie lata temu. Odebrał.

– Co jest? – zapytał.

– Andrzej chce się przyznać.

Mortce zrobiło się na moment ciemno przed oczami.

– Powiedział ci to? – zapytał, pomimo że coś go ścisnęło za gardło.

– Nie, kurwa, napisał. Oczywiście, że powiedział!

– Co dokładnie ci powiedział?

– Właśnie to, Kuba. Że chce się przyznać.

Ciemność ustąpiła. Zamiast niej pojawił się ogień w jego piersi. Mortka poderwał się tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, przewróciło się. Zacisnął pięść i zaczął nią wymachiwać, jakby szukał czegoś lub kogoś, kogo mógłby uderzyć.

– Dobra – rzucił do słuchawki i wziął dwa głębsze oddechy. Starał się uspokoić i chciał odzyskać jasność myślenia. – Po pierwsze, nic nie mów Oli. Po drugie, nie pozwól mu na to.

– Po pierwsze, nie mów mi, co mam mówić, a czego nie mówić Oli. To jest moja żona i nasz związek jest zbudowany na szczerości.

– W dupie mam, kurwa, twój związek! – wydarł się do telefonu Mortka.

– Powiesz jej choćby słowo, to przyjadę do ciebie i cię, kurwa, zapierdolę! Słyszałeś?! Zapierdolę cię, kurwa, gnoju!

Przez kilka sekund w słuchawce było słycać tylko ciszę, a potem rozbrzmiał spokojny, opanowany głos Adama:

– Ulżyłeś już sobie?

– Nic jej mów, proszę – powiedział szeptem.



– Po drugie, muszę brać pod uwagę życzenia i najlepszy interes Andrzeja. Prokuratura ma naprawdę mocne dowody. Wiem, że tobie i Oli trudno uwierzyć, mnie jest trudno uwierzyć, ale on to zrobił, Kuba, a teraz chce się przyznać. Z tym przyznaniem się mogę pójść do prokuratora i negocjować. Pobicie ze skutkiem śmiertelnym to jest maksymalnie dziesięć lat, Kuba. Wyjdzie po trzydziestce i będzie miał całe życie przed sobą.

Mortka spojrział na rozłożone na stole materiały, na komputer, na którym otworzone miał dziesiątki plików z notatkami. To bolało, ale musiał przyznać Adamowi rację. Prokuratura miała mocne dowody, Andrzej chciał się przyznać, a dziesięć lat to nie tak dużo. Ale przecież nie wychował zabójcy. Tego jednego był pewien. Cokolwiek tam się wydarzyło, obiecał Oli, a przede wszystkim sobie, że nie pozwoli na to, by jego syna trafił do więzienia. Gdzieś tam wśród tych wszystkich informacji, które zebrał, była odpowiedź na pytanie, kto naprawdę zabił Kota.

– Nie pozwól mu na to – poprosił.

– Muszę brać pod uwagę...

– Powstrzymaj go po prostu – przerwał mu Mortka. – Daj mi jeszcze trochę czasu. Coś znalazłem.

– Co?

Zagryzł wargę. W głowie miał pustkę. Wodził wzrokiem po rozłożonych papierach, jakby naprawdę liczył, że teraz nadejdzie moment olśnienia. Ale nie nadszedł.

– Nie mogę ci jeszcze powiedzieć. Jest za wcześnie. Ale to coś poważnego.

Adam mu nie uwierzył. Tego był pewien, bo przecież sam sobie nie wierzył. Nie miało to jednak znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, żeby dał mu jeszcze trochę czasu.

– Dobrze, Kuba. Mogę to przeciągnąć, ale nie długo. Dzień, dwa. Góra trzy.

– Dziękuję.

– Dla niego byłoby najlepiej, gdyby po prostu się przyznał.

– On tego nie zrobił, Adam – powiedział Mortka. – A teraz przepraszam, ale muszę popracować.

Przerwał rozmowę i wyciszył komórkę. Nie chciał, żeby ktokolwiek mu teraz przeszkadzał. Wziął do ręki pierwszą lepszą kartkę. Zawiesił wzrok na nazwisku, które na niej napisał. Karol Gunther. Wiedział, że potrzebuje czasu, żeby rozwikłać tę sprawę i znaleźć prawdziwego zabójcę Kota.

I chyba właśnie wpadł na pomysł, jak może go znaleźć.

Sucha weszła do pokoju przesłuchań. Tym razem nie wiedziała, jak je poprowadzić. Mortka nie dał jej żadnych wskazówek. Po prostu wręczył słuchawkę bluetooth i powiedział, że będzie jej dyktować pytania. Śmierdziało od niego wódką i papierosami, sprawiał wrażenie podpitego, ale miał zostać za lustrem weneckim, więc Sucha się zgodziła. Czuła, że po dzisiejszej nocy jest mu to winna. Poprosiła jednak, żeby Wodecki posiedział z nim – na wszelki wypadek, gdyby Mortce wpadło coś głupiego do głowy.

Gunther ściągnął na moment okulary, żeby potrzebować zaspane oczy.

– Znowu mnie pani odwiedza – rzucił.

– To już ostatni raz.

– Naprawdę? Wydaje mi się, że już mi to pani obiecywała – powiedział ze smutkiem.

– Raczej nie. Ta cała sytuacja... To wszystko się wydłużyło, ale zostało nam już tylko kilka pytań.

Mężczyzna poprawił się na krześle. Całe jego ciało wyrażało zmęczenie i rezygnację. Był gotów.

– Proszę w takim razie pytać.

Sucha zerknęła w stronę lustra weneckiego i lekko skinęła głową, dając Mortce znak, że może mówić.

– Wróć do tematu samobójstwa jego syna – usłyszała w słuchawce.

– Chciałam porozmawiać jeszcze o pańskim synu.

– O Łukaszu... – wyrzucił z siebie Gunther, jakby właśnie tego się spodziewał. – Dobrze.

– Zapytaj go o to, czy wiedział, że jego syn jest gejem – polecił Mortka.

– Nie. Pedalem. To go mocniej ruszy.

Policjantka przełknęła ślinę. Pochyliła głowę. Poprawiła opadający kosmyk włosów.

– Co jeszcze chciała pani o nim wiedzieć? – spytał Gunther.

– Chciałam zapytać... Chciałam zapytać, czy wiedział pan, że Łukasz był homoseksualistą?

– Był – odparł po sekundzie głucho Gunther.

– To nie jest odpowiedź na twoje pytanie, Sucha – odezwał się Mortka. – Zwróć mu na to uwagę, a potem ciśnij dalej. Zapytaj, czy wiedział, że Łukasz regularnie pieprzył się z Kotem. Użyj dokładnie tych słów. Teraz musisz z nim pójść na ostro.

Sucha patrzyła na siedzącego przed nią mężczyznę. Po całej nocy, po tylu rozmowach był słaby, bezradny. Brakowało mu sił, żeby się bronić. I o to im chodziło, do tego dążyli. Chcieli, żeby znalazł się dokładnie w tym miejscu. Każde ich spotkanie, każde pytanie oznaczało krok na drodze do celu. Tak to się robiło: grożąc, udając przyjaciela, uderzając to z jednej, to z drugiej strony, by zaraz przyłożyć łód do bolącego miejsca. Manipulując.

– Sucha – popędzał ją Mortka.

– Nie – powiedziała.

Gunther nie zareagował. Nie była pewna, czy w ogóle ją usłyszał.

– Sucha! Łukasz Gunther pieprzył się z Kotem. Był w nim zakochany! Wiem o tym od Beaty Lubczyk. Kot jej opowiadał. Ale Kot go rzucił, rozumiesz? Zostawił go i Łukasz się załamał. To była jego pierwsza miłość. Zawsze był delikatny. Popęnił samobójstwo. Gunther się o tym wszystkim dowiedział. Obarczał Kota winą za śmierć syna, dlatego go zabił. Z zemsty! Teraz go przyciśnij, Sucha! Przyzna się do wszystkiego, tylko zadawaj odpowiednie pytania! – krzyczał do słuchawki Mortka.

Sucha wstała od stołu.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała i wyszła z pokoju przesłuchań.

Skręciła do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie stali Wodecki z Mortką. Trzasnęła drzwiami. Wyciągnęła słuchawkę z uszu i rzuciła nią

w komisarza. Nawet nie próbował jej złapać. Pozwolił, żeby odbiła się od jego piersi i upadła na podłogę.

– Pokaż mi dowody – zażądała.

– Co?

– Prosząc mnie o to przesłuchanie, powiedziałaś, że masz dowody. Pokaż mi je.

– Przed chwilą ci o wszystkim powiedziałem. Zrobiłbym to wcześniej, ale ganiałem po Warszawie za Cieleckim.

– Nie próbuj mnie teraz brać pod włos. To nie są dowody, Kuba! To są twoje przypuszczenia! Historyjka, którą sobie wymyśliłeś! Wiesz, jak wyglądają dowody? Idź do prokuratora! Obejrzyj je sobie! To zakrwawiony tizert twojego syna! Jest na niej krew Kota! To zeznania świadków, którzy widzieli i słyszeli ich kłótnie! To nagrania z monitoringu, na których twój syn tamtej nocy ucieka z tej kamienicy! To wreszcie zdjęcia poobijanych kłykci twojego syna! To są dowody! Pokaż mi teraz swoje!

Mortka zrobił krok w jej stronę. Poczzerwieniał, zacisnął mocno szczęki. Wodecki zrobił ruch tak, żeby znaleźć się pomiędzy nim a Suchą i móc zareagować wystarczająco szybko, gdyby komisarz próbował zaatakować. Policjantka doceniła to, ale pomyślała, że sama potrafiłaby sobie poradzić.

– Wracaj tam – warknął Mortka i wskazał na pokój przesłuchań. – Zadaj mu te pytanie, które każe ci zadać, i dostaniesz swój dowód.

Prychnęła.

– Myślisz, że jestem głupia, Kuba? Myślisz, że nie wiem, co chcesz właśnie zrobić? Że tego nie widzę? Wybrałeś sobie ofiarę i chcesz ją teraz zmusić, żeby przyznała się do zabójstwa, które popełnił twój syn. I, do cholery jasnej, to ci przyznam, prawie ci się udało. – Wyrzucenie tego z siebie kosztowało ją więcej, niż myślała. Odetchnęła, a potem powiedziała coś, co powinna powiedzieć już kilka godzin temu: – Gunther idzie do domu.

Mortka uderzył. Ruch jego pięści był tak szybki, że ledwo go zarejestrowała. Ale nie dosięgł jej, tylko Wodeckiego. Prosto w grdykę, tak

że policjantowi oczy wyszły na wierzch. Zupełnie stracił dech. Gdy chwycił się za szyję, komisarz przyciągnął go do siebie, odpiął zamek od jego kabury, a potem z całych sił pchnął. Wodecki wpadł na Suchą i oboje polecili do tyłu. Upadli na podłogę.

Mortka przeszedł obok, nie zaszczycając ich nawet jednym spojrzeniem. Opuścił pomieszczenie z pistoletem w dłoni i wtargnął do pokoju przesłuchań. Wycelował w Gunthera. Zdumiony mężczyzna podniósł wysoko ramiona, a potem poderwał się z krzesła, cały blady i drżący.

– Przyznaj się! – wrzasnął Mortka. – Przyznaj się, że zabiłeś Kota!

Sucha zdążyła już podnieść się z ziemi i popędziła za nim. Zatrzymała się jednak tuż za progiem. Mortka miał szaleństwo w oczach, chwiał się na nogach. Do Suchej dotarło nagle, że on też jest już wyczerpany. Niedawno przecież do niego strzelano. Trochę ponad godzinę temu walczył o życie z człowiekiem, który zabił dzisiaj w nocy dwie kobiety. Po czymś takim ciało potrafi zastrajkować, umysł się wyłącza, a wypity alkohol tylko pogorszył sprawę. Ktokolwiek teraz przed nią stał i celował do Gunthera, to już nie był ten człowiek, którego znała. Na chwilę zastąpił go ktoś inny.

– Kuba! Opuść broń!

– Przyznaj się, że go zabiłeś! – wrzeszczał prosto do przerażonego Gunthera.

Zachowywał się, jakby jej nie widział, jakby jej tutaj po prostu nie było. Musiała spróbować dotrzeć do niego inaczej.

– Komisarzu Mortka! – krzyknęła.

Drgnął, a więc usłyszał.

– Kuba! – kontynuowała. – Posłuchaj! Nawet jeśli się przyzna! Nawet jeśli to zrobił! Jaką to będzie mieć wartość?! Jaką to przyznanie będzie mieć wartość, skoro grozisz mu bronią?!

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Słyszała urywany oddech Wodeckiego tuż nad swoim ramieniem. Gunther stał bez ruchu, z podniesionymi rękami i niemą prośbą o pomoc w spojrzeniu.

– Mortka – szepnęła.

Bardzo powoli opuścił pistolet. Podeszła do niego ostrożnie, jedną dłoń położyła mu na plecach w uspokajającym geście, drugą zabrała broń. Nie opierał się. Pozwolił, żeby wyciągnęła mu ją spomiędzy palców. Kiedy wręczyła pistolet Wodeckiemu, spłynęła na nią fala ulgi tak wielkiej, że chciała usiąść pod ścianą i zapłakać. Ale nie mogła sobie na to pozwolić. Jeszcze nie.

– Panie Gunther – powiedziała – zapomni pan o tym, co się tutaj działo, a my w zamian zapomnimy o narkotykach w bagażniku pańskiego samochodu. Wróci pan po prostu do domu i uzna, że dzisiejsza noc po prostu się nie wydarzyła. Nikt już nie będzie pana tutaj wzywać. Nikt nie będzie chciał z panem rozmawiać. Zgoda?

Z bijącym sercem czekała na jego odpowiedź.

– Mortka? – usłyszała głos mężczyzny. – Jesteś jego ojcem, prawda?

Komisarz nie odpowiedział. Gunther zaśmiał się krótko, gorzko i smutno. Pokręcił głową w niedowierzaniu, ale rysy jego twarzy wygładziły się, jakby właśnie podjął jakąś decyzję.

– Powiem wam wszystko. Samą prawdą, od początku do końca – oznajmił, a potem drżącym palcem wskazał na Mortkę. – Ale rozmawiać będę tylko z nim.

– Kiedy się pan dowiedział? – zapytał Gunther.

Nie musiał precyzować, o co pyta. Siedzieli teraz w pokoju przesłuchań, sami. Każdy z nich dostał kubek z wodą, żaden jednak się nie napił.

– Niedawno. Jakoś jesienią zeszłego roku.

– Jak?

– W grze komputerowej. Jest taka gra... Zresztą nieważne jaka. Graliśmy przez sieć, bo ja pracuję za granicą. I wtedy Andrzej uznał, że to odpowiednia chwila, by mi powiedzieć. Tak się dowiedziałem. A pan?

– Nigdy mi nie powiedział – przyznał Gunther, opierając łokcie o stół. – Nie miał odwagi albo to ja mu nie pozwoliłem. Do samego końca przede mną ukrywał, ale też... wydaje mi się, że zawsze wiedziałem... Tak nie do końca, ale trochę wiedziałem. Pan rozumie?

– Nie.

– Nie?

– Nie – przyznał szczerze Mortka. – Ja byłem kompletnie zaskoczony. Analizowałem to sobie wielokrotnie, szukałem jakichś sygnałów, momentów, które mogłem wskazać palcem i powiedzieć: patrz, przegapiłeś. I nie znalazłem. Jasne, miał ulubionych aktorów, piłkarzy, ale to nie tak, że cały pokój oblepiał sobie ich plakatami. Nigdy nie złapałem go na tym, żeby oglądał się za chłopcami. Albo żeby ukrywał pisemka z gołymi facetami.

– Oni teraz mają chyba wszystko w internecie.

– Na tym też go nie złapałem.

– Ja swojego też nie – powiedział Gunther. – Ale zawsze był taki delikatny, tyle czasu spędzał z matką i wolał koleżanki od kolegów. Zabierałem go na różne męskie wypady. Wie pan, żeby budować jego



męskość, wzmacniać ją. Jeździliśmy razem na ryby, chodziliśmy po górach, paliliśmy ogniska, piekliśmy kiełbaski. Nic to nie dało. Jeździł, bo musiał, ale widziałem, że wolał być gdzie indziej.

– To chyba nie jest kwestia orientacji – zauważył Mortka.

– To prawda. Chociażby pański syn: wielki facet, umięśniony i ma w oczach tę hardość, prawda? Człowiek wie, że powinien na niego uważać, że to ktoś, kto potrafi oddać albo nawet uderzyć pierwszy. Żałowałem, że mój syn taki nie jest. Niech Bóg mi wybaczy, ale nie kochałem go tak, jak powinienem. Jestem, jaki jestem, mam takie poglądy, jakie mam... Tak mnie wychowano, wie pan? Ale nie jestem potworem, rozumie pan? Nie wyrzuciłbym go z domu! Nie wyrzekłbym się go! Nigdy bym nie został jednym z tych dumnych tęczowych rodziców, którzy chodzą na te pedalskie parady, ale przecież w końcu bym go zaakceptował. Tak mi się przynajmniej wydaje. Tyle że on nie dał mi tej szansy. Nie pozwolił mi spróbować. Pan ma szczęście, pan miał swoją okazję.

– I nie poszło mi za dobrze.

– Co to znaczy?

– Nie rozmawialiśmy od ponad pół roku. Właściwie od prawie roku.

– Dlaczego?

Mortka milczał przez długą chwilę.

– Nigdy nie miałem z tym problemów – zaczął wreszcie.

– Z homoseksualistami?

– Homoseksualistami, lesbijkami, całą resztą tych literek. – Machnął ręką. – Nawet z transami. Raz... wiele lat temu na ulicy, niedaleko placu Zbawiciela, grupa wyrostków pobiła jednego transa. Nie wiem, jak ich się dokładnie nazywa, facetów przebranych za kobiety. W każdym razie pobili go... Pobili ją. Zajmowałem się tym. Nie złapaliśmy sprawców, chociaż naprawdę się staraliśmy, ale po wszystkim dostałem list od organizacji, do której należał. Dziękowali mi za wrażliwość, za wysiłek włożony w prowadzenie śledztwa i tak dalej. Ale przede wszystkim za wrażliwość. Podarłem zaraz ten list. Nie chciałem, żeby ktokolwiek go zobaczył, bo

przecież by mi żyć w wydziale nie dali. Ale to chyba dowód, że nie mam z nimi problemów. Tylko jest zupełnie inaczej, kiedy okazuje się, że to twoje dziecko. Od razu zastanawiasz się dlaczego, gdzie popełniłeś błąd. Rozwiodłem się z jego matką. Wydawało mi się, że to może przez to. Wie pan, brak męskich wzorców w rodzinie. Dopiero potem zacząłem sobie to układać w głowie, ale...

– Było już za późno.

– Było już za późno – potwierdził.

– Wciąż może pan z nim porozmawiać. Ja ze swoim nie.

– Przykro mi. Wie pan, dlaczego to zrobił?

Gunther skinął głową.

– Zostawił list pożegnalny, tak jakby. To był dziennik. Znalazłem go na jego biurku, otwarty, już po tym, jak skoczył, ale oczywiście przed przyjazdem policji. Schowałem go. Nikomu nie pokazałem, nawet żonie. Wie pan dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo się wstydzilem. Tego, że wszyscy się dowiedzą. Tego, że mój syn był gejem i dawał się rznąć w dupę temu pedałowi z drugiego piętra. Napisał o tym wszystkim w swoim dzienniku. O tym, że zawsze podobali mu się chłopcy, tylko to w sobie tłumił. Myślał, że mu przejdzie, a często po tym, jak... fantazjował o kolegach... płakał. Że rozważał samobójstwo, bo czuł się kimś innym, kimś, kogo nikt nie akceptuje. A potem spotkał Kota i to było jak olśnienie. Bo nagle zobaczył kogoś, kto jest taki jak on i wcale się z tym nie kryje. Jest wręcz z tego dumny. I oczywiście natychmiast się zakochał.

– Związał się z Kotem?

Gunther pokręcił przecząco głową.

– Ten skurwysyn po prostu go wykorzystał. Chłopaka zapatrzonego w niego jak w obrazek, zakochanego do szaleństwa, któremu się wydawało, że poznał tego jedyne na całym świecie. Bo po prostu nie znał żadnego innego. Jakby dopadła go jakaś ślepotą, jakby nie wiedział, że to miasto jest

pełne gejów. Ale nie, liczył się tylko ten jeden i mój syn był gotów zrobić dla niego wszystko. Potem pojawił się pański syn.

– I zażądał od Kota związku na wyłączność?

– Tak, a on się zgodził i Łukasz poszedł w odstawkę. Zabawka się znudziła, zabawkę można wyrzucić. Starał się do niego wrócić, zaczepiał go wielokrotnie, próbował rozmawiać. Błagał go o to, żeby go nie zostawiał, ale pański syn był ważniejszy. Klasyczna historia: porzucony chłopak, złamane serce.

– Dlatego postanowił pan zabić Kota? Za to, że doprowadził Łukasza do samobójstwa?

– Nie. Nie jego. Postanowiłem zabić pańskiego syna.

Mortka poczuł, jak przez jego ciało przepływa fala chłodu.

– Dlaczego? – zapytał przez ściśnięte gardło.

– Jeszcze pan pyta? A co się stało po śmierci Łukasza? Pański syn... Andrzej, tak?

– Tak.

– Po śmierci Łukasza niemal z dnia na dzień rzucił Kota, tak po prostu. Najpierw wymusił na nim, żeby wypiął się na mojego syna, a potem go zostawił... Jakby od początku chodziło mu tylko o to, żeby zabić moje dziecko.

– Na pewno nie.

– Pan i ja – powiedział Gunther – jesteśmy ojcami. Przed chwilą wpadł pan tutaj i groził mi bronią.

– Przepraszam.

– Proszę nie przepraszać. Wiem, dlaczego pan to zrobił. Pewnie postąpiłbym tak samo na pańskim miejscu. Ale proszę nie wymagać ode mnie, żebym myślał logicznie, skoro zachował się pan tak, a nie inaczej.

– Ma pan rację. Chciał pan zabić Andrzeja...

– Chciałem i nie chciałem – mruknął Gunther. – Tak jak wspominałem, niech pan ode mnie nie wymaga logicznego myślenia. Dużo o tym

myślałem. To była fantazja, która mnie napędzała. Moja żona brała proszki, takie, żeby móc spać, i takie, żeby móc żyć, a ja marzyłem o tym, że zabijam pańskiego syna. Poczyniłem nawet co do tego przygotowania. Znalazłem go i bywały noce, że go śledziłem. Wystawałem przed jego domem albo jeździłem za nim od jednej knajpy do drugiej. Całkiem nieźle poznałem jego życie. A do tego... miałem w bagażniku coś, co pańska koleżanka nazwała...

– Zestawem małego porywacza.

– Właśnie! – zachichotał. – Zestawem małego porywacza. Przygotowałem go na wszelki wypadek, gdybym kiedyś się zdecydował. Nie pozbyłem się go, bo niby po co. Nigdy go nie wykorzystałem i nie wiem, czy kiedykolwiek bym się na to zdobył. Nie jestem w stanie odpowiedzieć na to pytanie. Może tak... Może nie...

Gunther przerwał na dłuższą chwilę. Objął dłońmi kubek z wodą, ale nie podniósł go do ust. Po prostu trzymał.

– Tamtej nocy też śledziłem pańskiego syna. Widziałem ich kłótnię, potem to, jak Kot cały zapłakany ucieka z klubu, a jeszcze później pańskiego syna. Wyszedł stamtąd wściekły, wziął ubera i pojechał prosto do mojej kamienicy.

– I co się wydarzyło?

– Nic. Siedziałem w samochodzie. Bałem się, że jeśli pójde za nim, spotkam go na klatce schodowej, a nie wiedziałem, jak zareaguję. Chciałem poczekać, aż wyjdzie. Zrobił to po dziesięciu minutach, może szybciej. Widziałem, jak idzie. Wściekły. Koszulkę miał zakrwawioną. Teraz wiem, że to nie była jego krew. Przestraszyłem się, ale zaraz potem mi ulżyło, bo z kamienicy wybiegł Kot. Miał rozbity nos i wargę. Przebiegł ledwie metr, dwa, przewrócił się. Nie wiem dlaczego, ale wysiadłem wtedy z samochodu i pomogłem mu wstać. Wyglądał jak nieszczęście. Nie jestem pewien, czy mnie rozpoznał. Może tak i dlatego zaczął płakać w moich ramionach. Zaprowadziłem go do domu. Powiedział, że pański syn go pobił.

– Dlaczego?

– A jak pan myśli? Bo Kot nie chciał się od niego odczepić. Był równie zakochany w pańskim synu, jak Łukasz w nim. I płacząc, powtarzał, właściwie mówił mi to prosto w twarz, że tak bardzo kocha pańskiego syna, tak bardzo...

Gunther westchnął.

– Może to przez te słowa albo dlatego że wyglądał tak żałośnie... Po prostu nie mogłem znieść myśli, że z powodu tego płaczącego u moich stóp gówna zabił się mój syn. Niedaleko stała statuetka, nagroda z jakiegoś akademickiego przeglądu teatralnego. Nawet nie wiem, czy ją wygrał, czy kupił w jakimś antykwariacie. Ważne jest to, że po prostu była w zasięgu moich rąk. Wziąłem ją. Zamachnąłem się. I go zabiłem.

Gunther puścił kubek. Oparł się na krzesło. Przymknął powieki.

– Mam tę statuetkę w domu. Ukryłem ją w moim biurku zaraz po tym, jak to się stało. Miałem ją później gdzieś wywieźć, wyrzucić, ale... Nawet nie byłem w stanie otworzyć szuflady, w której leży.

Mortka wiedział, że mężczyzna właśnie w tej chwili odcina sobie drogę ucieczki. Przyznania się do winy zawsze można się wyprzeć, odwołać je, ale narzędzie zbrodni znalezione w jego własnym gabinecie to twardy i niezbity dowód. A Gunther był inteligentnym facetem. Musiał zdawać sobie sprawę, co właśnie zrobił. Komisarz poczuł głęboką wdzięczność.

– Dlaczego pan do niego poszedł następnego dnia? Dlaczego postanowił pan udawać, że przypadkiem znalazł ciało?

Gunther przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Lubię myśleć, że pomimo wszystko nie jestem złym człowiekiem – powiedział. – A on przecież też miał rodziców, ojca, matkę. Pomyślałem sobie, że jeśli będzie leżeć w mieszkaniu tydzień, dwa... nie powinni go widzieć w takim stanie. Chciałem im tego oszczędzić.

– Ma pan rację.

– W czym?

– Spotkałem dzisiaj złego człowieka, patrzyłem mu prosto w oczy. Pan nie jest taki jak on.

– Zabiłem chłopaka.

– Wie pan, co jeszcze dzisiaj usłyszałem?

– Co?

– Że z miłości robi się najgłupsze rzeczy. Pan i ja – Mortka wskazał na siebie i na Gunthera – jesteśmy ojcami. Obaj kochamy naszych synów. Nie wymagajmy od siebie logicznego myślenia.

Słońce wstawało nad Warszawą. Po stołecznych ulicach we wszystkie strony pędziły samochody, tworzyły się pierwsze poranne korki. Mortka, pomimo chłodu, siedział na kamiennych schodach przed pałacem Mostowskich i pił kawę, którą kupił w automacie na dole. Odsunął się, robiąc miejsce dla dwóch policjantów prowadzących zakutego w kajdanki wysportowanego trzydziestolatka. Mężczyzna miał zwieszoną głowę i robił wszystko, żeby jak najmniej było widać jego twarz. Funkcjonariusze stanęli tuż przy drzwiach, przepuścili Suchą, a gdy ta opuściła budynek, zniknęli w jego wnętrzu. Policjantka najpierw długo za nimi patrzyła, a potem podeszła do Mortki. Usiadła obok niego.

– Tutaj jesteś – powiedziała.

– Musiałem odetchnąć świeżym powietrzem. Co tam się teraz dzieje?

– Wysłałam ekipę do jego mieszkania, żeby poszukała narzędzia zbrodni. Wodecki tymczasem raz jeszcze przesłuchuje Gunthera i spisuje jego przyznanie się do winy.

– Facet nie kręci?

– Powtarza niemal w słowo w słowo to, co powiedział tobie. Wiesz, to jest normalny facet, zachowuje się tak, jakby mu ulżyło. Znasz ten typ.

– Tak.

– Posłaliśmy też wszystko do prokuratury. Obiecali, że zajmą się tym ekspresowo.

– Dzięki. Adam już dzwonił. Ma ustną obietnicę, że wypuszczą Andrzeja.

– Czyli możesz świętować. Dasz łyka?

Mortka podał jej kawę. Sucha ostrożnie upiła, skrzywiła się od razu i odsunęła kubek od ust.

– Jaka gorzka! Nie było cukru?

– Nie słodzę.

– Poważnie?

– Od kilku lat.

– Do herbaty też nie?

– Nie.

Oddała mu kawę.

– Skąd wiedziałeś? – zapytała po chwili.

– O Guntherze?

– Nie. O tym facecie.

– O jakim facecie?

– O tym, co go przed chwilą prowadzili.

Mortka uniósł wysoko brwi w wyrazie zaskoczenia.

– Kto to był?

– Biegacz z Lasku Bielańskiego – wyjaśniła Sucha. – Wodecki zrobił to, co mówiłeś. Przeszukał Instagram po hashtagach, miał kilka trafień i podesłał zdjęcia na Bielany, a tam poszli do tej zgwałconej kobiety. Trafili już za trzecim razem. Tyle że facet zrobił sobie tę fotkę i opublikował przed biegiem, a nie po. Czyli zanim ją spotkał i... W każdym razie skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Po prostu warto było to sprawdzić. Fart.

– Żaden fart. Ty myślisz o takich rzeczach, tak samo, jak z Cieleckim.

– Właśnie. Co z nim?

– Zych go przesłuchuje. Na razie facet przyznaje się do zabójstwa tych dwóch dziewczyn z dzisiaj. Jak twierdzi, jest osobą wierzącą i nie mógł znieść, że po ulicach jego miasta, na oczach wszystkich ludzi, chodzą prostytutki. Ponoć walczy o czystość i wolność od grzechu. Czyli wychodzi na to, że trafił nam się religijny fanatyk.

– Gówno prawda – mruknął Mortka.

– Słucham?



– Nie jest żadnym religijnym fanatykiem. Miał krzyż na ścianie w domu i pewnie chodzi w niedzielę do kościoła. Ale jak pogadacie z jego proboszczem, to jestem przekonany, że ledwo go kojarzy.

– To dlaczego je zabijał?

Mortka upił łyk kawy. Ciągle była ciepła i przyjemnie go rozgrzewała.

– Żona opowiadała nam, że prawie nie uprawiali seksu, a on wolał spać na kanapie w gabinecie niż z nią w jednym łóżku. Według prostytutki, z którą rozmawiałem, nie sypiał też z dziewczynami. Wynajmował je, zabierał do domu, a tam po prostu rozmawiali. Natomiast w jego gabinecie znalazłem opakowanie insuliny.

– I co z tego wynika?

– Facet jest cukrzykiem – wyjaśnił Mortka. – A cukrzyca może też powodować problemy z erekcją. Myślę, że zaczęło się od żony. Wmawiał sobie, że wszystko z nim okej, nie chciał iść do lekarza, ale ciągnęło się to już za długo. Postanowił sprawdzić, jak będzie z inną kobietą, więc wynajął prostytutkę. I też nic się nie stało. Spróbował z kolejną. Nie wiem, kiedy zabił po raz pierwszy, nie wiem, jak to dokładnie wyglądało, ale jestem pewien, że tamta dziewczyna popełniła błąd. Może coś źle powiedziała, może niepotrzebnie chciała go pocieszyć albo po prostu wyśmiała. W każdym razie wpadł w szał i ją zabił. I wtedy w końcu poczuł satysfakcję. Potem już poszło. Będzie wam teraz opowiadał pierdoły, dorabiał skomplikowane teorie, być może sam będzie w nie wierzył, ale prawda jest taka, że zabijał je tylko dlatego, że mu nie stawał.

Sucha klepnęła go w ramię.

– O tym właśnie mówię – stwierdziła. – Ty myślisz o takich rzeczach. Wiesz, co trzeba sprawdzić, czego szukać.

– Nawet jeśli... Po co mi to mówisz?

– Kiedy się kończy twoja misja w Europolu?

– Wkrótce.

– Właśnie. Chcę, żebyś wrócił do wydziału.

Mortka pokręcił przecząco głową.

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego? Dlatego, że to kiedyś ja musiałam cię słuchać, a teraz miałyby być na odwrót?

– Nie. Z tym nie mam problemu.

– To o co chodzi? Kuba, ja cię potrzebuję! Wiesz, jaki mieliśmy przerób kadr w ostatnich latach? Jaką nam tu czystkę urządzili? Gdy oboje zaczynaliśmy, jeździliśmy na patrolach z kolegami z ponad dziesięcioletnim stażem. Teraz młodzi mają szczęście, jak trafią na kogoś z dwoma latami doświadczenia! I czego się od nich dowiedzą? Co najwyżej tego, jak lać pałą po plecach! W ciągu ostatnich lat przez wydział przeszło półtora pokolenia. Są tutaj same żółtodzioby, które nie mają się od kogo uczyć.

– Zych jest niezły.

– Daj spokój. Znam go dobrze, wiem, jak pracuje. Ty z nim jeździłeś dzisiaj w nocy. Oboje wiemy, że jest jak dziecko we mgle. Nie dlatego, że jest głupi albo coś z nim nie tak, po prostu nie ma twojego doświadczenia. A poza tym... nawet on chce odejść.

– Gdzie?

– Ochrona świadków koronnych. Urodziło mu się dziecko, żona go ciśnie. Tam miałyby pracę w regularnych godzinach, wracałyby do domu na obiady. No i wbrew pozorom jest bezpieczniej niż u nas. Już złożył wniosek o przeniesienie.

– A ty mu obiecałaś, że go poprzesez, jeśli dzisiaj pomoże nam z Guntherem? – domyślił się Mortka.

Sucha przytaknęła.

– Ta noc miała wyglądać zupełnie inaczej – stwierdziła.

– Taka praca – powiedział. – Rzadko wychodzi nam tak, jak sobie planowaliśmy.

– Ty to wiesz, ja to wiem, oni nie. Poza tym zdajesz sobie sprawę, że po powrocie z takiej misji jest ciężko z robotą? Macie międzynarodowe doświadczenie, kontakty i znacie języki, więc każdy się boi, że jeśli was weźmie do siebie, to go wygryziecie z kierowniczego stanowiska

w przeciągu pół roku. Ale ja mam dla ciebie miejsce! Wróć do wydziału, Kuba.

– Pomimo tego, co się dzisiaj wydarzyło? Z Guntherem?

– Przynajmniej wiem, jak daleko jesteś w stanie się posunąć.

– Problem polega chyba na tym, że nie jestem w stanie powiedzieć tego samego o tobie – powiedział zmęczonym głosem.

Odsunęła się od niego. Zmarszczyła podejrzliwie brwi.

– Co to znaczy?

– Obserwuję to, co się dzieje w policji. Tak, jak powiedziałaś, zrobili wam czystkę i odeszło całe pokolenie funkcjonariuszy, nawet więcej. Tymczasem ty ciągle pchasz się w górę. Ciebie nikt nie ma odwagi ruszyć.

Prychnęła lekceważąco.

– Czyli uwierzyłeś w plotki? – zapytała. – Że przespałam się z kimś tam na górze, kto w zamian chroni mi tyłek?

Pokręcił przecząco głową.

– Nie. Znam cię. Nigdy nie byłabyś do tego zdolna. Ale to chyba oznacza, że zrobiłaś coś znacznie gorszego. I tego właśnie się boję.

Wypił ostatni łyk kawy, zgniótł plastikowy kubek, a potem wstał z kamiennych schodków i otrzepał spodnie.

– Dzięki, Sucha, za wszystko – powiedział jeszcze. – A teraz muszę pojechać po syna.

Spotkali się na korytarzu prokuratury. Andrzej stał już w cywilnych ciuchach, bez kajdanek i towarzystwa pilnujących go funkcjonariuszy. Wyglądał tak, jakby nie rozumiał, co się właściwie przydarzyło. Przyjechał tutaj, żeby przyznać się do zabójstwa, a zamiast tego powiedziano mu, że może iść wolno.

Mortka przywitał się najpierw z Adamem.

– I jak? – zapytał szeptem.

– Jest jeszcze trochę papierkowej roboty, ale możecie iść do domu.

– Dzięki.

Komisarz klepnął go po ramieniu i podszedł do syna. Najpierw stanął tuż obok niego, niepewny, co zrobić, a potem po prostu przytulił go z całych sił. Andrzej nie oddał uścisku. Jego ciało było całe napięte, jakby jeszcze to do niego nie dotarło. Mortka pomyślał, że nie powinien się dziwić. Pobyt w areszcie śledczym musiał być dla niego szokiem. Cholera wie, kogo tam spotkał, co usłyszał i co się dokładnie wydarzyło. Chłopak po prostu potrzebował czasu, żeby dojść do siebie.

– Chodźmy – powiedział i poprowadził syna do wynajętego samochodu.

Początkowo zamierzał zawieźć go po prostu uberem, ale po namyśle stwierdził, że to zły pomysł. Nie chciał, żeby w takiej chwili towarzyszył im jakiś obcy człowiek. Dlatego niedaleko komendy stołecznej znalazł wóz jednej z firm, która wynajmowała auta na minuty, zainstalował aplikację i ruszył po syna. Teraz tym samym samochodem chciał go zabrać do domu w Józefosławiu. Wiedział, że nie powinien prowadzić. Stężenie alkoholu w organizmie było pewnie ciągle zbyt duże, ale uznał, że to nie jest normalna sytuacja. Obiecał sobie, że będzie jechał bardzo ostrożnie.

Ruszyli. Andrzej nie odzywał się ani słowem, po prostu patrzył na miasto za oknem. Po blisko pół godzinie jazdy, kiedy byli na Puławskiej, mniej więcej na wysokości wyścigów konnych na Służewcu, Mortka doszedł do wniosku, że dał synowi już wystarczająco dużo czasu.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Andrzej oderwał głowę od szyby. Wzruszył ramionami.

– Chyba dobrze – powiedział.

– Chciałem cię przeprosić.

– Za co?

– Za to, jak się zachowałem, kiedy mi powiedziałeś. Zaskoczyłeś mnie wtedy i... – Mortka przerwał, bo zdał sobie sprawę, że to idzie w złą stronę.

– Zresztą nieważne. Chciałem cię po prostu przeprosić.

– Spoko.

„Spoko”. Poczł ukłucie irytacji. Tylko tyle syn miał mu do powiedzenia? Andrzej obraził się na niego do tego stopnia, że nie rozmawiali od kilku miesięcy, a teraz, kiedy ojciec do niego przyszedł, kiedy się przed nim ukorzył, miał dla niego jedynie to obojętne „spoko”?

– Wiem, że jest ci trudno – spróbował z innej strony. – Te ostatnie tygodnie to był koszmar, ale możesz już odetchnąć. Wszystkim się zająłem. Policja ma winnego śmierci Tymoteusza Kota. Nie wywinie się. Wiem, że ten chłopak wiele dla ciebie znaczył i że musisz to sobie jeszcze przepracować, ale jest już po wszystkim.

– Tak.

Znowu ten sam irytujący ton. Mortka starał się zrozumieć syna, zdawał też sobie sprawę z tego, że ludzie reagują w różny sposób, i musiał to uszanować, ale ta obojętność go dobijała. Ryzykował dla niego więcej niż swoją karierą, bo przecież nie wiedział, że Gunther jest winny. Miał pewne podejrzenia, ale ani strzępka dowodu. Chciał go przede wszystkim złamać, zmusić w ten czy inny sposób do tego, żeby się przyznał. Niezależnie od tego, czy to zrobił, czy nie. Byleby tylko wyciągnąć syna z aresztu. Sucha miała rację. A potem? Nie było żadnego „potem”, bo gdyby to wszystko

potoczyło się w innym kierunku... Nie chodziło nawet o to, że Andrzej tego nie doceniał. Przecież nie znał szczegółów. Zresztą lepiej, żeby ich nigdy nie poznał, pomyślał Mortka. Ale dlaczego jego syn nie potrafił nawet okazać cienia radości, że wychodzi na wolność? Że nie stanie przed sądem?

– Po co ci to było? – zapytał zezłoszczony.

– Co takiego?

– Po co chciałeś się przyznać do zabicia Tymoteusza Kota, skoro tego nie zrobiłeś?

Andrzej odwrócił się w jego stronę.

– Nie chciałem się przyznać do zabicia Tymoteusza Kota – odparł.

– Jak to? Przecież dzwonił do mnie Adam, powiedział, że chcesz się przyznać.

– Ale nie do zabicia Tymka.

Kilka sekund. Zdecydowanie zbyt długo, biorąc pod uwagę, że dostał właściwie wszystkie informacje jak na tacy. Tyle zajęło mu zrozumienie, co chce powiedzieć Andrzej. Tyle potrzebował, żeby ułożyć sobie w głowie całą tę historię. Wrzucił kierunkowskaz, zmienił gwałtownie pas, czym wywołał trąbienie samochodów jadących obok, jednak się tym nie przejął. Skręcił w pierwszą lepszą uliczkę w prawo i zatrzymał wóz. Przez chwilę siedział w bezruchu. Wciąż bał się puścić kierownicę.

– Łukasz Gunther – odezwał się.

Andrzej skinął głową. Teraz to miało sens. Bo dlaczego rzucił Kota zaraz po śmierci Łukasza? Dlaczego nie chciał mieć z nim nic wspólnego? Dlaczego go pobił, żeby ten się od niego raz na zawsze odczepił? Co spowodowało tak gwałtowną zmianę, skoro jeszcze niedawno żądał od niego związku na wyłączność? Z miłości ludzie robią najgłupsze rzeczy, powiedziała Ruda Jola. Z miłości jego syn zabił byłego chłopaka swojego faceta.

– Jak to się stało? – zapytał.

Andrzej przełknął ślinę.

– To był wypadek, tato – wyszeptał. – On nie chciał się odczepić od Tymka. Cały czas prosił, żeby do niego wrócił, nawet na jedną noc. Byłem zazdrosny, tato. Oni przecież mieszkali w jednym budynku, a Tymek... Bałem się, że mnie zdradzi.

– Poszedłeś do Łukasza?

– Tak. Akurat był sam w domu.

Nie był, pomyślał Mortka. W gabinecie siedział jego ojciec, ale miał stopery w uszach. Nie słyszał, że ktokolwiek wszedł do domu. Nie słyszał Andrzeja ani tego, co mówił, dlatego był pewien, że syn popełnił samobójstwo. Nie przyszło mu nawet do głowy, że w domu oprócz nich dwóch mógł być ktoś jeszcze.

– Kazałeś mu odczepić się od Tymka?

– Tak. Ale on nie chciał. Powiedział, że nie mam prawa żądać takich rzeczy, że Tymek powinien sam zdecydować. A to był taki kurdupel... Ja... chciałem go tylko nastraszyć.

Gunther mówił o Andrzeju, że to wielki facet, jeden z tych, co potrafią oddać, a nawet uderzyć pierwsi. Nic się nie pomylił.

– Podniosłem go, żeby nim rzucić – powiedział Andrzej.

Wiedziałaś, że ćwiczy MMA?, przypomniał sobie pytanie Oli.

– Chciałem go nastraszyć, tylko nastraszyć. Ale on zaczął się szamotać, okno było otwarte. Nawet nie wiem, jak to się dokładnie stało – mówił Andrzej ze łzami w oczach. – Po prostu go trzymałem, a chwilę potem leżał na dole. Od razu zbiegłem, chciałem mu pomóc, ale kiedy już tam byłem...

– Nie żył – domyślił się Mortka.

– Uciekłem, tato. Ale to był błąd. Chcę się przyznać, tato.

Odważył się puścić kierownicę. Poczował, że koszula lepi mu się do pleców. Szumiało mu w uszach.

– Nie – powiedział. – Do niczego się nie przyznasz.

– To nie jest twoja decyzja, tato – oznajmił Andrzej.

Mortka zacisnął zęby, odwrócił się do syna i pchnął go otwartą dłonią w pierś.

– Czy ty wiesz, co cię czeka? – zapytał. – Czy ty wiesz, jak jest w więzieniu? Zdajesz sobie sprawę, co tam robią takim jak ty?

– Takim jak ja?

– Pedałom, kurwa, Andrzej! Wiesz, co w polskich więzieniach robią pedałom?! I nie rób takiej miny, bo teraz nie chodzi o twoje uczucia czy jakiś szacunek do twojej jebanej orientacji! Tu chodzi o twoje życie! Bo ty tam zginiesz, Andrzej!

– Dam sobie radę.

– Gówno prawda! Ryczysz mi teraz, bo wypchnąłeś jakiegoś dzieciaka przez okno, a tam trafisz na koleśki, którzy bez mrugnięcia okiem potrafią zatłuc obcego człowieka na ulicy! Myślisz, że skoro trochę poćwiczyłeś na macie z kolegami, to sobie tam poradzisz? Nie. Oni cię dorwą. Nie w dzień, to w nocy. Nie w celi, to na spacerku, podczas posiłku albo gdziekolwiek indziej. Zniszczą cię tam.

Andrzej przetarł szybko oczy wierzchem dłoni.

– Chcę się przyznać – powiedział. – To jest moje życie.

– Właśnie, że nie! – krzyknął Mortka i uderzył pięścią w sufit samochodu. – To nie jest twoje życie! Nie tylko twoje. To jest życie moje. To jest życie Michała. To przede wszystkim życie twojej mamy! Jak myślisz, co się z nią stanie, jak ona zareaguje, jak będzie się czuć, kiedy pójdziesz do więzienia?!

Andrzej nie odpowiedział. Mortka poczuł, że opuszcza go energia. Położył głowę na kierownicy, ignorując boleśnie wbijające mu się w pierś pasy bezpieczeństwa. Trwał tak przez dłuższą chwilę, niepewny, czy kiedykolwiek będzie w stanie się podnieść.

– Wszystko w porządku, tato? – usłyszał głos Andrzeja.

Chciałby wierzyć, że to był nieszczęśliwy wypadek, ale jego syn sam poszedł do tego mieszkania, przepełniony gniewem. Zapewne od początku zakładał, że użyje siły w stosunku do Łukasza Gunthera. Nie chciał go



pozbawić życia, jednak liczył się z tym, że zrobi mu krzywdę. To, co się wydarzyło, było konsekwencją jego postępowania, jednym ze scenariuszy, które musiał brać pod uwagę, kiedy wchodził po schodach kamienicy. Jego syn zabił drugiego człowieka.

– Tato...

– Pojedziemy teraz do domu – oznajmił Mortka, prostując się. – Spotkasz się z mamą. Masz jej spojrzeć głęboko w oczy. Masz się poważnie zastanowić nad tym, co ci powiedziałem. I nad tym, jak twoje decyzje wpłyną na życie. Twoje życie, ale przede wszystkim jej. Na życie wszystkich tych, którzy cię kochają.

– A potem?

Chłopak patrzył na niego wyczekująco, a on pomyślał, że Andrzej nosi jego nazwisko. Ma w sobie jego geny, geny swojego dziadka. To miało swoje konsekwencje. Tacy po prostu byli w tej rodzinie. Wszyscy trzej.

– A potem – powiedział Mortka – zrobisz to, co trzeba.

## PODZIĘKOWANIA

W momencie, kiedy pisałem *Podpalacza*, Mortka miał trzydzieści cztery lata, ja dwadzieścia sześć. Był ode mnie prawie osiem lat starszy. Teraz mam trzydzieści osiem, a Mortka w ogóle się nie starzał. Trochę mi było z tym ciężko. Wiedziałem, że Dawid Wolski jest ode mnie młodszy, zawsze był, ale Mortka? Ten dojrzały, przeczolągany przez życie warszawski glina? Nie mieściło mi się to w głowie. I chyba to jest najważniejszy powód, dla którego pchnąłem akcję do przodu. Teraz on jest po czterdziestce, ja się do niej zbliżam, ale ciągle jestem młodszy. I niech tak zostanie.

Powrót po latach do tej serii był ciekawym doświadczeniem, jednak nie ukrywam, że miałem ogromną treść. Nie wiedziałem, jak zareaguję na tych bohaterów ani jak oni zareagują na mnie. Jak wyszło, to już ocenią Państwo.

Ta książka byłaby niemniej zdecydowanie gorsza, gdyby nie pomoc kilku osób. Marcinowi Zejdlrowi dziękuję za opowieści o tym, jak wyglądała pandemia w Holandii. Adam Bigaj podzielił się ze mną swoją wiedzą na temat policyjnych przesłuchań. Jakub Ćwiek przeczytał tę powieść w jeszcze surowej wersji i wysłał mi swoje uwagi. Wreszcie dziękuję Mikołajowi Kowalczykowi, który wyjaśnił mi, jak działa Europol i czym się dokładnie zajmuje. Danielowi Dudkowi jestem wdzięczny za to, że opowiedział mi o swojej pracy w Europolu. Jeśli są w tej książce jakieś błędy faktograficzne, to jest to oczywiście wyłącznie moja wina. No i nie mogę zapomnieć o tych wszystkich biednych ludziach, którzy męczyli się ze mną w meczach *Call of Duty: Warzone*. Mam nadzieję, że nie było tak źle. Nawet parę jedynek wbiliśmy. Dzięki!

Osobne podziękowania należą się całej ekipie Wydawnictwa Marginesy, a w szczególności mojej redaktorce Karolinie Macios. Czasami mam wrażenie, że pracują nad moimi książkami ciężiej niż ja.

Chciałem też podziękować tym wszystkim czytelnikom, którzy przez ostatnie lata dopytywali, kiedy wróci Mortka. No to jest. Wrócił. Nie wiem, na jak długo, ale mam nadzieję, że będziecie zadowoleni.

No i wreszcie specjalnie podziękowania dla mojej żony Dagmary. Bez Ciebie, Kochanie, to wszystko nie byłoby możliwe.